

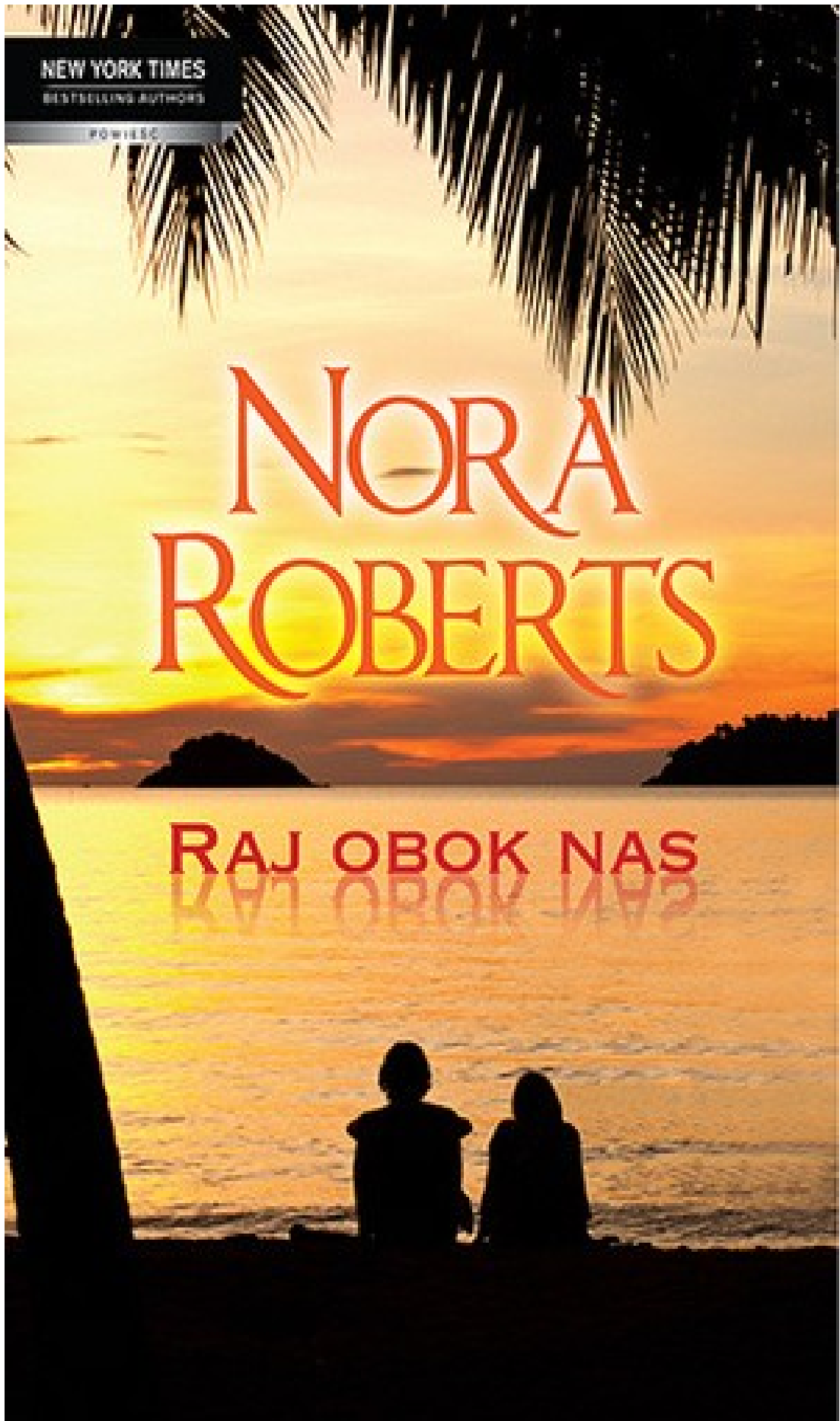
NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

NORA ROBERTS

RAJ OBOK NAS



NORA ROBERTS

Utracony raj

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Proszę uważać na stopień. Uwaga, stopień! Dziękuję - powiedziała z uśmiechem Liz, przyjmując bilet od opalonego mężczyzny w kolorowej koszuli w palmy.

- Mam nadzieję, Mabel, że go nie zgubiłaś - burknął turysta i spojrzał potępiająco na żonę, która nerwowo przeszukiwała olbrzymią torbę plażową. - Mówiłem, żebyś mi go oddała.

- Oczywiście, że nie zgubiłam biletu - odparła kobieta z godnością i zajrzawszy do drugiej, równie wielkiej torby, wyciągnęła w końcu niewielki błękitny kartonik.

- Dziękuję. Proszę siadać. - Liz znów się uśmiechnęła i wskazała parze wolne miejsca. - Panie i panowie, witam na pokładzie „Fantasy” - powiedziała po chwili, gdy wszyscy już wygodnie się usadowili.

Liz zaczęła swój powitalny monolog, ale myślami wciąż była daleko. Kiwnęła głową mężczyźnie, który odwiązał liny cumujące łódź i przerzucił je na pokład. Przemawiała spokojnym i łagodnym tonem, ale uważnie obserwowała plażę. Było na niej już tłoczno. Na złotym piasku, rozgrzanym promieniami słońca, opalali się beztroscy turyści. Niektórzy wybierali leżaki i miły cień plażowych parasoli. Nikomu się nie spieszyło, nikt nie biegł w stronę łodzi. Liz miała już piętnaście minut spóźnienia i nie mogła dłużej czekać.

Płynnie wyprowadziła łódź z przystani. Znała te wody jak własną kieszeń i mogłaby sterować z zamkniętymi oczami.

Błękitne niebo z białymi kłaczkami chmur zapowiadało wspaniałą pogodę. Lekka bryza tańcząca w jej włosach była ciepła, mimo wczesnej pory dnia. Woda zaś była tak przejrzysta, jak zachwalały biura podróży. Idealna atmosfera do wypoczynku.

Jednak doświadczenie nauczyło Liz niczego nie przyjmować za pewnik. Spojrzała na pasażerów. Zachwyceni wycieczkowicze już zaczęli pokazywać sobie ryby i podwodne skały, widoczne przez szklane dno łodzi. Dziewczyna wiedziała, że żaden z pasażerów nie myśli o kłopotach, które zostawił w domu.

- Niedługo dotrzemy do północnej części rafy Paraiso - Liz mówiła tak, by jej głos docierał do zainteresowanych, a jednocześnie nie przeszkadzał pozostałym. - Głębokość dna morskiego waha się od dziewięciu do piętnastu metrów. Woda ma doskonałą widoczność, więc będziecie mogli podziwiać rafę pokrytą koloniami gąbek i różnymi rodzajami koralu. Zwróćcie uwagę na ukwiały, które z powodu kolorowych wzorów i fantazyjnych kształtów przypominają kwiaty. Blisko dna możecie wypatrzeć rozgwiazdy.

Utrzymywała stałą prędkość łodzi, pozwalającą turystom na dokładne oglądanie podwodnego świata. Kolejno opowiadała o mieszkańcach rafy koralowej i przybrzeżnych wód. Opisywała wygląd i zwyczaje ryb, które mogli zobaczyć podczas swej podróży. Nie zapomniała także powiedzieć o

niebezpieczeństwach, które zagrażają nurkującym. Przestrzegła swych podopiecznych przed dotykaniem jeżowców i meduz, które choć niezbyt ruchliwe, potrafią boleśnie zranić. Poprosiła, żeby powstrzymać się przed zabieraniem pamiątek z dna morza, a szczególnie fragmentów koralu, gdyż nieostrożni zbieracze mogliby wyrządzić nieodwracalne szkody na rafie.

Już tyle razy prowadziła morskie wycieczki, że wszystkie czynności wykonywała rutynowo. Nigdy jednak jej wykład nie był monotony. Liz kochała morze, czuła się tu wolna i doskonale panowała nad łodzią. Oprócz „Fantasy” miała jeszcze trzy inne łodzie. Prowadziła też niewielki sklep „Czarny Koral” z akcesoriami do nurkowania i wypożyczalnię sprzętu wodnego. Sama do tego doszła, choć na początku było jej ciężko. Z trudem udawało się wiązać koniec z końcem, gdy przychodziły stosy rachunków, a zarobione pieniądze wpływały do kasy bardzo powoli. Ale się udało. Dziesięć lat trudów sprawiło, że Liz miała własną, dobrze prosperującą firmę. Uważała, że wyjazd z kraju i zaczynanie wszystkiego od początku nie były zbyt wygórowaną ceną za spokój ducha.

Właśnie ciszą i spokojem szczyła się niewielka wyspa Cozumel, należąca do meksykańskiej części Wysp Karaibskich. Teraz tu był dom Liz i tylko to się dla niej liczyło. Tutaj była lubiana i darzona szacunkiem. Nikt na wyspie nie zdawał sobie sprawy, co przeszła i jak bardzo została upokorzona, zanim uciekła do Meksyku. Liz rzadko o tym myślała, choć

miała żywy dowód tamtych bolesnych wydarzeń. Faith. Na myśl o córeczce na twarzy Liz pojawił się czuły uśmiech. To była jej mała, jasna gwiazdeczka, która teraz mieszkała, niestety, dość daleko stąd. Jeszcze tylko sześć tygodni, pocieszała się Liz. Za sześć tygodni skończy się szkoła i Faith wróci do domu na całe lato.

To dla jej dobra, powtórzyła sobie w duchu, gdy znów poczuła tęsknotę. Uważała jednak, że wysłanie córeczki do dziadków i do dobrej szkoły jest dużo ważniejsze niż jej własne potrzeby. Pracowała w pocie czoła, podejmowała konieczne ryzyko i walczyła z konkurencją, żeby Faith miała wszystko, na co zasługuje, wszystko, co dałby jej ojciec, gdyby...

Liz pokręciła głową. Już dawno przyrzekła sobie, że wyrzuci tego człowieka ze swoich myśli, tak samo, jak on usunął ją ze swojego życia. Była naiwna i zakochana. I to był błąd, który popełniła z miłości. Jednak, oprócz nauki na przyszłość, dostała także od losu cenny prezent. Faith.

- A poniżej możecie państwo zobaczyć wrak statku pasażerskiego - powiedziała i zmniejszyła prędkość łodzi, by wszyscy mogli się przyjrzeć podwodnej atrakcji. - Proszę się jednak nie martwić. Nie wydarzyła się tu żadna tragedia. Statek zatopiono dla potrzeb filmu i pozostawiono pod wodą ze względów turystycznych - dodała z uśmiechem, gdy z wraku wypłynęła grupa nurków.

Powinnam się zająć pasażerami, a nie rozmyślaniami o

przeszłości, wytknęła sobie. Teraz, gdy zabrakło współpracownika na pokładzie, było to trudniejsze. Musiała nie tylko prowadzić łódź, ale także opowiadać, pilnować grupy, obsłużyć wszystkich, podając posiłek i pomagając założyć sprzęt do nurkowania. Jednak nie mogła już dłużej czekać, aż pojawi się Jerry.

Liz nie chodziło o to, że swoim zniknięciem przysporzył jej dodatkowej pracy, lecz o to, że klienci firmy powinni być obsłużeni z największą starannością. Powinna przewidzieć, że nie można na nim polegać. Innego dnia z łatwością mogła go zastąpić kimś innym. Miała jeszcze dwóch pracowników do obsługi łodzi i dwóch innych w sklepie. Jednak dziś także druga łódź wypływała na wycieczkę, więc nikt nie był w stanie jej towarzyszyć. A Jerry sprawdził się jako dobry pracownik. Szczególnie kobiety nie mogły się go nachwalić.

Gdyby sama nie uodporniła się na męskie uroki już dawno temu, Jerry mógłby jej zawrócić w głowie. Niewiele kobiet potrafiło się oprzeć jego męskiej urodzie, postawnej sylwetce, zawadiackiemu uśmiechowi i pełnym obietnic szarym oczom. Oprócz wyglądu, Jerry posiadał także dar wymowy. W pobliżu tego mężczyzny żadna kobieta nie była bezpieczna.

Jednak nie dlatego Liz wynajęła mu pokój i dała pracę. Po prostu potrzebowała dodatkowej gotówki i jeszcze jednego pracownika. Szybko przekonała się, że Jerry jest obrotny i ma doskonale podejście do klientów. Lepiej, żeby dobrze

usprawiedliwił swoją nieobecność, pomyślała.

Cichy szum silnika, słońce i lekki wietrzyk sprawiły, że Liz przestała myśleć o nieprzyjemnych sprawach i odprężyła się. Wciąż opowiadała o podwodnym świecie, umiejętnie korzystając z własnych doświadczeń w nurkowaniu i z wiedzy, którą zdobyła, studiując biologię, a szczególnie morską florę i faunę. Czasem któryś z pasażerów zadawał jej jakieś pytanie lub zachwycał się okazami, przepływającymi pod szklanym dnem łodzi. Wtedy Liz z przyjemnością odpowiadała i zaczynała snuć kolejną opowieść. Wszystko powtarzała także po hiszpańsku, gdyż kilku pasażerów pochodziło z Meksyku. Na pokładzie miała również kilkoro dzieci, więc dbała, by niektóre z jej historyjek były zabawne. Gdyby jej życie potoczyło się inaczej, mogłaby zostać nauczycielką. Już dawno jednak zrezygnowała z tego marzenia, tłumacząc sobie, że bardziej pasuje do świata biznesu, a więc do własnej firmy, z której była tak dumna. Popatrzyła na lekkie chmurki na błękitnym niebie, słoneczne błyski na falach i rafę koralową pod powierzchnią wody. Tak, dawno wybrała swoją drogę i nie czuła żalu.

Nagle usłyszała kobiecy krzyk. Zanim zdążyła się odwrócić, kolejna osoba krzyknęła. Liz pomyślała, że turyści przestraszyli się rekina, który zapuścił się na przybrzeżne wody. Pozwoliła łodzi dryfować i odwróciła się z zamiarem uspokojenia pasażerów. Wtedy zauważyła, że jedna z kobiet płacze na ramieniu męża, a inna przytula dziecko. Pozostali turyści

wpatrywali się w szklane dno łodzi. Liz zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zeszła do części pasażerskiej.

- Proszę zachować spokój. Zapewniam państwa, że nic złego nie może was tu spotkać - oznajmiła pewnym głosem i zbliżyła się do przestraszonej grupy turystów.

Mężczyzna z aparatem fotograficznym podniósł wzrok i rzucił jej poważne spojrzenie.

- Chyba powinna pani jak najszybciej wezwać przez radio policję - poradził.

Liz spojrzała w dół przez szklane dno łodzi i zamarła. Zrozumiała, dlaczego Jerry nie pojawił się na czas. Leżał na dnie morza z kotwicznym łańcuchem owiniętym wokół klatki piersiowej.

W chwili gdy samolot wylądował, Jonas zerwał się niecierpliwie, chwycił swoją torbę i ruszył do wyjścia. Stanął na podeście metalowych schodków i poczuł falę gorącego powietrza. Skinął głową stewardesie i szybkim krokiem przeciął płytę lotniska. Przyleciał na Cozumel w określonym celu i nie miał czasu na podziwianie błękitnego nieba, bujnych palm czy kolorów kwiatów. Mrużąc oczy przed słońcem, wszedł do budynku.

Hala przylotów była mała i zatłoczona. Turyści stali w niewielkich grupkach albo błąkali się niezdecydowanie. Jonas nie znał hiszpańskiego, lecz bywał już na wielu lotniskach i

wiedział, dokąd powinien się udać. Szybko znalazł wypożyczalnię samochodów i po piętnastu minutach od lądowania wyjeżdżał z parkingu niewielkim samochodem. Rozłożył mapę na siedzeniu pasażera i opuścił osłonę przeciwsłoneczną.

Poprzedniego dnia Jonas siedział wygodnie w swym przestronnym klimatyzowanym biurze i przyjmował podziękowania od klienta, którego po długim i skomplikowanym procesie wybronił od dziesięciu lat więzienia. Zainkasował swoje honorarium i starał się uniknąć rozgłosu, jaki prasa nadała sprawie. To miał być jego ostatni proces przed zasłużonymi wakacjami. Pierwszymi od długiego czasu. Jonas Sharpe był zadowolony, lekko zmęczony i pełen optymizmu. Dwa tygodnie w Paryżu miały zregenerować jego siły. Wiedział, że zasłużył na odpoczynek, a wytworny Paryż z cudownymi muzeami i wspaniałymi restauracjami idealnie pasował do jego planów.

Gdy odebrał telefon z Meksyku, przez chwilę nic nie rozumiał. Przyznał, że owszem, ma brata Jerry'ego i natychmiast pomyślał, że jego braciszek znów wpakował się w jakieś kłopoty. Jednak tym razem sprawa była o wiele poważniejsza.

Gdy jego rozmówca odłożył słuchawkę, Jonas wciąż nie mógł dojść do siebie. Oszołomiony polecił sekretarce odwołać wyjazd do Paryża, a później zadzwonił do rodziców, by im

oznajmić, że ich syn nie żyje.

Przyleciał do Meksyku, aby zidentyfikować ciało brata. Fala żalu znów zalała serce Jonasa. Już od dawna zdawał sobie sprawę, że Jerry żyje na krawędzi katastrofy. Tym razem nie udało mu się w porę cofnąć i niestety poleciał w przepaść. Od dzieciństwa jego brat ściągał na siebie kłopoty. Żartował nawet, że Jonas chyba dlatego poszedł na prawo, by móc mu pomagać w razie potrzeby. Być może w pewnym sensie miał rację.

Jerry był marzycielem, a Jonas zaprzysięgłym realistą. Jerry był uroczym leniem, natomiast jego brat stawiał pracę zawodową na pierwszym miejscu. Byli jak dwie strony tego samego medalu. Kiedy Jonas dotarł na posterunek policji w San Miguel, poczuł, że wraz z Jerryem znikła jakaś część jego duszy.

Rozejrzał się, zanim wysiadł z samochodu. Pomyślał, że ktoś powinien umieścić na pocztówce to, co on zobaczył. W porcie stały zakotwiczone jachty, a mniejsze łodzie wyciągnięto na soczystą zieloną trawę. Uśmiechnięci, opaleni ludzie w kolorowych letnich strojach przechadzali się nadmorską promenadą. Błękitne fale łagodnie omywały brzeg, a powietrze było przesycone zapachem morza. Jednak Jonas nie był teraz szczególnie czuły na uroki tego miejsca. Czekwały na niego dokumenty do podpisania i śledztwo w sprawie gwałtownej śmierci brata.

Kapitan Moralas był bystrym, rozsądnym mężczyzną, który

od najmłodszych lat darzył miłością wyspę Cozumel. Zbliżał się do czterdziestki i właśnie oczekiwał narodzin swego piątego potomka. Uważał się za spokojnego człowieka, rozmiłowanego w muzyce klasycznej i cichych niedzielnych popołudniach. Był dumny ze swej pracy, wykształcenia i rodziny.

San Miguel było miastem portowym, pełnym marynarzy, turystów i kłopotów, więc Moralas znał również ciemną stronę ludzkiej natury. Kapitan potrafił jednak na czas zapobiegać poważniejszym problemom i był zadowolony z powodu niskiej przestępczości na wyspie. Zagadkowa śmierć młodego Amerykanina wytrąciła go z równowagi. Nie musiał być policjantem z wielkiego miasta, aby rozpoznać robotę zawodowego mordercy. Jednak, jego zdaniem, na Cozumel nie było miejsca dla zorganizowanej przestępczości.

Mimo zawodu, wymagającego twardości charakteru, Moralas rozumiał uczucia mężczyzny, który stał obok niego w kostnicy.

- Panie Sharpe, czy to pański brat? - spytał, choć z bladej, zmienionej bólem twarzy młodego człowieka łatwo poznał odpowiedź.

- Tak - potwierdził Jonas, patrząc na twarz brata.

Gdy Moralas zyskał potwierdzenie tożsamości zmarłego, wycofał się, by umożliwić mężczyźnie pożegnanie z bratem bez świadków.

Jonas nie mógł uwierzyć w śmierć Jerry'ego. Wiedział, że

jego brat zawsze szukał najłatwiejszej drogi, szybkich pieniędzy i kłopotów. Był jednak tak pełen życia i radości, że jego śmierć wydawała się okrutnym żartem losu. Jonas dotknął chłodnej dłoni brata. Nie pomogą mu już żadne wykręty, wpłacone kaucje ani kruczki prawne.

- Przykro mi - odezwał się Morales, kiedy Jonas podszedł do niego, i skinął głową pracownikowi kostnicy, aby z powrotem zakrył zwłoki.

- Kapitanie, kto zabił mojego brata? - spytał Jonas chłodnym tonem, próbując w ten sposób maskować rozdzierający ból serca.

- Nie wiemy. Śledztwo jest w toku.

- Jakież podejrzenia?

Morales pokręcił głową i wyprowadził Jonasa na korytarz.

- Pański brat był na Cozumel zaledwie od trzech tygodni. Na razie szukamy osób, które w tym czasie mogły go spotkać - wyjaśnił, pchnął drzwi i głęboko odetchnął świeżym powietrzem. - Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby odnaleźć zabójcę pańskiego brata.

- Nie znam pana - gniewnie warknął Jonas, zapalił papierosa i spojrzał w zwięzione oczy Moralesa. - A pan nie znał Jerry'ego.

- Tak, ale to moja wyspa - odparł kapitan policji, nie odwracając wzroku. - Jeśli jest tu morderca, znajdę go.

- Profesjonalista - krótko podsumował Jonas.

- Pański brat został zastrzelony, więc staramy się dowiedzieć, kto to zrobił, w jaki sposób i dlaczego. Mógłby mi pan pomóc, podając potrzebne informacje.

Jonas gwałtownie się odwrócił. Spojrzał na uchylone drzwi, długi korytarz i jeszcze jedno drzwi, za którymi spoczywało ciało jego brata.

- Muszę się przejść - mruknął.

Kapitan nie odzywał się, gdy szli przez trawnik i jezdnię, aż do promenady. Potem odczekał jeszcze parę minut, ale w końcu nie wytrzymał.

- Po co pański brat przyjechał na Cozumel?

- Nie mam pojęcia - odparł Jonas i głęboko zaciągnął się papierosem. - Lubił palmy.

- Przyjechał w interesach? To była podróż służbowa?

Jonas roześmiał się niewesoło. Popatrzył na słoneczne błyski, prześlizgujące się po falach.

- Jerry nazywał siebie wolnym strzelcem. Nigdzie nie zagrzał miejsca - odparł, rozmyślając nad życiem swego brata i wszystkim, co ich dzieliło. - Dla niego zawsze było coś jeszcze. Następne miasto, następny złoty interes. Dzwonił do mnie dwa tygodnie temu i mówił, że daje lekcje nurkowania turystom.

- Sklep i wypożyczalnia „Czarny Koral” - potwierdził kapitan Moralas. - Podjął sezonową pracę u Elizabeth Palmer.

- Palmer - powtórzył Jonas, oderwał wzrok od wody i uważnie spojrzał na policjanta. - To nazwisko kobiety, z którą

żył.

- Panna Palmer wynajęła pokój pańskiemu bratu - Moralas poprawił go znacząco. - Była także w grupie osób, które odkryły zwłoki. Bardzo pomogła nam w śledztwie.

Usta Jonasa zacisnęły się w wąską kreskę. Wyteżył pamięć. Jak Jerry opisał pannę Palmer w ich ostatniej rozmowie? Seksowny kociak, który podaje świetne tortille. Zabrzmiało to tak, jakby opisywał swój kolejny podbój i towarzyszkę rozrywek.

- Potrzebny mi jej adres - oznajmił, ale zauważywszy uniesioną brew kapitana, zmienił taktykę. - Sądzę, że jego rzeczy wciąż tam są - powiedział.

- Owszem. Kilka drobiazgów, które miał przy sobie w dniu zabójstwa, mam u siebie w biurze. Może je pan odebrać w każdej chwili. Podobnie jak rzeczy, które są u panny Palmer. Już je przejrzeliśmy.

- Kiedy mogę zabrać brata do domu? - spytał Jonas, z trudem hamując gniew.

- Postaram się już dziś skończyć dokumentację. Potrzebne mi będzie również pańskie zeznanie... - wyliczał Moralas i znów zrobiło mu się żal tego mężczyzny. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Załatwmy wszystko jak najprędzej - powiedział krótko Jonas.

Liz z westchnieniem ulgi weszła do domu. Zapaliła światło i

włączyła wiatraki, które już dawno zamontowała pod sufitem. Sięgnęła po aspirynę, bo ból głowy nie opuszczał jej od chwili, gdy znalazła zwłoki Jerry'ego. Gdy wiadomość o niecodziennym wydarzeniu rozeszła się po okolicy, znów musiała wypłynąć łodzią pełną podekscytowanych gapiów. Taka ciekawość jest co najmniej niezdrowa, pomyślała z niesmakiem. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim będzie mogła zapomnieć o tym przerażającym widoku.

Rozebrała się i weszła pod prysznic. Z przyjemnością poddała się kojącemu masażowi chłodnej wody. Miała nadzieję, że na pewno poczuje się lepiej, gdy skończy się śledztwo. Nic dziwnego, że boli ją głowa, skoro patrzyła, jak policja przeszukuje jej dom i zadaje tysiące pytań.

To prawda, że prawie go nie знаła, ale Jerry był miłym, zabawnym i ciekawym kompanem. Spał w pokoju jej córki i jadał w kuchni Liz. Ale co o nim wiedziała? Był kombinatorem i psem na kobiety. Potrafiła wykorzystać te jego cechy w sklepie, wypożyczalni i na łodzi. Był seksowny, atrakcyjny i leniwy. Wciąż czekał na swą wielką szansę. Liz była przekonana, że na sukces trzeba zasłużyć ciężką pracą lub odziedziczyć fortunę po przodkach. Jednak kiedy Jerry mówił, że znajdzie sposób, aby ustawić się na całe życie, błyszczały mu oczy. Gdyby była marzycielką, z pewnością porwałyby ją jego słowa. Ale wiedziała, że marzenia są dla młodych i naiwnych. Niestety, Jerry taki właśnie był.

Teraz nie żył, a jego rzeczy wciąż były porozrzucane po pokoju jej córki. Liz postanowiła je pozbierać i oddać kapitanowi Moralasowi. Z pewnością rodzina zmarłego będzie chciała je odzyskać. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić. Jerry wspomniał kiedyś, że ma brata. Mówił o nim: „ten sztywniak”. Sam natomiast z pewnością nie był sztywniakiem.

Wyszła spod prysznic, owinęła włosy ręcznikiem i założyła rozciągniętą podkoszulkę, która zakrywała biodra. Przypomniała sobie, jak któregoś dnia Jerry próbował zaciągnąć ją do łóżka. Pocałował ją znienacka w korytarzu, szeptał czułe słówka i gładził jej plecy. Gdy mu odmówiła, nie nalegał. Łatwo puścili całą sprawę w niepamięć. Jerry był sympatycznym towarzyszem, który miał swoje wielkie marzenie. Liz nie po raz pierwszy zastanowiła się, czy nie było ono przyczyną jego nagłej śmierci.

Czuła się bardzo niezręcznie, pakując jego rzeczy. Ceniła sobie prywatność i nie lubiła naruszać cudzej. Gdy składała brązową koszulkę ze śmiesznym napisem, poczuła żal i zalała ją fala wspomnień. Popatrzyła na półkę pełną lalek córki. Jerry żartował sobie, że kiedy idzie spać, otacza go stadko pięknych kobiet. Przypomniała sobie, że sprawnie zreperował zepsute okno i przygotował *paellę*, aby uczcić swą pierwszą wypłatę.

Łzy popłynęły po jej policzkach. Jerry był taki młody, wesoły i pewny siebie. Nie mogła go nazwać swym przyjacielem, lecz przecież mieszkał z nią pod jednym dachem.

Żałowała teraz, że nie poświęciła mu swego czasu i nie była dla niego miłsza. Kiedy zaprosił ją na drinka, wymówiła się papierkową robotą. Gdyby wtedy z nim poszła, może dowiedziałaby się, kim był, co robił i teraz wiedziałaby, dlaczego zginął.

Nagle Liz usłyszała pukanie do drzwi. Otarła łzy i powiedziała sobie, że płacz nic nie pomoże. To głupie z jej strony, żeby płakać po kimś prawie zupełnie obcym. Powinna oddać Moralasowi rzeczy Jerry'ego i zapomnieć o całej sprawie.

Otworzyła drzwi i zamarła. Brązowa koszulka, którą w roztargnieniu zabrała ze sobą, wysliznęła się z jej rąk. Cofnęła się i zamrugła oczami. W progu stał Jerry i patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem.

- Jer... Jerry? - szepnęła i zadrżała.

- Elizabeth Palmer?

Przerazona Liz oparła się plecami o ścianę. Nie była przesądna i nie bała się duchów, lecz jak inaczej mogła sobie wytłumaczyć to, że Jerry powrócił do świata żywych? To musiał być jego duch!

- To ty jesteś Elizabeth Palmer? - powtórzył pytanie mężczyzna stojący w progu.

- Utonąłeś - powiedziała podniesionym głosem i skupiła wzrok na jego twarzy. - Kim jesteś?

- Jonas Sharpe. Jerry był moim bratem. Bliźniakiem - wyjaśnił krótko.

Liz zorientowała się, że nogi jej dłużej nie utrzymają i szybko usiadła. To nie Jerry, powiedziała sobie, gdy jej puls powoli wracał do normy. Jonas miał tak samo ciemne włosy, lecz nie miał żadnych problemów z ich porządnym ułożeniem. Jego twarz miała te same rysy, lecz oczy były zimne i nieprzystępne. Wyglądał, jakby urodził się w garniturze. Patrzył na nią z widocznym zniecierpliwieniem. Gdy Liz doszła nieco do siebie, strach zamienił się we wściekłość.

- Zrobiłeś to celowo! - krzyknęła i wytarła mokre od potu dłonie. - To było podłe. Wiedziałeś, co pomyślę, gdy cię zobaczę.

- Musiałem się przekonać na własne oczy.

- Jesteś draniem, panie Sharpe - oznajmiła, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Mogę usiąść? - spytał, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Czego chcesz? - spytała wrogo, ale wskazała mu krzesło.

- Przyszedłem po rzeczy Jerry'ego. I żeby porozmawiać.

Nie zamierzał być grzeczny i uprzejmy. Potrzebował informacji, a ta kobieta mogła mu ich udzielić. Gdy tylko usiadł, szybko rozejrzał się po królestwie Liz. Było niewiele większe od jego biura i utrzymane w zupełnie innym stylu. Jonas wolał harmonię, ład i stonowane kolory, natomiast właścicielka domu lubiła ostre kontrasty i przedziwne dodatki. Na ścianach wisiały maski Majów, a na podłodze leżało kilka puszystych dywaników. Słońce z trudem przebijało się przez czerwone rolety. Na

pokrytym kurzem stoliku stał błękitny wazon z kwiatami, które już dawno zaczęły więdnąć.

Liz wpatrywała się w mężczyznę, który metodycznie oglądał jej mieszkanie. Pomyślała, że Jonas wygląda jak lustrzane odbicie Jerry'ego. Czy lustrzane odbicia nie są po części negatywami? Pewnie nie jest miłym kompanem, pomyślała. Nagle zapragnęła pozbyć się go jak najszybciej. To śmieszne, powiedziała sobie. To tylko zrozpaczony człowiek, który stracił brata.

- Przykro mi. To musi być dla pana trudna sytuacja.

Gdy tylko się odezwała, spojrzenie mężczyzny przeniosło się na nią. Liz mogła udawać, że nie widzi, jak Jonas ogląda jej pokój. Nie potrafiła jednak pozostać obojętna, gdy w ten sam metodyczny sposób zaczął się jej przyglądać.

Była inna, niż się spodziewał. Miała szerokie kości policzkowe, wąski prosty nos i nieco wysunięty podbródek, sygnalizujący upór. Nie była piękna, lecz miała w sobie coś, co przyciągało wzrok. Może to były lekko skośne, brązowe, pełne tajemnic oczy, które nadawały jej twarzy egzotyczny wygląd? A może pełne, miękkie usta? Szybkim spojrzeniem obrzucił jej małe dłonie. Liz nie nosiła żadnych ozdób. Jonas myślał, że zna gust brata tak, jak swój własny. Liz Palmer nie pasowała do upodobań Jerry'ego. Nie była oszałamiająco piękna i nie wyglądała na osobkę, która lubi się dobrze zabawić. Nie była też w guście Jonasa, który wolał kobiety o dyskretnej urodzie i

wyszukanym smaku.

A jednak Jerry z nią mieszkał. Jonas pomyślał, że ta kobieta zaskakująco dobrze przyjęła śmierć kochanka.

- Dla ciebie to pewnie też nie jest łatwe.

Po jego uważnych oględzinach była roztrzęsiona. Czuła się jak przedmiot, który został zbadany, opisany i odłożony na bok w celu poddania go dalszym eksperymentom.

- Jerry był miłym człowiekiem. Nie jest łatwo...

- Jak się poznaliście?

Słowa współczucia zamarły jej na ustach. Nie zamierzała narzucać się komuś, kto tego nie chciał. Rozumiała, że żal po stracie członka rodziny może objawiać się w różny sposób. Jeśli Jonas życzył sobie suchych faktów, dobrze, poda mu jedynie fakty.

- Kilka tygodni temu zjawił się w moim sklepie. Interesował się nurkowaniem.

- Nurkowaniem - powtórzył zachęcająco Jonas, lecz jego oczy pozostały zimne.

- Mam przy plaży sklep ze sprzętem do nurkowania, wypożyczam też łodzie, prowadzę morskie wycieczki i daję lekcje nurkowania. Jerry szukał pracy, a gdy przekonałam się, że wie, co robi, zatrudniłam go.

Jonas przypomniał sobie ostatnią rozmowę z bratem. Uczenie turystów podstaw nurkowania jakoś nie pasowało do tego złotego interesu, który Jerry miał na oku.

- Nie był pełnoprawnym partnerem w twojej firmie?

Jonas nie potrafił rozpoznać uczuć, które odbiły się na twarzy kobiety. Niedowierzanie? Rozbawienie? Duma? Nie był pewien.

- Nie potrzebuję współników- odparła z godnością. - Jerry tylko u mnie pracował.

- Tylko pracował? - Jedna brew mężczyzny powędrowała do góry, nadając jego twarzy wyraz zdziwienia. - Przecież mieszkał z tobą.

Liz doskonale zrozumiała, co miał na myśli. Policja również o to pytała. Doszła do wniosku, że odpowiedziała już na wystarczającą liczbę pytań i poświęciła dość dużo czasu temu impertynenckiemu człowiekowi.

- Tam są jego rzeczy - powiedziała krótko, wstała i podeszła do drzwi pokoju córki. - Właśnie zaczynałam pakować ubrania. Pewnie wolisz zrobić to sam. Nie musisz się spieszyć.

Kiedy Liz chciała wyjść, chwycił ją za ramię. Jeden rzut oka na pokój wystarczył, by ocenić jego zawartość. Jonas dostrzegł półki pełne lalek, różowe ściany i koronkowe zasłonki w oknach. Na krześle i łóżku leżały ubrania jego brata.

- To wszystko? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie zaglądałam jeszcze do komody. Ale policja przejrzała wszystko - uprzedziła go, zdjęła z głowy ręcznik, a wilgotne ciemnoblonde włosy rozsypały się na jej ramionach. - Nic nie wiem o prywatnym życiu Jerry'ego - wyznała bezradnie. - Ani o

jego rzeczach osobistych. Tu spał. To pokój mojej córki - wyjaśniła, unikając jego wzroku. - Teraz jest w szkole.

Gdy Jonas został sam, wystarczyło mu dwadzieścia minut, aby spakować rzeczy brata. Tak jak myślał, nie było tego wiele. Zostawił walizkę w saloniku i ruszył na poszukiwanie gospodyni. Minął jeszcze jedną sypialnię, w której zauważył biurko zasypane stosami dokumentów i rachunków. Znalazł Liz w kuchni, gdzie parzyła właśnie kawę. Kuszący zapach przypominał mu, że od rana nie miał nic w ustach.

Kobieta od razu wyczuła, że Jonas stoi za nią i bez słowa naląła mu kubek gorącego napoju.

- Chcesz śmietanki?

- Nie, wolę czarną - odpowiedział i przesunął dłonią po włosach, czując się jak w dziwnym śnie.

Kiedy Liz odwróciła się, by podać mu kawę, aż drgnęła.

- Przepraszam - powiedziała. - Jesteś tak bardzo do niego podobny.

- Przeszkadza ci to?

- Wytrąca mnie z równowagi.

Jonas powoli sączył gorącą kawę, która przywracała mu poczucie realności.

- Nie kochałaś Jerry'ego - stwierdził po chwili.

Zdziwiona Liz spojrzała na niego. Wiedziała, że uważa ją za kochankę swojego brata, ale nie sądziła, że tak szybko zauważy pomyłkę.

- Znałam go krótko, zaledwie trzy tygodnie - powiedziała i uśmiechnęła się, przypominając sobie swoje poprzednie życie i innego mężczyznę. - Nie, nie kochałam go. Łączyła nas tylko praca, ale lubiłam twojego brata. Był zadziorny i wiedział, że podoba się kobietom. W ostatnim czasie wiele pań prosiło o instruktora Jerry'ego. Potrafił je skutecznie czarować - mruknęła z przekąsem i zaraz spojrzała na Jonasa, zawstydzona swoimi słowami. - Wybacz.

- Nie trzeba - odparł i podszedł bliżej.

Liz była wysoka, więc ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Nie miała makijażu i pachniała pudrem dla dzieci. Zdecydowanie nie była w typie Jerry'ego, pomyślał Jonas, jak również nie jest w moim guście. A jednak w oczach Liz było coś, co nie dawało mu spokoju.

- Właśnie taki był, lecz niewiele osób zdawało sobie z tego sprawę - powiedział.

- Znałam takich mężczyzn. Może nie tak uroczych i nieszkodliwych, jak on, ale podobnych. Twój brat był w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. Mam nadzieję, że ktokolwiek to zrobił... Mam nadzieję, że ich znajdą.

Gdy tylko to powiedziała, ujrzała, że oczy mężczyzny znów są zimne. Wiedziała, że taki chłód potrafi być bardziej niebezpieczny niż płomień furii.

- O tak - kiwnął głową, patrząc jej w oczy. - Może będę chciał jeszcze z tobą porozmawiać.

Słowa Jonasa nie brzmiały jak prośba. Zresztą Liz wcale nie chciała ponownie go spotkać. Nie chciała się w nic mieszać.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Mój brat mieszkał w twoim domu i pracował dla ciebie.

- Nic nie wiem - odparła podniesionym głosem i odwróciła się do okna.

Była już zmęczona ciągłymi pytaniami i wytykaniem jej palcami na ulicy. Nie chciała, by jej życie przewróciło się do góry nogami z powodu mężczyzny, którego prawie nie знаła. I denerwowała się, bo Jonas Sharpe wyglądał na mężczyznę, który bez wahania wkroczy w jej życie, jeśli uzna, że jest mu to do czegoś potrzebne.

- Policja wciąż mnie wypytuje. Mam dość powtarzania, że tylko u mnie pracował, że widywałam go zaledwie przez parę godzin dziennie. Nie wiem, dokąd chodził wieczorami, z kim się spotykał, co robił. To nie była moja sprawa, póki zjawiał się w pracy i płacił za pokój - powiedziała i spojrzała ponownie na Jonasa. - Przykro mi z powodu twojego brata. Szczerze ci współczuję. Ale to nie jest moja sprawa.

- Cóż, pani Palmer, w tej kwestii się nie zgadzamy - powiedział, patrząc, jak Liz zaciska dłonie i wyciągając z tego własne wnioski.

- Panno Palmer - poprawiła go i poczekała, aż skinie głową.

- Naprawdę nie mogę pomóc.

- Nie będziesz wiedziała, jak pomóc, dopóki nie

porozmawiamy.

- W porządku, powiem inaczej. Nie zamierzam ci pomóc.

- Czy Jerry był ci coś winien? - spytał Jonas i sięgnął po portfel.

Liz odebrała jego zachowanie jak zniewagę. W jej zwykle smutnych i łagodnych oczach zapłonął ogień.

- Nic nie był mi winien, ani on, ani pan, panie Sharpe. Jeśli skończył pan kawę...

- Skończyłem. Na razie-powiedział i przyjrzał się jej uważnie.

Tak, z pewnością nie była w typie Jerry'ego, ani moim, pomyślał. Ale muszę poznać prawdę. Zmuszę ją do pomocy, zdecydował.

- Dobranoc - powiedział i wyszedł z kuchni.

Liz poczekała, aż trzasną frontowe drzwi, zamknęła oczy i potarła skronie. To nie moja sprawa, powiedziała sobie w duchu. Jednak wciąż miała przed oczami widok Jerry'ego na dnie morza. A teraz jeszcze zobaczyła, jak z powodu żalu i bólu po stracie brata twardnieje spojrzenie Jonasa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Liz tylko przez chwilę rozważała możliwość wzięcia wolnego dnia. Na ten luksus pozwalała sobie zazwyczaj wtedy, gdy Faith wracała do domu na wakacje. Pomyślała, że jeśli wyśle pracowników na wycieczki z turystami, zyska trochę czasu dla siebie. Wiedziała, że do południa wszyscy nurkowie powinni być już w wodzie, więc spokojnie poświęci się inwentaryzacji i sprawdzaniu sprzętu.

Sklep Liz „Czarny Koral” znajdował się w szarym, prostokątnym budynku. Od czasu do czasu myślała, by pomalować dom na jakiś ciekawy kolor, lecz wciąż brakowało jej na to funduszy. Część niewielkiego pomieszczenia przeznaczyła na biuro i udało jej się tam wcisnąć stare metalowe biurko i obrotowe krzesło. Resztę miejsca zajmował sprzęt do nurkowania, wiszący na specjalnych hakach, leżący na półkach i podłodze. Jej biurko mogło być stare, obdrapane i mieć dziurę w blacie, lecz sprzęt był najwyższej jakości.

Wypożyczała i sprzedawała zestawy do nurkowania lub tylko niektóre części wyposażenia. Maski, płetwy, butle i fajki w każdej chwili były do dyspozycji klientów. Liz szybko zauważyła, że im większy wybór i możliwość kompletowania sprzętu, tym ma więcej zadowolonych klientów. Jej sklep i wypożyczalnia bazowały głównie na ekwipunku dla nurków, więc gdy na noc zamykała okno wystawowe, wieszala na okiennicy cennik oraz informację o usługach i sprzęcie, którym dysponowała.

Gdy zakładała firmę, udało jej się zgromadzić sprzęt dla dwunastu płetwonurków. Wydała na to wszystkie pieniądze, które zarobiła i otrzymała od Marcusa, kiedy dowiedział się, że nosi pod sercem jego dziecko. Ach, jak szybko musiała wtedy wydorosnąć! Teraz jednak była pewną siebie kobietą, która mogła wyekwipować od zera pięćdziesięciu płetwonurków, nie licząc tych, którzy chcieli popływać tylko z maską i fajką, zrobić podwodne zdjęcia lub zapolować pod wodą.

Pierwszą łódź, którą kupiła, nazwała „Faith”, na cześć córeczki. Kiedy była przerażoną, samotną osiemnastolatką w ciąży, przysięgła sobie, że da dziecku wszystko to, na co zasługuje. Dziesięć lat później rozglądała się z dumą po swym sklepie i wiedziała, że dotrzymała obietnicy.

Wyspa stała się jej domem. Zbudowała tu od zera firmę, miała dom, była znana i szanowana. Patrząc na słoneczną, piaszczystą plażę, nie tęskniła już za Houston ani za uroczym domkiem z soczystym, zielonym trawnikiem. Przestała żałować nieukończonej edukacji i utraconych marzeń. Nie złorzeczyła też mężczyźnie, który nie chciał ani jej, ani ich poczętego dziecka. Nigdy już nie wróci do tamtego świata. Ale Faith mogłaby. Kiedyś, bez obawy, stanie przed swoimi kuzynami w jedwabnej sukni i będzie mogła swobodnie dyskutować po francusku o urokach muzyki klasycznej i rodzajach wina.

Liz, napełniając zbiorniki tlenem, marzyła o tym, że jej córka zostanie kiedyś zaakceptowana w środowisku, które

odrzuć ją z taką łatwością. Nie chodziło jej o zemstę, a raczej o sprawiedliwość.

- Dzieńdoberek panience.

Liz uniosła głowę znad butli i spojrzała pod słońce, w stronę drzwi. Rozpoznała charakterystycznie okrągłą sylwetkę w czerwono-niebieskim skafandrze nurka. Mężczyzna miał pucołowatą twarz i grube cygaro w ustach.

- O! Pan Ambuckle. Nie wiedziałam, że jest pan jeszcze na wyspie.

- Wybrałem się na parę dni do Cancun. Ale tu nurkuje się o niebo lepiej.

Liz z uśmiechem wyszła z ciemnego kąta, w którym stały butle i ruszyła w stronę swego najlepszego klienta. Ambuckle zjawiał się na Cozumel kilka razy w roku i zawsze wypożyczał u niej sporo sprzętu.

- Mogłam to panu od razu powiedzieć. Obejrzał pan jakieś zabytki?

- Żona zaciągnęła mnie do Tulum - burknął i wzniósł oczy do góry. - Wolę być dziesięć metrów pod wodą, niż cały dzień wspinać się po skałach, żeby obejrzeć jakieś ruiny. Udało mi się popływać z fajką i maską, ale w końcu człowiek nie przylatuje tu z Dallas po to, żeby się trochę pochłapać w płytkiej wodzie - powiedział ze śmiechem. - Pomyślałem, że miło byłoby ponurkować w nocy.

- Zaraz wszystkim się zajmę - obiecała Liz i w jej

poważnych zwykle oczach pojawiły się wesołe iskierki. -A jak długo pan u nas zostanie? - spytała, sprawdzając podwodną latarkę.

- Jeszcze dwa tygodnie. Człowiek musi kiedyś odpocząć od swojego biurka.

- Jasne - skwapliwie zgodziła się Liz.

- Słyszałem, że miałaś tu mnóstwo emocji, gdy mnie nie było, co?

Uśmiech dziewczyny przybladł nieco, gdy pomyślała, że powinna już przyzwyczać się do podobnych komentarzy.

- Czy ma pan na myśli śmierć tego młodego Amerykanina?

- Moja żona o mało nie oszalała ze strachu. Z trudem namówiłem ją do powrotu na wyspę. Znałaś go?

Nie tak dobrze, jak powinnam, pomyślała Liz, wypełniając formularz wypożyczenia sprzętu.

- Pracował u mnie - odparła, mając nadzieję, że jej obojętny ton zniechęci turystę do dalszych pytań.

- Naprawdę? - zdziwił się Ambuckle, a jego oczy rozbłysły ciekawością.

- Być może nawet go pan pamięta. Płynął z nami wtedy, gdy wybrał się pan z żoną na wycieczkę morską.

- Poważnie? - spytał Ambuckle i zmarszczył w zamyśleniu brwi. - Ale chyba nie chodzi o tego młodego przystojniaczka, którym tak zachwycała się moja żona? Jak mu tam... Johnny, Jerry?

- Niestety. To właśnie on.

- Co za strata - powiedział turysta, choć wyglądał raczej na zadowolonego z faktu, że osobiście znał ofiarę. - Miał wiele wigoru.

- Też tak mi się wydawało - odparła Liz, sięgnęła po butle i podała je mężczyźnie. - Gotowe.

- Proszę jeszcze o aparat, panienko. Pstryknę parę zdjęć tym śliskim paskudztwom.

Sięgnęła po aparat, dopisała go do listy i dała klientowi formularz do podpisu. Ambuckle wpisał godzinę, złożył podpis i wręczył Liz kilka banknotów. Ucieszyła się, bo ten klient zawsze płacił gotówką w amerykańskich dolarach.

- Dziękuję. Miło było znów pana widzieć.

- Nic mnie nie powstrzyma przed przychodzeniem tu, panienko - powiedział Ambuckle, zarzucając butle na plecy.

Lekko sapiąc, wyszedł ze sklepu.

Liz przez chwilę patrzyła za nim z uśmiechem, a potem schowała pieniądze do kasy i odłożyła formularz na miejsce.

- Całkiem dobrze ci idzie.

Zaskoczona Liz drgnęła. W drzwiach stał Jonas.

Jak mogłam pomylić go z Jerrym, zdziwiła się w duchu. Wyraźnie dostrzegała różnice między bliźniakami. Jonas miał dziś na sobie szorty i rozpiętą na piersiach koszulę, lecz nosił je zupełnie inaczej niż Jerry. Na jego szyi kołysała się na złotym łańcuszku identyczna złota moneta, jaką zwykł nosić jego brat.

Oczy tym razem ukrył za przeciwsłonecznymi okularami. Jednak coś w sposobie jego poruszania się i grymasie ust sprawiało, że wydawał się wyższy i twardszy niż jego brat.

- Nie spodziewałam się ciebie - powiedziała Liz i zajęła się sprawdzaniem sprzętu.

- A powinnaś.

Jonas zauważył, że dziewczyna wygląda na silniejszą, mniej wrażliwą na ciosy niż tydzień temu. Głos miała spokojny, a w jej wzroku dostrzegł wyraźny chłód.

- Masz niezłą reputację na wyspie.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie i rzuciła mu przez ramię obojętne spojrzenie.

- Sprawdziłem - wyjaśnił. - Pojawiłaś się na Cozumel dziesięć lat temu, zbudowałaś ten interes od zera, a teraz masz najlepszą wypożyczalnię na wyspie.

Liz nie podniosła wzroku znad maski do nurkowania, którą uważnie sprawdzała.

- Czy jest pan zainteresowany wypożyczeniem sprzętu, panie Sharpe? - spytała uprzejmie. - Warto obejrzeć naszą rafę, choćby z maską, płetwami i fajką.

- Być może. Wolałbym jednak ekwipunek nurka.

- Proszę bardzo. Dysponuję wszystkim, co może być panu potrzebne- powiedziała, odłożyła maskę i sięgnęła po następną.

- Tu, w Meksyku, nie trzeba mieć uprawnień do nurkowania, ale proponuję wziąć parę podstawowych lekcji, zanim zejdzie pan

samodzielnie pod wodę. Prowadzimy zarówno kursy grupowe, jak i indywidualne.

- Może się zdecyduję - odparł z lekkim uśmiechem. - A póki co, o której zamykasz? - zapytał i zdjął okulary.

- Kiedy skończę - prychnęła rozzłoszczona, bo uśmiech Jonasa wywarł na niej duże wrażenie. - To Cozumel, panie Sharpe. Nie mamy ściśle określonych godzin pracy. Jeśli nie chce pan wypożyczyć sprzętu ani zapisać się na wycieczkę morską...

- Umów się ze mną na kolację - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu i nakrył jej dłoń swoją. - Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie, dziękuję - odparła, siląc się na grzeczność.

- To chociaż na drinka.

- Nie.

- Panno Palmer... - zaczął groźnie Jonas.

Młody prawnik był powszechnie znany ze swojej niewyczerpanej cierpliwości, która wielokrotnie pomagała mu na sali sądowej. Jednak przy Liz temperament zaczynał go ponosić. Musiał jednak porozmawiać sam na sam z tą upartą dziewczyną.

- Policja w dalszym ciągu nic nie odkryła. Potrzebuję twojej pomocy - powiedział w końcu nieco spokojniejszym tonem.

Dopiero teraz Liz cofnęła dłoń. O, nie! Nie da się wciągnąć w nie swoje sprawy, nawet jeśli Jonas będzie patrzył na nią tymi

swoimi szarymi oczami. Ma swoje życie, swoją pracę i co najważniejsze, córkę, która już niedługo wróci do domu.

- Nie zamierzam się w nic angażować. Przykro mi, ale nawet gdybym chciała, nie mogę panu pomóc.

- Proszę tylko o rozmowę.

- Panie Sharpe - zaczęła Liz, tracąc cierpliwość - mam bardzo mało wolnego czasu. Prowadzenie własnej firmy to nie zabawa, lecz godziny ciężkiej pracy. Jeśli znajdę kilka chwil dla siebie wieczorem, z pewnością nie będę miała ochoty być przepytywana przez pana. A teraz proszę...

Nie dokończyła, gdyż do sklepu wbiegł podekscytowany chłopak z banknotem w dłoni i w języku hiszpańskim poprosił o pletwy, fajkę i maskę dla siebie i brata.

Gdy Liz kompletowała sprzęt, chłopiec wypytywał ją, gdzie mają szansę zobaczyć rekina.

- Rekiny nie mieszkają na rafie koralowej. Ale od czasu do czasu przyplývają w odwiedziny - dodała, widząc, że uśmiech znikł z twarzy chłopca. - A jeśli weźmiecie ze sobą okruszki, ryby same do was przyplýną.

- Mogą ugryźć? - zapytał chłopiec z wypiekami na policzkach.

- Nie, będą gryzły tylko okruszki - odparła ze śmiechem. - *Adiós!* - zawołała za nim, gdy wybiegł ze sklepu.

- Świetnie mówisz po hiszpańsku - zauważył Jonas i uznał, że to może mu się przydać.

- Mieszkam tu od lat - oznajmiła krótko. - A teraz, panie Sharpe...

Jonas doskonale wiedział, że Liz ma już dość tej rozmowy, musiał więc szybko coś wymyślić, żeby skłonić ją do współpracy.

- Ile łodzi?

- Słucham?

- Ile masz łodzi?

- Cztery - odparła, wzięła głęboki oddech i postanowiła, że da mu jeszcze kilka minut. - Jedną ze szklanym dnem, dwie dla nurków i jedną przystosowaną do łowienia na głębokiej wodzie.

- Do łowienia ryb - mruknął Jonas, myśląc, że to powinno pasować do jego planów. - Od kilku lat już tego nie robiłem. Wybrałbym się jutro - zdecydował i sięgnął do portfela. - Ile?

- Pięćdziesiąt dolarów od osoby za dzień. Ale nie wypłynę z jednym pasażerem, panie Sharpe - powiedziała z pobłażliwym uśmiechem. - To się nie opłaca.

- Ile osób musi się zgłosić na taki kurs?

- Przynajmniej trzy. Ale obawiam się, że nie mam nikogo, kto...

Jonas położył na ladzie dwieście dolarów.

- Czwarta pięćdziesiątka jest za to, żebyś ty prowadziła łódź.

Liz spojrzała na pieniądze. Przydałyby się na zakup rowerów wodnych, na które na razie nie mogła sobie pozwolić, choć wiedziała, że konkurencja już je ma. Jeśli chciała się liczyć

na rynku... Podniosła wzrok i napotkała intensywne spojrzenie Jonasa. Po krótkim namyśle zdecydowała, że pieniądze nie są warte ryzyka angażowania się w tę sprawę.

- Przykro mi, ale na jutro mam już inne plany.

- To niezbyt mądrze rezygnować z zysku, panno Palmer - powiedział, a kiedy dostrzegł wzruszenie ramion, posłał jej chłodny uśmiech. - Nie chciałbym opowiedzieć w hotelu, że w „Czarnym Korale” źle mnie obsłużono. To dziwne, jak łatwo jest słowami zniszczyć lub rozślawić czyjąś firmę.

- Czym się pan zajmuje? - spytała Liz, podnosząc pieniądze po jednym banknocie.

- Jestem prawnikiem.

- Powinam była zgadnąć - powiedziała z niewesołym uśmiechem i podała mu odpowiedni formularz. - Znałam kiedyś jednego prawnika. Zawsze dostawał to, na czym mu zależało - dodała, wspominając Marcusa i jego słowa. - Proszę tu podpisać. Wyruszamy jutro o ósmej. Cena zawiera posiłek. Jeśli życzy pan sobie jakiś alkohol, proszę go zabrać ze sobą. Słońce na wodzie opala dość mocno, proponuję więc zaopatrzyć się w specjalny krem - poradziła i zdecydowała, że pora już kończyć rozmowę. - Wraca właśnie jedna z moich łodzi.

- Panno Palmer... - zaczął niezdecydowanie. - Jeśli zmieni pani zdanie w sprawie kolacji...

W głosie Jonasa dało się słyszeć wahanie, a on sam nie mógł zrozumieć, dlaczego nie odczuwa satysfakcji, choć udało

mu się pomyślnie przeprowadzić cały manewr.

- Nie zmienię.

- Zatrzymałem się w „El Presidente”.

- Doskonały wybór - powiedziała i ruszyła w stronę portu, gdzie właśnie cumowała jej łódź.

Gdy rano Liz wsiadła na swój skuter, słońce już mocno grzało, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Od wczoraj miała cichą nadzieję, że może jednak będzie padał deszcz.

- A niech to! - syknęła ze złością.

Czuła, że Jonas Sharpe nie da za wygraną i spróbuje wciągnąć ją w swoje sprawy. Nawet teraz z łatwością mogła wyobrazić sobie jego cierpliwe spojrzenie i cichy, nalegający głos. Potrafiła docenić jego starania, bo z doświadczenia wiedziała, jak ważny jest upór, stanowczość i cierpliwość, jeśli chce się coś osiągnąć. Ona też posiadała te cechy i dlatego udawało jej się tam, gdzie inni, mniej cierpliwi, wycofywali się zbyt szybko. Nie mogła jednak ulec temu mężczyźnie. Nie było jej stać na taki luksus.

Przejażdżka dobrze znaną, wyboistą drogą powoli odprężała Liz. Wokół słyszała odgłosy budzących się do życia ludzi. Otwierano sklepy. Przy jednym z nich stał pan Pessado i szukał kluczy. Liz zatrąbiła klaksonem na powitanie. Zjechała w dół ulicy i poczuła zapach morza. Spojrzała we wsteczne lusterko i zauważyła mały błękitny samochód. Dziwne,

pomyślała, wczoraj też za mną jechał. Jednak kiedy wjechała na hotelowy parking, auto pojechało dalej.

- *Buenos dis*. Dzień dobry, Margarito - przywitała młodą kobietę z wózkiem do sprzątanania.

- *Buenos dis*, Liz. *Como est?* Jak się masz?

- *Bien*. U mnie w porządku, a jak tam Ricardo?

- Znow wyrósł ze spodni - odparła sprzątaczką. - Cieszy się, że Faith niedługo przyjeżdża.

- Ja też się nie mogę doczekać - przytaknęła Liz i zostawiła kobietę przy windzie dla obsługi.

Dobrze pamiętała, jak to jest pracować w tak dużym hotelu. Sama, jeszcze nie tak dawno, towarzyszyła Margaricie przy zmienianiu ręczników, słaniu łóżek i sprzątananiu pokoi. Młoda kobieta zaliczała się do grona przyjaciół Liz, którzy szybko zaakceptowali dziewczynę w ciąży, lecz bez obrączki na palcu. Liz mogła kupić obrączkę i opowiadać o swym rozwodzie lub wdowieństwie. Była jednak uparta i nie chciała kłamać. Dziecko należało tylko do niej i nie zamierzała się tego wstydić.

Dotarła do sklepu przed czasem, taszcząc dwie torby z jedzeniem i jeszcze jedną, mniejszą, z przynętą.

- Liz! - zawołał szczupły, opalony mężczyzna z cienkim czarnym wąsikiem.

- Witaj, Luis.

- Płyniesz na ryby? - zązartował i pomógł jej nieść ciężkie torby. - Zmieniłem ci grafik. Na morską przejażdżkę zapisało się

kilkanaście osób. Obie łodzie wypłyną przed południem, więc powiedziałem Miguelowi, żeby dziś nam pomógł. Nie masz nic przeciwko?

- Oczywiście, że nie, ale chyba będę musiała w końcu kogoś zatrudnić - odparła z westchnieniem. - A teraz chodźmy obejrzyć łódź.

Gdy tylko Liz postawiła stopę na pokładzie, rozpoczęła rutynową kontrolę. Pokład był czysty, sprzęt w komplecie. Łódź była niezbyt duża i nie tak dobrze wyposażona jak inne łodzie do sportowego wędkowania, lecz klienci Liz nie mieli powodów do narzekania. Znała świetnie wody przy półwyspie Jukatan i nie potrzebowała sonaru, by odnaleźć żerujące ryby. Zresztą, była przekonana, że Jonas nie rozróżnia gatunków ryb i nie poznałby tuńczyka, nawet gdyby ten przepływał mu przed samym nosem. Zdecydowała, że zapewni prawnikowi niezapomniane przeżycia. Jonas będzie tak zajęty wędkowaniem przez cały dzień, że rozbolą go ręce i kręgosłup, a wieczorem będzie marzył jedynie o odpoczynku i gorącej kąpieli. Liz zaśmiała się pod nosem.

- Zajmę się tu wszystkim - powiedziała do Luisa. - Ty otwórz sklep i dopilnuj, by łodzie były gotowe na czas - dodała i spojrzała na mężczyznę.

- *Madre de Dios* - szepnął Luis, wzywając boskiej pomocy i szybko przeżegnał się, cały czas patrząc na molo.

- Co się... - zaczęła i dostrzegła Jonasa.

Miał na nosie ciemne okulary, a głowę ocieniał mu

słomkowy kapelusz. Spłowiła koszulka, krótkie spodnie i ślad zarostu na twarzy nadawały mu wygląd niebezpiecznego, ale i uroczego zawadiaki. Jonas nie mógł już bardziej upodobnić się do swego brata, pomyślała Liz, jednocześnie zdając sobie sprawę, co musi teraz czuć Luis.

- Luis, to tylko jego brat. Słyszysz? To bliźniak Jerry'ego.

- Powstał z martwych - wyszeptał jej pracownik zbielełymi wargami.

- Nie bądź śmieszny- skarciła go. - Ma na imię Jonas i swoim zachowaniem wcale nie przypomina Jerry'ego. Sam się zaraz przekonasz... Przyszedł pan przed czasem, panie Sharpe! - zawołała do Jonasa.

- „*Expatriate*” - mężczyzna głośno przeczytał nazwę łodzi. - Wygnanka. Czy tak właśnie się czułaś, Liz?

Nie odpowiedziała na jego zaczepkę.

- To Luis - przedstawiła swojego pracownika. - Właśnie przeżył mały szok na pana widok.

- Przykro mi - odparł Jonas i przyjrzał się szczupłemu mężczyźnie, na którego czole perlił się pot. - Znał pan mojego brata?

- Pracowaliśmy razem - powoli odpowiedział Luis. - Dawaliśmy lekcje nurkowania. Jerry lubił to... najbardziej. Odcumuję liny - oznajmił nagle, jeszcze raz spojrzawszy na Jonasa i zeskoczył z pokładu.

- Wygląda na to, że wszyscy podobnie reagują na mój

widok - zauważył Jonas. - A ty? Wciąż będziesz mnie trzymała na dystans?

- Szczycimy się naszą uprzejmością wobec klientów. Wynajął pan „*Expatriate*” na cały dzień, panie Sharpe. Proszę się rozgościć - powiedziała formalnym tonem, wskazując mu pokład pasażerski i specjalne krzeselko dla wędkarza. - Luis! - zawołała do swego pracownika. - Powiedz Miguelowi, że dostanie wypłatę, jeżeli dotrwa do końca dnia!

Liz uruchomiła silnik i wyprowadziła łódź z przystani. Sprawnie manewrowała, by ominąć podwodne przeszkody. Gdy wypłynęli na otwarte morze, zwiększyła szybkość. Mimo że lekka bryza przyjemnie chłodziła jej policzki i marszczyła powierzchnię wody, wiedziała, że niedługo zacznie się prawdziwy upał. Miała nadzieję, że do tego czasu Jonas będzie już walczył ze swoją wielką rybą.

- Widzę, że z łodzią radzisz sobie równie sprawnie, jak z klientami w sklepie - zauważył Jonas.

- To moja praca - odparła, kryjąc rozdrażnienie. - Byłoby panu wygodniej na pokładzie pasażerskim, panie Sharpe.

- Mów mi Jonas. A tu jest mi bardzo wygodnie - zapewnił i uważnie przyjrzał się Liz.

Jej włosy były ukryte pod białą czapczką z napisem promującym firmę. Taki sam napis widniał na spłowiej od słońca koszulce. Nagle Jonas zapragnął zobaczyć Liz bez tych wszystkich ozdób. Żeby przegnać niechciane myśli, postanowił

zająć się rozmową.

- Od jak dawna masz tę łódź?

- Od siedmiu lat. To porządna łajba - zapewniła go. - W tych ciepłych wodach można znaleźć marlina, tuńczyka i rybę miecz. Możesz zacząć zanęcać.

- Zanęcać?

Liz rzuciła mu szybkie spojrzenie. A więc miała rację. Nie miał pojęcia o wędkarstwie.

- Wrzucać przynętę do wody - podpowiedziała. - Popłyniemy powoli, a ty rozrzuć przynętę, która przyciągnie ryby.

- To chyba da mi nieuczciwą przewagę? Czy łowienie nie polega na umiejętnościach i szczęściu?

- Dla niektórych to kwestia przeżycia, dla innych możliwość zdobycia kolejnego trofeum. - Liz wzruszyła ramionami i rozejrzała się, czy w pobliżu nie ma żadnych nieświadomych niebezpieczeństwa nurków.

- Nie interesują mnie trofea.

- A co cię interesuje?

- W tej chwili ty - powiedział Jonas i nakrył jej dłoń swoją. - I nigdzie mi się nie spieszy.

- Zapłaciłeś za możliwość wędkowania - przypomniała mu Liz.

- Zapłaciłem za twój czas - poprawił ją.

Był na tyle blisko, że Liz mogła dostrzec jego oczy za

ciemnymi szklami okularów. Były zupełnie spokojne, jakby ich właściciel rzeczywiście się nie spieszył i mógł poświęcić jej dużo czasu. Czowała dotyk dłoni Jonasa. Nie była gładka, jak myślała Liz, lecz szorstka, jakby przyzwyczajona do fizycznej pracy. Nagle poczuła dreszcz podniecenia, choć myślała, że dawno uodporniła się na kontakty z mężczyznami.

- Więc zmarnowałeś pieniądze.

Jej dłoń znów drgnęła pod ręką Jonasa. Zdążył się już zorientować, że dziewczyna jest uparta. Teraz dowiedział się też, że jest silna, choć wygląda tak krucho. Spojrzenie Liz mówiło, że kiedyś wiele wycierpiała i nie da się zranić ponownie. Miała w sobie jednak coś, co pociągało mężczyzn i sprawiało, że nie potrafili racjonalnie myśleć w jej obecności. Jonas nie mógł zrozumieć, dlaczego Jerry nie został jej kochankiem. Z pewnością nie stało się to z braku chęci ze strony jego brata.

- Nie byłby to pierwszy raz, gdy zmarnowałem pieniądze, ale coś mi mówi, że będzie inaczej.

- Nie mogę ci pomóc i nie mam nic do powiedzenia - oznajmiła nagle i wyszarpnęła dłoń.

- Może i nie. A może wiesz coś, z czego nawet nie zdajesz sobie sprawy. Od dziesięciu lat zajmuję się prawem karnym. Nie masz pojęcia, jak ważne mogą być nawet strzępki informacji. Porozmawiaj ze mną. Proszę.

Liz poczuła, że jej upór mięknie. Jak to możliwe, że potrafiła godzinami negocjować ceny sprzętu, a teraz już po

minucie ulegała prośbie tego obcego mężczyzny? Wiedziała, że Jonas może jej przynieść wyłącznie kłopoty. Westchnęła.

- Dobrze, porozmawiajmy - zgodziła się i ustawiła łódź w dryf. - Kiedy będziesz łowił - dodała i uśmiechnęła się. - Bez zanęty. Teraz usiądź i odpręż się. Czasem ryba bierze nawet bez zanęty. Jeśli jakąś złapiesz, przypnij się pasem do krzesła i pracuj.

- A ty? - spytał, sadowiąc się wygodnie na krześle.

- Ja wracam do sterówki i postaram się utrzymywać stałą prędkość, żeby to, co złowisz, nie urwało nam się z haczyka. Są lepsze miejsca niż to, ale skoro nie zależy ci na wędkowaniu, nie zamierzam marnować paliwa.

- Zawsze rozsądna, prawda?

- Życie mnie do tego zmusiło.

- Dlaczego znalazłaś się na Cozumel? - spytał Jonas i ignorując wędkę, zapalił papierosa.

- Jesteś tu od kilku dni i jeszcze tego nie zrozumiałaś? - zdziwiła się i zatoczyła ręką krąg.

- W twoim kraju też jest wiele pięknych miejsc. Skoro jesteś tu już dziesięć lat, pomyślałem, że wyjeżdżając z kraju, byłaś jeszcze dzieckiem.

- Nie, nie byłam - zaprzeczyła, a Jonas zrozumiał, że trafił na jedną z jej tajemnic. - Znalazłam się tu, bo wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem. Gdy byłam mała, co roku przyjeżdżaliśmy na Cozumel. Moi rodzice też uwielbiają

nurkować.

- Przeprowadziliście się tu razem?

- Nie. Przyjechałam sama - odparła sucho. - Nie zapłaciłam dwustu dolarów, żeby rozmawiać o mnie.

- To może mi pomóc. Mówiłaś, że masz córkę. Gdzie ona teraz jest?

- Chodzi do szkoły w Houston. Tam mieszkają moi rodzice.

Jonas znał wielu ludzi, którzy mogliby porzucić własne dziecko i prowadzić wygodne życie na tropikalnej wyspie. Jednak nie pasowało to do Liz.

- Tęsknisz za nią - stwierdził po chwili.

- Bardzo - mruknęła Liz. - Za kilka tygodni wróci do domu i spędzimy razem całe lato. Wrzesień zawsze przychodzi zbyt szybko - powiedziała bardziej do siebie, niż do niego i zaczęła rozmyślać na głos. - To dla jej dobra. Rodzice świetnie się nią opiekują i ma tam zapewnioną najlepszą edukację. Faith może brać lekcje baletu i gry na fortepianie. Poza tym zawsze przysyłają mi zdjęcia małej - dodała i gdy poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami, zamilkła.

Jonas zauważył, że Liz walczy ze łzami i dlatego przestała mówić. Siedział w ciszy i palił papierosa, dając jej czas, by uporała się ze swoimi emocjami.

- Myślałaś kiedyś o powrocie? - spytał po długiej chwili.

- Nie - zaprzeczyła, przełknęła łzy i pomyślała, że to zdjęcia córki przysłane wczorajszą pocztą tak ją rozczuły.

- Ukrywasz się?

Liz poderwała gwałtownie głowę. W jej oczach nie było już łez. Płonęły gniewem. Jonas uniósł rękę w uspokajającym geście.

- Wybacz. Czasem zdarza mi się wepchnąć palce między drzwi.

- W ten sposób może je pan stracić, panie Sharpe - powiedziała, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Istnieje taka możliwość-zaśmiał się Jonas. - Ryzyko zawodowe. Ludzie nazywają cię Liz, prawda?

- Owszem, moi przyjaciele - odparła zaskoczona.

- Pasuje do ciebie, chyba że próbujesz narzucić dystans w rozmowie. Wtedy powinni zwracać się do ciebie Elizabeth.

- Nikt mnie tak nie nazywa - odparła i pomyślała, że Jonas specjalnie zmienił temat.

- Dlaczego nie sypiałaś z Jerryem? - zapytał nagle, wciąż się uśmiechając.

- Słucham?

- Na swój sposób jesteś piękną kobietą - oznajmił dość obojętnie i wyrzucił niedopałek papierosa za burtę. - Jerry nie potrafił się oprzeć pięknym kobietom. Nie rozumiem, dlaczego nie zostaliście kochankami.

Przez krótką chwilę Liz cieszyła się, że znów ktoś nazwał ją piękną kobietą. Od tak dawna nie słyszała tych słów. Nikt jej tego nie mówił wtedy, gdy tak rozpaczliwie pragnęła je słyszeć. A

teraz nie były już jej potrzebne. Posłała mężczyźnie mordercze spojrzenie.

- Nie miałam na to ochoty. Może trudno ci to pojąć, skoro był do ciebie tak podobny, ale ja z łatwością mogłam mu się oprzeć.

- Tak? - zdziwił się uprzejmie Jonas i sięgnął po piwo, które zabrał ze sobą. Wyciągnął rękę z butelką w jej kierunku w geście propozycji. Gdy Liz pokręciła przecząco głową, sam się poczęstował. - Dlaczego?

- Miał duszę włóczęgi. Zjawił się na chwilę w moim życiu. Dałam mu pracę, bo był bystry i silny. Sądziłam, że zniknie, zanim minie miesiąc. Mężczyźni tacy, jak on, nie potrafią nigdzie zatrzymać się na dłużej.

- Mężczyźni tacy, jak on?

- Tacy, którzy szukają szybkiego i łatwego zarobku. Tacy, co gonią za marzeniami.

- A więc poznałaś go nieco. Czego tu szukał?

- Powiedziała, że nie wiem! Sądzę, że słońca i dobrej zabawy - odparła rozdrażniona. - Wynajęłam mu pokój, bo wydał mi się niegroźny, a ja potrzebowałam pieniędzy. Nie byliśmy przyjaciółmi. Jedyne, o czym potrafił mówić bez końca, to nurkowanie dla grubej forsy.

- Gdzie chciał nurkować dla tych pieniędzy?

- Chciałabym, żebyś jednak zostawił mnie już w spokoju - powiedziała, zdjęła czapeczkę i niecierpliwie przesunęła dłonią

po włosach.

- Jesteś realistką, prawda, Elizabeth?

- Owszem - odparła i wojowniczo wysunęła podbródek.

- Więc zdajesz sobie sprawę, że nie mogę tego zrobić. Gdzie zamierzał nurkować?

- Nie wiem. Przystawałam go słuchać, gdy zaczynał opowiadać, jaki wkrótce będzie bogaty.

- Spróbuj przypomnieć sobie, co mówił - poprosił łagodnie Jonas.

- Mówił coś o zbiciu fortuny na nurkowaniu, a ja spytałam, czy może znalazł jakiś zatopiony skarb... - Liz starała się odtworzyć tamten wieczór, gdy była zajęta rachunkami, a Jerry snuł marzenia o bogactwie. - To był późny wieczór, a właściwie już noc. Pracowałam w domu. Zawsze lepiej prowadziło mi się księgi w nocy. Kiedy Jerry wrócił, pomyślałam, że musiał nieźle się gdzieś zabawić, bo lekko się zataczał. Wpadł na mnie i porozrzucił mi papiery. Chciałam powiedzieć mu coś do słuchu, ale się rozmyśliłam, bo robił wrażenie bardzo szczęśliwego i wcale mnie nie słuchał. Zaczęłam porządkować dokumenty, a on zaproponował, że kupi szampana, by uczcić swój sukces. Poradziłam mu, żeby przy swojej pensji zadowolił się raczej piwem. Zaczął gadać o krojącym mu się złotym interesie i nurkowaniu dla grubej forsy, a wtedy spytałam go o ten zatopiony skarb.

- I co na to Jerry?

- Powiedział, że czasem bardziej opłaca się coś zatopić, niż wydobyć z dna morza. - Liz przypomniała sobie śmiech Jerry'ego, gdy poradziła mu, żeby się przespał, bo gada od rzeczy. - Potem spróbował mnie zaciągnąć do łóżka, ja mu odmówiłam i uznaliśmy sprawę za niebyłą. Potem... chyba poszedł zadzwonić. Ja musiałam wracać do pracy...

- Kiedy to było?

- Jakiś tydzień po tym, jak go zatrudniłam.

- Więc to do mnie wtedy dzwonił - powiedział Jonas w zamyśleniu.

On również nie zwrócił szczególnej uwagi na słowa Jerry'ego. Brat wspomniał coś o powrocie do domu w wielkim stylu. Ale Jerry zawsze tak mówił, a potem dzwonił do Jonasa, by ten wyciągał go z kłopotów.

- Widziałaś, żeby kiedyś z kimś dyskutował albo się kłócił?

- Nigdy się z nikim nie sprzeczał. Flirtował z dziewczynami na plaży, uprzejmie rozmawiał z klientami i starał się być miły dla moich pozostałych pracowników. Chyba najwięcej czasu spędzał w San Miguel, odwiedzając okoliczne bary w towarzystwie Luisa.

- Jakie bary?

- Musisz zapytać Luisa, choć sądzę, że policja już dawno to zrobiła - odparła Liz i wzięła głęboki oddech, uznając, że wystarczy już grzebania się w minionych sprawach. - Panie Sharpe, dlaczego nie zostawi pan tego policji? Gonienie cieni nic

nie pomoże.

- Jerry był moim bratem - stwierdził Jonas i nagle zdał sobie sprawę, że to nie oddawało w pełni jego uczuć.

Gdy zginął jego brat bliźniak, poczuł się tak, jakby umarła część jego duszy. Jeśli znów miał zaznać spokoju, musiał się dowiedzieć, dlaczego zamordowano Jerry'ego.

- Nie zastanawiałaś się, dlaczego zginął?

- Oczywiście, że się zastanawiałam. Sądziłam, że wdał się w jakąś bójkę lub pochwalił się nadzieją na zysk nie tej osobie, co trzeba.

- To nie była zemsta ani napad rabunkowy, Elizabeth. To była robota zawodowca.

- Nie rozumiem - pokręciła głową, próbując opanować nagłe drzenie i bicie serca.

- Jerry został zamordowany przez zawodowego zabójcę. A ja chcę się dowiedzieć, dlaczego.

- Jeśli masz rację, to tym bardziej należy zostawić sprawę policji - odparła.

Jonas sięgnął po kolejnego papierosa i zapatrzył się w linię horyzontu.

- Policja nie szuka zemsty, a ja tak - powiedział spokojnym głosem, od którego Liz przeszedł dreszcz.

- Nawet jeśli znajdziesz tego przestępcę, co możesz mu zrobić? - spytała, kręcąc głową.

- Jako prawnik będę zmuszony przypilnować, by znalazł się

za kratkami. Ale jako brat... - powiedział i urwał, by pociągnąć łyk piwa. - Zobaczymy.

- Sądzę, że nie jest pan miłym człowiekiem, panie Sharpe.

- Nie jestem - przytaknął z mocą i spojrzał jej prosto w oczy. - I nie jestem nieszkodliwy. Jeśli się na coś zdecyduję, wytrwale dążę do celu.

Liz chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz zrezygnowała, widząc upór w jego oczach. Wzruszyła ramionami, spojrzała na wędkę i nieznacznie się uśmiechnęła.

- Złapał pan rybę, panie Sharpe - oznajmiła sucho. - Radzę się przypiąć do krzeselka i wziąć do roboty, zanim ryba wyciągnie pana za burtę - dodała, odwróciła się na pięcie i zostawiła Jonasa samego z wściekle walczącą rybą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Słońce właśnie zachodziło, gdy Liz zaparkowała skuter na swoim podjeździe. Wciąż jeszcze się śmiała. Niezależnie od kłopotów, jakie przysporzył jej Jonas, miała swoje dwieście dolarów, a on miał ponad dziesięciokilogramowego marlina. Czy chciał go, czy nie.

Warto było poświęcić jedno popołudnie, żeby zobaczyć jego minę, gdy zrozumiał, że przyszło mu walczyć z ogromną, wściekłą i bardzo silną rybą. Może nawet zrezygnowałby, gdyby wtedy nie obrzuciła go złośliwym, rozbawionym spojrzeniem. Ależ był uparty! Gdyby spotkała go w innych okolicznościach, może mogłaby nawet podziwiać tę jego cechę.

Nie miała racji, podejrzewając, że młody prawnik nie umie posługiwać się wędką. Ale i tak wyglądał zabawnie, gdy stał zmieszany na pomoście, a tłum wokół niego powoli gęstniał. To dało Liz możliwość ukradkowego zniknięcia. Nie mógł jej gonić, skoro każdy przechodzień chciał obejrzeć jego zdobycz i pogratulować udanych łowów.

Liz uporowała się wreszcie z kluczami i otworzyła na oścież drzwi, żeby wpuścić do domu trochę świeżego powietrza, pachnącego nadciągającym deszczem. Uruchomiła wiatraki i włączyła radio. Poszła do sypialni, zapaliła światło i zaczęła się rozbierać, by wziąć prysznic.

Nagle znieruchomiała. Zauważyła, że rolety są opuszczone, a była pewna, że wychodząc, zostawiła je podniesione. Musiała

być bardziej zaprzątnięta myślami o Jonasie, niż chciała przyznać. Zdecydowała, że pan Sharpe zbyt często gości w jej myślach. Mężczyzna taki jak on miał do tego prawo, lecz Liz uznała, że poświęciła mu już zbyt wiele swego cennego czasu. Ale teraz, skoro dowiedział się od niej wszystkiego, nie powinien już więcej składać jej nie zapowiedzianych wizyt. Nagle przypomniała sobie znaczące spojrzenie Jonasa, gdy mówił, że potrafi być bardzo wytrwały w dążeniu do celu.

Jeszcze raz spojrzała na opuszczone rolety. Sznurek nie był zaczepiony i luźno zwisał. Liz nie lubiła tego. Pewnie dlatego, że wszystkie liny na łodzi zawsze są zabezpieczone. Wzruszyła ramionami i podeszła, by go poprawić.

Spiker w radio oznajmił, że wieczorem będzie padać i zapowiedział nowy przebój. Liz, nucąc pod nosem, zdecydowała, że przyrządzi sałatkę z kurczaka, zanim usiądzie do sprawdzania rachunków.

Zanim zdążyła odwrócić się od okna, silne ramię zacisnęło się na jej szyi. Zdołała dostrzec błysk srebra na przegubie napastnika. Poczowała na gardle chłód noża.

- Gdzie to jest? - wysyczał jakiś głos po hiszpańsku.

Wbiła paznokcie w duszące ją ramię i poczuła pod palcami plecioną bransoletę i twarde mięśnie napastnika. Szarpnęła się, lecz szybko zaprzestała walki, gdy ostrze noża wbiło się w jej skórę. Z trudem chwytiała powietrze.

- Czego chcesz? - szepnęła, wiedząc, że nie ma w domu

żadnej biżuterii, a w jej torebce spoczywa tylko pięćdziesiąt dolarów. - Torebka leży na stole. Weź ją sobie.

- Gdzie on to schował? - Usłyszała pytanie, poparte brutalnym szarpnięciem za włosy.

- Kto? Nie wiem, czego chcesz.

- Sharpe. Koniec zabawy, paniusiu. Jeśli chcesz żyć, lepiej mi powiedz, gdzie ukrył pieniądze.

- Nie wiem - wycharczała i poczuła, że nóż przecina jej skórę. Coś lepkiego pociekło Liz za dekollet. Czowała, że zaraz wpadnie w histerię. - Nigdy nie widziałam żadnych pieniędzy! Sprawdź, tu nic nie ma!

- Już sprawdziłem - odparł i tak wzmocnił uścisk, że Liz pociemniało w oczach. - Sharpe umarł szybko. Ty nie będziesz miała tyle szczęścia, jeśli nie powiesz mi, gdzie są pieniądze.

On mnie zabije, pomyślała w panice. Umrę za coś, o czym nie mam pojęcia. Pieniądze... Zbir chciał pieniędzy, a ona miała tylko pięćdziesiąt dolarów... Zaczęła tracić przytomność. Faith... Ta nagła myśl o córce przywróciła jej na chwilę świadomość. Kto się zajmie Faith, jeśli ja umrę? Liz zagryzła do krwi dolną wargę. Ból rozjaśnił jej umysł. Nie mogła tak po prostu umrzeć. Musi walczyć dla Faith.

- Proszę... - szepnęła i udała, że osuwa się na ziemię. - Nie mogę mówić... Duszę się...

Poczuła, że uścisk nieco zelżał. Z całej siły uderzyła zbira łokciem w żołądek, kopnęła na oślep stopą i zaczęła uciekać.

Pośliznęła się na dywaniku, który nagle uciekł jej spod stóp, ale nie obejrzała się za siebie. Odzyskała równowagę i pobiegła do drzwi. Zaczęła wołać o pomoc, zanim jeszcze wybiegła z domu.

Musiała tylko przebiec trawnik i przeskoczyć niski płotek, by dostać się do domu sąsiada. Drżąc i pochlipując, szarpnęła klamkę. Za sobą usłyszała pisk opon, ruszającego gwałtownie samochodu.

- Chciał mnie zabić! - wykrztusiła i zemdląła.

- Nic więcej nie mogę powiedzieć, panie Sharpe - powiedział Morales.

Siedzieli w małym biurze kapitana. Morales nie był zadowolony z wyników śledztwa. Teczka, leżąca na jego biurku, zawierała za mało informacji. Nic nie wskazywało na powód, dla którego zginął młody Amerykanin. Naprzeciwko miał jego lustrzane odbicie, które wpatrywało się nieustępliwie w policjanta.

- Zastanawiam się, czy śmierć pańskiego brata nie była wynikiem wydarzeń sprzed jego przyjazdu na wyspę. Poprosiliśmy o pomoc departament w Nowym Orleanie. To był, zdaje się, ostatni adres pańskiego brata?

- On nigdy nie miał adresu - mruknął pod nosem Jonas.

Ani stałej pracy czy długotrwałego związku, pomyślał. Jerry był jak kometa, która nie zamierzała się nigdy wypalić.

- Powiedziałem przecież, co mówiła panna Palmer. Jerry

szukował się na jakiś wielki interes. Miało się to stać tu, na Cozumel.

- Tak, coś związanego z nurkowaniem - przytaknął cierpliwie Moralas i sięgnął po cygaro. - Doceniam tę informację, choć rozmawialiśmy już z panną Palmer.

- Ale nie ma pan pojęcia, co z tym zrobić!

Kapitan sięgnął po zapalniczkę i spojrzał ponad płomieniem na Jonasa.

- Jest pan brutalnie szczery. Dobrze, ja też postawię sprawę jasno. Jeśli istniał jakiś ślad prowadzący do rozwiązania zagadki śmierci pańskiego brata, to na pewno już dawno wygasł. Nie było odcisków palców, świadków ani narzędzia zbrodni - powiedział policjant i wziął teczkę ze sprawą Jerry'ego. - Nie oznacza to, że wrzucę ją do szuflady i zapomnę. Jeśli na mojej wyspie jest morderca, zamierzam go znaleźć. Sądzę jednak, że w tej chwili jest on daleko stąd. Może nawet w pańskiej ojczyźnie. Musimy cofnąć się w czasie i prześledzić wcześniejsze poczynania i kontakty pańskiego brata. A mówiąc szczerze, panie Sharpe, nie pomaga mi pan swoim pobytem na Cozumel.

- Nie zamierzam wyjeżdżać.

- To oczywiście pańskie prawo, póki nie zakłóca pan toku śledztwa-oznajmił groźnie Moralas, odłożył cygaro i odebrał dzwoniący telefon.

- Moralas - niemal warknął w słuchawkę i umilkł, marszcząc brwi. -Tak, proszę przełączyć. Panno Palmer, mówi

kapitan Moralas.

Jonas zastygł w bezruchu z papierosem w jednej dłoni i zapalniczką w drugiej. Zdawał sobie sprawę, że Liz Palmer może być kluczem do rozwiązania całej sprawy.

- Kiedy? Czy jest pani ranna? Nie, proszę zostać na miejscu, zaraz przyjadę do pani - powiedział Moralas, położył słuchawkę i wstał. - Zaatakowano pannę Palmer.

- Jadę z panem! - rzucił krótko Jonas i ruszył za policjantem.

Gdy samochód pędził po wyboistych drogach, Jonas nie zadawał żadnych pytań. Przed oczami miał obraz opalonej, szczupłej, nieco zadziornej dziewczyny. Przypomniła sobie jej uśmiezek, gdy zrozumiał, że walka z tak wielką rybą nie będzie łatwa. Dobrze pamiętał też, jak zgrabnie umknęła mu z pomostu, porzucając go na pastwę ciekawskich gapiów.

Napadnięto ją. Dlaczego? Może wiedziała więcej, niż chciała mu zdradzić? Była kłamczucha, oportunistką czy tchórzem? Dopiero po chwili zastanowił się, czy bardzo ucierpiała.

Gdy podjechali pod dom Liz, Jonas obrzucił go szybkim spojrzeniem. Drzwi były otwarte, rolety zaciągnięte. Mieszka tu sama, bez żadnej ochrony, wystawiona na ciosy, pomyślał.

Zatrzymali się przy sąsiednim budynku. W drzwiach stała kobieta w bawełnianej sukience, osłoniętej białym fartuszkiem. W dłoni trzymała kij bejsbolowy pokaźnych rozmiarów.

Opuściła go dopiero, gdy kapitan pokazał jej swoją legitymację i odznakę.

- Policja - westchnęła zadowolona. - Nazywam się Alderez. Ona jest w środku. Dziękuję Bożej Opatrzności, że akurat byliśmy w domu - powiedziała i gestem zaprosiła ich do domu.

Liz siedziała na sofie, okrytej wzorzystą narzutą, i ścisnęła w dłoniach kieliszek z winem. Jonas dostrzegł, że płyn kołysze się, bo dziewczyna wciąż drży. Gdy weszli, podniosła wzrok i utkwiała spojrzenie w Jonasie. Ale jej oczy patrzyły bez wyrazu. Po chwili powoli oderwała wzrok od prawnika i z powrotem zapatrzyła się w kieliszek.

- Panno Palmer - zaczął cicho Morales i ostrożnie usiadł obok. - Czy może mi pani powiedzieć, co się stało?

- Wróciłam do domu o zachodzie słońca. Nie zamknęłam frontowych drzwi. Poszłam prosto do sypialni - recytowałam głosem wypranym z emocji. - Rolety były opuszczone, ale wydawało mi się, że rano je podnosiłam. Sznurek wisiał luzem, więc podeszłam, żeby go poprawić. Wtedy mnie zaatakował... od tyłu. Przytrzymał mnie ramieniem i przyłożył nóż do gardła. Zranił mnie - powiedziała i dotknęła podłużnej rany, którą zajęła się wcześniej troskliwa sąsiadka. - Nie walczyłam, bo bałam się, że mnie zabije. Chciał to zrobić - oznajmiła i spojrzała prosto w oczy Moralesa. - Słyszałam to w jego głosie.

- Co mówił?

- Zapytał: gdzie to jest. Nie wiedziałam, czego chce.

Powiedziałam, że może wziąć moją torebkę. Zaczął mnie dusić i spytał, gdzie on to schował. Powiedział: Sharpe - znów spojrzała na Jonasa, który zauważył, że na jej szyi zaczęły pojawiać się sińce. - Dodał, że to koniec zabawy i zabije mnie, jeśli nie powiem, gdzie są pieniądze. Oznajmił, że nie będę miała tyle szczęścia, co Jerry i nie umrę szybko. Nie uwierzył, gdy powiedziałam, że nic nie wiem - mówiła, wciąż patrząc na Jonasa, który zaczął mieć wyrzuty sumienia.

- Puścił panią? - spytał Morales, delikatnie dotykając jej ramienia.

- Nie. Chciał mnie zabić - stwierdziła pozornie spokojnym, oziępiałym głosem. - Wiedziała, że to zrobi, czy mu powiem cokolwiek, czy nie. A moja córeczka mnie potrzebuje... Udałam, że mdleję, wtedy on zelżył uścisk, a ja uderzyłam go łokciem w żołądek i kopnęłam... wyrwałam się i uciekłam.

- Rozpoznałaby go pani?

- Nie widziałam go. Nawet nie spojrzałam za siebie.

- A głos?

- Mówił po hiszpańsku. Chyba był niski, bo czułam jego usta tuż przy uchu. Nic więcej nie wiem. Ani o pieniądzach, ani o Jerry - powiedziała i odwróciła wzrok, bojąc się, że zaraz zacznie płakać. - Chcę już wrócić do domu.

- Oczywiście. Będzie to możliwe, gdy tylko moi ludzie sprawdzą, czy jest pani bezpieczna. Proszę na razie tu odpocząć, panno Palmer. Niedługo po panią wrócę.

Liz nie wiedziała, ile czasu minęło od chwili, gdy wbiegła do domu sąsiadów. Kiedy szła z Moralasem do swego domu, na niebie świecił już księżyc. Powiedziano jej, że wszystko sprawdzono i na jej podjeździe zostanie wóz policyjny. Bez słowa weszła do domu i ruszyła prosto do kuchni.

- Miała wiele szczęścia - powiedział Jonasowi kapitan. - Ktokolwiek ją zaatakował, był nieuważny.

- Sąsiedzi nic nie widzieli? - spytał Jonas i poprawił stolik, przewrócony w czasie ucieczki dziewczyny. Na ziemi leżała pęknięta muszla.

- Kilka osób zauważyło niewielki błękitny samochód. Pani Alderez widziała, jak odjeżdża, gdy otworzyła drzwi Liz. Ale nie potrafi powiedzieć, jakiej był marki, ani nie zauważyła numerów. Oczywiście, przydzieliłem pannie Palmer ochronę, przynajmniej do czasu, kiedy znajdziemy to auto.

- Cóż, nie wygląda na to, żeby morderca mojego brata opuścił wyspę.

- To, czym zajmował się pański brat, kosztowało go życie. Nie pozwolę, by panna Palmer płaciła za to w ten sam sposób - szorstko odparł kapitan. - Odwiozę pana z powrotem.

- Nie. Zostanę tu - oznajmił Jonas, przyglądając się długiemu pęknięciu muszli, które przypominało ranę na szyi Liz. - Mój brat ją w to wciągnął. Nie mogę zostawić jej teraz samej.

- Jak pan sobie życzy - zgodził się Moralas i ruszył w stronę

WOZU.

- Kapitanie - zatrzymał go Jonas. - Nie uważa pan już, że morderca jest daleko stąd, prawda?

- Nie, nie uważam. Dobranoc, panie Sharpe. *Buenas noches.*

Jonas zamknął drzwi, sprawdził wszystkie okna i dopiero wtedy poszedł do Liz. Stała w kuchni i nalewała sobie kawę.

- Myślałam, że poszedłeś.

- Nie - odparł, wziął kubek i bez zaproszenia poczęstował się kawą.

- Po co zostałeś?

- Głupie pytanie-wymruczał, podszedł bliżej i delikatnie przesunął palcem po ranie na jej szyi.

- Chcę zostać sama - oznajmiła i cofnęła się, walcząc, aby nie stracić nad sobą kontroli.

- Nie zawsze dostajemy to, czego pragniemy-odparł Jonas, patrząc na jej drżące dłonie. - Ulokuję się w pokoju twojej córki.

- Nie! - krzyknęła, odstawiła z rozmachem kubek i skrzyżowała ręce na piersiach. - Nie chcę cię tutaj.

Z wystudiowanym spokojem postawił kubek na blacie. Oparł dłonie na jej ramionach i przemówił ostrym tonem.

- Nie zostawię cię samej, dopóki nie znajdą zabójcy Jerry'ego. Siedzisz w tym po uszy, czy ci się to podoba, czy nie. I ja również, do diabła!

- Nie byłam w nic zamieszana, dopóki nie przyjechałeś i nie

zaczęłaś mnie prześladować - oświadczyła wprost.

Jonas też miał o to pretensję do siebie. Nie mógł wiedzieć, czy to prawda, ale uważał, że na razie nie jest to istotne.

- Ktokolwiek zabił Jerry'ego, uważa, że ty coś wiesz. Raczej nie przekonałaś go, że jest inaczej. Lepiej zacznij ze mną współpracować.

- A skąd mam wiedzieć, że to nie ty go przysłałaś, żeby mnie nastraszył?

- Nie będziesz tego wiedziała - powiedział, patrząc jej w oczy. - Mógłbym zapewnić cię, że nie mam zwyczaju wynajmowania morderców, ale wcale nie musiałabyś mi uwierzyć. Mógłbym też powiedzieć, że bardzo mi przykro - dodał Jonas, odgarniając delikatnie włosy z twarzy dziewczyny. - Albo że wolałbym odejść i zostawić cię w spokoju. Ale nie mogę. Ty też nie. Więc najlepiej zrobimy, pomagając sobie nawzajem.

- Nie chcę twojej pomocy.

- Wiem - skinął poważnie głową. - Usiądź, przygotuję ci coś do jedzenia.

- Nie możesz tu zostać! - zawołała spłoszona.

- Ale zostaję. Jutro przeniosę moje rzeczy z hotelu.

- Powiedziałam...

- Wynajmę od ciebie pokój - przerwał jej i zabrał się do przeszukiwania kuchennych szafek. - Pewnie potwornie boli cię gardło. Sądzę, że rosół z puszki to najlepszy pomysł.

- Sama zatroszczę się o swój posiłek - fuknęła i wyrwała mu

puszkę z zupą. - I nie zaproszę cię do mojego domu.

- Doceniam twoją wielkoduszność - zażartował i łagodnie odebrał jej puszkę. - Ale wolę wrócić do interesów. Sądzę, że dwadzieścia dolarów za tydzień, to rozsądna propozycja. Lepiej weź pieniądze, Liz - poradził, nie pozwalając jej się wtrącić - bo ja i tak zostaję. Siadaj - rozkazał i rozejrzał się za jakimś garnkiem.

Chciała się rozzłościć. To by jej dobrze zrobiło. Chciała nawrzeszczyć na tego irytującego mężczyznę i wyrzucić go z domu z wielkim hukiem. Zamiast tego ciężko usiadła, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Co się stało z jej samodzielnością? Przez dziesięć lat sama podejmowała wszystkie decyzje, sama odpowiadała za swoje czyny. Nie prosiła nikogo o radę ani o pomoc. A teraz straciła kontrolę nad wydarzeniami, a jej życie zamieniło się w dziwną grę, której reguł nie знаła.

Coś mokrego kapnęło na jej dłoń. Zaskoczona, dopiero teraz zrozumiała, że płacze. Szybko otarła oczy, lecz nie mogła już powstrzymać łez. Te łzy to była kolejna rzecz, na którą nie miała wpływu.

- Zdołasz zjeść grzanekę? - spytał Jonas, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, odwrócił się, by spojrzeć na Liz.

Siedziała sztywno przy stole, a po jej policzkach toczyły się ogromne łzy. Zaklął i odwrócił się z powrotem do kuchenki. Nie potrafił jej pocieszyć. W końcu nic nie powiedział, tylko usiadł

przy niej i czekał.

- Myślałam, że mnie zabije - chlipnęła i ukryła twarz w dłoniach. - Czułam nóż na gardle i myślałam, że zaraz umrę. Boję się. Och, Boże, jak ja się boję!

Jonas przytulił ją do siebie i pozwolił się wypłakać. Nie był przyzwyczajony do rozdzierająco szlochających kobiet. Te, które znał, pozwalały sobie uronić łezkę i nic ponadto. Nie miał pojęcia, jak ją pocieszać, więc tylko trzymał w ramionach.

Liz była lodowato zimna. Jonas się nie odzywał. Nie szukał słów pocieszenia, nie obiecywał jej, że wszystko będzie dobrze. Po prostu był. Wciąż tulił ją, choć przestała płakać i tylko drżała w jego ramionach. Zaczął padać deszcz. Krople uderzały o szyby i dach, szumiąc cicho. A Jonas wciąż ją tulił.

Gdy Liz odsunęła się nieco, bez słowa wstał, podszedł do kuchenki i zapalił gaz pod garnkiem z rosółem. Po chwili postawił przed nią parującą miskę i nalał bulionu również dla siebie. Liz, zbyt zmęczona, by się wstydzić, zaczęła jeść. W kuchni było słychać tylko deszcz i brzęk naczyń.

Nawet nie wiedziała, że jest głodna, lecz po chwili stała przed nią zupełnie pusta miska. Westchnęła i spojrzała na Jonasa. Siedział i palił w ciszy.

- Dziękuję - szepnęła cicho.

- Nie ma za co.

Opuchnięte oczy dziewczyny podkreślały jej bezbronność. Jej twarz wciąż była blada pod opalenizną. Jonas poczuł się

nieswojo, bo wbrew sobie pomyślał, że powinien chronić Liz. To była kobieta, przy której należało zachować emocjonalny dystans, by nie ulec jej czarowi. Jeśli się do niej zbliży, przepadnie z kretesem. Nie może się o nią troszczyć, skoro zamierza ją wykorzystać, by pomóc im obojgu. Jonas pomyślał, że od tej chwili musi się bardziej pilnować.

- Chyba wstrząsnęło to mną bardziej, niż przypuszczałam.
- Masz prawo do łez.

Skinęła głową, dziękując mu za to, że nie wyśmiewa jej słabości.

- Nie ma powodu, żebyś tu zostawał.
- I tak nie odejdę.

Liz zacisnęła dłonie w pięści, lecz po chwili pozwoliła im się rozluźnić. Nie potrafiła przyznać nawet przed sobą, że go potrzebuje i że po raz pierwszy od wielu lat boi się zostać sama. Skoro tak się upierał, niech zostanie. Liz postanowiła być praktyczna.

- Dobrze. Dwadzieścia dolarów za tydzień, pierwsza rata z góry.

- Wracasz do siebie - oznajmił z szerokim uśmiechem i położył banknot na stole.

- Posiłki nie są wliczone w cenę - zastrzegła.

- W porządku - zgodził się, patrząc, jak Liz wstaje, podchodzi do zlewozmywaka i zmywa naczynia.

- Klucz dam ci rano - oznajmiła i z wielką uwagą zaczęła

wycierać miskę. - Myślisz, że on wróci? - spytała łamiącym się głosem.

- Nie wiem - odparł, podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach. - Ale jeśli wróci, nie będziesz sama.

Liz spojrzała mu w oczy i Jonas poczuł, że znów traci nad sobą kontrolę.

- Chcesz mnie chronić czy szukasz zemsty? - spytała po prostu.

- Gdy zajmę się jednym, może będę miał okazję zrobić też drugie-powiedział i nawinął końce jej włosów na swoje palce. - Powiedziałaś niedawno, że nie jestem miłym człowiekiem.

- A kim jesteś?

- Po prostu człowiekiem - odparł.

Wiedziała już, że jest pełen sprzeczności. Potrafił być cierpliwy, ale i brutalny. Wywierał wielki wpływ na ludzi.

- Ja też się zastanawiałem, Elizabeth, jaka naprawdę jesteś. Masz wiele sekretów.

- To nie ma z tobą nic wspólnego - szepnęła bez tchu.

- Może tak, może nie.

Jonas bardzo powoli pochylił się nad nią. Zafascynowana patrzyła, jak jego usta zbliżają się do jej warg. Nie mogła się ruszyć. Objął ją z wielką pewnością siebie.

Liz uważała go za gwałtownego człowieka, lecz usta Jonasa były miękkie, ciepłe i potrafiły uwodzić. Już od tak dawna nie pozwalała, by ktoś ją uwodził. Bez specjalnego nacisku ten

mężczyzna sprawił, że znikła jej siła, na której polegała od lat.

Nie miał pojęcia, co go skłoniło do pocałowania Liz, lecz po chwili przestał się nad tym zastanawiać. Zagubił się w słodczy pocałunku. Spodziewał się oporu albo pasji i ognia. A Liz była słodka, uległa i pełna tęsknoty. Pożądanie ogarnęło go z siłą huraganu. Im więcej mu dawała, tym więcej pragnął. Ogarnęła go fala czułości. Wiedział, że dziewczyna go pragnie, czuł to. Ale powinien myśleć za oboje. Mimo że krew mu wrzała, oderwał usta od jej warg.

Dawno zapomniane potrzeby doszły do głosu i odbierały Liz zdolność jasnego myślenia. To się nie może znów stać, pomyślała. Lecz w jej oczach, oprócz wahania i bólu, była też nadzieja. Jonas z trudem opierał się tej mieszance emocji.

- Powinnaś się trochę przespać - powiedział chrapliwie, starając się jej nie dotknąć.

A więc to tak, pomyślała Liz. Niepotrzebnie uwierzyła, że w jej życiu coś się może zmienić. Uniosła podbródek i wyprostowała ramiona. Może straciła kontrolę nad wieloma sprawami, ale wciąż potrafiła zapanować nad swoim sercem.

- Rano dam ci klucz i rachunek. Wstaję o szóstej - oznajmiła, wzięła banknot ze stołu i zostawiła Jonasa samego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwunastu przysięgłych wpatrywało się w Jonasa pustym wzrokiem. Stał przed nimi w małej, dusznej i słabo oświetlonej sali sądowej, która rozbrzmiewała jego głosem. Młody prawnik trzymał całe naręczcie ciężkich ksiąg. Wiedział, że nie może ich upuścić, choć bolały go ręce, a pot spływał z czoła. Prowadził jakąś ważną sprawę i wiedział, że nie może jej przegrać. Rozpoczął mowę końcową. Przysięgli pozostali niewzruszeni. Książki wysunęły się z jego rąk i z łoskotem spadły na ziemię. Werdykt zapadł.

Winny. Winny. Winny.

Pokonany Jonas stał z pustymi rękami. Odwrócił się, by spojrzeć na swojego klienta, którego zawiódł. Okazało się, że patrzy w oczy swemu lustrzanemu odbiciu. Czy to on był oskarżony? A może to Jerry? Zdesperowany Jonas zbliżył się do stołu sędziego. Czekala tu na niego Liz i spoglądała na niego ze smutkiem. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogę ci pomóc - powiedziała i zaczęła rozplýwać się w powietrzu.

Jonas chciał złapać ją za rękę, ale jego palce przeniknęły przez dłoń dziewczyny. Widział już tylko jej wielkie, brązowe, smutne oczy. Po chwili znikła, a wraz z nią Jerry. Został sam z przysięgłymi, którzy na zimnych twarzach mieli wypisane zadowolenie.

Obudził się zlany potem. Otworzył szeroko oczy i spojrział

wprost na półkę pełną lalek. Hiszpańska tancerka unosiła do góry swoje kastaniety, królowa trzymała w dłoni szklany pantofelek, a wesoła lalka Barbie machała do niego ze swojego różowego autka.

Jonas odetchnął głęboko, przesunął dłonią po twarzy i usiadł. Nic dziwnego, że miał dziwne sny. To towarzystwo źle na niego działało. Rozejrzył się wokół siebie. Pod przeciwległą ścianą pyszniła się spora kolekcja pluszowych zabawek. Wszystkie wpatrywały się w niego, poczynając od olbrzymiego misia po coś, co przypominało szczotkę z oczami.

Kawa, pomyślał Jonas, zaciskając powieki. Natychmiast potrzebuję kawy.

Wstał i ubrał się, ignorując uśmiechnięte twarze zabawek. Nie wiedział, od czego ma zacząć. Dźwięki za oknem w niczym nie przypominały mu Filadelfii z jej porannymi korkami i uporządkowanymi skwerami. Gdy zakładał koszulę, moneta zatańczyła na łańcuszku. Żadne prawnicze książki nie podpowiedzą mu, co powinien robić. Nie było też precedensów, do których mógłby się odwołać. Będzie musiał działać na oślep, pomyślał i opuścił pokój Faith.

Liz krzątała się w kuchni ubrana w obcisłą koszulkę i coś, co przypominało dół bikini. Właśnie smarowała masłem grzanekę. Jonas zwykle nie budził się w pełni sił, ale nie byłby mężczyzną, gdyby nie zauważył pary zgrabnych opalonych nóg.

- Kawa jest gotowa - oznajmiła, nawet nie patrząc w jego

stronę. -Jajka są w lodówce. Nie kupuję płatków, gdy nie ma mojej córki.

- Jajka wystarczą - mruknął i sięgnął po kawę.

- Bierz, co chcesz, ale potem kup to samo - powiedziała i włączyła radio, by posłuchać prognozy pogody. - Wychodzę za pół godziny, więc jeśli chcesz, żebym podwiozła cię do hotelu, musisz się pospieszyć.

- Mój samochód został w San Miguel - oznajmił, przytomniejąc z każdym kolejnym łykiem napoju.

Liz usiadła przy stole i zaczęła przeglądać plan dnia.

- Mogę podrzucić cię do „El Presidente” lub innego hotelu przy plaży. Stamtąd będziesz mógł pojechać taksówką.

Jonas sączył kawę i przyglądał się dziewczynie. Wciąż była blada, a cienie pod oczami zdradzały, że nie spała lepiej niż on.

- Nie myślałaś o dniu urlopu?

- Nie - odparła, spojrzała na niego po raz pierwszy tego ranka i po chwili znów zaczęła uważnie przeglądać swój plan dnia.

A więc ich stosunki mają pozostać na stopie zawodowej. Jonas zrozumiał, że Liz nie chce, by znów przekroczył wytyczoną przez nią granicę.

- Nie sądzisz, że przydałaby ci się chwila wytchnienia?

- Mam pracę. Lepiej zajmij się swoim śniadaniem, bo nie zdążysz go zjeść. Patelnia jest w szafce obok kuchenki - powiedziała znad kartki, poczekała, aż Jonas zacznie smażyć

jajecznicę i znów na niego spojrzała.

Poprzedniego wieczoru zachowała się bardzo głupio. Prawie pogodziła się z faktem, że płakała w jego obecności. Za nic w świecie jednak nie mogła przebaczyć ani sobie, ani jemu, że tak łatwo poddała się pocałunkowi Jonasa i pozwoliła sobie mieć nadzieję.

Przez niego poczuła coś, o czym zdołała już niemal zapomnieć. Podniecenie. Chciała od niego czegoś, czego nie zamierzała już nigdy więcej pragnąć od żadnego mężczyzny. Uczucia. Nie odepchnęła go, tak jak innych. Nawet nie próbowała. To on sprawił, że go zapragnęła, a potem ją odepchnął.

Więc lepiej rozmawiać tylko o interesach, pomyślała, gdy Jonas usiadł naprzeciw niej i zaczął jeść.

- Twój klucz i rachunek - powiedziała, kładąc przed nim jedno i drugie.

- Często wynajmujesz pokoje? - spytał, chowając je do kieszeni.

- Nie, ale teraz potrzebuję nowego sprzętu - powiedziała i wstała, żeby dolać sobie kawy i zmyć naczynia. -A ty często wynajmujesz pokój u obcej osoby, zamiast zatrzymać się w hotelu?

- Nie, ale już nie jesteśmy sobie obcy - uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, jesteśmy - upierała się Liz.

- Gdy skończyłem studia prawnicze, zrobiłem aplikację u Neirama i Bakera w Bostonie. Potem rozpocząłem własną praktykę w Filadelfii - oznajmił i sięgnął po sól. - Specjalizuję się w prawie karnym. Nie jestem żonaty i mieszkam sam w wynajętym apartamencie. W wolnych chwilach remontuję stary wiktoriański dom, który niedawno kupiłem.

- I tak jesteście sobie obcy - odparła, jednocześnie zastanawiając się, jak może wyglądać dom, o którym mówił.

- Czy zostaniemy przyjaciółmi, czy nie, łączy nas ten sam problem - odparł wzruszając ramionami.

Liz upuściła kubek, który właśnie myła. Wyszczерbił się nieco, lecz nie zwróciła na to uwagi.

- Masz dziesięć minut - oznajmiła sucho i chciała wyjść z kuchni, lecz Jonas chwycił ją za ramię.

- Naprawdę mamy ten sam problem, Elizabeth - powtórzył poważnie.

- Nieprawda. Chcesz pomścić śmierć brata, a ja chcę żyć jak dawniej - prychnęła rozzłoszczona.

- Myślisz, że wszystko się ułoży, jeśli teraz wyjadę?

- Tak! - przytaknęła gorąco i odwróciła wzrok, wiedząc, że kłamie.

- Gdy cię poznałem, odniosłem wrażenie, że jesteś inteligentną kobietą. Nie wiem, dlaczego się ukrywasz na tej uroczej wysepce, ale rusz głową! To, co cię wczoraj spotkało, wydarzyłoby się także wówczas, gdybym nie pojawił się na

Cozumel.

- No, dobrze. To nie była twoja wina, tylko Jerry'ego. Ale to wcale nie zmienia mojego położenia.

- Dopóki ten człowiek myśli, że wiesz, w co był zamieszany mój brat, stanowisz cel. Póki jesteś celem, zamierzam być przy tobie, bo dzięki temu trafię na mordercę Jerry'ego - powiedział dobitnie Jonas przez zaciśnięte zęby.

- Tym są dla ciebie ludzie? - spytała jadownicę, gdy minęła pierwsza fala gniewu. - Narzędziami? Środkami do celu? - wyrzuciła z siebie i spojrzała na jego zastygłą twarz. - Dla mężczyzn, takich jak ty, liczą się tylko ich własne sprawy.

- Nie znałaś mężczyzn takich jak ja - powiedział ze złością i ujął jej twarz w dłonie.

- Sądzę, że znałam - odparła cicho. - Nie jesteś wyjątkiem, Jonas. Wychowałeś się w dobrobycie i w atmosferze wielkich oczekiwań. Chodziłeś do najlepszych szkół i obracałeś się w doborowym towarzystwie. Ustaliłeś swoje cele i jeśli musiałeś po drodze kogoś skrzywdzić, to cóż, nie powinien tego zbyt brać do siebie. Nie robiłeś tego przecież z osobistych pobudek. To właśnie jest najgorsze - powiedziała i westchnęła. - Nigdy się nie angażowałeś - zarzuciła mu, oderwała jego dłonie od swej twarzy i popatrzyła mu prosto w oczy. - Czego ode mnie oczekujesz?

Jonas jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak podle. W kilku słowach Liz osądziła go i potępiła. Przypomniał sobie swój sen i puste twarze przysięgłych. Zaklął i podszedł do okna. Nie mógł

się teraz wycofać, bo wiedział, że ma rację co do Liz. Była kluczem do rozwiązania zagadki śmierci jego brata.

Wyjrzał przez okno. W ogródku, na tyłach domu, pomiędzy drzewami, wisiał rozpięty hamak w jaskrawych kolorach. Jonas zastanowił się, czy Liz kiedykolwiek pozwoliła sobie tutaj na chwilę relaksu. Nagle zapragnął wziąć ją na ręce, zanieść do ogródka i położyć się z nią w hamaku. Marzył, by jedynym jego problemem stało się odganianie natrętnych owadów. Z głębokim westchnieniem nakazał sobie powrót do rzeczywistości.

- Muszę porozmawiać z Luisem. Chcę wiedzieć, dokąd chodził z Jerryem i kogo spotykali.

- Sama z nim rozmawiam - oznajmiła Liz, kręcąc głową. - Widziałeś, jak zareagował wczoraj na twój widok. Za bardzo się przy tobie denerwuje, by mówić rozsądnie. Poproszę, żeby spisał te wszystkie miejsca, które odwiedzali i osoby.

- Dobrze - przytaknął Jonas, przejrzał kieszenie i rozżościł się, gdy zrozumiał, że zostawił papierosy w sypialni. - Ale musisz ze mną pójść w te miejsca, które wymieni. Zaczniemy już dziś wieczorem.

- Po co? - spytała, czując, jakby wciągały ją ruchome piaski.

- Bo muszę od czegoś zacząć.

- Ale po co ja ci jestem potrzebna?

- Nie mam pojęcia, ile czasu mi to zajmie, a nie zamierzam zostawiać cię samej.

- Jestem pod ochroną policji - przypomniała mu, unosząc brwi.

- To nie wszystko. Znasz język i zwyczaje, ja nie. Potrzebuję cię - powiedział i wetknął ręce do kieszeni. - To proste.

- Nic nie jest proste - zaprzeczyła Liz i zdjęła kawę z palnika. - Ale przyniosę ci listę i pójdę z tobą do tych pubów. Jest tylko jeden warunek.

- Jaki?

- Nieważne, co się stanie, czy odkryjesz to, czego szukasz, czy nie, ale znikniesz z tego domu, gdy wróci moja córka. Daję ci cztery tygodnie, Jonas. To wszystko, co mogę ci ofiarować.

- Cóż, będzie musiało mi to wystarczyć.

Liz potwierdziła ich umowę skinieniem głowy i ruszyła do drzwi.

- Pozmywaj po sobie. Zaczekam na ciebie przed domem - rzuciła przez ramię.

Gdy Jonas wyszedł na zewnątrz, zauważył, że na podjeździe Liz stoi policyjny samochód, a po drugiej stronie ulicy szepcze grupka przejętych dzieciaków. Dziewczyna zawołała jednego z nich po imieniu, poprosiła o coś i podała mu garść monet. Jonas nie musiał znać hiszpańskiego, by rozpoznać spotkanie w interesach. Po chwili chłopiec dołączył do reszty dzieci i zaczął rozdawać monety.

- O co chodziło?

- Poprosiłam, żeby zabawili się w detektywów. Jeśli

zobaczą tu kogoś innego niż ty, ja czy policjant, mają pobiec do domu i zadzwonić do kapitana Moralasa. I tak spędzą tu cały dzień, a to przynajmniej zatrzyma ich z dala od kłopotów.

- Ile im dałaś?

- Po dwadzieścia pesos.

Jonas szybko dokonał niezbędnych przeliczeń i niedowierzająco pokręcił głową.

- Żaden dzieciak w Filadelfii nie podjąłby się żadnego zajęcia za tę kwotę.

- To Cozumel - przypomniała mu i usiadła na skuterze.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Tym jeździsz?

- To świetny środek transportu - oznajmiła, powstrzymując uśmiech na widok jego miny.

- BMW jest świetnym środkiem transportu, ale nie coś takiego...

Liz nie wytrzymała i roześmiała się. Popatrzyła na niego przyjaźnie, a Jonas poczuł, że ziemia nagle uciekła mu spod nóg.

- Spróbuj przejechać swoim BMW po niektórych naszych drogach. Wskakuj, chyba że wolisz pojechać autostopem.

- Co mam zrobić z nogami? - spytał podejrzliwie, gdy już ostrożnie usiadł za Liz.

- Na twoim miejscu trzymałabym je z dala od kół - odparła z uśmiechem, zapaliła silnik i ruszyła powoli, przyzwyczajając się do jazdy z pasażerem.

- Są drogi gorsze od tej? - spytał po chwili Jonas, podskakując na wybojach.

- A co jest nie tak z tą drogą? - zdziwiła się uprzejmie, omijając kolejną dziurę w nawierzchni.

- Tak tylko zapytałem.

Nagle zatrąbiła klaksonem. Starszy, przygarbiony człowiek wychylił się ze sklepu i wesoło jej pomachał.

- To pan Pessado. Daje Faith cukierki, gdy myślą, że nie widzę.

Jonas chciał wypytać Liz o jej córkę, ale postanowił poczekać na bardziej sprzyjającą chwilę.

- Znasz wielu ludzi na wyspie? - zapytał w końcu.

- To chyba jest tak, jak w małym miasteczku. Nie musisz koniecznie kogoś znać, ale rozpoznajesz twarze. Jednak znam parę osób, bo pracowałam kiedyś w hotelu.

- Nie wiedziałem, że twój sklep ma filię w hotelu.

- Bo nie ma - odparła i zwolniła przed skrzyżowaniem. - Pracowałam tam jako sprzątaczką.

Jonas popatrzył na jej delikatne dłonie, oparte na kierownicy. Przyjrzał się wąskim ramionom i szczupłym biodrom, na których właśnie trzymał ręce. Nie mógł sobie wyobrazić tej dziewczyny ze stosem ręczników do zmiany i wiadrem ze ścierką.

- Chyba bardziej pasowałabyś jako recepcjonistka - powiedział w końcu.

- I tak miałam wiele szczęście, że w ogóle znalazłam pracę. Było już po sezonie turystycznym - wyznała i zwolniła, wjeżdżając na hotelowy parking.

Przez chwilę zachwyciała się smukłymi palmami i krzewami obsypanymi kolorowymi kwiatkami. Miała dziś zapisanych pięć osób na kurs nurkowania dla początkujących, ale przez chwilę oddała się marzeniom. Jakby to było przyjechać na wyspę dla odpoczynku i rozrywki, i móc zamieszkać w hotelu takim, jak ten?

- Jak jest w środku?

- Mnóstwo szkła i marmuru - odparł Jonas, patrząc na budynek. - Z mojego balkonu widać morze - dodał, gdy Liz zaparkowała przy krawężniku. - A zresztą, wejdź. Sama zobaczysz.

Liz toczyła ze sobą walkę. Zawsze lubiła ładne rzeczy. Jednak wiedziała, że nie powinna sobie pozwalać na próżne fantazje.

- Muszę jechać do pracy - zdecydowała w końcu.

- Spotkamy się w domu po południu - powiedział Jonas, zsiadł ze skutera, ale zaraz położył dłoń na ramieniu dziewczyny, by nie odjechała. - A wieczorem wybierzemy się do miasta.

Liz skinęła głową, zawróciła i opuściła hotelowy parking. Jonas patrzył za nią, aż ucichł odgłos silnika. Kim naprawdę jest Elizabeth Palmer? I dlaczego coraz bardziej pragnę się tego dowiedzieć? Jonas pokręcił głową w niemym zdumieniu.

Wieczorem Liz padała z nóg. Przywykła przecież do długich godzin pracy w sklepie, nurkowania, prowadzenia wycieczek i sprawdzania sprzętu. Ten dzień nie różnił się od innych, a jednak była naprawdę zmęczona. Powinna czuć się bezpiecznie, gdyż tuż przed wyjściem w morze dowiedziała się, że jeden z jej uczniów jest policjantem, który ma za zadanie ochraniać ją. Powinna cieszyć się, że kapitan Morales dotrzymał danego słowa i jest chroniona. A jednak czuła się tak, jakby zamknięto ją w klatce.

Przez całą drogę powrotną do domu widziała w lusterku policyjny wóz. Miała ochotę wbiec do siebie, rzucić się na łóżko i zasnąć bez snów, ale wiedziała, że Jonas będzie na nią czekał.

Zastała go w salonie. Trzymał na kolanach jakąś prawniczą książkę, przy uchu słuchawkę telefonu, a na twarzy miał nieprzyjemny grymas. Liz domyśliła się, że coś się stało w jego kancelarii. Skoro Jonas był zajęty, miała trochę czasu dla siebie. Poszła wziąć prysznic i przebrać się odpowiednio do wizyty w pubie.

Jej garderoba składała się niemal wyłącznie z rzeczy stosownych na plażę, więc Liz nie miała zbyt dużego wyboru. Szybko włożyła długą bawełnianą spódnicę w elektryzującym błękitnym kolorze i luźną czerwoną bluzkę. Żeby odwlec moment wyjścia z domu, postanowiła zrobić sobie makijaż. Czesła właśnie włosy, gdy do jej sypialni wtargnął Jonas.

- Masz listę?

Zrezygnowana, podała mu kartkę. Powinna nakrzyczeć na niego za fatalne maniery, ale to i tak pewnie nie zmieniłoby jego zachowania.

- Powiedziałaś ci, że będę ją miała - przypomniała mu z westchnieniem.

Niecierpliwym gestem chwycił kartkę i zaczął czytać. Liz wykorzystała tę chwilę, żeby mu się przyjrzeć. Zauważyła, że jest świeżo ogolony. Włożył lekką marynarkę i luźne spodnie w kolorze kości słoniowej. Jednak łagodne kolory i elegancja nie pasowały do zaciśniętych ust i gniewnego spojrzenia.

- Znasz te miejsca?

- Byłam zaledwie w kilku z nich. Nie mam zbyt wiele czasu na chodzenie po barach.

Jonas przyjrzał się Liz. Promienie zachodzącego słońca przydały tajemniczego blasku jej oczom. Delikatny makijaż jeszcze pogłębiał to wrażenie.

- Powinnaś uważać, co robisz z oczami - mruknął i pogładził ją po twarzy. - To jest problem.

- Problem? - zdziwiła się, czując jak jej serce przyspiesza rytm.

- Mój problem -wyjaśnił zakłopotany i schował listę do kieszeni. - Jesteś gotowa?

- Jeszcze tylko buty.

Jonas nie wyszedł z pokoju, jak się spodziewała, lecz zaczął rozglądać się ciekawie dookoła. W końcu zatrzymał wzrok na

fotografii małej, roześmianej dziewczynki. Czarne, lśniące włosy kręciły się lekko na wysokości ucha, przydając uroku okrągłej i opalonej buzi dziecka. Nigdy nie odgadłby, że to córka Liz, gdyby nie oczy. Miały ten sam odcień ciepłego brązu i podobny kształt. Jednak na świat patrzyły z życzliwością i zaufaniem. Nie było w nich śladu tajemnic, które skrywały oczy Liz.

- To twoja córka - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Tak - przytaknęła, założyła drugi pantofel i wyjęła Jonasowi zdjęcie z rąk.

- Ile ma lat?

- Dziesięć. Możemy już iść? Nie chcę wracać zbyt późno.

- Dziesięć? - zdziwił się Jonas. Do tej pory myślał, że Faith może mieć około pięciu lat i być owocem związku, który jej matka zawarła na wyspie. - Nie możesz mieć dziecka w tym wieku.

- Owszem, mogę.

- Sama musiałaś być dzieckiem, gdy ją urodziłaś.

- Nie, nie byłam - odparła spokojnie i ruszyła do drzwi.

- Urodziła się przed twoim przyjazdem na wyspę? - chciał wiedzieć Jonas.

- Byłam od pół roku na Cozumel, gdy urodziła się Faith. Jeśli nadal chcesz, żebym ci pomogła, lepiej już jedźmy. Wypytywanie mnie o moją córkę nie było częścią naszej umowy - powiedziała i obdarzyła go zamyślonym spojrzeniem.

- On był wyjątkowym draniem, prawda? - spytał nagle

Jonas łagodnym tonem.

- Tak - przyznała, krzywiąc usta. - Och, tak.

Nagle pochylił się i pocałował Liz, chociaż sam nie wiedział, dlaczego to zrobił.

- Masz śliczną córeczkę - powiedział dziwnie wzruszony. - Ma twoje oczy.

Liz znów poczuła, że jej pancerz się kruszy. Nic nie mogło go bardziej osłabiać, niż zrozumienie w głosie Jonasa. Jednocześnie nie było w nim współczucia ani litości. Liz się cofnęła.

- Dziękuję - powiedziała sztywno, aby ukryć swoje prawdziwe uczucia. - A teraz już chodźmy, bo muszę jutro bardzo wczesnie wstać.

Pierwszy klub był głośny i zatłoczony. Klientami byli prawie wyłącznie turyści. Zamówili lekką przekąskę i drinki. Jonas liczył na to, że ktoś zareaguje na jego obecność.

- Luis powiedział, że przychodzili tu dość często, bo Jerry wolał się bawić przy amerykańskiej muzyce - mówiła Liz, skubiąc gorące *nachos* i rozglądając się po barze.

Nie było to miejsce, w którym chciałyby spędzać czas. Stoliki stłoczono do granic możliwości, a głośna muzyka była bardzo hałaśliwa. Jednak ludzie wyglądali na zadowolonych, śpiewali wraz z muzyką i zupełnie nie przejmowali się kakofonią dźwięków. Przy stoliku obok siedziała grupka młodych ludzi, eksperymentujących z tequilą, solą i stosem cząstek cytryny. Liz

pomyślała, że czeka ich nazajutrz potworny ból głowy.

Jonas także rozglądał się po klubie. O, tak. To miejsce było zdecydowanie w guście Jerry'ego. Głośnie, wesołe i pełne ludzi.

- Czy Luis wymienił jakichś szczególnych znajomych Jerry'ego?

- Kobiety - wyjaśniła z uśmiechem Liz. - Luis był pod wrażeniem umiejętności Jerry'ego w tej dziedzinie.

- A konkretnie?

- Podobno była jedna, z którą spotykał się najczęściej, ale nie wymieniał jej imienia. Mówił do niej po prostu... kochanie.

- Stara sztuczka - powiedział w roztargnieniu Jonas.

- Sztuczka?

- Jeśli mówi się „kochanie”, można uniknąć mylenia imion. To szalenie ułatwia sytuację.

- Rozumiem - Liz kiwnęła głową i upiła łyk wina.

- Czy Luis ci ją opisał?

- Powiedział tylko, że to była niezła sztuka. Świetne włosy i biodra. To jego słowa - zastrzegła, gdy Jonas obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem. - Powiedział też, że Jerry spotykał się z kilkoma facetami, ale zawsze sam do nich podchodził, więc Luis nie słyszał ich rozmów. Jeden był Amerykaninem, drugi wyglądał na tutejszego. Podobno Jerry miał zwyczaj dotąd chodzić po barach, aż ich spotkał. Zresztą Luis nie zwracał na nich uwagi, bo bardziej skupiał się na paniach.

- A tu? Widywał ich tutaj?

- Luis mówił, że nigdy nie spotykali się dwa razy w tym samym miejscu.

- Dobrze. Dokończ wino. My też odwiedzimy inne puby.

Gdy weszli do czwartego z kolei baru, Liz stwierdziła, że ma dość. Męczył ją zapach papierosów i alkoholu. Niektóre puby były ciche i kameralne, inne tętniły życiem. Twarze spotykanych ludzi wydały jej się podobne do siebie. Wciąż pojawiali się nowi ludzie. Amerykanie, szukający egzotycznej nocnej rozrywki, i cisi wyspiarze, odpoczywający po pracowitym dniu. Jedni siedzieli przy stolikach, inni szaleli na parkiecie. Byli tacy, którzy dysponowali czasem i pieniędzmi, i tacy, którzy siedzieli smętnie nad butelką.

- To ostatni na dziś - oznajmiła Liz, gdy Jonas znalazł wolny stolik.

Mężczyzna spojrział na zegarek. Dochodziła jedenasta. Nocne życie nie rozkwitło jeszcze w pełni.

- Zgoda - powiedział i postanowił czymś ją zająć. - Zatańczmy.

- Tu nie ma miejsca - protestowała Liz, gdy ciągnął ją na parkiet.

- Nic się nie martw - odparł i objął ją ciasno. - Widzisz?

- Od lat nie tańczyłam - mruknęła i uśmiechnęła się. - Jaki jest cel tego wszystkiego? - spytała po dłuższej chwili.

- Jeszcze nie jestem pewien. Może byś się odprężyła? - spytał, czując napięte mięśnie dziewczyny. - Co robisz, gdy nie

pracujesz? - zagadnął lekkim tonem.

- Wtedy myślę o pracy.

- Liz.

- No, dobrze. Czytam. Przeważnie o morzu i jego mieszkańcach. To mnie interesuje.

- Tylko to? - spytał zaczepnie, przyciągając ją jeszcze bliżej, choć Liz sądziła, że to niemożliwe.

Chciała się odsunąć, lecz odkryła, że jest zamknięta w uścisku mężczyzny. Taniec przypominał bardziej łagodne kołysanie i Liz poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

- Nie mam czasu na nic innego - odparła lekko drżącym głosem.

- Brzmi, jakbyś celowo się ograniczała - szepnął jej do ucha.

- Prowadzę firmę - mruknęła, zastanawiając się, czy Jonas ją pocałuje. Jego usta były tak blisko, że niemal czuła ich smak.

- Zarabianie pieniędzy jest dla ciebie takie ważne?

- Musi być - odparła cicho, choć nie bardzo pamiętała, dlaczego tak jest. - Muszę kupić rowery wodne - przypomniała sobie po chwili.

- Rowery wodne? - spytał, patrząc wprost w jej rozmarzone oczy.

- Jeśli nie ubiegnę konkurencji... - zaczęła i urwała, gdyż Jonas pocałował kącik jej ust.

- Konkurencja... - powtórzył.

- Tak... klienci pójdą gdzie indziej. Więc... - znów

przerwała, bo Jonas zaczął całować drugi kącik warg dziewczyny.

- Więc... - odpowiedział.

- Muszę kupić rowery wodne, zanim zacznie się sezon turystyczny - dokończyła wreszcie bez tchu.

- Rozumiem. Ale masz jeszcze kilka tygodni. Przez ten czas moglibyśmy się kochać setki razy - wymruczał i nakrył jej usta swoimi.

Liz drgnęła. Niełatwo było rozszyfrować jej uczucia. Zaskoczenie, opór, pasja. Jonas nie był pewien. Wiedział tylko, że pragnie jej coraz bardziej. Zapomniał o hałaśliwym tłumie wokół nich, głośniejszej muzyce i błyskających światłach. Świat ograniczył się całkowicie do uległych ust dziewczyny.

Liz wiedziała, że stoi w miejscu, lecz miała wrażenie, że wszystko wokół niej wiruje w szalonym tańcu. Muzyka ucichła, ludzie rozmyli się we mgle. Jej ciało było napięte jak struna. Czowała, że wzbiera w niej fala niepowstrzymanej przyjemności. Sięgnęła dłońmi do twarzy Jonasa. Nagle skończyła się nastrojowa ballada i zaczął szybki, taneczny przebój.

- Okropnie nie w porę - mruknął niezadowolony Jonas.

- To prawda - przytaknęła Liz, lecz miała na myśli raczej ogólną sytuację, a nie zmarnowaną okazję do przedłużenia pocałunku. - Co się stało? - spytała, podnosząc wzrok na skupioną twarz Jonasa.

Odwróciła głowę i podążyła za jego spojrzeniem. Obok nich

oszałamiająca kobieta w skąpej, czerwonej sukience przestała tańczyć i wpatrywała się ze zdumieniem w Jonasa. Nagle, bez słowa, porzuciła swego partnera i rzuciła się do wyjścia.

- Chodź - rozkazał Jonas i, nie oglądając się na nią, pobiegł za tajemniczą nieznajomą.

Liz zaczęła przepychać się przez tłum. Gdy wybiegła na ulicę, zobaczyła, że Jonas chwycił właśnie kobietę za ramię.

- Dlaczego uciekłaś? - sapnął zdyszany.

- *Por favor, no comprendo.* Nie rozumiem - wyszeptała zbielełymi ze strachu wargami.

- Sądzę, że doskonale wiesz, o co mi chodzi - syknął i zaczął ciągnąć krzyczącą kobietę w kierunku Liz. - Co wiesz o moim bracie?

- Jonas - zaczęła pobladła ze zgrozy Liz. - Jeśli zamierzasz się zachowywać w ten sposób, zapomnij o mojej pomocy - dokończyła i łagodnie dotknęła ramienia nieznajomej. - *Lo siento mucho.* Przepraszam za niego, niedawno stracił brata. Jerry Sharpe. Znałaś go?

- Ma twarz Jerry'ego - szepnęła. - Ale on nie żyje. Czytałam w gazetach.

- To jest brat Jerry'ego, Jonas. Chcemy tylko z tobą porozmawiać.

Tak jak wcześniej Liz, teraz nieznajoma wyczuła różnicę pomiędzy braćmi. Nigdy nie musiała obawiać się Jerry'ego, bo była od niego sprytniejsza. Jednak z tym mężczyzną sprawa

miała się zupełnie inaczej.

- Nic nie wiem.

- *Por favor*. Proszę, tylko kilka minut.

- Powiedz, że jej się to opłaci - zażądał Jonas i, nie czekając, aż Liz przetłumaczy jego słowa, wyjął z portfela banknot.

Kobieta dostrzegła pieniądze, skinęła głową i wskazała pobliską kawiarnię.

- Spytaj ją, jak ma na imię - poprosił Jonas, gdy już zamówił dwie kawy i kieliszek wina.

- Znam angielski - odezwała się nagle nieznajoma i sięgnęła po długiego, cienkiego papierosa. - Nazywam się Erika. Jerry i ja byliśmy przyjaciółmi - wyjaśniła, odprężyła się nieco i posłała Jonasowi znaczący uśmiech. - Dobrymi przyjaciółmi.

- Rozumiem - skinął głową.

- Był przystojny - powiedziała, przygryzając dolną wargę. - I umiał się dobrze bawić.

- Długo go znałaś?

- Kilka tygodni. Było mi przykro, gdy dowiedziałam się, że nie żyje.

- Został zamordowany- oznajmił Jonas, przyglądając się uważnie Ericie.

- Myślicie, że to przez tę forszę? - spytała i napiła się wina.

Jonas zaskoczony drgnął. Posłał ostrzegawcze spojrzenie Liz i zaczął ostrożną rozmowę.

- Na to wygląda. Co ci powiedział?

- Och, wystarczająco dużo, by mnie zaintrygować. Sam wiesz, jak jest - zwróciła się do Jonasa, który podał jej ogień. - Jerry był czarujący. I hojny - dodała, wspominając cienką złotą bransoletkę i kolczyki z błękitnymi kamieniami, które od niego dostała. - Myślałam, że jest bogaty, ale powiedział, że wkrótce zdobędzie jeszcze więcej forsy. Lubię czarujących mężczyzn, szczególnie kiedy mają dużo pieniędzy. Jerry obiecał, że gdy skończy swoje sprawy, zabierze mnie na długą wycieczkę - wyznała, wydmuchnęła dym i wzruszyła ramionami. -A teraz nie żyje.

Jonas sączył swoją kawę i przyglądał się dziewczynie. Rzeczywiście, jak powiedział Luis, była z niej niezła sztuka. W dodatku nie była głupia.

- Wiesz, kiedy miał zdobyć te pieniądze?

- Jasne. Musiałam wiedzieć, kiedy mam wziąć wolne, skoro mieliśmy wyjechać. Zadzwoił do mnie w... niedzielę. Był bardzo z siebie zadowolony. Powiedział, że rozbił bank. Byłam na niego zła, że nie przyszedł do mnie w sobotę. Spytał, czy jak wróci z Acapulco, wyskoczymy na trochę do Monte Carlo - uśmiechnęła się i zatrzepotała rzesami. - Co miałam zrobić? Dałam się przeprosić i spakowałam się. Mieliśmy wyjechać we wtorek. W poniedziałek wieczorem przeczytałam w gazecie, że Jerry nie żyje. Nie było tam nic o forsie.

- Wiesz, z kim prowadził interesy?

- Nie. Czasem spotykał się z chudym Amerykaninem o

bardzo jasnych włosach. Kiedy indziej z jakimś Meksykaninem. Ten mi się nie podobał. Miał *mal ojo*.

- Złe oko - przetłumaczyła Liz. - Możesz go opisać?

- Brzydki - stwierdziła od razu Erika. - Z dziobatą twarzą. Miał krótkie włosy, ale z tyłu opadały mu na kark. Niski i chudy. A ja wolę wysokich mężczyzn - stwierdziła nagle i uśmiechnęła się kokieteryjnie do Jonasa.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Nie, ale wiem, że się świetnie ubiera. Drogie garnitury, dobre buty. Nosi na przegubie srebrną bransoletę. Bardzo ładna, jakby pleciana. Myślicie, że on coś wie o forsie? Jerry mówił, że jest tego dużo.

- Chcę wiedzieć, jak się nazywa - powiedział Jonas i wyciągnął kolejny banknot z portfela. - Chcę jego nazwisko i nazwisko tego Amerykanina - oznajmił, przytrzymując dłoń Eriki, zanim zabrała pieniądze.

- Dowiem się - obiecała i chwyciła banknot. - A kiedy się dowiem, dasz mi jeszcze jedną pięćdziesiątkę.

- Dobrze - Jonas kiwnął głową i zapisał numer telefonu Liz na odwrocie swej wizytówki. - Zadzwoń, gdy się czegoś dowiesz.

- Jasne - zgodziła się Erika, schowała pieniądze do torebki i wstała. - Wiesz, nie jesteś tak podobny do Jerry'ego, jak mi się w pierwszej chwili wydawało - powiedziała i wyszła z kawiarni, stukając wysokimi obcasami.

- To przynajmniej jakiś początek - mruknął Jonas i spojrzał

na Liz, która przyglądała mu się z powagą. - O co chodzi?

- Nie podobają mi się twoje metody.

- Nie mam czasu na uprzejmości - odparł i wzruszył ramionami, rzucając na stół kolejny banknot.

- A co byś zrobił, gdybym jej nie uspokoiła? Zaciągnął do ciemnego kąta i wydusił z niej zeznania?

Jonas zwalczył w sobie pokusę kłótni. Zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

- Wracajmy do domu, Liz.

- Zastanawiam się właśnie, czy różnisz się czymkolwiek od człowieka, którego ścigasz - powiedziała i wstała od stolika. - Jeśli chcesz wiedzieć, to człowiek, który włamał się do mojego domu i napadł mnie, nosił właśnie taką bransoletę. Poczułam ją, zanim przyłożył mi nóż do gardła.

Zobaczyła, że Jonas podnosi na nią zamyślane spojrzenie. W jego oczach dostrzegła lodowaty chłód.

- Sądzę, że rozpoznacie się nawzajem, gdy nadejdzie właściwa chwila.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Zawsze sprawdzajcie swoje wskaźniki ciśnienia powietrza i głębokości - poinstruowała kursantów Liz, pokazując im kolejne elementy sprzętu do nurkowania. - Każdy z nich jest ważny dla waszego bezpieczeństwa, bez względu na to, czy to wasze pierwsze, czy pięćdziesiąte zanurzenie. Bardzo łatwo zapomnieć o tym, gdy otoczą was ryby i będziecie oglądali rafę, ale pod wodą zależycie od powietrza w butli. Powinniście zacząć się wynurzać, kiedy zauważycie, że strzałka ciśnieniomierza znalazła się w czerwonym polu.

To chyba wszystko, pomyślała Liz. Gdyby chciała jeszcze przedłużyć godzinny wykład, nowicjusze byliby zbyt zniecierpliwieni, żeby słuchać. Pora dać im to, na co czekają, zdecydowała.

- Nurkujemy grupowo. Jeśli ktoś zechce się oddalić, niech zabierze ze sobą kogoś do pary. Teraz każdy sprawdza swój sprzęt.

Kursanci posłusznie wykonywali jej polecenie, a ona w tym czasie zaczęła zakładać swój pas balastowy. Zawsze zachowywała wszystkie wymagania bezpieczeństwa, bo wiedziała, że większość wypadków pod wodą wynika z beztroski. Dlatego jej kursanci musieli wiedzieć, jak się zachowywać pod wodą. Bardzo o to dbała.

- Ta grupa-zaczął Luis, zakładając swoją kamizelkę - jest zupełnie zielona.

- Tak - przytaknęła. - Luis, miej na oku tę parę nowożeńców. Są bardziej zainteresowani sobą, niż wskaźnikami.

- Nie ma sprawy- zgodził się i przytrzymał butle Liz, aby ułatwić jej założenie kamizelki. - Wyglądasz na zmęczoną - zauważył.

- Nie. Wszystko w porządku.

- Jesteś pewna? - spytał i popatrzył na sińce na szyi dziewczyny.

- Dzięki za troskę - odparła Liz i przypięła swój nóż.

- Mówię poważnie. Martwię się o ciebie.

- Policja ma wszystko pod kontrolą - odparła, patrząc na starszego mężczyznę, który usiłował właśnie założyć pletwy. To był jej dzisiejszy ochroniarz.

Gdy tylko spojrzała na policjanta, zaczęła myśleć o Jonasie. Nie była zaskoczona jego zachowaniem wczoraj wieczorem, ponieważ drzemiacą w nim siłę i gwałtowność wyczuwała od początku. Jednak zrobiło jej się nieprzyjemnie, kiedy spostrzegła wyraz jego twarzy w czasie szarpaniny z Eriką. Nie знаła go na tyle, by wiedzieć, czy uda mu się pohamować swoją porywczosć. Jonas pragnie zemsty, pomyślała Liz. Widziała w jego oczach, że w końcu dopnie swego. Łódź zakołysała się łagodnie i Liz wróciła do rzeczywistości. Nie powinna o nim teraz myśleć, skoro ma przed sobą dzień pełen zajęć.

- Panno Palmer - zwrócił się do niej szczupły Amerykanin z szerokim uśmiechem. - Czy sprawdzi pani mój ekwipunek?

- Oczywiście - przytaknęła.

- Trochę się denerwuję. Jeszcze nigdy tego nie robiłem.

- Odrobina strachu nie zaszkodzi. Będziesz bardziej ostrożny. Mów mi po imieniu. Mam na imię Elizabeth. A teraz załóż maskę. Upewnij się, że dobrze przylega, ale nie ściągaj pasków zbyt mocno.

- Jeśli to możliwe, chciałbym płynąć blisko ciebie - wybuczał przez maskę.

- Po to jestem - odparła Liz z uśmiechem. - Głębokość dziesięć metrów - oznajmiła grupie. - Pamiętajcie, by przedmuchać uszy i poprawić maskę. Trzymajcie się w polu widzenia - poprosiła po raz ostatni, usiadła na burcie i ześliznęła się do wody.

Była w pobliżu łodzi, dopóki Luis nie pomógł ostatniemu turyście znaleźć się w wodzie. Potem dała mu sygnał, że wszystko w porządku i zanurkowała.

Liz zawsze uwielbiała to uczucie nieważkości. Przez chwilę zachwycała się widokiem, który się wokół niej roztoczył. Białe dno było głęboko pod nią, a Liz wisiała jakby pod sufitem wysokiej katedry. Machnęła lekko płetwami i dołączyła do swoich kursantów.

Nowożeńcy trzymali się za ręce i próbowali obejrzeć wszystko naraz. Policjant zanurzał się ze stateczną powolnością, niczym olbrzymi morski żółw. Cały czas patrzył w jej stronę. Reszta grupy trzymała się razem, zaciekawiona widokami, lecz

ostrożna. Szczupły Amerykanin popatrzył na nią z mieszaniną zachwytu i strachu i podpłynął bliżej. Liz położyła mu dłoń na ramieniu i wskazała w górę. Gdy mężczyzna podniósł głowę, ujrzał słoneczne błyski, które smugami światła wdzierały się pod wodę. Widać było dno łodzi. Liz wskazała mu teraz kierunek w dół. Kiwnął głową i już nieco spokojniej popłynął za nią w kierunku dna.

Ryby, nie okazując strachu, przepływały obok nurków pojedynczo lub całymi ławicami. Na tle bieli piasku kolory rafy oszałamiały różnorodnością. Pomiedzy żółtymi gąbkami i czerwonymi koralami pływały barwne rybki. Korale w kształcie wachlarzy przyciągały wzrok łagodnym kołysaniem. Liz wskazała kursantom grupę srebrzystych rybek, które poruszały się jak jeden wielki organizm.

Ten świat Liz rozumiała doskonale. Może nawet lepiej niż ten na powierzchni. Uwielbiała ciszę i spokój panujące pod wodą. W jej umyśle pojawiały się naukowe nazwy ryb, roślin i formacji dna, które mijala. Kiedyś pilnie przyswajała sobie wiedzę o morzach i oceanach, by móc przekazywać ją innym. Wydawało się, że to jej marzenie nie mogło się spełnić. Jednak uparta Liz znalazła możliwość obcowania ze światem, który ją tak pociągał. Odkrywała tajemnice morza turystom, którzy wykupili u niej lekcje nurkowania. Zadowalała się zapewnieniem im niezapomnianych przeżyć pod wodą.

Nagle jej wzrok przyciągnęła chmura piasku, wzbijająca się

z dna. Zasygnalizowała niebezpieczeństwo i wskazała nieświadomym kursantom płaszczkę, która rozdrażniona ich wtargnięciem poderwała się z dna. Ryba odpłynęła majestatycznie, machając płetwami, które przypominały rozpięte skrzydła.

Nurkowie powoli ośmielili się i zaczęli badać okolicę na własną rękę. Przy Liz został tylko szczupły Amerykanin i policjant. Niedaleko młody małżonek popisывał się przed żoną, fikając w wodzie koziołki. Co jakiś czas Liz podpływała do swych podopiecznych, upewniała się, czy wszystko jest w porządku i wskazywała im co ciekawsze widoki. Pilnowała jednocześnie wskaźników i po pewnym czasie zaczęła zbierać grupę.

Po wynurzeniu i wdrapaniu się na pokład zasypali ją lawiną pytań.

- Kiedy znów zanurkujemy? - padały pytania.

- Spokojnie, najpierw musimy trochę odpocząć i pozwolić waszym organizmom wrócić do równowagi po pierwszym zanurzeniu - odparła ze śmiechem.

- Co to było, takie dziwnie poskręcane? - dopytywał się jeden z uczestników. - Wyglądało, jak łysawy krzak.

- To gorgonia. Nazwa pochodzi od mitologicznej Gorgony - tłumaczyła Liz. - Jeśli pamiętacie, tamta istota miała zamiast włosów węże. Ten koralowiec kształtem przypomina węzowe sploty, stąd jego nazwa.

Liz odpowiedziała jeszcze na wiele podobnych pytań. Po

chwili zauważyła, że szczupły Amerykanin siedzi sam z niepewnym uśmiechem na twarzy. Zakrzętnęła się wokół sprzętu i usiadła obok niego.

- Świetnie ci poszło - powiedziała.

- Naprawdę? - zdziwił się i wzruszył ramionami. - Podobało mi się, ale czułem się pewniej, wiedząc, że jesteś w pobliżu. Widać, że wiesz, co robisz.

- Zajmuję się tym od dawna.

- Nie chcę być wścibski - zastrzegł, rozpinając skafander. - Ale ty chyba nie jesteś stąd, co?

- To prawda - zgodziła się Liz i przypomniała sobie, jak wiele razy odpowiadała już na podobne pytania.

- A skąd pochodzisz?

- Z Houston.

- O, kurczę, chodziłem tam do szkoły!

- Ja też, niezbyt długo.

- Jaki ten świat mały - powiedział z zadowoleniem. - Jaki kierunek wybrałaś?

- Biologię morską - odparła, patrząc z uśmiechem na rozkołysaną powierzchnię wody.

- To nawet pasuje.

- A ty?

- Księgowość - powiedział z uśmiechem. - Zawsze wybieram się na urlop po zakończeniu sezonu podatkowego.

- Cóż, nie mogłeś wybrać sobie lepszego miejsca na

odpoczynek.

- Słuchaj, a może umówiłabyś się ze mną na drinka, gdy wrócimy?

Mężczyzna był dość przystojny i miły, lecz Liz nie miała ochoty się z nim umówić. Posłała mu przepaszający uśmiech i wstała.

- Wybacz, ale jestem dziś dość zajęta.

- Będę tu kilka tygodni. Może innym razem?

- Może - odparła wymijająco i szybko odeszła w kierunku grupki kursantów.

Kiedy łódź przybijała do brzegu, było wczesne popołudnie. Zadowoleni wycieczkowicze, rozmawiając z ożywieniem, zeszli na brzeg. Na łodzi został policjant pilnujący Liz i szczupły Amerykanin. Liz pomyślała, że może zbyt ostro go potraktowała.

- Mam nadzieję, że się dobrze bawiłeś...

- Scott. Scott Trydent. Tak, bardzo mi się podobało. Może jeszcze kiedyś spróbuję ponurkować.

- Po to tu jesteśmy - powiedziała z uśmiechem i zaczęła pomagać przy rozładunku łodzi.

- Hm, słuchaj... Dajesz może prywatne lekcje?

- Czasami - odparła, zastanawiając się dla odmiany, czy jednak nie potraktowała go zbyt łagodnie.

- Więc może moglibyśmy...

- Hej! Witam panienkę!

- Pan Ambuckle.

Jej najlepszy klient stał na pomoście w skafandrze do nurkowania. Obok niego krążyła zniecierpliwiona żona w kostiumie kąpielowym.

- Właśnie wróciłem. Co za dzień! -zawołał radośnie.

Wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Jego żona spojrzała na Liz i wzniosła oczy do góry.

- Może powinnam zatrudnić pana u siebie? - zastanowiła się na głos rozbawiona Liz.

- Chyba po prostu uwielbiam nurkować - oznajmił, klepiąc się z uciechy po kolanach. - Muszę wymienić butle. Dasz mi świeże, złotko?

- Znów pod wodę?

- W nocy. Ale nie mogę namówić na to żoneczki - poskarżył się, dobrotliwie poklepując swoją połowicę po ramieniu.

- Zamierzam położyć się do łóżka z dobrą książką - oznajmiła kobieta. - Jedyna woda, która mnie teraz interesuje, znajduje się w mojej wannie.

- W tej chwili myślę tak samo - zaśmiała się Liz i wskoczyła na pomost. - Och, zapomniałam. Proszę państwa, to jest Scott Trydent. Właśnie odbył pierwszą lekcję nurkowania.

- No proszę - zachwycił się Ambuckle. - No i jak?

- Cóż, ja...

- Nie ma nic przyjemniejszego, co? Powinieneś spróbować nurkowania nocą, chłopcze. To zupełnie inna historia.

- Jestem pewien, że tak, ale...

- Muszę wymienić butle - oznajmił nagle Ambuckle i skierował się w stronę wypożyczalni Liz.

- On ma obsesję na punkcie nurkowania-westchnęła jego żona. -Niech pan nie pozwoli mu się zaciągnąć na wyprawę. Nie będzie pan miał ani chwili spokoju.

- Nie pozwolę. Miło było mi państwa poznać - powiedział nieco oszołomiony Scott i popatrzył za panią Ambuckle, która poszła w stronę swojego hotelu. - Co za para!

- Och, tak - zachichotała Liz, zabrała butle i skierowała się w stronę wypożyczalni. - Do zobaczenia, panie Trydent.

- Scott - poprawił ją. - A co do tego drinka...

- Dziękuję - pokręciła głową i zostawiła go na pomoście.

Gdy znalazła się w sklepie, odszukała Luisa.

- Wszystko gra?

- Właśnie sprawdzam. Wskaźnik ciśnienia tej butli szaleje.

- Odłóż ją na bok. Jose potem to sprawdzi - powiedziała i od razu zaczęła napełniać swoje butle. -Wszystkie łodzie wróciły, Luis. Nie powinno już być ruchu. Ty i reszta możecie iść do domu. Ja pozamykam.

- Mogę zostać dłużej.

- Wczoraj ty zamykałeś - przypomniała mu. - Co ci się stało? Wyrabiasz nadgodziny? Idź do domu, Luis. Nie wierzę, że nie masz dziś randki - dodała z uśmiechem.

- W gruncie rzeczy... - zaczął i pogładził swój cienki, czarny wąsik.

Liz zachichotała.

- Więc idź do domu i zrób się na bóstwo. Ja mam dziś randkę z księgami rachunkowymi.

- Za dużo pracujesz - mruknął Luis pod nosem.

- Od kiedy? - Liz zdziwiła się jego komentarzem.

- Od zawsze, a jeszcze więcej po odjeździe małej. Z roku na rok pracujesz coraz ciężiej. Lepiej by było, gdyby Faith wcale stąd nie wyjeżdżała.

- Jest szczęśliwa u dziadków w Houston-powiedziała chłodno. - Gdybym sądziła, że jest inaczej...

- Ona jest szczęśliwa, ale ty?

- Czy wyglądam na nieszczęśliwą? - spytała Liz, sięgając po klucze do szuflady.

- Nie - przyznał i położył jej dłoń na ramieniu. Pracował z Liz od lat i wiedział, że nie może przekraczać pewnych granic. - Ale nie wyglądasz też na szczęśliwą. Dlaczego nie poderwiesz któregoś z tych przystojniaczków? Ten szczupły Amerykanin od rana wodził za tobą wzrokiem.

- Myślisz, że bogaty Amerykanin, to moja droga do szczęścia? - zapytała ze śmiechem.

- Może lepiej wybierz przystojnego Meksykanina - zażartował, wypinając pierś.

- Pomyślę o tym, gdy skończy się sezon turystyczny - obiecała. - Teraz idź do domu.

- Idę, idę - mruknął i założył koszulkę. - Lepiej uważaj na

tego Jonasa Sharpe'a. Ma dziwne oczy.

- Miłego wieczoru - pożegnała go Liz, udając, że nie dosłyszała jego słów.

Gdy została sama, zaczęła obserwować plażę. Ludzie chodzili dwójkami, małżeństwa odpoczywały na leżakach, jakaś para całowała się w cieniu palm. Czy przyjemnie jest być częścią związku? Jest się nadal sobą, czy traci się tożsamość, zastanawiała się Liz.

O swych rodzicach myślała zawsze jako o osobnych ludziach, lecz gdy pomyślała o jednym, zaraz i drugie przychodziło jej na myśl. Czy świadomość, że jest ktoś obok ciebie może sprawiać przyjemność?

Przypomniała sobie zachowanie Jonasa. O nie, to nie jest łatwy partner. Związek z nim byłby wymagający. Kobieta musiałaby być na tyle silna, by nie zatracić całkowicie swej tożsamości. Związek z Jonaszem byłby nieustannym ryzykiem.

Przez chwilę wyobrażała sobie, jakby to było być tuloną i całowaną, jakby nic innego w życiu nie liczyło się bardziej. Mieć to dla siebie zawsze, przez całe życie. Czy nie jest to warte ryzyka?

Głupia, skarciła się w duchu. Jonas nie szuka partnerki, a ona nie powinna oddawać się niemądrym marzeniom. Los zetknął ich na chwilę, lecz każde z nich ma swoje własne miejsce na ziemi.

Żeby się pozbyć niechcianych uczuć, zaczęła szykować się

do wyjścia. Dokumenty, czeki i gotówka zostały umieszczone w płóciennym worku, który powinna odwieźć do depozytu w banku. Nie chciała teraz przechowywać pieniędzy w domu.

Gdy skończyła, przypomniała sobie, że nie odstawiła swoich butli na miejsce. Schowała worek pod ladę i sięgnęła po klucze. Sprzęt był jedynym luksusem, na który sobie pozwoliła. Kosztował więcej niż cała zawartość jej szafy. Zresztą dla Liz skafander do nurkowania był milszy niż suknia balowa. Swój ekwipunek trzymała w oddzielnej szafce. Teraz ją otworzyła i odwiesiła skafander, pas balastowy, odłożyła na półkę maskę, nóż i konsolę ze wskaźnikami. Na koniec wstawiła butle i zamknęła szafkę. Spojrzała na klucze i coś ją zastanowiło. Nie wiedząc jeszcze, o co dokładnie chodzi, zaczęła przesuwając na kółeczku każdy klucz i przypominać sobie, który do czego pasuje.

Miała klucze do drzwi sklepu, witryny, skutera, zamku do łańcucha zabezpieczającego, do kasy, do frontowych i tylnych drzwi domu, i do szafki ze sprzętem. Osiem kluczy do ośmiu zamków. Ale na jej kółku był jeszcze jeden maleńki, srebrny kluczyk.

Zdziwiona, jeszcze raz przeliczyła klucze. Znów został jej jeden dodatkowy. Dlaczego wraz z jej kluczami był spięty ten jeden, który z pewnością do niej nie należał? Liz zastanowiła się, czy przypadkiem nie dostała go od kogoś na przechowanie. Nie, to nie miało sensu. Ze ściągniętymi w zamyśleniu brwiami

przyjrzała mu się jeszcze raz. Za mały do samochodu czy mieszkania. Wyglądał raczej jak kluczyk do jakiejś szafki, skrzynki albo... To nie mój klucz, a jednak wisi na moim kółku, pomyślała. Dlaczego?

Bo ktoś go tu powiesił, odpowiedziała sobie. Jej klucze często zostawały w sklepowej szufladzie, bo czasem pracownicy otwierali przecież kasę. A Jerry często zostawał sam w wypożyczalni, pomyślała w nagłym olśnieniu.

Po plecach dziewczyny przebiegł zimny dreszcz, gdy chowała klucze do kieszeni. „Siedzisz w tym po uszy, czy ci się to podoba, czy nie”, przypomniała sobie słowa Jonasa.

Liz zamknęła sklep wcześniej niż zwykle.

Jonas wszedł do małego, obskurnego baru, w którym unosił się zapach czosnku i skrzypiało stare radio. Ktoś śpiewał po hiszpańsku o wiecznej miłości. Przez chwilę stał bez ruchu, pozwalając oczom przystosować się do przyćmionego światła. W końcu rozejrzał się uważnie. Tak jak się umówili, Erika siedziała w rogu sali.

- Spóźniłeś się - powiedziała i pomachała mu przed twarzą nie zapalonym papierosem.

- Trochę zabłądziłem. Ten bar nie znajduje się przy żadnej trasie turystycznej.

- Wolałam mieć trochę prywatności - wyznała i z lubością zaciągnęła się dymem, gdy Jonas podał jej ogień.

Rzeczywiście w pubie nie było specjalnego ruchu. Przy stoliku siedziała pogrążona w rozmowie para, a przy barze stało tylko dwóch mężczyzn.

- Prywatności? No, to ci się udało - powiedział i zamówił jej tequilę z cytryną, a dla siebie gazowaną wodę. - Powiedziałaś, że masz coś dla mnie.

- A ty mówiłaś, że dasz mi pięćdziesiąt dolarów za nazwiska - przypomniała, bawiąc się pierścionkiem.

Jonas bez słowa wyjął banknot, lecz nie podał go dziewczynie.

- Znasz nazwiska?

- Może - powiedziała i pociągnęła łyk alkoholu. - Ale może pragniesz ich tak bardzo, że dostanę po jednym za każde? - zastanowiła się na głos i spojrzała na banknot.

Jonas obrzucił ją chłodnym spojrzeniem i uznał, że uroda Eriki jest, niestety, dość wulgarna. Ale właśnie taki typ kobiet podobał się jego bratu. Mógł dać jej jeszcze jedną pięćdziesiątkę, ale nie zamierzał wyjść na frajera. Bez słowa schował pieniądze i ruszył do wyjścia. Był już w połowie drogi, gdy usłyszał jej głos.

- Och, nie wściekaj się. Niech będzie jeden banknot - powiedziała z uśmiechem, wiedząc, że tym razem okazja przepadła. - Dziewczyna musi jakoś zarabiać, no nie? Ten z dziobatą twarzą to Pablo Manchez.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Chciałaś tylko nazwisko. Jonas skinął

głową i podał jej banknot. Złożyła go starannie i włożyła do torebki.

- Powiem ci coś jeszcze, bo lubiłam Jerry'ego - oznajmiła nagle i pochyliła się nad stolikiem. - Ten Manchez to nic dobrego. Ludzie robili się nerwowi, gdy zaczynałam o niego pytać. Podobno w zeszłym roku był zamieszany w jakieś morderstwa w Acapulco. Płacą mu, żeby... wiesz, co. Kiedy to usłyszałam, przestałam pytać - wyznała szeptem.

- A ten drugi?

- Nikt go nie zna. Ale jeśli prowadzi się z Manchezem, to z pewnością żaden z niego skaut- stwierdziła i znów się napiła. - Jerry wpakował się w jakąś aferę.

- Chyba tak.

- Przykro mi - powiedziała i poprawiła bransoletkę. - Dał mi ją w prezencie. Dobrze nam było razem.

Jonas poczuł ucisk w gardle. Wstał, zawahał się i położył jeszcze jeden banknot przed dziewczyną.

- Dziękuję.

Erika chwyciła go szybko i złożyła równie porządnie, co poprzedni.

- *De nada*. Nie ma za co.

Liz chciała, żeby Jonas był w domu. Gdy go nie zastała, ścisnęła klucze w dłoni i zakląła. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Przez całą powrotną drogę do domu widziała w

lusterku policyjny samochód, a teraz przed jej domem zmieniali się ochroniarze.

Jak długo policja będzie uczestniczyła w jej życiu? Liz zamknęła w biurku płócienny worek z gotówką i czekami. Zaprzętnięta sprawą tajemniczego kluczyka, nie miała głowy, aby pojechać do banku. Prędzej czy później Morales zabierze mi obstawę, pomyślała. I co wtedy? Spojrzała tępo na kluczyk. Zostanę sama, odpowiedziała sobie. Trzeba coś z tym zrobić.

Powodowana impulsem, pobiegła do pokoju Faith. Może Jerry zostawił jakąś skrzynkę, którą przeoczyła policja? Systematycznie przeszukała szafę córki. Na jej dnie znalazła tylko starego misia. Liz kupiła tę zabawkę jeszcze zanim urodziła dziecko. Miś kiedyś miał piękny bordowy kolor, ale po latach nieco wypłowiał. Szwy lada chwila mogły puścić, a zamiast ucha sterczał strzępek materiału. Faith zawsze nosiła misia za to ucho. Liz uświadomiła sobie, że nigdy nie dały misiowi imienia. Córeczka mówiła o misiui: mój, i to jej wystarczało. Liz poczuła, że zalewa ją fala tęsknoty. Mocno przytuliła do piersi pluszową zabawkę.

- Och, kochanie, tak strasznie za tobą tęsknię - wymruczała. - Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam.

- Liz?

Zaskoczona dziewczyna oparła się o drzwi szafy i schowała misia za plecami. W drzwiach sypialni stał Jonas.

- Nie słyszałam, kiedy wszedłeś - powiedziała, wstydzając się

chwili słabości.

- Byłaś zajęta - powiedział i łagodnie wyjął jej misia z rąk. - Wygląda na kochanego.

- Jest stary - powiedziała, odchrząknęła i odebrała mu pluszaka. - Chciałam go zaszyć, zanim całkiem się rozpadnie - wyjaśniła i odłożyła misia na półkę. - Wychodziłeś gdzieś?

- Tak - przytaknął, ale nie powiedział jej o spotkaniu z Eriką. - Wróciłaś dziś wcześniej - zauważył.

- Znalazłam coś - odparła i wyciągnęła klucze z kieszeni. - Ten nie jest mój.

- I odkryłaś to dopiero dziś?

- Tak, ale mógł zostać przypięty już dawno. Mogłam go nie zauważyć - powiedziała, odpięła klucz od reszty i podała go Jonasowi. - Gdy jestem w pracy, klucze leżą w szufladzie. W domu zwykle zostawiam je na kuchennym blacie. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś mi go przypiął. Myślisz, że mógł należeć do Jerry'ego?

- To w jego stylu.

- Chyba nic nam po nim, skoro nie wiemy, do jakiego zamka pasuje.

- Nie jest trudno zgadnąć - powiedział i uniósł go do światła. - To klucz do skrytki bankowej - dodał, wskazując na wytłoczony numer.

- Sądzisz, że kapitan Morales dowie się, do której?

- Pewnie tak - mruknął Jonas i zacisnął pięść. - Ale na razie

mu go nie oddam.

- Dlaczego? - zdziwiła się Liz.

- Bo mi go zabierze, a ja zamierzam najpierw zbadać zawartość depozytu.

- Chcesz chodzić od banku do banku i prosić, aby pozwolili ci go wypróbować? - spytała ze złością. - Nie musisz więc wcale dzwonić na policję, bank sam się tym zajmie.

- Mam pewne znajomości, a tu jest numer seryjny. Przy odrobinie szczęścia jutro będę wiedział, co to za bank. Może będziesz musiała wziąć kilka dni wolnego.

- Nie mogę. A zresztą, po co miałabym brać urlop?

- Jedziemy do Acapulco - oznajmił nagle.

- Dlatego, że Jerry powiedział Erice, że ma tam interes do załatwienia?

- Jeśli był zamieszany w jakąś podejrzaną sprawę, a miał coś cennego, z pewnością wolał to ukryć. Skrytka bankowa w Acapulco, to brzmi rozsądnie.

- Dobrze. Jeśli uważasz, że to prawda, życzę ci miłej podróży- powiedziała i chciała wyjść z pokoju, lecz Jonas zatarasował przejście.

- Pojedziemy razem.

Razem. To słowo przypomniało jej pary na plaży i przemyślenia o zawieraniu związków. Przypomniała też sobie, do jakich doszła wniosków.

- Jonas, pomyśl. Nie mogę przecież rzucić wszystkiego i

gonić za jakimiś cieniami. Poza tym w Acapulco nie będziesz potrzebował tłumacza, tam prawie wszyscy znają język angielski.

- Klucz był na twoim kółku. Nóż był na twoim gardle. Masz być tam, gdzie będę mógł cię pilnować.

- Martwisz się o mnie? - zapytała z ironią w głosie. - Nie sądzę. Jedyne, co cię naprawdę interesuje, to zemsta. A ja nie chcę ani zemsty, ani ciebie w moim życiu.

- Oboje wiemy, że to nieprawda - powiedział, ujął Liz za ramiona i zapatrzył się na jej usta. - To się samo nie skończy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - burknęła, odwracając wzrok.

- Sądzę, że wiesz - powiedział i mocno przycisnął ją do siebie. - Przyjechałem tu w pewnym celu i zamierzam go osiągnąć. Nic mnie nie obchodzi, że nazywasz to zemstą.

- A co to może być innego? - spytała, przewyciężając suchość w gardle.

- Sprawiedliwość.

Liz poczuła się niezręcznie. Ona sama też szukała sprawiedliwości ze względu na Faith.

- Prawo to nie zawsze to samo, co sprawiedliwość. Zamierzam dowiedzieć się, co i dlaczego spotkało mojego brata - oznajmił, pogładził twarz dziewczyny i zanurzył dłoń w jej włosach. - Ale jest coś więcej. Teraz jesteś jeszcze ty - powiedział i zmusił ją, by patrzyła mu prosto w oczy. - Trzymam cię w

ramionach i zapominam, po co tu przyjechałem. Do diabła, Liz!

Jeszcze zanim te słowa dotarły do świadomości dziewczyny, poczuła jego miazdzący pocałunek. Jonas nie planował tego w ten sposób. Przedtem był delikatny, bo zmuszał go do tego wyraz jej oczu. Teraz był szorstki, niemal brutalny i zdesperowany, bo do głosu doszły jego własne potrzeby.

Wystraszył ją. Liz nigdy nie przypuszczała, że strach może być podniecający. Drżała, serce biło jej głośno, lecz chciała, żeby w dalszym ciągu trzymał ją w mocnym uścisku. Czuła, że Jonas kusi ją, by podjęła ryzyko.

Całował ją z desperacką pasją, pragnąc jej uległości i porywu uczuć. Sięgnął po Liz tak, jakby robił to zawsze, jakby miał do tego prawo. Na chwilę dziewczyna zeszywniała i zaczęła się opierać, jednak zaraz szybko się poddała, nawet nie zdążył zauważyć jej wcześniejszego wahania. Czuł zapach morza, tajemnicy, niewinności i słodczy. Ta mieszanka zmąciła mu rozum.

Pociągnął Liz w stronę łóżka, ale ona nagle oprzytomniała. Byli w pokoju jej córki!

- Nie - szepnęła i zaczęła go odpychać. - Jonas, tak nie można!

- Do diabła, Liz, to najlepsze, co może nas spotkać! - nalegał, próbując znów ją przytulić.

Jednak Liz potrząsnęła głową i cofnęła się o krok. We wzroku Jonasa nie było już chłodu. Pomyślała, że każda kobieta

powinna marzyć, aby mężczyzna patrzył na nią z takim ogniem i tęsknotą. Taka kobieta powinna natychmiast zapomnieć o swym wahaniu i rzucić mu się w ramiona. Ale Liz nie mogła tego zrobić.

- Nie chcę tego, Jonas - szepnęła drżącym głosem.

Chwycił jej rękę, zanim zdążyła odejść. Miał zamęt w głowie. Jeszcze nigdy tak nie cierpiał z powodu kobiety.

- Dlaczego?

- Nie popełnię drugi raz tego samego błędu.

- Tamto to już przeszłość, Liz. Żyj dniem obecnym.

- Właśnie. To moje życie - powiedziała i odetchnęła głęboko. - Pojadę z tobą do Acapulco, bo im szybciej dostaniesz to, czego chcesz, tym szybciej odejdziesz - mruknęła, zaciskając dłonie w pięści. - Wiesz, że Morales każe nas śledzić.

- Dam sobie z tym radę - odparł Jonas.

- Rób, co musisz - skinęła głową. - Załatwię z Luisem, aby przez kilka dni zajął się sklepem - powiedziała i wyszła.

Gdy Jonas został sam, znów zaczął przyglądać się srebrnemu kluczykowi. Z pewnością uda mi się otworzyć ten zamek, pomyślał. Lecz był jeszcze jeden zamek, który Jonas pragnął otworzyć. Sięgnął po misia, którego Liz odłożyła na półkę. Popatrzył na maskotkę i klucz, który trzymał w dłoni. Musi sprawić, by te dwie rzeczy zaczęły się ze sobą wiązać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie taki Meksyk Liz знаła, rozumiała i kochała. Nie do takiego kraju przyjechała dziesięć lat temu. Acapulco było bardzo nowoczesne ze swymi olbrzymimi luksusowymi hotelami, błyszczącymi w zachodzie słońca. Na każdym kroku znajdowały się modne sklepy, restauracje i nocne kluby. Miasto tętniło światowym życiem. Może i była to najstarsza i najpiękniejsza letniskowa miejscowość w Meksyku, lecz Liz wolała cichą, niemal wiejską atmosferę wyspy, na której mieszkała.

Potrafiła jednak dostrzec piękno miasta, otoczonego z jednej strony połyskliwą zatoką, a z drugiej majestatycznymi górami. Całe życie spędziła na płaskich terenach, więc góry zawsze wywierały na niej duże wrażenie. Wszystko inne wydawało się jakby mniejsze, a jednocześnie bezpieczniejsze w obliczu majestatycznych gór.

Liz pomyślała, że zobaczyła tu więcej ludzi w ciągu godziny, niż przez cały tydzień na Cozumel. Jadąc taksówką, zastanawiała się, czy będzie miała czas, aby odwiedzić tutejsze sklepy ze sprzętem do nurkowania.

Jonas wybrał hotel w guście Jerry'ego. Była to niewielka, lecz luksusowa willa z widokiem na Pacyfik. Odebrał klucz w recepcji i zostawił bagaż chłopcu hotelowemu.

- Teraz pójdziemy razem do banku - oznajmił zaskoczonej Liz.

Jonas był rozdrażniony. Aż dwa dni zajęło mu znalezienie właściwego banku. Nie zamierzał tracić już więcej czasu.

Liz niechętnie wyszła za nim na ulicę. To prawda, że nie przyjechała tu się bawić, ale obejrzenie pokoi i chociażby mała przekąska nie wydały jej się przesadnie wygórowanymi żądaniami.

Jonas wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres. Doskonale wiedział, dlaczego jego brat wybrał Acapulco, z jego przepychem i nocnym życiem. Gdy Jerry zatrzymywał się gdzieś dłużej niż na jeden dzień, miasto musiało przypominać atmosferą Nowy Jork, Londyn czy Chicago. Nie interesowały go wiejskie powaby tak spokojnego miejsca jak Cozumel. Skoro znalazł się na wyspie, musiał mieć w tym jakiś cel. Jonas sądził, że w Acapulco znajdzie odpowiedź.

Nie potrafił jednak rozgryźć kobiety, która siedziała obok niego. Czy sama wplątała się w tę historię, czy to on wciągał ją w sprawę śmierci swego brata? Siedziała obok niego milcząca, w ponurym nastroju. Jonas pomyślał, że musi martwić się tym, co dzieje się w sklepie podczas jej nieobecności. Chciał, żeby smutek zniknął wreszcie z oczu Liz. Zamiast mieszać ją w sprawę morderstwa, wolałby wrócić do hotelowej willi i kochać się z nią do utraty tchu.

Nie była dowcipna, wykształcona, ani piękna klasyczną urodą. Ale tak zapadła mu w serce i pamięć, że noce spędzał bezsennie. Pragnął jej. Chciał pieścić ją tak długo, aż Liz

zapomni o klientach, sklepie i księgach rachunkowych. Może to zwykła żądza posiadania, pomyślał rozdrażniony.

Gdy taksówka zatrzymała się przed bankiem, Liz wysiadła bez słowa. Rozejrzała się po okolicy. Otaczały ją eleganckie sklepy i butiki, na wystawach dostrzegła olśniewające stroje. Nawet z dużej odległości widziała skrzącą się biżuterię w witrynach sklepów. Obok niej, z cichym szumem silnika, przejechała limuzyna z przyciemnionymi szybami.

- Pasujesz do tego miejsca - powiedziała do Jonasa.

Nie musiała mówić nic więcej. Jonas wiedział, że Liz bezustannie porównuje Acapulco z Cozumel oraz ich odmienne style życia.

- Tylko pod niektórymi względami - odparł, wziął ją pod rękę i wprowadził do wnętrza banku.

Bank był taki, jaki być powinien, cichy i spokojny. Urzędnicy mieli na sobie dobrze skrojone ubrania w neutralnych kolorach, a na twarzach uprzejme uśmiechy. Rozmowy były prowadzone szeptem. Jonas pomyślał, że jego brat był tak bardzo konserwatywny w przechowywaniu pieniędzy, jak szalony w ich wydawaniu. Bez wahania podszedł do najładniejszej kasjerki.

- Dzień dobry.

Dziewczyna spojrzała na niego i po chwili uśmiechnęła się przyjaźnie.

- O! Pan Sharpe. Miło znów pana widzieć - powiedziała.

Liz zeszywniała. Jonas musiał już tu kiedyś być. Dlaczego jej nic nie powiedział? Posłała mu długie, zdziwione spojrzenie. Jaką on prowadził grę?

- Miło znów tu się znaleźć - odpowiedział z uwodzicielskim uśmiechem, a Liz poczuła nieoczekiwane ukłucie zazdrości. - Zastanawiałem się, czy mnie pamiętasz.

- Oczywiście - przytaknęła kasjerka i zarumieniona spojrzała w stronę swego przełożonego. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym dostać się do mojej skrytki - powiedział, wyjmując klucz z kieszeni i posyłając Liz ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie będzie z tym żadnego problemu - oznajmiła urzędniczka i podała mu formularz. - Proszę się tu podpisać.

Jonas wziął długopis i bez wahania podpisał się: Jeremiaś C. Sharpe. Z uśmiechem oddał formularz. Kasjerka porównała podpis z tym, który miała w swoich aktach. Pasowały idealnie.

- Proszę za mną, panie Sharpe.

- To chyba nie jest legalne - mruknęła Liz, gdy szli za urzędniczką.

- To prawda - przytaknął Jonas.

- Czy jestem współniczką?

- Tak - upewnił ją z uśmiechem, czekając, aż kasjerka poda mu długą, metalową kasetkę. - W razie problemów polecę ci dobrego adwokata.

- Świetnie. Koniecznie potrzebny mi jest jeszcze jeden

prawnik.

- Może pan skorzystać z tej kabiny, panie Sharpe. Proszę zadzwonić, gdy pan skończy.

- Dziękuję - powiedział Jonas, wciągnął Liz do pomieszczenia i zamknął drzwi.

- Skąd wiedziałeś?

- Co wiedziałem? - zdziwił się, kładąc skrzyneczkę na stole.

- Że masz podejść właśnie do tej urzędniczki? Gdy się odezwała, pomyślałam, że byłeś już tu kiedyś.

- W banku było trzech mężczyzn i dwie kobiety. Ta druga przekroczyła już pięćdziesiątkę. Dla Jerry'ego w tym banku pracuje tylko jedna osoba.

- A jego podpis?

- Jerry był częścią mnie - powiedział powoli Jonas, patrząc dziewczynie w oczy. - Gdy byliśmy w jednym pokoju, potrafiłem powiedzieć, o czym on myśli. Złożenie jego podpisu jest tak samo łatwe, jak złożenie własnego.

- Czy tak samo było z nim?

- Tak, dokładnie tak samo - odparł Jonas i poczuł nagłą, niespodziewaną falę bólu.

Jerry opisał jej kiedyś swojego brata jako sztywniaka. Człowiek, który stał teraz przed Liz nie pasował do tego opisu.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście rozumieliście się tak dobrze, jak wam się wydawało - powiedziała zamyślona i spojrzała na metalową kasetkę.

Jonas włożył kluczyk do zamka, przekręcił go i zdjął pokrywę. Liz nie mogła oderwać wzroku od zawartości kasetki. Jeszcze nigdy nie widziała tyle pieniędzy. Dolary leżały w równych rządach i kusily swą nowością i czystością.

- Dobry Boże, tu są ich tysiące - szepnęła i z trudem przełknęła ślinę. - Setki tysięcy.

- Przynajmniej trzysta tysięcy, w dwudziestkach i pięćdziesiątkach - powiedział po chwili Jonas.

- Myślisz, że on je ukradł? - mruknęła. - To pewnie tych pieniędzy szukał człowiek, który włamał się do mojego domu.

- Z pewnością - przytaknął Jonas. - Nie sądzę, aby Jerry ukradł te pieniądze. Obawiam się, że je zarobił - dodał grobowym tonem.

- Jakim cudem? - zdziwiła się Liz. - Nikt nie zarabia takich pieniędzy w kilka dni, a przysięgnę, że Jerry był goły, gdy go zatrudniłam. Wiem, że Luis pożyczył mu pieniądze przed pierwszą wypłatą.

- To możliwe - zgodził się Jonas, nie wspominając, że sam przesłał bratu pieniądze, jeszcze zanim Jerry opuścił Nowy Orlean.

Jonas rozgarnął pliki banknotów i ostrożnie wyjął niewielką foliową torebkę z jakimś białym proszkiem. Zanurzył w niej palec i podniósł go do ust. Leciutko dotknął czubkiem języka odrobinę białego proszku. Zrozumiał wszystko.

- Co to jest?

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Jonas zamknął torebkę. Nie mógł teraz pozwolić sobie na ponure myśli.

- Kokaina.

- Nie rozumiem - powiedziała Liz, z przerażeniem wpatrując się w torebkę. - Jerry mieszkał w moim domu. Wiedziałabym, gdyby zażywał narkotyki.

Jonas pomyślał, że Liz nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest nieświadoma ciemnej strony ludzkich działań.

- Może tak, może nie. Ale nie sądzę, aby mój brat brał to świństwo. Z pewnością nie trzymał tego dla siebie.

- Myślisz, że tylko sprzedawał? - Liz aż usiadła z wrażenia.

- Sprzedaż narkotyków? - Jonas uśmiechnął się ponuro. - Nie, to byłoby zbyt banalne i za mało podniecające - oznajmił z przekąsem i sięgnął po niewielki czarny notes, leżący obok pieniędzy. - Ale przemyt, to co innego - wymruczał pod nosem. - Sądzę, że przemyt byłby dla Jerry'ego czymś, co mogło go podniecać. Akcja, intryga i szybkie pieniądze. To by uzasadniało ryzyko.

Liz spróbowała skupić myśli na człowieku, którego знаła tak krótko. Sądziła, że go rozumie i wie, do której kategorii ludzi należy, ale teraz wydawał się jej jeszcze bardziej obcy niż za życia. Po chwili doszła do wniosku, że nie jest dla niej ważne, jakim człowiekiem był Jerry Sharpe. Dla niej liczyło się to, kim jest jego brat.

- A ty? - spytała. - Czy ty potrafiłbyś uzasadnić takie

ryzyko?

Jonas tylko na nią spojrział znad notesu. Jego oczy były zimne, tak zimne, że nie mogła nic w nich odczytać.

- Jerry zapisał inicjały, daty, godziny i jakieś liczby. Wygląda na to, że dostawał pięć tysięcy za każde zlecenie. Jest ich dziesięć.

- To daje tylko pięćdziesiąt tysięcy, a tu jest aż trzysta tysięcy-wymamrotała Liz, patrząc na pieniądze, które przestały ją fascynować, a zaczęły brzydzić.

- Zgadza się. Plus torebka czystej kokainy o olbrzymiej wartości - powiedział Jonas i zaczął przepisywać notatki brata do swojego niewielkiego notesu.

- Co z tym zrobimy?

- Nic.

- Nic? - oszołomiona Liz wstała i zaczęła nerwowo spacerować. - Chcesz to tak zostawić? Włóżysz do skrzynki i po prostu odejdziesz?

- Dokładnie tak zrobię - Jonas skinął głową i odłożył notes na miejsce.

- Po co więc przyjechaliśmy, skoro nie zamierzasz nic z tym robić?

- Żeby to znaleźć.

- Jonas - syknęła i chwyciła jego dłoń, zanim zatrzasnęła skrzynkę. - Musisz to odnieść na policję i oddać Moralasowi.

Rozmyślnym gestem oderwał jej dłoń od swojej i uniósł

torebkę narkotyków na wysokość twarzy dziewczyny. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Chcesz to zabrać ze sobą do samolotu, Liz? Wiesz, jakie są kary w Meksyku za przemyt narkotyków?

- Nie.

- Zapewniam cię, że nie chcesz wiedzieć - oznajmił sucho i zamknął skrzynkę. - Załatwię to po mojemu.

- Nie.

- Nie prowokuj mnie, Liz - warknął, hamując z trudem wybuch gniewu.

- Ja mam przestać cię prowokować? - zdenerwowała się i zacisnęła pięści na klapach marynarki Jonasa. - Ty wyprowadzasz mnie z równowagi od kilku dni. Wepchnąłeś mnie w sam środek afery, o jakiej mi się nawet nie śniło. A teraz, kiedy siedzę po uszy w przemyśle narkotyków i mam przed sobą górę brudnych pieniędzy, mówisz, żebym o tym zapomniała? Może nie jestem ci dłużej potrzebna, ale nie dam się tak po prostu spławić! Ściga mnie jakiś obłąkany morderca, bo uważa, że wiem, gdzie są pieniądze! - wrzasnęła i zbladła. - Boże! Teraz wiem, gdzie są te pieniądze.

- Wystarczy - powiedział Jonas łagodnym głosem i wziął jej ręce w swoje. - Tak, teraz już wiesz. Najlepsze, co możesz zrobić, to usunąć się na bok i pozwolić im skupić się na mnie.

- Jak niby mam to zrobić?

- Jedź do Houston odwiedzić córkę - poradził.

- Jak? - syknęła. - Przecież mogą mnie śledzić. - Spojrzała na niewielką metalową kasetkę. - Na pewno będą mnie śledzić. Nie zamierzam ryzykować bezpieczeństwa córki.

Jonas wiedział, że to prawda. Miał ochotę wrzeszczeć ze złości. Nagle poczuł się uwięziony między miłością a lojalnością, między dobrem a złem, między sprawiedliwością a prawem.

- Porozmawiam z Moralasem, gdy tylko wrócimy - zdecydował.

- A gdzie teraz idziemy?

- Napić się czegoś - oznajmił, zabrał skrzynkę i wyszedł na korytarz.

Liz, zamiast pójść z Jonaszem do baru, postanowiła spędzić kilka chwil w samotności. Odnalazła hotelowy butik i wybrała prosty jednoczęściowy kostium kąpielowy. Kazała dopisać jego cenę do rachunku za pokój, bo uznała, że Jonas jest jej coś winien. W niespodziewaną podróż do Acapulco zabrała ze sobą tylko trochę kosmetyków i ubranie na zmianę. Jeśli miała spędzić tu resztę dnia, chciała przynajmniej skorzystać z basenu, który należał do ich willi.

Gdy po raz pierwszy weszła do willi, była oszołomiona. Jej rodzice nie byli ubodzy i żyli na dość wysokim poziomie, ale nic nie mogło jej przygotować na przepych dwupokojowego apartamentu z widokiem na ocean. Stopy Liz zatonęły w miękkim, puszystym dywanie. Na ścianach, w przyjemnym

odcieniu beżu, dostrzegła kilka uroczych obrazków. Sofa, w kolorze błękitnego morza, wystarczyłaby dla kilku osób.

W łazience, obok wanny, która kusila swymi rozmiarami, Liz odnalazła telefon. Lekko różowa umywalka miała kształt muszli.

A więc tak żyją bogaci, pomyślała, wchodząc do drugiej sypialni. Zauważyła swój bagaż, stojący obok wielkiego łóża. Podeszła do drzwi balkonowych, rozsunęła zasłony i spojrzała na Pacyfik.

Właśnie o takim świecie opowiadał jej przed laty Marcus. Dla niej brzmiało to jak bajka. Liz nigdy nie odwiedziła jego domu, lecz Marcus dokładnie go opisał. Białe filary, balkony i kręcone schody, ciągnące się w nieskończoność. Służący, podający herbatę, i stajenni, gotowi w każdej chwili osiodłać piękne konie. Szampan pity z kryształowych pucharów. To była bajka, której Liz nawet nie śmiała pragnąć dla siebie. Chciała tylko jego.

Jakże byłam głupia, pomyślała z goryczą Liz. W swej naiwności wzięła za księcia rozpuszczonego i zepsutego chłopaka. Nie tęskniła już do bajek, lecz przez te wszystkie lata nie zapomniała opisu pięknego domu i często wyobrażała sobie swoją córkę w balowej sukni, schodzącą po długich, kręconych schodach. To zaspokoiłoby jej potrzebę sprawiedliwości.

Ta wizja przybladła teraz nieco, przytłoczona zawartością niewielkiej metalowej kasetki. Liz dowiedziała się, skąd może się

brać bogactwo i wcale się tym nie zachwyciła. Nie podobał się jej też wyraz oczu Jonasa, gdy mówił o swoim pojęciu sprawiedliwości. To już nie była bajka, tylko ponura rzeczywistość. Postanowiła, że zanim zacznie na nowo planować przyszłość swoją i córki, musi się porządnie zastanowić.

Jonas. Nie była z nim związana z własnego wyboru. Możliwe, że on też tak to odbierał. Czy dlatego czuła do niego taki pociąg, że tkwili w tym razem? Gdyby Liz potrafiła sobie to wyjaśnić, odzyskałaby wreszcie kontrolę nad swoimi uczuciami.

Lecz jak wyjaśnić swoje pragnienia? W taksówce, kiedy w ciszy wracali z banku do hotelu, z trudem zwalczyła potrzebę objęcia Jonasa, by go pocieszyć. Ale ten mężczyzna nie wyglądał na takiego, który pragnąłby czy potrzebował pocieszenia. Liz nie znalazła żadnej rozsądnej odpowiedzi na pytanie, czemu powoli i nieuchronnie zakochuje się w tym młodym prawniku.

Nadszedł czas, by to uczucie przyznać, pomyślała. Nigdy nie można stawić czoła czemuś, co uprzednio nie zostanie nazwane. Liz kierowała się tymi zasadami nawet w najcięższych okresach w życiu i nieodmiennie przekonywała się, że są prawdziwe. A więc kocha go lub jest tego bardzo bliska. Nie była już tak naiwna, aby sądzić, że miłość wszystko rozwiąże. Jonas ją zrani. Skradnie jej to, co tak uparcie chroniła przez lata. A gdy już posiadzie jej serce, czy będzie ono coś dla niego znaczyć? Potrząsnęła głową.

Jonas Sharpe miał swoją misję, a Liz nie była dla niego

niczym więcej niż mapą, mającą doprowadzić go do celu. Był bezlitosny na swój cierpliwy sposób. Gdy skończy, co zaczął, wróci do Filadelfii, nie oglądając się za siebie.

Nagle pomyślała o Faith. Córka wydała jej się teraz jedyną więzią z rzeczywistością. Może gdyby z nią porozmawiała, nabrałaby dystansu do ostatnich wydarzeń. Poddając się impulsowi, wybrała dobrze znany numer telefonu. Zanim po drugiej stronie podniesiono słuchawkę, Liz już się uśmiechała.

- Słucham?

- Mama? - powiedziała, czując jednocześnie radość i wyrzuty sumienia. - Tu Liz.

- Liz! - zawołała Rose Palmer. - Nie spodziewaliśmy się, że zadzwonisz. Dziś rano właśnie przyszedł list od ciebie. Czy coś się stało?

- Nie, nie. Wszystko w porządku - odparła, choć nic nie było w porządku. - Chciałam tylko porozmawiać z Faith.

- Och, Liz, tak mi przykro. Faith ma dziś lekcję gry na pianinie.

- Zapomniałam. Lubi te lekcje, prawda? - spytała, walcząc ze łzami.

- Uwielbia! Pamiętasz, kiedy sama brałaś lekcje gry na pianinie?

- Miałam dwie lewe ręce - Liz zaśmiała się niewesoło. - Dziękuję za zdjęcia, mamó. Wygląda na to, że Faith znów urosła. Czy ona... cieszy się, że niedługo tu przyjedzie?

Rose wyczuła tęsknotę i ból w głosie córki. Nie po raz pierwszy zapragnęła ją pocieszyć i przytulić.

- Zaznacza sobie dni w kalendarzu. Nawet kupiła ci już prezent.

- Tak? - zdziwiła się Liz, z trudem wydobywając głos przez ściśnięte gardło.

- To ma być niespodzianka, więc nie zdradź, że ci powiedziałam.

- Nie zdradzę - obiecała i otarła łzy. - Tak bardzo mi jej brak. Te ostatnie tygodnie przed jej przyjazdem zawsze są najgorsze.

- Liz - zaczęła matka, słysząc w głosie córki to, co umykało uwadze innych. - Dlaczego nie przyjedziesz do nas? Mogłabyś być z nami, dopóki nie skończy się rok szkolny i potem zabrać małą do siebie.

- Nie, nie mogę. A co u taty?

Rose zabolęła ta nagła zmiana tematu, lecz uległa córce. Nie znała nikogo równie upartego, jak Liz. No, chyba że jeszcze swoją wnuczkę.

- Wszystko w porządku. Już nie może się doczekać spotkania z tobą i nurkowania.

- Zarezerwuję dla nas jedną łódź. Powiedz Faith... powiedz jej, że dzwoniłam.

- Oczywiście, że jej powiem. A może sama zadzwoni, kiedy wróci? Powinna już niedługo być z powrotem.

- Nie ma mnie w domu. Jestem w Acapulco, w interesach - westchnęła Liz. - Powiedz jej, że tęsknię i że będę czekać na lotnisku. Wiesz, że doceniam wszystko, co robisz. Ja po prostu...

- Liz - przerwała jej łagodnie Rose. - Kochamy Faith. Ciebie też kochamy.

- Wiem - szepnęła Liz i potarła dłońmi oczy. - Ja też was kocham. Tylko że czasami wszystko się tak miesza.

- Czy u ciebie na pewno wszystko w porządku?

- Będę na lotnisku. Powiedz Faith, że ja też liczę dni do jej przyjazdu.

- Dobrze.

- Pa, mamó.

Liz odłożyła słuchawkę i czekała, aż minie fala dojmującego bólu. Gdyby miała więcej zaufania do rodziców, gdyby wierzyła w ich miłość i w to, że ją wesprą, czy uciekłyby aż do Meksyku, aby zacząć tu życie od nowa? Już nigdy się tego nie dowie. Spaliła za sobą zbyt wiele mostów. Jedyne, co się teraz dla niej liczyło, to Faith i jej szczęście.

Jonas wrócił po godzinie i zastał Liz w basenie. Pływała zapamiętale, rozcinając wodę zgrabnymi poruszeniami ramion. Nie wyglądała na zmęczoną ani przytłoczoną atmosferą zbytku. Pasowała do tego miejsca. Czerwony kostium kąpielowy łagodnie opinał krągłości jej sylwetki.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś odpoczywała, siedząc

spokojnie - powiedział.

Liz odwróciła się. Woda, wąskimi strumyczkami, spływała na jej piersi. Jest bardzo zmęczony, pomyślała. Zauważyła, że wokół jego ust pojawiły się zmarszczki, a oczy są przygaszone. Nie przebrał się i wyglądało na to, że nie zdążył nawet zajrzeć do ich apartamentu.

- Nie wzięłam kostiumu - powiedziała, chwyciła się krawędzi basenu i zgrabnie wyszła z wody. - Zapisalam go na rachunek pokoju.

- Ładny - skomentował Jonas, patrząc, jak mokry, obcisły materiał podkreśla kuszące kształty dziewczyny.

- Był dość drogi - oznajmiła i sięgnęła po ręcznik.

- Mogłem domyślić się po wyglądzie hotelu - odparł z uśmiechem, gdy Liz zaczęła energicznie wycierać wilgotne włosy.

- Nie mogłeś. Ale skoro jesteś prawnikiem, pewnie masz swoje sposoby, by się tego dowiedzieć. Żeby ci ułatwić zadanie, zachowałam paragon.

- Doceniam to - powiedział Jonas i roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni. - Coś mi się zdaje, że nie masz najlepszego zdania o prawnikach.

- Staram się o nich wcale nie myśleć - oznajmiła z dziwnym wyrazem twarzy.

- Ojciec Faith był prawnikiem? - domyślił się Jonas, wyjął ręcznik z rąk dziewczyny i zaczął łagodnie osuszać jej ramiona.

- Daj spokój - poprosiła.

Jonas otulił dziewczynę ręcznikiem, złapał jego końce i przyciągnął ją bliżej.

- Chciałbym, żebyś mi o tym opowiedziała.

To ten jego głos, taki spokojny i przekonujący, sprawia, że chciałabym otworzyć przed nim serce i duszę, pomyślała. Prawie uwierzyła, że Jonasowi naprawdę zależy, że chce zrozumieć. Pragnęła w to wierzyć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może z powodu wyrazu twoich oczu? Sprawia, że mężczyzna chce się tobą zaopiekować.

- Nie musisz się nade mną litować - powiedziała buntowniczo.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi - szepnął i schylił głowę tak, że ich czoła się zetknęły. - A niech to! - Miał dosyć walczenia z własnymi demonami i ciągłego szukania odpowiedzi.

- Wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona, nie rozumiejąc jego zachowania.

- Nie - zaprzeczył i odsunął się od niej. - Wiele z tego, co dziś powiedziałaś, to prawda. W ogóle często masz rację. Nic nie mogę na to poradzić.

- Nie wiem, co powinnam teraz powiedzieć.

- Nic - odparł i ukrył zmęczoną twarz w dłoniach. - Próbuję pogodzić się z tym, że mój brat zginął. Że zamordowano go, bo chciał łatwo zarobić na przemyśle narkotyków. Jerry był uroczy i

błyskotliwy, ale zawsze próbował ten swój wdzięk wykorzystywać w złych celach. Za każdym razem, gdy patrzę w lustro, zastanawiam się, dlaczego tak postępował i dlaczego ja nie nie mogłem na to poradzić.

Zanim zdążyła pomyśleć, że to nie jej sprawa, Liz współczującym gestem dotknęła ramienia Jonasa. To pierwszy raz, kiedy ujawnił swój ból, pomyślała. Dobrze wiedziała, jak wygląda życie z bezustannym bólem w sercu.

- Jonas, nie sądzę, by Jerry był złym człowiekiem, chyba był po prostu słaby. Żal po jego stracie, to jedna sprawa, ale nie możesz obwiniać siebie za to, co zrobił.

Jonas do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że jak każdy inny człowiek w takiej sytuacji, potrzebuje pocieszenia. Dłoń Liz, spoczywająca na jego ramieniu, sprawiła, że coś w nim pękło.

- Tylko ja mogłem do niego jakoś dotrzeć, to ja nie pozwalałem mu zagłębić się do reszty w tym bagnie. W końcu doszło do tego, że miałem dość życia za nas obu.

- Naprawdę uważasz, że mogłeś powstrzymać go przed tym, co zrobił?

- Może mogłem? Będę musiał żyć z tą świadomością.

- Chwileczkę-zaprotestowała Liz. Na jej twarzy nie było teraz śladu współczucia, tylko rozdrażnienie. - Zgoda. Byliście braćmi, bliźniakami, ale on był osobną istotą. Jerry nie był dzieckiem, które trzeba prowadzić za rękę i pilnować na każdym

kroku. Był dorosły i podejmował własne decyzje.

- Problem polegał na tym, że Jerry nigdy nie zdołał wydorosnąć.

- Ale ty tak. Zamierzasz teraz siebie za to karać?

Jonas uświadomił sobie dwie rzeczy. Potrzebował, żeby ktoś nakrzyczał na niego i wytknął mu jego błędy. Zrozumiał też, że właśnie zrobił to, o czym mówiła Liz. Wrócił do domu, pochował brata, pocieszył rodziców i zaczął obwiniać siebie za to, że nie zapobiegł wypadkom, których od dawna się spodziewał.

- Muszę odkryć, kto go zabił, Liz. Nie mogę spocząć, póki się tego nie dowiem - szeptał w udręce.

- Znajdziemy ich - obiecała i przytuliła się do niego. - Niedługo wszystko się skończy, zobaczysz.

Jonas nie był pewien, czy chce, żeby wszystko się skończyło. Przejechał dłonią po jej ramieniu i zauważył, że skóra Liz jest chłodna.

- Słońce już zaszło - powiedział i opiekuńczym gestem poprawił ręcznik na jej ramionach. - Lepiej przebierz się w coś suchego. Idziemy na kolację.

- Dokąd?

- Podobno tutejsza restauracja szczyci się doskonałą kuchnią.

- Nie mam w co się ubrać - westchnęła typowo po kobiecemu.

Jonas zaśmiał się z całego serca i objął ją ramieniem. To były pierwsze, niemal frywolne słowa, jakie usłyszał od Liz.

- Wybierz sobie coś i dopisz do rachunku.

- Ale...

- Nie martw się. Mam najbardziej przebiegłego księgowego pod słońcem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Liz była pewna, że nie uda jej się spokojnie przespać nocy w obcym łóżku. Nie tylko jednak przespała całą noc kamiennym snem, ale jeszcze obudziła się wypoczęta. Prawda, że było dopiero parę minut po szóstej i nie musiała pędzić do sklepu, ale przyzwyczała się do wstawania o tej porze. Wyjazd do Acapulco wcale tego nie zmienił.

Ale zmienił inne rzeczy. Jeszcze bardziej wmieszała się w sprawę morderstwa Jerry'ego i narkotyków. Gdyby to był film, oglądałaby go z zapartym tchem. Gdyby ostatnie wydarzenia zostały opisane w książce, z pewnością nie mogłaby się od niej oderwać. Ale to było jej życie i wołała, by toczyło się dużo spokojniej. Liz wiedziała, że nie uda jej się już wyplątać, dopóki sprawy nie zostaną doprowadzone do końca.

Z pewnością nie mogła uciec. Z doświadczenia wiedziała, że nie jest to najlepsze rozwiązanie. Nie mogła też bez końca kryć się za plecami Moralasa i jego ludzi. Prędzej czy później wróci opryszek z nożem albo jakiś inny bandzior. Drugi raz już się nie wywinie. W chwili gdy ujrzała zawartość bankowej skrytki, stała się uczestnikiem tej niebezpiecznej gry. Pomyślała o Jonasie. Nie miała innego wyjścia, jak tylko mu zaufać. Gdyby zrezygnował z wykrycia mordercy brata i wrócił do Filadelfii, zostałaby całkiem sama. Choć Liz wołałaby, żeby było inaczej, potrzebowała go tak samo, jak on potrzebował jej.

Zmieniły się też moje uczucia, pomyślała Liz. Teraz są

jeszcze bardziej skomplikowane i pogmatwane, niż na początku znajomości z Jonaszem. Gdy zobaczyła go wczoraj, takiego smutnego i bezradnego, współczuła mu z całego serca. Cierpiał nie tylko z powodu straty brata, ale i tego, co Jerry zrobił. Ona kiedyś kochała, potem również cierpiała, lecz nie z powodu rozstania, tylko dlatego, że bardzo się rozczarowała.

To chyba było w innym życiu, pomyślała Liz. Jednak choć minęły lata i zmieniły się okoliczności, wciąż pamiętała otrzymaną lekcję. Rozpamiętywanie przeszłości nie ma sensu, powiedziała sobie i wyskoczyła z łóżka. Od tej chwili, zamiast myśleć, powinna zacząć działać.

Jonas już od godziny kręcił się w łóżku, nie mogąc spać. Zastanawiał się, jak wypłatać dziewczynę z kłopotów, w które wciągnął ją razem z Jerryem. Obmyślił już kilka sposobów zwrócenia na siebie uwagi przestępców, ale to nie gwarantowało bezpieczeństwa Liz. Wiedział, że nie zgodzi się wyjechać do Houston i rozumiał jej obawy o dobro córki.

Wydawało mu się, że z upływem dni coraz lepiej poznaje Liz. Była samotniczką, ale tylko dlatego, że uznała to za najbezpieczniejsze. Była kobietą interesu, ale tylko dlatego, że liczyło się dla niej jedynie dobro Faith. Tak naprawdę Liz była kobietą z niespełnionymi marzeniami i przepelnioną miłością, której nie dawała ujścia. Odmawiała sobie wszystkiego ze względu na dziecko. I udało jej się przekonać siebie samą, że jest

zadowolona ze swojego życia. To akurat rozumiał bardzo dobrze, bo sam jeszcze kilka tygodni temu też myślał, że jest szczęśliwy. Dopiero teraz, gdy mógł spojrzeć na siebie z dystansu, zrozumiał, że zaledwie ślizgał się po powierzchni życia. Być może, po odrzuceniu zewnętrznych pozorów, okaże się, że Jonas wcale nie różni się od brata tak bardzo, jak myślał. Dla obu życiowy sukces był najważniejszy, różniły ich tylko sposoby docierania do celu. Wprawdzie Jonas miał dom i doskonałą pracę, ale w jego życiu nigdy nie było ważnej kobiety. Zawsze stawiał karierę na pierwszym miejscu. Jednak poznawanie tajników prawa było jedynie płatnym zajęciem. Wygrywanie spraw dawało tylko przelotną satysfakcję. Być może Jonas przeczuwał to już od dawna? Kupił przecież ten stary, wiktoriański dom, aby mieć choć namiastkę stabilizacji. Ale kiedy zaczął pragnąć kogoś u swego boku?

Cóż, zastanawianie się nad własnym życiem nie rozwiąże problemu Liz Palmer. Nie mogła wrócić do Houston, ale istniały jeszcze inne miejsca, gdzie mogłaby przeczekać, aż jej życie wróci do normy. Pomyślał o swoich rodzicach i ich spokojnym domu w Lancaster. Liz mogłaby nawet pojechać tam z córką. To uspokoiłoby nieco sumienie Jonasa. Był pewien, że rodzice je przyjmą i być może nawet zwariują na ich punkcie.

A gdy sam skończy sprawy na wyspie Cozumel, pojedzie do nich. Chciałby zobaczyć Liz w otoczeniu, które znał i kochał. Pragnął z nią rozmawiać o prostych codziennych sprawach.

Marzył o tym, aby znów usłyszeć jej beztroski śmiech. Chciał z nią być i do diabła z resztą świata! Było w niej coś takiego, że zaczynał myśleć o leniwych wieczorach, huśtawce na ganku i długich spacerach przy księżycu. W Filadelfii nie miał czasu na to wszystko. Nawet spotkania towarzyskie stały się okazjami do załatwiania interesów. Wiedział, że także Liz nie pozwalała sobie na chwilę wytchnienia. Dlaczego on, człowiek zajęty swą pracą, marzy o leniwych popołudniach w towarzystwie kobiety, która również jest zajęta swoją pracą?

Liz stanowiła dla niego tajemnicę i może właśnie to była odpowiedź, której szukał. Tajemnicza Liz Palmer wiązała się z zagadkową śmiercią jego brata. Jak mógł myśleć o jednym, nie wspominając drugiego? Rozdrażniony, spojrział na zegarek. W Filadelfii musiało być już po dziewiątej. Zadzwoń do biura, zdecydował. Zdażył podnieść słuchawkę, gdy do pokoju weszła Liz.

- Nie wiedziałam, że już wstałeś - zmieszała się i zaczęła walczyć z paskiem szlafroka.

- Myślałem, że pośpisz dłużej - powiedział i odłożył słuchawkę.

- Nigdy nie śpię dłużej niż do szóstej - odparła i podeszła do okna, by ukryć swoje onieśmienie. - Cudowny widok.

- Tak, z pewnością.

- Nie byłam w hotelu... od lat - dokończyła niezręcznie. - Gdy dotarłam na Cozumel, podjęłam pracę w tym samym

hotelu, w którym zatrzymywaliśmy się z rodzicami. To było dość dziwne. Teraz zresztą też czuję się niepewnie.

- Nie czujesz potrzeby zmiany pościeli albo przyniesienia świeżych ręczników?

- Nie, nawet odrobiny - zaśmiała się i zażenowanie ustąpiło.

- Liz, kiedy już skończymy z tym wszystkim, kiedy minie całe zamieszanie, porozmawiasz ze mną o tamtym okresie twojego życia?

- Gdy zamkniemy tę sprawę, nie będzie już powodów do takiej rozmowy - odparła, patrząc na niego poważnym wzrokiem.

Jonas wstał, ujął jej dłonie w swoje i powoli podniósł je do ust. Oczy dziewczyny lekko się zamgliły. Oboje byli zaskoczeni jego niespodziewanym gestem.

- Ja wcale nie jestem tego pewien - wymruczał. - A ty?

Liz nie mogła być pewna niczego, gdy przemawiał do niej tym cichym głosem i gładził jej dłonie. Przez chwilę czuła się kobietą, o którą dba jej mężczyzna. Lecz zaraz cofnęła się, wiedząc, że to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji.

- Jonas, powiedziałeś kiedyś, że mamy ten sam problem. Nie chciałam w to wierzyć, ale okazało się, że to prawda. Ale kiedy go rozwiążemy, nic nie będzie nas łączyć. Wiesz, że dzieli nas o wiele więcej niż tylko odległość między naszymi domami.

- Nie musi wcale tak być - oznajmił Jonas i pomyślał o

domu, który kupił.

- Był taki czas, że wierzyłam w podobne zapewnienia.

- Żyjesz przeszłością - powiedział i w zdenerwowaniu chwycił ją mocno za ramiona. - Zaczynij wreszcie walkę ze swoimi lękami.

- Może gnębią mnie duchy przeszłości, ale wcale nią nie żyję. Nie stać mnie na to.

- Dobrze. Na razie będzie, jak chcesz - powiedział lekko. - Ale pamiętaj, że to jeszcze nie koniec. Jesteś głodna?

Liz nie miała pojęcia, co może oznaczać ta jego nagła kapitulacja, ale odczuła ulgę.

- Zjadłabym coś - pokiwała głową.

- To chodźmy na śniadanie. Mamy dużo czasu do odlotu.

Liz mu nie ufała. Choć w czasie śniadania Jonas prowadził z nią lekką rozmowę, wciąż czekała na jego ruch. Był sprytny i dobrze o tym wiedziała. Może ona nie była sprytna, ale za to na pewno była uparta. Żaden mężczyzna, nawet Jonas, nie zmienił jej postanowień, które podjęła przed laty. W jej życiu było miejsce tylko na dwie wielkie miłości. Faith i pracę.

- Nie mógłbym się zmusić do zjedzenia czegoś takiego o tej porze - powiedział, patrząc podejrzliwie na talerz dziewczyny.

- Mam odporny żołądek - odparła, łykając z zadowoleniem mieszankę ostrych papryczek, cebuli i jajek. - Powinieneś spróbować zrobionego przeze mnie chili.

- Czy to propozycja, że będziesz dla mnie gotować?

- Chyba mogłabym, skoro i tak gotuję dla siebie - powiedziała, życząc sobie, aby nie uśmiechał się do niej w ten sposób. - Ale wydaje mi się, że całkiem nieźle radzisz sobie w kuchni.

- O, potrafię gotować... Tylko najczęściej nie jestem zadowolony z rezultatu - wyznał, pogładził jej dłoń i uśmiechnął się podstępnie. - Wiesz co? Jeśli ty zajmiesz się gotowaniem, ja mogę zrobić zakupy i pozmywać.

- Pytanie brzmi, czy potrafisz zjeść moje chili? - powiedziała z uśmiechem i cofnęła dłoń. - Mogłoby przepalić na wylot delikatny prawniczy żołądek.

- Może się przekonamy? Na przykład dziś wieczorem - Jonas podjął wyzwanie.

- Dobrze - zgodziła się i poczuła, że znów gładzi jej dłoń. - Nie mogę jeść, gdy trzymasz moją rękę.

- Masz jeszcze jedną - zauważył, patrząc na ich splecione dłonie.

- Mam prawo do dwóch! - śmiała się, choć miała ochotę się złościć.

- Obiecuję, że ci ją zwrócę... Później.

- Hej, Jerry!

Uśmiech zastygł na twarzy Jonasa. Zmienił się tylko wyraz jego oczu. Żądały od Liz współpracy i jednocześnie ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Wciąż trzymał ją za rękę, lecz jego

uścisk stał się mocniejszy. Liz zrozumiała sygnały bezbłędnie. Miała się nie odzywać i nic nie robić, póki Jonas nie zorientuje się w sytuacji. Nagle odwrócił się i na jego twarzy pojawił się całkiem inny uśmiech. Liz zadrżała. Teraz bardziej, niż kiedykolwiek, przypominał swego brata.

- Czemu nie powiedziałaś, że znów jesteś w mieście? - spytał wysoki, szczupły mężczyzna z kocią bródką na opalonej twarzy.

Podszedł swobodnie do stolika i położył dłoń na ramieniu Jonasa. Liz dostrzegła błysk złota na jego palcu. Jest młody, nie ma jeszcze trzydziestu lat i ubiera się z niedbałą elegancją, pomyślała Liz, gotowa zapamiętać każdy najmniejszy szczegół.

- Bo to tylko krótka wycieczka - odparł spokojnie Jonas, przyglądając się nieznajomemu równie uważnie, jak Liz. - Niewielki interesik... Odrobina przyjemności - dodał i spojrzał znacząco na swą towarzyszkę.

- Czy mogłoby być inaczej? - zgodził się mężczyzna, gapiąc się bezwstydnie na Liz.

- Cześć - przywitała się Liz, wyciągając dłoń i pomyślała gorączkowo, że nie ma lepszego sposobu, by poznać nazwisko mężczyzny. - Skoro Jerry jest tak nieuprzejmy, że nas sobie nie przedstawił, musimy się tym zająć sami. Jestem Liz Palmer.

- David Merriworth - oznajmił nieznajomy i ujął jej dłoń w swoje gładkie ręce. - Jerry może mieć kłopoty z manierami, ale wciąż ma doskonały gust.

- Dziękuję - odparła.

- Możesz przysiąc się do nas, Merriworth, ale pod warunkiem, że będziesz trzymał łapy z daleka od mojej dziewczyny - powiedział Jonas żartobliwym tonem Jerry'ego i wyjął papierosa.

- Zdażę chyba napić się kawy - mruknął David, patrząc na zegarek. - Za kilka minut mam umówione spotkanie. A co słyhać na Cozumel? - spytał ze szczególnym naciskiem. - Ponurkowałeś sobie?

- Trochę - odparł Jonas z tajemniczym uśmiechem.

- Miło to słyszeć. Sam chciałem do ciebie wpaść, ale byłem zajęty w Stanach. Wróciłem wczoraj w nocy. Wszystko idzie, jak po maśle - szepnął i osłodził sobie kawę.

- A czym się pan zajmuje, panie Merriworth?

- Sprzedają, słoneczko. Importem, można powiedzieć - odparł swobodnie, uśmiechając się do Liz.

- Naprawdę? - spytała i upiła łyk kawy, bo nagle zaschło jej w gardle. - To musi być fascynujące zajęcie.

- Nie narzekam - skinął głową i zaczął uważniej przyglądać się Liz. - Gdzie spotkałaś Jerry'ego?

- Na Cozumel - odparła i spokojnie popatrzyła na Jonasa. - Jesteśmy współnikami.

- Doprawdy?

- Owszem - szybko przytaknął Jonas.

- Jeśli szefowi to nie przeszkadza, to mnie również nie -

oznajmił David, wzruszając ramionami.

- Albo robię coś po swojemu - powiedział nagle Jonas - albo wcale.

- Nic się nie zmieniłeś - zauważył z podziwem i rozbawieniem Merriworth. - Słuchaj, nie było mnie kilka tygodni, przerzuty idą gładko?

Gdy Jonas usłyszał te słowa, zgasła ostatnia iskierka nadziei. A więc to, co znalazł w bankowej skrytce było prawdziwe i rzeczywiście należało do jego brata. Zaczął smarować grzanekę masłem tak, jakby miał mnóstwo wolnego czasu. Liz delikatnie dotknęła jego nogi pod stołem.

- A dlaczego miałoby być inaczej? - zapytał w końcu.

- To najbardziej klasyczna akcja, w której brałem udział - oznajmił David, rozglądając się uważnie po restauracji. - Nie chciałbym, żeby cokolwiek ją zepsuło.

- Za dużo się martwisz.

- To ty powinieneś się martwić - wytknął mu Merriworth. - Ja nie mam Mancheza za plecami. W zeszłym roku zajął się tu dwoma Kolumbijczykami. Miałem okazję obejrzeć jego dzieło. Lepiej uważaj. Zajmij się dostawami, a ja zostanę przy sprzedaży. Będę spał spokojniej.

- Ja sobie tylko nurkuję - odparł Jonas i niedbale machnął ręką. - I dobrze sypiam.

- Niezły jest, co? - David ponownie posłał uśmiech Liz. - Zawsze wiedziałem, że szef szuka kogoś takiego jak Jerry.

Nurkuj dalej, chłopie! Dzięki tobie nie narzekam na brak gotówki.

- Wygląda na to, że długo się znacie - wtrąciła niespodziewanie Liz.

- Spory szmat czasu, co, Jerry?

- Jasne.

- Pierwszy raz wpadliśmy na siebie sześć, nie, siedem lat temu. Nacielibyśmy tamtą babkę na niezłą kasę, gdyby nie wtrąciła się jej córka - zaśmiał się David i sięgnął po papierosa. - Braciszek cię wtedy wyciągnął. To prawnik, tak?

- Tak - warknął Jonas, przypominając sobie, że musiał odnowić kilka znajomości i wyłożyć pieniądze na kaucję.

- Teraz pracuję tu od pięciu lat, niczym prawdziwy biznesmen - zaśmiał się znowu i poklepał Jonasa po ramieniu. - To lepsze niż drobne oszustwa, co, Jerry?

- W każdym razie lepiej płatne.

- Może wyskoczymy gdzieś razem wieczorkiem?

- Niestety, musimy już wracać - oznajmił Jonas i dał znak kelnerowi. - Interesy wzywają.

- Jasne, wiem o czym mówisz - powiedział David i popatrzył w stronę wejścia. - Jest mój klient. Zadzwoń, gdy wpadniesz tu następnym razem.

- W porządku.

- I przekaz pozdrowienia staruszkowi Clancy'emu - zawołał do nich w drodze do drzwi.

- Nic nie mów - mruknął Jonas. - Wychodzimy.

Gdy wstali ze swoich miejsc, Liz upuściła na podłogę serwetkę, którą niespokojnie gniotła pod stołem w trakcie całej rozmowy. Jonas nie odezwał się ani słowem, póki nie zamknęły się za nimi drzwi ich apartamentu.

- Nie powinnaś mówić, że jesteśmy współnikami.

- Kiedy to usłyszał, rozluźnił się i zaczął więcej mówić - odparła Liz, przygotowana na taki atak.

- Powiedziałyby tyle samo, gdybyś znalazła jakąś wymówkę i odeszła od stolika.

- Mamy ten sam problem, pamiętasz? - spytała, stając w wojowniczej pozycji.

- Błędem było podanie mu swego nazwiska.

- Dlaczego? Przecież od początku wiedzą, kim jestem - oznajmiła, wzruszając ramionami.

Jonas wiedział, że Liz ma rację, ale nie potrafił pogodzić się z faktem, że umyślnie wystawiła się na niebezpieczeństwo. Ponieważ nie znalazł więcej argumentów, wołał zmienić temat.

- Jesteś spakowana?

- Tak.

- To idziemy się wymeldować i ruszamy na lotnisko.

- A potem?

- Odwiedzimy Moralasa.

- Bardzo pracowicie spędziliście kilka ostatnich dni - powiedział Moralaś i odchylił się nieco na swym krześle. - Moi

dwaj najlepsi ludzie marnowali swój czas w Acapulco, szukając was. Mógł pan wspomnieć, panie Sharpe, że zamierza pan zabrać pannę Palmer na małą wycieczkę.

- Pomyślałem sobie, że policyjna obstawa mogłaby nam nieco przeszkadzać.

- A teraz, gdy zakończył pan swoje prywatne śledztwo, przynosicie mi to - ciągnął dalej kapitan, podnosząc do oczu mały srebrny kluczyk. - Zdaje się, że panna Palmer znalazła go kilka dni temu. Jako prawnik z pewnością zna pan termin „ukrywanie dowodów rzeczowych”.

- Oczywiście - chłodno zgodził się Jonas. - Ale żadne z nas, ani panna Palmer, ani ja, nie wiedziało, że to jest dowód rzeczowy. Oczywiście podejrzewaliśmy, że klucz mógł należeć do mojego brata. Ukrywanie podejrzeń nie jest przestępstwem.

- Być może ma pan rację, ale to dość słaba linia obrony.

Jonas usiadł wygodniej. Skoro Moralas chciał podyskutować na tematy prawne, to zaspokoi jego pragnienie.

- Jeśli klucz należał do mojego brata, to jako jego spadkobierca miałem prawo go posiadać. Kiedy okazało się, że klucz rzeczywiście należał do Jerry'ego i przekonałem się, że zawartość skrytki bankowej może być dowodem w sprawie, natychmiast zgłosiłem się do pana. Przyniosłem zarówno klucz, jak i opis zawartości skrytki.

- W rzeczy samej - zgodził się Moralas. - A czy może podejrzewa pan, w jaki sposób Jerry mógł wejść w posiadanie

tych rzeczy?

- Tak.

- A pani, panno Palmer - zwrócił się do Liz. - Czy pani także miała swoje podejrzenia?

Liz nerwowo splatała dłonie pod stolikiem, ale jej głos brzmiał pewnie i spokojnie.

- Wiem, że ten, który mnie zaatakował, szukał pieniędzy. A my znaleźliśmy właśnie ich dużą ilość.

- I paczkę czegoś, co, jak podejrzewa pan Sharpe, może okazać się kokainą? - spytał Morales i splótł dłonie. - Panno Palmer, czy kiedykolwiek widziała pani kokainę w posiadaniu Jeremiaha Sharpe'a?

- Nie.

- A czy rozmawiał z panią o kokainie lub przemyśle narkotyków?

- Nie, oczywiście, że nie. Od razu bym do pana z tym przyszła.

- Tak jak przyszła pani do mnie z tym kluczem? - spytał i zbył protest Jonasa niecierpliwym machnięciem dłoni. - Potrzebuję pełnej listy klientów pani sklepu z ostatnich sześciu tygodni. Nazwiska i, jeśli to możliwe, adresy.

- Klientów? Dlaczego?

- Jest bardzo prawdopodobne, że pan Sharpe używał pani sklepu do własnych celów.

- „Czarny Koral”... łodzie... -wzburzona Liz zerwała się z

miejsca. - Myśli pan, że Jerry rozprowadzał narkotyki pod moim nosem, a ja tego nie dostrzegalam?

- Mam nadzieję, panno Palmer, że rzeczywiście nie była pani świadoma tego faktu. Proszę dostarczyć mi tę listę przed końcem tygodnia - powiedział i rzucił Jonasowi bystre spojrzenie. - Oczywiście, ma pani prawo zażądać nakazu sądowego. To po prostu nieco opóźni śledztwo. A ja, oczywiście, mam prawo zatrzymać pannę Palmer w celu złożenia dalszych wyjaśnień.

Jonas czuł chęć kontynuowania słownego pojedynku z Moralasem, lecz dla dobra Liz postanowił skrócić ich rozmowę.

- Zdarza się, kapitanie, że czasami mądrzej jest nie korzystać z pewnych praw i przywilejów. Sądzę, że można śmiało stwierdzić, że wszyscy dążymy do tego samego celu. Dostanie pan swoją listę, kapitanie. A także coś na deser.

Moralas uniósł wzrok i spokojnie czekał na dalsze słowa Jonasa.

- Pablo Manchez - powiedział nagle Jonas i z przyjemnością stwierdził, że udało mu się zaciekawić kapitana.

- Co z nim?

- Jest na Cozumel. Albo był - poprawił się Jonas. - Mój brat spotkał się z nim kilkakrotnie w okolicznych pubach i barach. Może pana również zainteresować fakt, że niejaki David Merriworth zajmuje się sprzedażą towaru w Acapulco. To właśnie on naraił Jerremu kontakty na Cozumel. Jeśli

skontaktuje się pan z władzami w Stanach, łatwo dowie się pan, że ten człowiek ma imponującą kartotekę.

Moralas swym starannym pismem zanotował w notesie oba nazwiska, choć miał pewność, że ich nie zapomni.

- Doceniam pańskie informacje, jednak na przyszłość, panie Sharpe, proszę trzymać się z dala od mojego dochodzenia. Do widzenia, panno Palmer.

- Nie lubię, gdy mi się grozi - rozzłościła się Liz po opuszczeniu biura Moralasa. - Groził, że wpakuje mnie do więzienia!

- Ujawnił tylko swoje i nasze możliwości - odparł spokojnie Jonas i zapalił papierosa.

- Ale tobie nie groził więzieniem - wymamrotała pod nosem.

- Nie martwi się o mnie, tylko o ciebie.

- Martwi się?

- To dobry gliniarz, a ty jesteś teraz jedną z jego podopiecznych.

- Ma dość zabawny sposób okazywania swojej troski - jęknęła Liz, gdy nagle wyrósł przed nią obszarpany chłopiec i z galanterią otworzył przed nią drzwiczki wozu. - *Gracias* - podziękowała z uśmiechem i wręczyła malcowi monetę.

- *Buenas tardes, senorita.* Miłego dnia, panienko - powiedział chłopiec, zamknął drzwi, obejrzał monetę i odbiegł zadowolony.

- Zbankrutujesz przez swoją hojność - roześmiał się Jonas.
- Znów zmieniasz temat - zarzuciła mu.
- Jasne. A teraz powiedz mi, gdzie dostaniemy wszystkie składniki chili?
- Chcesz, żebym gotowała akurat dziś?
- To oderwie cię od ponurych myśli. Na razie nie mamy nic więcej do roboty. Dziś będziemy odpoczywać - dodał z uśmiechem.
- I to gotowanie ma mnie odprężyć? - Liz sama już nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. - Skręć w lewo na skrzyżowaniu. Powiem ci, co masz kupić, ty to kupisz, a potem będziesz się trzymał z daleka w czasie gotowania.
- Zgoda.
- I posprzątasz.
- Oczywiście.
- Zatrzymaj się przy tym sklepiku - zarządziła. - I pamiętaj, sam tego chciałeś.

Liz już jako dziecko zasmakowała w meksykańskich potrawach, gdy z rodzicami przyjeżdżała na wakacje na Cozumel. Nie była kucharką z powołania i sama często zadowalała się zwykłą kanapką, lecz kiedy jej na tym zależało, potrafiła przyrządzić wspaniały posiłek.

Być może chcę zaimponować Jonasowi, przyznała w duchu, szykując swoją popisową sałatkę. Obierając awokado, zdała

sobie sprawę, że jednak gotowanie odpręży ją, bo poczuła się zrelaksowana.

To, co przeżyła ostatnio, było dla niej tak dziwne i obce, że cieszyła się, że jedyną decyzją, którą teraz podejmuje, jest sposób pokrojenia warzyw. Zaczęła przystrajać sałatkę. Uśmiechnęła się na myśl, że jest to jedyna sałatka, która podobała się Faith na tyle, aby córka chciała ją jeść. Decydował nie smak, ale wygląd. Liz zaczęła kroić ostre papryczki i cebulkę do sosu. Dodała szczyptę czosnku i postawiła garnek na elektrycznej kuchence.

- Całkiem nieźle pachnie - powiedział Jonas, zwabiony do kuchni przyjemnymi zapachami.

- Miałeś nie przeszkadzać - rzuciła mu przez ramię.

- Ty gotuj, a ja nakryję stół - zaproponował.

Liz wzruszyła ramionami i wróciła do przyprawiania potrawy. Gęsty sos z mięsem i warzywami kusząco bulgotał na ogniu. Zadowolona z siebie, wytarła ręce i spojrzała wreszcie na Jonasa. Siedział wygodnie przy kuchennym stole i przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.

Cała sytuacja wydawała się tak naturalna, że Liz nagle zrozumiała, jak bardzo tęskniła za takimi prostymi rzeczami w życiu. Odłożyła ściereczkę i nie wiedziała, co zrobić z rękami.

- Niektórzy mężczyźni uważają, że kobieta najlepiej wygląda w kuchni.

- Nie wiem, co myślą inni, ale dla mnie wyglądasz równie uroczo za sterami łodzi - odparł z psotnym uśmiechem. - Słuchaj, jak długo to się musi gotować?

- Z pół godziny.

- Dobrze - skinął głową i wstał. - W takim razie napijemy się wina.

- Nie mam odpowiednich kieliszków - powiedziała i alarmowe światełko rozbłysło w jej głowie.

- Pomyślałem o tym - oznajmił zadowolony Jonas i wyjął z torby butelkę wina i dwa kieliszki na cienkich nóżkach.

- Ty podstępna bestio!

- Nie chciałaś, żebym plątał się obok ciebie, więc musiałem się czymś zająć - odparł ze śmiechem i otworzył wino.

- Te świece nie są moje - powiedziała Liz, przyglądając się nakryciu stołu.

- Są nasze.

Liz niespokojnie gmiotła w dłoniach serwetki, które miała położyć na stole. Nie planowała romantycznej kolacji. Ostatni raz, kiedy zapaliła świece do posiłku, popełniła największą pomyłkę swego życia.

- Nie musiałeś sobie zadawać tyle trudu. Nie chcę...

- Czy wino i świece cię krępują?

- Nie, oczywiście, że nie - mruknęła i ułożyła wreszcie serwetki na stole.

- To dobrze - pokiwał głową, nalał wino do kieliszków i

podał jeden Liz. - Bo mnie odprężają. A mieliśmy się właśnie relaksować, pamiętasz?

- Obawiam się, że oczekujesz ode mnie więcej, niż mogę dać - powiedziała nagle Liz.

- Nie. Oczekuję dokładnie tego, co możesz mi dać.

Dziewczyna poczuła, że pułapka się zamyka. Ze sztucznym uśmiechem odwróciła się do lodówki.

- Zaczniemy od sałatki - oznajmiła drżącym głosem.

Jonas zgasił światło i zapalił świece. Liz wmawiała sobie, że to nic takiego. Atmosfera jest jedynie dodatkiem do posiłku.

- Jaka ładna - zachwycił się Jonas na widok sałatki.

- Nauczyłam się ją robić, kiedy pracowałam w hotelu - powiedziała Liz. - Właśnie tam nauczyłam się gotować.

- Rewelacja - oznajmił, gdy tylko spróbował. - Żałuję, że nie namówiłem cię wcześniej na gotowanie.

- Tylko ten jeden raz - zastrzegła Liz. - Wiesz, że posiłki nie są...

- ... wliczone w cenę - dokończył za nią. - Ale moglibyśmy renegotjować naszą umowę.

- Nie sądzę - Liz wreszcie się uśmiechnęła i zdenerwowanie zaczęło mijać. - A jak sobie dajesz radę w Filadelfii?

- Gospodyni gotuje mi raz w tygodniu. Zwykle jadam na mieście - odparł, delektując się sałatką.

- I pewnie chodzisz na przyjęcia?

- Czasem dla przyjemności, ale przeważnie w sprawach

służbowych - powiedział, odkrywając na nowo uroki domowego posiłku. - Jeśli mam być szczery, to na dłuższą metę jest to nużące i bezcelowe.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto oddaje się bezsensownym zajęciom - zdziwiła się Liz.

To było to! Jonas wreszcie zdał sobie sprawę, że to nie praca i nie godziny siedzenia w biurze, bibliotekach czy na sali sądowej sprawiały, że tęsknił za innym życiem. Chodziło o wieczory spędzane bez celu.

- Właśnie niedawno sam to odkryłem - odparł, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy, ale w jego oczach zapłonął dziwny ogień.

Liz, zahipnotyzowana spojrzeniem Jonasa, poczuła, że musi natychmiast czymś się zająć albo przepadnie z kretesem. Zerwała się i podeszła do kuchenki.

- Wszyscy podejmujemy decyzje w dorosłym życiu i określamy, co jest dla nas najważniejsze.

- Mam wrażenie, że ty zrobiłaś to już dawno temu - zauważył łagodnie.

- Tak. I nigdy tego nie żałowałam.

- Nic byś nie zmieniła w swoim życiu, prawda?

- Co miałabym zmieniać? - spytała, nakładając chili do miseczek.

- Gdybyś mogła cofnąć się o jedenaście lat i wybrać inną drogę, nie zrobiłabyś tego, prawda?

Liz przestała nakładać potrawę i odwróciła się do Jonasa. Nawet z drugiego końca kuchni widział błysk zdecydowania w jej oczach.

- To oznaczałoby, że musiałabym też zrezygnować z Faith. Nie, nic bym nie zmieniła.

- Podziwiam cię - wyznał Jonas, gdy postawiła miseczki na stole.

- Za co? - spytała, rumieniąc się.

- Za to, że jesteś dokładnie taka, jaka jesteś.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nic nie mogło bardziej wzruszyć Liz. Nie przywykła do komplementów. Proste słowa Jonasa zapadły jej głęboko w serce. Może sprawiły to świece, może intymna atmosfera małej kuchni, a może wypite wino, lecz nagle poczuła się dobrze i bezpiecznie. Nawet nie była świadoma tego, że przestała mieć się na baczności.

- Nie mogłabym być inna - odparła z prostotą.

- Owszem, mogłabyś. Ale cieszę się, że tak nie jest.

- A ty? Kim jesteś?

- Trzydziestopięcioletnim prawnikiem, który właśnie zdał sobie sprawę, że dotąd marnował tylko czas - powiedział i uniósł kieliszek. - Za to, żeby było lepiej.

Liz upiła łyk wina.

- Pycha - Jonas pokiwał z uznaniem głową, gdy tylko spróbował chili.

- Nie za ostre dla delikatnego miejskiego żołądka?

- Mój żołądek wytrzyma te tortury - zaśmiał się. - Dziwię się, że nie otworzyłaś restauracji, skoro potrafisz tak gotować.

- Wolę morze - odparła, mile polechtana pochwałą.

- Nie będę się z tobą sprzeczał. Mówisz, że nauczyłaś się gotować w hotelu?

- Tak. Jadaliśmy posiłki w kuchni i kucharka była tak miła, że zawsze mówiła mi, jak przyrządziła potrawę.

Jonas chciał się od niej wszystkiego dowiedzieć. Wiedział,

że musi być ostrożny z pytaniami, inaczej ją spłoszy.

- A jak długo tam pracowałaś?

- Dwa lata. W końcu straciłam rachubę, ile łóżek posłałam.

- Potem założyłaś własną firmę?

- Wtedy kupiłam sklep - przyznała, wzięła kawałek chleba i zanurzyła go w sosie. - To było ryzykowne posunięcie.

- Jak sobie dawałaś radę? - spytał z podziwem. - Miałaś przecież maleńkie dziecko.

- Nie wiem, o co ci chodzi - prychnęła.

- Zastanawiałem się po prostu, jak dawałaś sobie radę - powiedział łagodnie, wiedząc, że nie powinien naciskać. - Niewiele kobiet dokonałoby tego, co ty. Byłaś sama, w ciąży i musiałaś zarabiać na utrzymanie.

- Czy to takie niezwykle? - zapytała z uśmiechem. - A czy miałam inny wybór?

- Zapewniam cię, że niektórzy postąpiliby inaczej.

Liz przyjęła jego słowa skinieniem głowy.

- Dla mnie istniała tylko jedna droga - powiedziała i zaczęła snuć wspomnienia. - Z początku byłam przerażona, ale w miarę upływu czasu strach słabł coraz bardziej. Ludzie byli dla mnie bardzo dobrzy. Może byłoby inaczej, gdybym nie miała tyle szczęścia. Pewnego dnia zaczęłam rodzić... Pamiętam, że sprzątałam właśnie jeden z hotelowych pokoi i jedyne, o czym pomyślałam to to, że zdążyłam uporządkować dopiero połowę - dodała ze śmiechem i zabrała się do jedzenia.

Jonas zastygł z łyżką w połowie drogi do ust.

- Pracowałaś tego dnia, gdy rodziłaś Faith?

- Oczywiście. Przecież byłam zdrowa.

- Znam mężczyzn, którzy biorą wolny dzień z powodu wizyty u dentysty.

- Może kobiety są jednak silniejszą płcią - zaśmiała się Liz i podała mu koszyk z pieczywem.

Wziął kawałek chleba i pomyślał, że to, co powiedziała, dotyczy chyba tylko nielicznej grupy kobiet. Bardzo wyjątkowych kobiet.

- A co było później?

- Znow miałam szczęście. Pracowałam z panią Alderez. Gdy urodziła się Faith, jej synek miał pięć lat i siedziała z nim w domu. Zgodziła się zajmować małą w ciągu dnia, więc mogłam od razu wrócić do pracy.

- Musiało ci być bardzo ciężko - powiedział Jonas, nieświadomy faktu, że słuchając jej, cały czas gniótł chleb w dłoni.

- Najgorszy był moment, kiedy rano musiałam rozstawać się z Faith i wyjść do pracy. Ale pani Alderez była dla niej bardzo dobra. Tak właśnie trafiłam na ten dom i zostałyśmy sąsiadkami. Jedna rzecz prowadziła do następnej. A potem otworzyłam sklep.

Im prostszymi słowami Liz opisywała swoją przeszłość, tym bardziej przemawiały one do Jonasa.

- Powiedziałaś już, że to było ryzykowne przedsięwzięcie.

- Wszystko było ryzykowne. Ale gdybym została w hotelu, nie mogłabym dać Faith tego, co chciałam - oznajmiła, wzruszając ramionami. - Chcesz dokładkę? - spytała nagle.

- Nie, dziękuję. - Jonas, nie mogąc już dłużej usiedzieć na miejscu, wstał i zaczął zbierać naczynia. Wiedział, że jeśli powie coś nie tak, Liz znów się wycofa i zamknie w sobie. A on coraz bardziej chciał poznać i zrozumieć tę wspaniałą dziewczynę. - Gdzie nauczyłaś się nurkować?

- Tu na Cozumel. Byłam wtedy niewiele starsza od Faith - przypomniała sobie z uśmiechem Liz i zaczęła chować resztki jedzenia do lodówki. - Przyjeżdżaliśmy tu z rodzicami na wakacje.

- To dlatego postanowiłaś osiąść właśnie tutaj?

- Wybrałam Cozumel, bo zawsze byłam tu spokojna i czułam się bezpiecznie.

- Ale przecież musiałaś się jeszcze wtedy uczyć.

- Dopiero zaczęłam studiować biologię morską - powiedziała i upiła łyk wina. - Chciałam zostać oceanologiem albo nauczycielem, który opowiada uczniom o morskich cudach, może naukowcem, który odkryje coś nowego... To było moje wielkie marzenie. Uczyłam się pilnie i nie miałam czasu na rozrywki, a potem... - Liz urwała gwałtownie, uświadamiając sobie, że zdradza Jonasowi swoje tajemnice. - Powinieneś zapalić sobie światło do tego zmywania - zmieniła temat.

- Co było potem? - chciał wiedzieć Jonas.

Podszedł do dziewczyny i chwycił ją za ramiona, gdy tylko zapaliła światło. Spojrzała na niego w niemym zdumieniu.

- Potem poznałam ojca Faith i to już był koniec marzeń.

Jonas czuł, że musi poznać prawdę do końca. Zapomniał o ostrożności.

- Kochałaś go? - spytał wprost.

- Tak. Gdybym go nie kochała, nie byłoby Faith.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Wciąż coś mu umykało.

- Więc dlaczego wychowujesz ją sama?

- Czy to nie jest oczywiste? - warknęła i odepchnęła jego dłoń. - Nie chciał mnie.

- Czy chciał, czy nie, i tak był odpowiedzialny za ciebie i dziecko.

- Nie mów mi o odpowiedzialności! Tylko ja jestem odpowiedzialna za Faith.

- Prawo mówi inaczej.

- Zostaw wiedzę prawniczą dla siebie - syknęła przez zaciśnięte zęby. - On też umiał cytować paragraf za paragrafem i nic dobrego z tego nie wyszło. Po prostu nas nie chciał.

- Więc pozwalasz, by duma pozbawiła cię należnych praw?

- rozzłościł się Jonas, wepchnął ręce do kieszeni i cofnął się. - Dlaczego nie walczyłaś o to, co ci się prawnie należało?

- Chcesz usłyszeć tę historię ze szczegółami, Jonas? - spytała, nie mogąc ukryć wściekłości, bo wspomnienia niosły

wstyd, ból i upokorzenie.

Liz skoncentrowała się na swoim gniewie, podeszła do stołu i jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Nie miałam jeszcze osiemnastu lat. Zaczęłam właśnie wymarzone studia i wiedziałam, że gdy je skończę, będę mogła robić właśnie to, o czym marzyłam. Byłam dużo bardziej dojrzała niż moje koleżanki z roku, które interesowało tylko to, kto urządza imprezę danego dnia. Większość wieczorów spędzałam w bibliotece. Tam go poznałam. Był na ostatnim roku i wiedział, że jeśli nie zda końcowych egzaminów, czeka go w domu piekło. Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie od wieków zajmowali się prawem lub polityką. To była kwestia podtrzymania rodzinnych tradycji. Ale ty przecież doskonale to rozumiesz.

Strzała trafiła do celu, lecz Jonas tylko pokiwał głową.

- Więc pewnie zrozumiesz i resztę. Widywaliśmy się co wieczór w bibliotece i w końcu kiedyś umówiliśmy się na kawę. Był mądry, atrakcyjny, miał cudowne maniery i potrafił mnie rozśmieszyć. Zakochałam się w nim do szaleństwa - powiedziała i gwałtownie zdmuchnęła świece. - Przynosił mi kwiaty i zabierał na długie, romantyczne spacerunki. Gdy wyznał, że mnie kocha, uwierzyłam mu bez zastrzeżeń. Myślałam, że przede mną otworzyło się niebo.

Jonas nie odezwał się, więc Liz odstawiła swój kieliszek i podjęła opowieść.

- Powiedział, że chce się ze mną ożenić, gdy tylko obroni swój dyplom. Siedzieliśmy w samochodzie, patrzyliśmy w gwiazdy, a on opowiadał mi o swoim domu w Dallas. O przyjęciach, służących i wystroju pomieszczeń. To było jak bajka. Aż pewnego dnia przyjechała jego matka - Liz roześmiała się gorzko i ścisnęła oparcie krzesła tak mocno, że aż pobieleły jej dłonie. - Przyjechała wielką białą limuzyną, która stanęła przy krawężniku przed naszym internatem. Nie wiedziałam, że się zjawi, lecz z całego serca pragnęłam ją poznać. Gdy kierowca wysiadł i zaprosił mnie do środka, o mało nie zemdlałam z wrażenia. No i poznałam ją... no i dostałam niezłą lekcję życia. Dowiedziałam się, że jej syn pochodzi ze znanej rodziny i w związku z tym spoczywają na nim pewne obowiązki. Musi utrzymać wysoki poziom życia, a ja, choć z pewnością jestem miłą dziewczyną, zupełnie nie pasuję do rodziny Jensannów z Dallas.

Oczy Jonasa zwęziły się, gdy poznał nazwisko człowieka, który przed laty skrzywdził Liz. Nie odezwał się jednak, tylko zacisnął mocniej szczęki.

- Powiedziała mi, że już rozmawiała z synem. On rozumie, że nasz związek musi się skończyć. Potem ofiarowała mi czek, jako rekompensatę. Byłam upokorzona, i co gorsza, byłam w ciąży. Nie zdążyłam nikomu o tym powiedzieć, bo sama odkryłam to tamtego ranka. Nie przyjąłem pieniędzy. Wsiadłam z limuzyny i poszłam prosto do Marcusa. Byłam

pewna, że kocha mnie na tyle mocno, że stanie po stronie mojej i dziecka. Pomyliłam się.

Liz miała tak suche oczy, że aż ją bolały. Potarła je dłońmi.

- Gdy zaczęliśmy rozmawiać, był uprzejmy, chłodny i używał logicznych argumentów. Było miło, ale się skończyło, powiedział w końcu. Rodzice utrzymują go, więc musi ich zadowalać. Zapewnił mnie, że jeśli dochowam tajemnicy, chętnie będzie się ze mną spotykał na boku. Kiedy powiedziałam mu o dziecku, wpadł w szal. Jak mogłam zrobić mu coś takiego? Oskarżał wyłącznie mnie. Zupełnie jakbym sama poczęła nasze dziecko. Nie zamierzał pakować się w coś takiego, nie życzył sobie, żeby jakaś głupia dziewczucha psuła mu szyki. Powiedział, że mam się tego pozbyć... - Urwała, wciąż wstrząśnięta wspomnieniem tamtej rozmowy sprzed prawie jedenastu lat. - Pozbyć... jakby Faith była przedmiotem, który można wyrzucić na śmietnik i zapomnieć. Dostałam hysterii. On stracił panowanie nad sobą. Groził mi. Mówił, że rozpuści plotkę, że sypiałam z kim popadnie, a jego koledzy to potwierdzą. Nigdy nie udowodnię, że to jego dziecko. Powiedział, że moi rodzice będą się mnie wstydzić, może nawet wyrzucą mnie z domu. Potem używał prawniczego języka, zarzucał mnie paragrafami. Zrozumiałam z tego tylko jedno. Marcus ze mną zrywał. Przypomniał mi, że jego rodzina ma znajomości i że usuną mnie ze studiów. Byłam głupia i uwierzyłam we wszystko, co mówił. Dał mi czek, kazał wyjechać z kraju i wszystkim się zająć. Nikt

nie miał prawa się o tym dowiedzieć. Przez tydzień nie zrobiłam nic. Oszołomiona chodziłam na zajęcia i myślałam, że to tylko zły sen i niedługo się obudzę. Potem przemyślałam sprawę. Napisałam do rodziców, wyjaśniając tyle, ile mogłam. Sprzedałam samochód, który dali mi po ukończeniu szkoły. Wzięłam czek od Marcusa i przyjechałam na Cozumel urodzić dziecko.

- Mogłaś zwrócić się o pomoc do rodziców - powiedział cicho Jonas, wstrząśnięty historią Liz.

- Tak, ale Marcus przekonał mnie, że będą się mnie wstydzić. Że mnie znienawidzą i uznają dziecko za bękarta.

- Dlaczego nie poszłaś do jego rodziny? Miałaś prawo do ich opieki.

- Miałam iść do nich? - spytała, a Jonas uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie słyszał tyle jadu w jej głosie. - Oni mieliby się mną opiekować? Wolałabym raczej od razu iść do piekła.

Jonas potrzebował dłuższej chwili, żeby się uspokoić.

- Oni nic nie wiedzą, prawda?

- Nie. I nigdy się nie dowiedzą. Faith jest moja.

- A ile wie Faith?

- Tyle, ile mogłam jej powiedzieć. Nigdy nie skłamałabym własnemu dziecku.

- A wiesz, że Marcus Jensann stara się o wejście do Senatu i pewnie na tym nie poprzestanie?

- Ty go znasz? - zapytała Liz i cała krew odpłynęła z jej

twarzy.

- Tylko ze słyszenia.

- On nie ma pojęcia o istnieniu Faith i nikt z jego rodziny też o niej nie wie i nie mogą się dowiedzieć.

- Czego się boisz? - spytał Jonas i podszedł do Liz.

- Ich władzy. Faith jest tylko moja i tak już zostanie. Żadne z nich nawet jej nie tknie.

- To dlatego tu jesteś? Ukrywasz się?

- Zrobię wszystko, co trzeba, aby ochronić moje dziecko.

- Wciąż się go boisz! - Rozwścieczony Jonas boleśnie chwycił Liz za ramiona. - Wystraszył nastolatkę, ale ty chowasz to przerażenie do tej pory. Nie wiesz, że taki facet w ogóle o tobie nie pamięta? Uciekasz przed kimś, kto nie poznałby cię na ulicy!

Uderzyła go w twarz z taką siłą, że głowa Jonasa odskoczyła do tyłu. Liz sama nie wiedziała, że potrafi być tak brutalna. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się nad swym postępkim. Cofnęła się, oddychając ciężko. Gniew przesłaniał jej świat.

- Nie mów mi, przed czym uciekam. Nie mów mi, co czuję!
- krzyknęła i pobiegła do drzwi.

Jonas dopędził ją jednym susem. Złapał Liz za rękę i okręcił w miejscu. Nawet nie wiedział, dlaczego jest taki wściekły. Wiedział tylko, że już nie zdoła nad sobą zapanować.

- Z ilu rzeczy musiałaś przez niego zrezygnować? - syknął. -
Ile musiałaś poświęcić?

- To moje życie i mogę z nim robić, co mi się podoba!

- Nie zamierzasz go dzielić z nikim, oprócz córki. Ale powiedz mi, co zrobisz, gdy ona dorośnie? Co zrobisz za dwadzieścia lat, gdy nie pozostanie ci nic, oprócz wspomnień?

- Przestań - szepnęła błagalnie, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Wszyscy kogoś potrzebujemy - powiedział i uniósł jej twarz tak, że musiała patrzeć wprost w jego oczy. - Nawet ty. Już czas, żeby ktoś ci to jasno uświadomił.

- Nie.

Liz próbowała się wyrwać, ale było już za późno. Uwięził ją w silnym uścisku i zmiął jej usta swoimi. Pasja szybko zajęła miejsce gniewu, lecz Liz wciąż walczyła z ogarniającym ją podnieceniem.

- Nie walczysz ze mną - szepnął Jonas, zagładając jej w oczy. - Walczysz ze sobą. Robisz to od dnia, w którym się spotkaliśmy.

- Chcę, żebyś mnie puścił - poprosiła słabo.

- Wiem. Ale równie mocno pragniesz, żebym nie zabierał rąk. Od dawna sama podejmujesz decyzje, Liz, ale tę jedną podejmę za ciebie.

Delikatnie położył ją na sofie i stłumił protest gorącym pocałunkiem. Liz, uwięziona pod silnym męskim ciałem, poczuła, jak krew zaczyna żywiej krążyć w jej żyłach, a serce przyspiesza swój rytm. O, tak. Walczyła ze sobą. Powinna

najpierw wygrać tę walkę, zanim podejmie walkę z Jonaszem. Ale Liz przegrywała.

Usłyszała swój jęk, gdy usta mężczyzny zaczęły leniwie błędzić po jej szyi. Gdy wygięła się w łuk, poczuła twardość jego ciała. Oszałały puls tłukł się w zakamarkach jej ciała, które było uśpione od lat. Znikły wszystkie linie obrony. Z jękiem rozkoszy i poddania ujęła twarz Jonasa w dłonie i przywarła ustami do jego warg.

W jego pocałunku wyczuwała pożądanie, chęć życia, obietnice. Chciała spróbować wszystkiego. Tak długo ograniczała się i powstrzymywała, że nagle poczucie wolności uderzyło jej do głowy. Zaśmiała się radośnie i objęła Jonasa ciaśniej. Chciała go i on jej pragnął. Do diabła z resztą świata!

Jonas nie był pewien, co nim kieruje. Gniew, pożądanie, ból? Wiedział tylko, że pragnie posiąść Liz. Jej ciało, umysł i duszę. Nie opierała się. Z każdą chwilą pragnął jej bardziej i choć oddawała mu wszystkie pieszczoty w dwójnasób, wciąż było mu mało. Zrozumiał, że choć ją uwolnił, to sam stał się jej więźniem.

Zdarł z niej koszulę i niedbale odrzucił na podłogę. Słyszał szaleńcze bicie własnego serca. Liz wydawała mu się taka drobna i krucha, lecz już nie umiał się powstrzymać. Nachylił się nad nią i położył głowę na jej piersiach. Chłonał jej uwodzicielski zapach i smakował jej skórę w zapamiętaniu. Nagle poczuł, że Liz szarpie się z jego koszulą.

Sama nie wiedziała już, co robi. Pieściła go i przesyłała mu nieme żądania. Chciała czuć go przy sobie, doświadczać tego, co umykało jej przez lata. Czuła się tak, jakby po raz pierwszy miała kochać się z mężczyzną, jakby nie było nikogo innego. Wreszcie zrozumiała. Liczył się tylko Jonas.

Gdy jednym ruchem ściągnął jej spodnie, Liz nie czuła zażenowania. Bez wahania zrobiła to samo z jego ubraniem, po czym przejęła inicjatywę i nie pozostawiła Jonasowi wyboru. Objęła udami jego biodra i przyciągnęła go do siebie. Doznanie było tak silne, że świat zawirował. Jonas zaczął poruszać się w niej delikatnie, cały czas wpatrując się w twarz Liz. Dziewczyna zacisnęła powieki, rozchyliła usta i jęczała cichutko. Jonas prowadził ją coraz dalej i dalej, aż do krawędzi spełnienia. Przez chwilę balansowali na szczycie, aż wreszcie, spleceni w uścisku, polecili do gwiazd.

Liz leżała cicho i powoli dochodziła do siebie. Jonas też się nie ruszał. Chciała, żeby powiedział coś, co wyjaśni tę sytuację. Do tej pory miała tylko jednego kochanka i nauczyła się nie oczekiwać zbyt wiele. Jonas oparł głowę na jej ramieniu. Usiłował walczyć z własnymi demonami.

- Przepraszam - odezwał się po chwili.

Nie mógł powiedzieć nic gorszego. Liz zamknęła oczy i spróbowała uciszyć ból. Gdy uspokoila się trochę, wstała i zebrała swe rzeczy z podłogi.

- Nie potrzebuję twoich przeprosin - odparła z godnością i wyszła z pokoju.

Jonas westchnął i usiadł. Nie potrafił dotrzeć do Liz. Każdy jego ruch wydawał się krokiem wstecz. Nie rozumiał, jak mógł być taki brutalny. Skoro nie mógł sobie ufać, powinien raczej wynająć ochroniarza i wynieść się z powrotem do hotelu. Nie chciał jej krzywdzić. Kiedy stał w kuchni i słuchał jej opowieści, coś w nim pękło i zalała go fala wściekłości. Zamiast ją pocieszyć, rzucił się na nią jak zwierzę. Wiedział, że same przeprosiny nie wystarczą, ale nie mógł ofiarować jej nic innego.

Włożył spodnie i poszedł poszukać Liz. Znalazł ją w sypialni. Właśnie zawiązywała pasek szlafroka.

- Późno już, Jonas - powiedziała, chcąc się go pozbyć jak najszybciej.

- Zraniłem cię?

- Tak - odparła, patrząc mu w oczy. - A teraz chcę wziąć prysznic, zanim się położę.

- Liz, nie umiem ci wyjaśnić, jak mi przykro, że byłem taki brutalny i nieczuły. Nie wiem, jak mógłbym ci to wynagrodzić i...

- Zraniły mnie twoje przeprosiny - odparła ku jego zaskoczeniu.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa. Jak mógł ją zrozumieć, skoro wciąż była dla niego zagadką?

- Do diabła, Liz! Nie przepraszałem za to, że się kochaliśmy, tylko za mój brak delikatności. Praktycznie

rzuciłem cię na łóżko i zdarłem z ciebie ubranie.

- A ja zdarłam twoje-powiedziała, krzyżując ręce na piersiach i starając się zachować spokój.

- Tak, zrobiłaś to - zgodził się i na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Czy chcesz, żebym cię za to przeprosiła? - spytała poważnie.

Podszedł do Liz i delikatnie położył ręce na jej ramionach. Materiał szlafroka był miękki i miły. Poczł ciepło jej ciała.

- Nie. Wolałbym usłyszeć, że pragnęłaś mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

- Sądziłam, że to oczywiste - powiedziała, umykając wzrokiem.

- Liz - szepnął i łagodnie skierował jej twarz ku sobie.

- Dobrze. Pragnęłam cię. A teraz...

- Teraz - przerwał jej - wreszcie mnie posłuchaj.

- Nie musisz mówić nic więcej.

- Muszę - uparł się, poprowadził Liz do łóżka i delikatnie ją posadził. - Pojawilem się na Cozumel, żeby załatwić konkretną sprawę. Gdy cię spotkałem, byłem przekonany, że sporo wiesz i to ukrywasz. Sądziłem, że coś łączyło cię z moim bratem. Postanowiłem cię poznać i zobaczyć, w czym możesz mi pomóc. Ale potem zrozumiałem, że nie o to chodzi. Chciałem cię poznać ze względu na siebie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu nie mogłem przestać o tobie myśleć - powiedział i uśmiechnął się, widząc jej zaskoczoną minę. - Dziś specjalnie zacząłem rozmowę o Faith, ale nie potrafiłem spokojnie znieść tego, co usłyszałem.

- To zrozumiałe - odparła. - Większość ludzi potępia niezamężne matki.

- Przestań wkładać mi w usta słowa, których nie wypowiedziałem - rozzłościł się Jonas. - Stałaś w kuchni i opowiadałaś historię swego życia. Widziałem tę ufną, młodą dziewczynę pełną marzeń. A potem dowiedziałem się, jak haniebnie zdradzono twoje zaufanie, jaką wyrządzono ci krzywdę. Dowiedziałem się, dlaczego wszystkiego sobie odmawiasz i czemu żyjesz z dala od ludzi.

- Już ci mówiłam, że niczego nie żałuję.

- Wiem - zgodził się i ucałował jej dłoń.

- Jonas, czy ty uważasz, że każdemu spełniają się marzenia z dzieciństwa?

Roześmiał się, objął ją i przytulił. Liz przez chwilę siedziała sztywno, nie wiedząc, jak powinna zareagować na ten gest. Z lekkim wahaniem złożyła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy.

- Jerry i ja mieliśmy być partnerami - powiedział nagle Jonas.

- W czym?

- We wszystkim.

Liz otworzyła oczy i popatrzyła na monetę, kołyszącą się na łańcuszku.

- Miał taką samą, prawda?

- Gdy byliśmy mali, dostaliśmy je od dziadka. Były identyczne. Śmieszne, ale zawsze nosiliśmy je na odwrotnych stronach, ja awers, a on rewers - Jonas westchnął i zacisnął dłoń na monecie. - Jerry ukradł pierwszy samochód, gdy mieliśmy po szesnaście lat.

- Przykro mi - szepnęła Liz i wzięła go za rękę.

- Wcale nie musiał tego robić. Mieliśmy dostęp do wszystkich aut w garażu. Powiedział, że chciał się przekonać, czy ujdzie mu to na sucho.

- Nie miałeś z nim łatwego życia.

- To prawda. Sobie też utrudniał życie, jak tylko mógł. Ale nie był zły. Zdarzało się, że go nienawidziłem, ale nigdy nie przestałem go kochać.

- Czasami miłość sprawia więcej bólu niż nienawiść - powiedziała Liz i przysunęła się jeszcze bliżej.

Jonas pocałował czubek jej głowy i zamyślił się głęboko.

- Liz, ty chyba nie rozmawiałaś z prawnikiem o swojej córeczce, prawda?

- A po co miałabym to robić?

- Marcus ma pewne obowiązki, przynajmniej finansowe, wobec dziecka i ciebie.

- Już raz wzięłam od niego pieniądze. Nigdy więcej.

- Alimony można załatwić szybko i bez rozgłosu. Nie musiałabyś pracować siedem dni w tygodniu.

Liz wzięła głęboki oddech i odsunęła się nieco, żeby móc patrzeć mu w oczy.

- Faith jest moim dzieckiem. I tylko moim, od momentu kiedy Marcus wręczył mi czek na aborcję. Mogłam to zrobić i żyć, jak zaplanowałam. Zdecydowałam inaczej. Postanowiłam urodzić, wychowywać i utrzymywać dziecko. Faith od dnia swoich narodzin dawała mi wyłącznie chwile szczęścia i nie zamierzam się nią z nikim dzielić.

- Kiedyś zapyta cię o jego nazwisko.

- Wtedy je pozna- Liz skinęła głową i zwilżyła nagle wyschnięte wargi.

Jonas postanowił nie naciskać już Liz. Zdecydował, że poleci swym pracownikom przejrzeć odpowiednie przepisy i sprawy o ojcostwo.

- Wiem, że przed przyjazdem Faith miałem zniknąć z twojego domu i zamierzam dotrzymać danego słowa. Ale czy pozwolisz mi ją poznać?

- Jeśli wciąż będziesz w Meksyku - zgodziła się z uśmiechem.

- Jeszcze tylko jedno pytanie.

- Słucham?

- Nie było innych mężczyzn w twoim życiu?

- Nie - odparła, a jej uśmiech zbladł.

Jonas poczuł dziwną mieszankę wdzięczności i poczucia winy.

- Więc pozwól mi pokazać, jak powinna wyglądać miłość.

- Nie musisz...

- Muszę - powiedział i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy. - Pragnąłem cię od chwili, gdy cię ujrzałem - szepnął i obdarzył ją pocałunkiem tak delikatnym, jak muśnięcie skrzydłem motyla. Powoli, by jej nie spłoszyć, rozwiązał pasek i zsunął szlafrok z ramion Liz. - Twoja skóra jest jak złoto - wymruczał i obwiodł palcem jej pierś. - Chcę cię zobaczyć całą.

- Jonas...

- Całą - powtórzył. - Pragnę się z tobą kochać.

Liz się nie opierała. Jeszcze nikt nie patrzył na nią z takim podziwem w oczach, nie dotykał z takim szacunkiem. Osunęła się na łóżko.

- Jesteś taka piękna - westchnął, gdy księżyc oświetlił skórę dziewczyny. Patrzyła na Jonasa z nadzieją, ale i z przestraczem.

- Zaufaj mi - poprosił i zaczął rozkoszną podróż wargami po jej ciele, poczynając od całowania jej kostek. - Nie musisz się mnie bać.

- Wcale się ciebie nie boję.

- Ale bałaś się. Wtedy nawet byłem z tego zadowolony, ale teraz już nie.

Język Jonasa załaskotał Liz pod kolanami. Po raz pierwszy doświadczała takich uczuć.

- Jonas... - zawołała i gwałtownie usiadła.

- Odpręż się - powiedział i położył dłoń na jej biodrze. - Połóż się, Liz. Pozwól mi pokazać sobie, jak wiele możesz dostać od mężczyzny.

Dziewczyna posłuchała tylko dlatego, że nie miała dość sił, aby mu odmówić. Jonas szeptał upojne słowa, głaskał i laskotał jej ciało tak, że nie mogła nawet skupić się na oddawaniu mu pieśczęt. Ale on właśnie tego pragnął. Chciał dotykać Liz tak, jak nikt nigdy jej nie dotykał. Uwodził i dawał rozkosz z olbrzymią cierpliwością. Zaczął błądzić ustami po jej udach.

Liz odkryła, że to, co czuje, da się tylko porównać do nurkowania. Doświadczała tego samego poczucia wolności i nieskrępowania, gdy zanurzała się w morską toń. Znow czuła wspaniałą lekkość i delikatne kołysanie.

Liz nie wiedziała, że może znieść tyle rozkosznych doznań. Ręce Jonasa odkrywały przed nią tajemnice, o jakich nawet nie śniła. Uczyła się, jak brać i dawać rozkosz. Wzdychała i pozwalała mu się prowadzić. Prosiła o więcej.

Jeśli tak wyglądała miłość, to Liz do tej pory jej nie znała. Teraz nadszedł czas, aby zaryzykować. Bez wahania wyciągnęła rękę i przyciągnęła do siebie Jonasa.

W jej oczach widział bezwarunkowe zaufanie i to poruszyło go do głębi. Myślał, że pożądał jej już do granic, ale dopiero w tej chwili poznał głębię swoich uczuć. Myślał, że wie, jak to jest być z kimś blisko związanym. Mylił się. Teraz rozplynął się w drugiej

osobie i połączył się z nią bez reszty. Należał do Liz całkowicie.

Tym razem sięgnął po nią powoli i delikatnie, choć jego puls bił tak samo szybko jak jej. Pławili się w niekończącej się rozkoszy. Spleceni, z ustami przy ustach, podążyli ku spełnieniu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Liz obudziła się wypoczęta. Z zamkniętymi oczami czekała na dźwięk budzika. Za godzinę będę już w sklepie albo wyprowadzę łódź w morze, pomyślała. Powinnam sprawdzić w planie, zdecydowała i nagle zmarszczyła brwi. Nie mogła sobie przypomnieć, co ma zaplanowane na dziś. Po chwili zrozumiała. Nie mogła pamiętać, bo przecież od dwóch dni nie była w „Czarnym Korale”. A w dodatku, w nocy...

Spłoszona otworzyła oczy i ujrzała roześmianą twarz Jonasa.

- Widziałem, jak się budzisz i zaczynasz się zastanawiać - powiedział i pocałował ją. - To było fascynujące.

Liz zacisnęła dłonie na prześcieradle. Co powinna teraz powiedzieć? Jeszcze nigdy nie spędziła nocy z mężczyzną i nie obudziła się rano u jego boku. Szczególnie u boku tak wspaniałego mężczyzny jak Jonas Sharpe.

- Jak ci się spało? - spytała i pojęła śmieszność takiego pytania.

- W porządku - odparł z lekkim rozbawieniem. - A tobie?

- Też dobrze, dziękuję - powiedziała i zamilkła.

Leżała w ciszy i zaciskała dłonie, póki Jonas czule ich nie pogłaskał. Patrzył na Liz z ciepłym uśmiechem.

- Trochę za późno, żeby krępowała cię moja obecność, Elizabeth.

- Wcale się nie denerwuję - odparła i poczerwieniała, gdy

pocałował jej nagie ramię.

- Chociaż, z drugiej strony, to mi pochlebia. Jeśli się czujesz nieswojo... - szepnął i zaczął drażnić językiem płatek ucha dziewczyny - to znaczy, że nie jesteś obojętna. Nie chciałbym, żebyś miała wprawę w takich sytuacjach. Przynajmniej do czasu.

Czy to możliwe, że znów go pragnęła? Nie sądziła, że nastąpi to po nocy pełnej wrażeń, ale ciało mówiło jej co innego. Oczywiście, Liz jak zawsze posłucha rozumu.

- Już pora wstawać - powiedziała i spojrzała na budzik. - To niemożliwe - zdziwiła się i zamrugwała. - Nie może być już ósma!

- Dlaczego? - spytał Jonas, wsunął dłoń pod prześcieradło i pogładził biodro Liz.

- Bo zawsze nastawiam go na szóstą - odparła z bijącym sercem.

Jonas nie przejął się odkryciem Liz i zaczął pokrywać jej ramię pocałunkami.

- Wczoraj wcale nie nastawiłaś budzika - wymruczał.

- Ale ja zawsze... - zaczęła i urwała.

Z trudem skupiała myśli, gdy Jonas jej dotykał. A kiedy wspomniała wydarzenia ostatniej nocy, niemal zapomniała, o czym w ogóle chciała mówić. W nocy nie myślała o budziku, planie dnia ani sklepie, gdy wyczerpana zasypiała u jego boku. W jej myślach, zupełnie jak teraz, niepodzielnie królował Jonas.

- Zawsze co?

Liz chciała, żeby przestał rozpraszać ją tańcem palców po

skórze, a jednocześnie zapragnęła, by nigdy nie przestawał jej pieścić.

- Zawsze budzę się o szóstej, niezależnie od tego, czy nastawię budzik, czy nie.

- Tym razem zapomniałaś - zaśmiał się i popchnął Liz na poduszki. - To chyba znów był komplement dla mnie.

- Za dużo tych komplementów - mruknęła. - Muszę wstawać.

- Jedyne, co teraz musisz, to kochać się ze mną - powiedział i wyjął prześcieradło z jej dłoni. - Nie mógłbym już zacząć dnia bez ciebie.

- Ale łodzie...

- Z pewnością są już na morzu - przerwał jej i zaczął pieścić pierś dziewczyny. - Luis wydaje się kompetentnym pracownikiem.

- Owszem, ale nie byłam w sklepie od dwóch dni.

- To i trzeci nie zaszkodzi.

Ciało Liz z ochotą odpowiadało na jego dotyk. W końcu poddała się i objęła go.

- Pewnie masz rację - szepnęła.

Ostatni raz leżała w łóżku do dziesiątej, gdy była jeszcze dzieckiem. Liz teraz właśnie czuła się tak, jakby poszła na wagary. Oczywiście, Luis mógł zająć się sklepem, łodziami i wypożyczaniem sprzętu, ale to była jej praca. A tymczasem ona

siedzi w domu i parzy sobie kawę. Nic już nie jest takie, jak przedtem, pomyślała.

- Nie musisz sobie robić wyrzutów, że raz nie poszłaś do pracy - powiedział lekko ochryplym głosem.

- Chyba nie, skoro i tak nie znam dzisiejszego grafiku - zgodziła się i włożyła chleb do tosterka.

- Liz - Jonas podszedł, objął ją i obrócił ku sobie. - Wiesz, że w Filadelfii uchodzę za pracoholika? Ale w porównaniu z tobą jestem leniem.

- Robimy to, co musimy - odparła, marszcząc brwi.

- To prawda - zgodził się. - Wygląda na to, że musisz zostać moją zakładniczką, żebyś mogła trochę odpocząć.

- Pewnie jesteś w tym ekspertem - powiedziała i roześmiała się. - Ale ja jestem ekspertem w wykorzystywaniu czasu - dodała i sięgnęła po swoją grzanekę.

- Wspomniałaś coś o lekcjach nurkowania? - Jonas pozornie zmienił temat.

Liz usłyszała, że kawa zaczyna już bulgotać, sięgnęła po kubek i zmarszczyła brwi. Po chwili wzięła też drugi.

- Zamierzam dziś wziąć jedną taką lekcję.

- Dziś? - zdziwiła się i podała mu napój. - Muszę zobaczyć, co jest w planie. Obie łodzie mogą już być na wodzie.

- Nie chodzi mi o grupowe zajęcia. Wolę indywidualny instruktaż. Mam nadzieję, że będziesz mogła zabrać mnie w morze na „Expatriate”.

Liz wciąż się śmiała, gdy dojechali na miejsce.

- Jeśli ten człowiek próbował cię okraść, to dlaczego zdecydowałaś się go bronić?

- Każdy ma prawo do adwokata. Poza tym, doszedłem do wniosku, że jeśli zostanie moim klientem, uratuję swój portfel.

- No i co?

- No i straciłem zegarek - powiedział Jonas, wziął Liz za rękę i ruszyli nabrzeżem.

Zachichotała jak mała dziewczynka.

- Wybroniłeś go?

- Dostał dwa lata w zawieszeniu.

Liz osłoniła oczy przed słońcem i popatrzyła w stronę sklepu. Luis właśnie wydawał sprzęt do nurkowania parze młodych ludzi. Gdy spojrzała w stronę doków, przekonała się, że w porcie została tylko „Expatriate”.

- Cozumel robi się coraz bardziej popularna - mruknęła do siebie.

- Czy właśnie nie o to chodzi?

- To rzeczywiście dobre dla interesów. Nie powinnam narzekać - zgodziła się i uwolniła dłoń z jego uścisku.

- Ale?

- Ale czasami myślę, że byłoby lepiej, gdyby zmiany nie następowały tak szybko. *Hola*, Luis.

- Liz! - Spojrzenie mężczyzny prześliznęło się po sylwetce

Jonasa, zanim uśmiechnął się do swej praco-dawczyni. - Już myśleliśmy, że nas porzuciłaś. Jak podobało ci się w Acapulco?

- Było... zupełnie inaczej niż tu - powiedziała po chwili. - Miałaś jakieś problemy?

- Jose musiał naprawić kilka drobiazgów. Znow poprosiłem o pomoc Miguela, ale mam na niego oko. Znalazłem też broszurę o rowerach wodnych - oznajmił Luis i podał Liz kolorowy folder.

- Czy pojawili się Brinkmanowie?

- Tak, wypływali z Miguelem dwa dni pod rząd.

- Hm. Więc sam jesteś w sklepie?

- Radzę sobie - odparł wzruszając ramionami. - O! Był tu ten facet - powiedział Luis i zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie nazwisko. - Chudy Amerykanin. Wiesz, ten co był na wycieczce z lekcją dla początkujących.

- Trydent? - spytała Liz, przeglądając rachunki.

- Tak, tak, właśnie ten. Przychodził parę razy.

- Wypożyczył coś?

- Nie - Luis pokręcił głową i puścił oczko do Liz. - Szukał ciebie.

Liz wzruszyła ramionami. Zupełnie nie była nim zainteresowana.

- Skoro tu wszystko jest w porządku, zostawiam cię znow samego i zabieram pana Sharpe'a na lekcję nurkowania.

Luis przelotnie spojrział na Jonasa. Wciąż czuł się nieswojo

w jego obecności. Zauważył jednak, że Liz jest odprężona i wygląda na szczęśliwą.

- Skompletować wam sprzęt?

- Nie. Sama się tym zajmę. Przygotuj formularz i wypisz panu Sharpe rachunek za sprzęt, lekcję i wycieczkę. Skoro jest już... - zaczęła i rzuciła okiem na zegarek - jedenasta, policz tylko połowę ceny.

- Jak to miło z twojej strony - mruknął Jonas, gdy poszła kompletować ekwipunek.

- Dostajesz najlepszego instruktora - pocieszył go Luis, ale nie odważył się podnieść na niego wzroku znad papierów.

- Zapewne - zgodził się Jonas i tęsknie popatrzył na hiszpańską gazetę. Nie rozumiał ani słowa w tym języku i brakowało mu nieco porannych informacji. - Dzieje się coś, o czym warto przeczytać?

Luis odprężył się nieco. Gdy nie patrzył na Jonasa, jego głos nie przypominał mu Jerry'ego.

- Jeszcze nie zdążyłem jej przeczytać. Byłem dość zajęty.

Jonas z przyzwyczajenia zaczął przeglądać gazetę. Choć nagłówki nic mu nie mówiły, zainteresowało go jedno zdjęcie. Na niewyraźnej fotografii rozpoznał Erikę. Jeden szybki rzut oka wystarczył, by dostrzec, że Liz jest zajęta sprzętem. Bez słowa podsunął gazetę Luisowi.

- Hej, to przecież...

- Wiem-z naciskiem przerwał mu Jonas. -Co tu jest

napisane?

Luis pochylił się nad tekstem i zaczął czytać. Po chwili wyprostował się z pobladłą twarzą.

- Nie żyje - szepnął.

- Jak?

- Zadźgana - odparł, ściskając w dłoni długopis.

- Kiedy?

- Znaleźli ją wczoraj w nocy - odparł Luis i z trudem przełknął ślinę.

- Jonas - zawołała Liz z zaplecza - ile ważysz?

- Osiemdziesiąt kilo - odkrzyknął, nie spuszczając oczu z Luisa. - Ona nie powinna teraz się o tym dowiedzieć - szepnął i położył na ladzie należność. - Dokończ wypisywać rachunek.

- Nie chcę, żeby Liz stało się coś złego - odparł Luis i pokonując własny strach, popatrzył Jonasowi prosto w oczy.

- Ja też nie. Dopilnuję tego - obiecał.

- Sprowadzasz kłopoty.

- Wiem - zgodził się Jonas. - Ale jeśli nawet teraz odejdę, one nie znikną.

- Lubilem twojego brata - powiedział Luis z westchnieniem.

- Sądzę jednak, że to on wpędził nas w kłopoty.

- Nieważne, czyja to wina. Teraz liczy się tylko bezpieczeństwo Liz.

- Dopilnuj tego - miękko ostrzegł Luis. - Lepiej tego dopilnuj.

- Pierwsza lekcja - oznajmiła Liz i podeszła do Jonasa. - Każdy pletwonurek jest odpowiedzialny za swój sprzęt i sam go nosi. Przygotowanie do zanurzenia to dwa razy więcej pracy, niż samo nurkowanie - dodała i sięgnęła po swoje butle. -Ale zapewniam cię, że warto. Wrócimy przed zachodem słońca, Luis.

- Liz - zaczął mężczyzna, spojrzał na nią, a potem na Jonasa. - *Hasta luego*, do zobaczenia - powiedział tylko.

Już po chwili Liz i Jonas znaleźli się na pokładzie „Expatriate”. Dziewczyna zabezpieczyła ekwipunek i z przyzwyczajenia zaczęła kontrolę łodzi.

- Odcumujesz?

Jonas pogładził ją po włosach. Zastanowił się, czyjego obecność jest dla niej ochroną, czy raczej zagrożeniem. Chciał wierzyć w pierwszą możliwość.

- Zgoda.

- Więc lepiej przestań się na mnie gapić i zrób to - poleciła Liz, czując rozkoszny dreszcz.

- Lubię na ciebie patrzeć - wyznał Jonas i przytulił ją. - Mógłbym przyglądać ci się latami.

Chciała zarzucić mu ręce na szyję i uwierzyć w jego zapewniania. Mogłaby znów zaufać, znów oddać swój los w czyjeś ręce i... I znów pozwolić się zranić, pomyślała. Pragnęła powiedzieć mu o miłości, która zaczęła w niej kiełkować, ale bała się. Czowała, że wtedy bezpowrotnie straci nad wszystkim

kontrolę. A bez możliwości kierowania swym losem, Liz była bezbronna.

- Zegar tyka - przypomniała mu nieco drżącym głosem.

- Skoro ja płacę, ja będę pilnował czasu - odparł z uśmiechem.

- Mieliśmy nurkować. To się nie uda, jeśli nie odbijemy od brzegu.

- Tak jest, kapitanie! -zawołał, lecz zanim zeskoczył z pokładu, pocałował Liz w usta.

Dziewczyna westchnęła głęboko i uśmiechnęła się do siebie. Jonas wygrywał walkę, choć nawet nie wiedział, że ona wciąż trwa w jej duszy. Liz miała tylko nadzieję, że wygląda na bardziej opanowaną, niż jest w istocie. Poczekała, aż Jonas wskoczy z powrotem na pokład i wyprowadziła łódź z portu.

- Nie musimy wypływać daleko, ale pomyślałam, że chętnie zobaczysz okolicę. Palancar to najpiękniejsza rafa na Karaibach. A także najlepsze miejsce, by docenić uroki nurkowania, bo ma łagodne stoki, wiele jaskiń i podwodnych korytarzy.

- Na pewno masz rację, ale ja myślałem o czymś innym.

- Jak to?

Jonas wyjął niewielki notes z kieszeni, odszukał właściwą stronę i pokazał ją Liz.

- Co ci to przypomina?

Z łatwością rozpoznała notes. To właśnie w nim zapisał te tajemnicze liczby, które odkryli w skrytce bankowej. Jonas

wciąż ma swoją misję, uświadomiła sobie Liz.

- To długość i szerokość geograficzna - odparła po chwili.

- Masz mapę?

Planował to od początku. To, że zostali kochankami, niczego nie zmieniło.

- Oczywiście, ale nie jest mi do tego potrzebna. Znam te wody. To w pobliżu Isla Mujeres - powiedziała i zmieniła kurs łodzi. - To długa wycieczka - oznajmiła.

- Wiem, że niczego nie znajdziemy, ale muszę tam popłynąć - wyjaśnił i objął Liz.

- Rozumiem.

- Wolałabyś, żebym popłynął tam sam?

Nie odezwała się, ale pokręciła przecząco głową.

- To musi być punkt przerzutowy. Jutro Morales też pozna lokalizację i wyśle tam swoich ludzi. Ale ja muszę obejrzeć to miejsce.

- Gonisz za cieniami, Jonas. Jerry nie żyje i nic już tego nie zmieni - powiedziała ze smutkiem.

- Ale dowiem się, dlaczego zginął. Dowiem się, kto go zabił. To mi wystarczy.

- Jesteś pewien? Bo ja uważam, że nie - powiedziała cicho i spojrzała na morze.

Isla Mujeres nie była dużą wyspą. Otaczały ją rafy i miała wiele lagun. Stanowiła jeden z piękniejszych zakątków przyrody na Karaibach. Według krążących legend, kiedyś mieszkali na

niej piraci.

Liz zakotwiczyła w pobliżu wyspy i znów zamieniła się w nauczycielkę.

- Ważne jest poznanie nazwy i przeznaczenia każdego elementu sprzętu do nurkowania. Nie wystarczy, że włożysz kamizelkę i maskę... Nie pal! -zabroniła, gdy zauważyła, że Jonas sięga po papierosy. - Po pierwsze, niemądrze jest niszczyć sobie płuca, a już całkiem bez sensu jest robić to tuż przed zanurzeniem.

- Ile czasu będziemy pod wodą? - spytał, lecz posłusznie odłożył paczkę papierosów na ławkę.

- Około godziny. Głębokość dwadzieścia pięć metrów. To oznacza, że stężenie azotu w organizmie będzie o wiele wyższe niż zwykle. Niektórzy mogą odczuwać zaburzenia równowagi. Jeśli poczujesz zawroty głowy, natychmiast daj mi znać. Będziemy zanurzać się powoli, żeby dać twojemu ciału czas na przystosowanie się do zmian ciśnienia. Wynurzając się, będziemy robić przystanki dekompresyjne, aby organizm mógł pozbyć się nadmiaru azotu. Jeśli ktoś wynurzyłby się zbyt gwałtownie, mógłby nabawić się choroby dekompresyjnej, która jest fatalna w skutkach - powiedziała i rozłożyła na pokładzie sprzęt, aby móc swobodnie opisywać i pokazywać kolejne jego części. - Pamiętaj, że pod wodą nie ma nic pewnego. To nie jest nasze naturalne środowisko. Jesteś zależny nie tylko od swojego ekwipunku, ale i od swojego rozsądku.

- Czy właśnie taki wykład słyszą twoi kursanci?

- Podobny.

- Jesteś naprawdę świetna w tym, co robisz.

- Dziękuję - odparła i wzięła konsolę ze wskaźnikami. - A teraz...

- Moglibyśmy już zacząć?

- Zaczęliśmy. Nie możesz zejść pod wodę, nie mając wiedzy o swym sprzęcie.

- To jest głębokościomierz - oznajmił i szybko się rozebrał. Miał teraz na sobie tylko obcisłe czarne kąpielówki. - I to bardzo nowoczesny. Nie sądziłem, że wypożyczalnie korzystają z takiego sprzętu.

- Ten jest mój - mruknęła. - Ale wypożyczymy podobne.

- Chyba jeszcze ci nie mówiłem, że masz najlepszy sprzęt w całej okolicy? Nie dorównuje twojemu prywatnemu, ale i tak jest na wysokim poziomie. Pomóż mi z tym.

Liz wstała i pomogła mu naciągnąć skafander.

- Nurkowałeś już - zauważyła.

- Tak. Od piętnastego roku życia - przytaknął Jonas, zapiął suwak i zaczął sprawdzać wskaźniki.

- To dlaczego pozwoliłeś mi myśleć, że to twoje pierwsze nurkowanie? - spytała i zaczęła się rozbierać. Po chwili miała na sobie tylko skąpe bikini.

- Bo lubię cię słuchać - powiedział i poczuł falę gorąca, gdy spojrzał na niemal nagą Liz. - Prawie tak samo, jak lubię na

ciebie patrzeć.

Dziewczyna nie była w nastroju do przyjmowania komplementów. Ze zmarszczonymi brwiami wkładała swój skafander.

- I tak policzę ci za lekcję - burknęła.

- Ani przez chwilę w to nie wątpił - odparł z uśmiechem i naciągnął płetwy.

Resztę ekwipunku Liz założyła w milczeniu. Czowała, że to nurkowanie nie będzie tak proste i miłe, jak jej się wydawało. Zanim wskoczyła do wody, ostrzegła Jonasa przed rekinami.

Widoczność była doskonała. Liz przed zanurzeniem upewniła się, że Jonas naprawdę wie, co robi. Uspokoila się, kiedy dał jej znak w języku nurków, że wszystko jest w porządku.

Czowała jednak, że jest spięty. Nie miało to nic wspólnego z jego umiejętnościami. To właśnie tu nurkował Jerry, była tego pewna. A przyczyna jego schodzenia pod wodę była również powodem jego śmierci. Przestała się złościć na Jonasa i wzięła go za rękę.

Jonas z wdzięcznością przyjął jej gest. Nie wiedział, czego tu szuka, skoro znalazł już nawet więcej, niż się spodziewał. Spojrzał na Liz. Dziewczyna zauważyła właśnie olbrzymią płaszczkę, która pożywiała się planktonem i zupełnie nie zwracała uwagi na intruzów. Po chwili, wachlując niby-skrzydłami, majestatycznie odpłynęła w głąb. Jonas, mimo

maski, zauważył roześmiane oczy Liz.

Jego napięcie powoli ustępowało. Także Liz zdawała się bardziej beztroska i swawolna. Jonas zauważył, że Liz zachwyca się wszystkim tak, jakby nurkowała po raz pierwszy. Gdyby to było możliwe, chciałby tu zostać z nią na zawsze.

Zanurzyli się głębiej. Jeśli wydarzyło tu się kiedyś coś złego, nie było po tym żadnego śladu. Morze było ciche, spokojne i pełne kolorowego życia.

Nagle padł na nich cień i Liz spojrzała w górę. Już po chwili wpłynęła w ławicę ryb. Machnęła do Jonasa, aby do niej dołączył. Otoczyły ich ściany żywego srebra.

Liz pomyślała, że chyba teraz jest najbliższa spełnienia swych marzeń. Oto pływa wolna, zauroczona podmorską magią, trzymając dłoń swego kochanka. Chciała poznawać tajemnice mórz i opowiadać o nich innym i właśnie to robi...

Chmura ryb odpłynęła, tworząc ponownie jedną wielką ławicę.

Jonas widział radość na twarzy Liz i choć ograniczały go warunki, pogładził jej policzek. Powtórzyła ten sam czuły gest, gładząc jego policzek. Po chwili płynęli ze splecionymi dłońmi w kierunku dna.

Wapienne jaskinie fascynowały i zapraszały do wnętrza. Jonas zauważył, że z jednej wypłynęła niebezpieczna murena, żeby zobaczyć, kto ośmielił się zakłócić jej drzemkę. Z dna podniósł się olbrzymi żółw i przez chwilę pływał obok nich.

Unosili się w wejściu do jednej z większych jaskiń, a na jej dnie leniwie pływał rekin. Zachowywał się jak pies, tarzający się po dywanie. Liz poruszyła się, chcąc podплыnąć bliżej. Nagle senny rekin zmienił się w szarą błyskawicę i wyprysnął w ich kierunku. Przepłynął tuż obok nich i uciekł z jaskini, zanim Jonas zdążył sięgnąć po nóż. Został po nim jedynie ślad wzbitego piasku.

Jonas miał ochotę zwymyślać Liz. Zamiast tego przyłożył dłoń do jej szyi i lekko zacisnął. Dziewczyna zaśmiała się i fala powietrznych bąbelków popłynęła ku powierzchni. Jednak Liz nie była tak lekkomyślna, jak sądził Jonas. Choć wcześniej tego nie zauważył, trzymała w ręku niewielką kuszę.

Pływali po jaskini, od czasu do czasu rozłączając się, aby zbadać szczególnie ciekawe zakamarki. Jonas uznał, że Liz zapomniała, w jakim celu przybyli, ale cieszył się, że korzysta z chwil odpoczynku. On jednak miał swój cel.

Jak dotąd nie spotkali żadnego nurka, a ich zaplanowany czas dobiegał końca. Jaskinie, w których wypoczywały rekiny były też doskonałym miejscem do ukrycia paczuski narkotyków. Tylko bardzo odważny albo bardzo głupi nurek zapuściłby się tu w nocy, gdy rekiny wypływały żerować. Ale Jerry z pewnością uznałby to za wspaniałą przygodę, pomyślał Jonas.

Liz nie zapomniała jednak, po co tu przybyli. Rozumiała, co Jonas czuje, więc starała się mu nie przeszkadzać w badaniu jaskini. Niedługo cała afera się zakończy. Policja ma nazwisko

odbiorcy towaru z Acapulco i tego drugiego mężczyzny, o którym wspomniał Jonas. Jakiś Manchez... Skąd jednak wziął to drugie nazwisko? Liz zrozumiała, że Jonas nie mówi jej wszystkiego. To też się niedługo skończy, obiecała sobie.

Nagle poczuła, że brakuje jej powietrza.

Nie wpadła w panikę. Była zbyt dobrze wyszkolona, by powiększać niebezpieczeństwo paniką. Spojrzała na wskaźnik i zobaczyła, że pokazuje on dostateczną ilość powietrza. Sięgnęła do zaworu, żeby sprawdzić, czy coś go nie blokuje. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, a jednak nie mogła zaczerpnąć tchu.

Zmusiła się do spokojnej oceny sytuacji. Cokolwiek mówił licznik, jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Jeśli popłynie gwałtownie ku powierzchni, ciśnienie rozsadzi jej płuca. Resztką sił podpłynęła do Jonasa. Szarpnęła go za kostkę. Gdy mężczyzna zobaczył wyraz jej oczu, uśmiech znikł z jego twarzy. Zrozumiał jej sygnały i natychmiast podał jej swój zapasowy ustnik. Liz zaczerpnęła powietrza. Zaczęli się powoli wynurzać, trzymając się za ręce i korzystając ze zbiornika powietrza Jonasa. Z całych sił opanowywali pośpiech, ale i tak droga ku powierzchni trwała zaledwie kilka minut, chociaż im się wydawało, że wynurzanie ciągnie się w nieskończoność. Gdy znaleźli się nad taflą wody, Liz zerwała maskę i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co się stało? - spytał poruszony Jonas, lecz zauważył, że

Liz zaczyna się trząść. - Tylko spokojnie - powiedział i pomógł jej wdrapać się do łodzi.

- Już dobrze - westchnęła i opadła bez sił na ławkę. Jonas sam musiał zdjąć jej butlę z pleców. Z głową między kolanami czekała, aż odzyska równowagę. - Jeszcze nigdy nie przydarzyło mi się coś takiego - szepnęła drżącym głosem. - Nie na tej głębokości.

- Co się stało? - dopytywał się Jonas, masując jej lodowate dłonie.

- Zabrakło mi powietrza.

- Zabrakło ci powietrza? - Zdenerwowany jej słowami, potrząsnął ją za ramiona. - To karygodna beztroska! Jak możesz udzielać lekcji nurkowania, skoro sama nie przestrzegasz podstawowych zasad! Nie sprawdzałaś wskaźników?

- Sprawdzałam - powiedziała, nabrała powietrza w płuca i powoli je wypuściła.

- Do diabła, wypożyczasz przecież sprzęt! Jak mogłaś tak zaniedbać swój własny? Mogłaś umrzeć!

Liz odzyskała już równowagę, lecz Jonas swoim zachowaniem nie pomagał jej zwalczyć strachu. W dodatku podważał jej kompetencje.

- Nigdy nie jestem beztroska, gdy chodzi o ekwipunek. Nieważne, czy mój, czy wypożyczany - odparła zimno. - Sam spójrz na mój wskaźnik powietrza.

Jonas spojrział, lecz to nie ułagodziło jego gniewu.

- Powinnaś sprawdzić sprzęt przed nurkowaniem. Niedokładność wskazań mogła cię kosztować życie.

- Sprzęt był sprawdzony. Kontroluję go po każdym nurkowaniu, zanim odłożę go do magazynu. Był w porządku, gdy zamykałam go w szafce. A butle napełniałam przy tobie.

- Trzymasz go w sklepie. W szafce - powiedział i ścisnął mocno jej dłoń.

- Zamykam ją na klucz.

- Ile masz w sumie kluczy, pasujących do jej zamka?

- Mam swój i jeden zapasowy w szufladzie.

- Ktoś musiał go użyć, kiedy byliśmy w Acapulco i majstrować przy twoim ekwipunku.

- Tak - zgodziła się Liz i oblizała spierzchnięte wargi.

Gniew niemal oślepił Jonasa. Czy nie przyrzekł sobie, że będzie ją chronił? A co się stało pod jego nosem? Z trudem się opanował.

- Wracamy. Potem spakujesz się i wsiądziesz do pierwszego samolotu. Zatrzymasz się u moich rodziców, póki to się nie skończy.

- Nie.

- Zrobisz dokładnie to, co ci każę.

- Nie - zaprzeczyła, zebrała siły i wstała. - Nigdzie się nie wybieram. To był już drugi zamach na moje życie.

- Nie pozwolę, aby to się powtórzyło.

- Nie zostawię domu.

- Nie bądź głupia - powiedział Jonas i chcąc dać zajęcie rękom, zaczął rozbierać się ze skafandra. - Firma wytrzyma do twojego powrotu. Przyjedziesz, gdy tylko będzie bezpiecznie.

- Nigdzie nie jadę - powtórzyła z uporem - Przyjechałeś tu szukać zemsty i nie wyjedziesz, póki jej nie dokonasz. Teraz ja szukam kilku odpowiedzi. Nie wyjadę, bo te odpowiedzi są właśnie tutaj.

- Znajdę je dla ciebie - obiecał Jonas i ujął jej twarz w dłonie.

- Przecież wiesz, że każdy musi sam szukać odpowiedzi na swoje pytania. Chcę, żeby moja córka mogła bezpiecznie przyjechać do domu. Dopóki nie znajdę tych odpowiedzi, nie zapewnię jej spokoju, nie będę mogła się z nią zobaczyć. Teraz oboje mamy powody, aby szukać rozwiązania.

- Erika nie żyje - powiedział nagle Jonas i sięgnął po swoje papierosy.

- Co?

- Zamordowano ją - powiedział twardym głosem. - Kilka dni temu spotkałem się z nią i zapłaciłem jej za podane mi nazwisko.

- To, które potem przekazałeś Moralesowi?

- Tak - pokiwał głową i zapragnął, aby Liz zamiast gniewu poczuła znów strach. - Powiedziała mi, że Pablo Manchez to płatny morderca. Jerry'ego zabił profesjonalista. Erikę też.

- Zastrzelono ją?

- Zadźgano nożem-wyjaśnił, patrząc, jak Liz mimowolnie podnosi dłoń i dotyka cienkiej blizny na szyi. -Właśnie tak! - krzyknął. - Wracasz do Stanów, dopóki tu się nie uspokoi.

- Nie wyjadę, Jonas - powiedziała.

- Liz...

- Nie - odmówiła. - Widzisz, ja już uciekałam przed problemami i wiem, że to nie pomaga - dodała z mocą.

- To nie jest kwestia ucieczki, tylko zdrowego rozsądku.

- Ty zostajesz - wytknęła.

- Nie mam wyboru.

- Ja również.

- Liz, nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

Popatrzyła na niego i zdecydowała, że tym razem może mu wierzyć i czerpać z tego siłę.

- Wyjedziesz?

- Wiesz, że nie mogę.

- Ja też nie - odparła i wspięła się na palce, by go pocałować. - Wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Każdego dnia Liz spodziewała się telefonu od kapitana Moralasa. Każdego wieczoru miała nadzieję, że sprawa się skończy, że to kwestia jeszcze tylko jednego dnia. A czas płynął.

Każdego dnia spodziewała się, że Jonas wyjedzie. Każdego wieczoru, gdy zasypiała w jego ramionach, była pewna, że to już ostatni raz. A Jonas wciąż z nią był.

Przez dziesięć lat jej życie miało tylko jeden cel. Pragnęła odnieść sukces. Zaczęła walkę o byt i utrzymanie dziecka. Gdzieś po drodze zaczęła odczuwać zadowolenie z faktu, że świetnie sobie radzi. Przez te wszystkie lata konsekwentnie dążyła do celu. Zbaczanie z wyznaczonej trasy niosło ze sobą ryzyko potknięcia się i utracenia niezależności. Jednak w jej życiu zaszły pewne zmiany. Nie mogła z tym walczyć ani nie zwracać na to uwagi. Zresztą i tak wyglądało na to, że nie ma wyboru.

Liz trzymała się więc z uporem jedynej pewnej rzeczy. Pracowała z podziwu godną zaciętością przez siedem dni w tygodniu. Sklep „Czarny Koral” dawał jej zajęcie dla rąk, lecz nie uspokajał myśli. Przyłapała się na tym, że zaczyna podejrzliwie odnosić się do klientów. Zbliżał się sezon turystyczny i coraz więcej osób przychodziło do wypożyczalni.

Jonas zmienił wszystko w jej życiu. Potrafiła wreszcie to przyznać, ale wciąż nie wiedziała, co powinna z tym zrobić. Przeczynała, że w pewnym momencie Jonas odejdzie, a ona znów będzie musiała tłumić tęsknoty i marzenia.

W końcu policja znajdzie zabójcę Jerry'ego i człowieka, który groził jej nożem. Gdyby Liz w to nie wierzyła, nie znalazłaby w sobie siły, aby zaczynać kolejny dzień. Kiedy niebezpieczeństwo minie i wszystkie mroczne zagadki zostaną rozwiązane, jej życie już nie będzie takie, jak dawniej. Teraz był w nim Jonas. Gdy odejdzie, pozostawi po sobie pustkę, z którą Liz będzie musiała się jakoś uporać.

Już raz jej życie legło w gruzach, ale umiała je odbudować. Ułożyła je na nowo. Pocieszała się, że jeśli będzie musiała, zrobi to ponownie. Tylko czasem, rozmyślając w bezsenne noce, bała się, że ta chwila nadejdzie zbyt szybko, zanim zdąży się przygotować.

Jonas wiedział, że Liz rzadko sypia spokojnie. Zastanawiał się, czy jest tak od momentu, gdy wkroczył w jej życie. Pragnął, by mogła na nim polegać, ale wiedział, że niezależna Liz wciąż pamiętała, jak dotkliwie ją zraniono, gdy zdecydowała się komuś zaufać. Nawet dzielenie tego samego problemu z inną osobą było dla niej niezwykle trudne. Jonas do tej pory starannie wybierał sobie towarzyszkę. Żadna nie potrzebowała rad, wsparcia ani pocieszenia. A teraz zakochał się w kobiecie, która go potrzebowała, ale nie zamierzała tego przyznać. Była silna, mądra i potrafiła doskonale o siebie dbać. A jednocześnie miała tak smutne spojrzenie, że zakochany mężczyzna zaryzykowałby swoje życie tylko po to, by uchronić ją przed dalszym bólem.

Odmieniła jego życie. Sprawiała, że pragnął ją pocieszać, chronić i wszystko z nią dzielić.

Przez otwarte okno do pokoju wpadało świeże powietrze, niosąc ze sobą zapach kwiatów. Wiatr szeptał w liściach palm. Obok Jonasa, w ciepłym łóżku, spoczywała kobieta, o której rozmyślał. Jej włosy rozsypały się po białej poduszce. Światło księżycy delikatnym blaskiem wydobywało z mroku zarys jej sylwetki. Liz zamruczała przez sen i Jonas przytulił ją ochronnym gestem. Dziewczyna zeszywniała lekko, jakby nawet nieświadomie nie chciała przyjąć od niego żadnej pomocy. Zaczął delikatnie gładzić jej ramiona. Znowu zamruczała, lecz Jonas nie wiedział, czy chciała zaprotestować, czy raczej cieszył ją jego dotyk. Czuł, że jego ciało zaczyna reagować na kuszącą bliskość kobiety.

Liz czuła się wspaniale. Wszystkie pytania i wątpliwości mogły poczekać do wschodu słońca. Wieczorem kochała się z Jonaszem i zasnęła cudownie odprężona. Westchnęła przez sen i jej ciało się odprężyło. Jeśli śniła, to tylko o przyjemnych rzeczach.

Liz budziła się powoli. Jej ciało już nie spało i zaczynało płonąć z pożądania, jeszcze zanim obudził się jej umysł. Otworzyła oczy i zrozumiała, że to nie był sen. Jonas tulił ją w ramionach. Natychmiast odpowiedziała pocałunkiem na niemą prośbę jego ciała.

Tym razem nie wahała się, chciała oddać się Jonasowi całkowicie i bez zastrzeżeń. Powstrzymała się tylko od wypowiedzenia swych uczuć. Ale mogła je okazać, obdarzając go miłością bez zahamowań. Objęła Jonasa ciasniej i przygryzła jego dolną wargę. Poczwała, że zadrżał i uświadomiła sobie, że ona też może uwodzić. Delikatnie poruszyła się pod nim i sprawiła, że wyszeptał jej imię. Kusząco wodziła językiem po jego szyi, poznając smak mężczyzny. Odkryła, że jego puls bije tak samo szybko, jak jej serce. Znowu zmieniła pozycję i teraz znalazła się nad Jonaszem.

Jej ręce rozpoczęły instynktowną i niezbyt pewną wędrówkę po jego ciele. Liz uczyła się szybko, obserwując jego reakcje. Jonas z całych sił walczył o zachowanie kontroli nad swoim ciałem. Po chwili zaczęła obsypywać pocałunkami jego tors. Jonas czuł, że jego ciało płonie. Każdy dotyk Liz sprawiał, że języki ognia tańczyły po jego skórze. Jej brak doświadczenia i odkrywanie coraz to nowych sposobów pieścizot, doprowadziły go na skraj wytrzymałości.

- Powiedz mi, czego pragniesz - szepnęła. - Naucz mnie, co mam robić.

To było już zbyt wiele. Zaplątał dłonie w jej włosach i przyciągnął jej głowę do swojej. Ich usta znowu się spotkały. Głód eksplodował i Liz nie musiała już się uczyć. Przejęła kontrolę nad ich zbliżeniem.

Jonas z jękiem objął jej biodra i przyciągnął ku swoim.

Przez chwilę obserwował, jak jej włosy kołyszą się i lekko muskają piersi. Splótł palce z jej palcami i poddał się miłosnemu rytmowi. Liz z uśmiechem przyjmowała kolejne fale uczuć. Pożądanie i pasja, ból i przyjemność, zachwyty i strach połączyły się w jedno i nie mogła już dłużej ich kontrolować.

Jonas nie mógł myśleć, ale mógł czuć i patrzeć. Widział twarz Liz i malujące się na niej uczucia. Wciąż wznosił się wyżej i wyżej. Kiedy zrozumiał, że nie zniesie więcej, spełnienie objęło go łagodną falą. Wciąż widział nad sobą Liz, nagą i dumną w bladym świetle księżyca. Zrozumiał, że ten obraz wyrył się na zawsze w jego sercu i pamięci.

Liz sądziła, że to niemożliwe, żeby po takich przeżyciach człowiek mógł skupić się na pracy. A jednak była w sklepie, wypożyczała sprzęt, wypełniała formularze i dyskutowała z klientami. Wszystko to jednak robiła mechanicznie. Dobrze, że zdecydowała się wysłać pracowników z łodziami w morze, a sama została na lądzie, pomyślała.

Witając klientów, rozmyślała o liście turystów, którą powinna spisać dla Moralasa. Jak wielu z nich wróciłoby do jej sklepu, gdyby wiedzieli, że są obserwowani przez policję? Morderstwo Jerry'ego i udział Liz w śledztwie mogły zaszkodzić firmie bardziej niż słabszy sezon czy niszczycielski huragan. Mimo że współczuła Jonasowi i angażowała się w jego misję, desperacko pragnęła oddzielić się od sensacyjnych wydarzeń, w

które została wciągnięta.

Z drugiej strony, gdyby nie ostatnie wypadki, w jej życiu nie pojawiłby się Jonas. Musiała wreszcie przyznać, że kocha tego człowieka. Nie chciała jednak ryzykować ponownego odrzucenia. W jej myślach panował zamęt.

- Trudno cię zastać - usłyszała przy uchu.

Podniosła głowę i spojrzała na szczupłego mężczyznę. Przez chwilę zastanawiała się, skąd go zna.

- Pan Trydent - przypomniała sobie po chwili. - Nie wiedziałam, że jest pan jeszcze na wyspie.

- Biorę urlop tak rzadko, że zamierzam wykorzystać mój czas do końca - powiedział wesoło i postawił na blacie papierowy kubek z jakimś napojem. - Doszedłem do wniosku, że to jedyny sposób, aby cię namówić na drinka.

Liz przez chwilę zastanawiała się, jak powinna zareagować. W tej chwili wolała zostać sama ze swymi myślami. A jednak, klient to klient, pomyślała.

- To miłe z twojej strony. Byłam bardzo zajęta - dodała.

- Naprawdę? - udał zdziwienie i uśmiechnął się czarująco. - Albo wyjeżdżasz, albo jesteś cały dzień na łodzi, więc pomyślałem, że to góra będzie musiała przyjść do Mahometa - zaśmiał się i rozejrzał po pustym sklepie. - Nie masz dziś zbyt dużego ruchu.

- O tej porze ci, którzy mieli wypłynąć, wypłynęli, a reszta robi sobie sjętę.

- Właśnie tak żyje się na wyspie - zgodził się Scott.

- Nurkowałeś? - spytała z uśmiechem.

- Dałem się namówić na nocne nurkowanie z panem Ambuckle, zanim wrócił do Teksasu - powiedział, krzywiąc się. - Resztę urlopu zamierzam spędzić nad basenem.

- Nie wszyscy lubią nurkować.

- Racja - przytaknął, napił się ze swojego kubeczka i oparł niedbale o ladę. - Może umówisz się ze mną na kolację? Wszyscy jadają kolacje.

Liz uniosła lekko brwi. Była nieco zaskoczona, ale zachowanie Amerykanina jej pochlebiało.

- Rzadko jadam poza domem - powiedziała.

- Lubię domową kuchnię.

- Panie Trydent...

- Scott, zapomniałaś?

- Scott, dziękuję za propozycję, ale... spotykam się z kimś - dodała po chwili namysłu.

- Czy to coś poważnego? - zapytał i przykrył jej dłoń swoją.

- Jestem poważną osobą - odparła, nie wiedząc, czy się zaśmiać, czy obrazić i cofnęła rękę.

- Cóż - westchnął, napił się ze swojego kubka i popatrzył na nią spod oka. - W takim razie pozostaniemy przy interesach. Może mi wyjaśnisz, na czym polega nurkowanie z fajką?

- Jeśli umiesz pływać, to umiesz też pływać z maską i fajką - odparła, wzruszając ramionami.

- Powiedzmy, że jestem ostrożny. Pozwolisz mi obejrzyć ten sprzęt?

- Oczywiście, zapraszam - zgodziła się z uśmiechem. -Cały ekwipunek składa się z maski i rurki z ustnikiem -wyjaśniła. -Wkładasz tę część między zęby i normalnie oddychasz przez usta. Maską ma zaczep, żeby umocować w nim fajkę. Masz wolne ręce i możesz bez problemu unosić się na powierzchni wody, swobodnie obserwując rafę pod sobą.

- Dobra, a co dzieje się, gdy rurki nagle znikają pod wodą? - spytał podejrzliwie.

- Jeśli chcesz zejść niżej, wstrzymujesz oddech i wydmuchujesz nieco powietrza z płuc. Cała rzecz polega na przedmuchaniu fajki, gdy tylko się wynurzysz. Potem znów oddychasz ustami.

Scott wziął komplet z rąk Liz i zaczął mu się uważnie przyglądać.

- Sporo jest do obejrzenia pod wodą, prawda?

- Cały morski świat.

- Pewnie wiesz wszystko o okolicznych rafach - powiedział, patrząc jej w oczy. - A jak jest z Isla Mujeres?

- Przy tej wyspie są wspaniałe rafy. Można nurkować z całym sprzętem albo pływać w masce i z fajką. Mamy wycieczki całodzienne i na pół dnia. Jeśli jesteś żądny przygód, są tam jaskinie, do których można wpłynąć.

- Muszą ciekawie wyglądać w nocy - powiedział i popatrzył

na Liz dziwnym wzrokiem. - Pewnie można tam pływać i nikogo nie spotkać.

W umyśle Liz błysnęło alarmowe światełko. Odwróciła się i odszukała wzrokiem policjanta, który udawał plażowicza tuż obok wejścia do wypożyczalni. Odegnęła obawy.

- To nie jest bezpieczne miejsce do nocnego nurkowania.

- Niektórzy lubią ryzyko, szczególnie jeśli przynosi duży zysk.

- Możliwe, ale ja do nich nie należę - odparła ze ściśniętym gardłem i dopiero w tym momencie naprawdę zaczęła coś podejrzewać.

- Nie? - zdziwił się mężczyzna, a jego uśmiech nagle stał się drapieżny.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Sądzę, że masz - powiedział i ścisnął ramię dziewczyny. - Dobrze wiesz, o czym mówię. To, co zabrał Jerry i ukrył w banku w Acapulco, to była niezła kupa szmalu - dodał ściszone głosem. - Ale można zarobić jeszcze więcej. Nie mówił ci?

- Nic mi nie mówił - odparła, wspominając dotyk noża na swej szyi. - Nic nie wiem - powtórzyła i chciała uciec, ale jej nie pozwolił. - Jeśli krzyknę, w mgnieniu oka zleci się tu tłum ludzi - wydusiła, siląc się na spokój.

- Nie musisz krzyżeć - powiedział i cofnął ręce. - To rozmowa o interesach. Chcę tylko się dowiedzieć, jak dużo powiedział ci Jerry, zanim naraził się pewnym osobom.

Gdy Liz zauważyła, że jej dłonie drżą, zmusiła się do zachowania spokoju. Nie pozwoli się zastraszyć. Zresztą, jaką broń może mieć przy sobie ten mężczyzna, skoro ma jedynie krótkie spodenki? Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jerry nic mi nie powiedział. Ja naprawdę nic nie wiem. To samo usłyszał ode mnie twój przyjaciel, który najpierw groził mi nożem, a potem zepsuł wskaźniki przy sprzęcie do nurkowania.

- Mój partner nie jest zbyt finezyjny - powiedział Scott, wzruszając ramionami. - Ja nie noszę noży i nie znam się na wskaźnikach na tyle, by je niepostrzeżenie zepsuć. Jediną moją bronią jest informacja. A o tobie wiem całkiem sporo. Pracujesz ciężko od świtu do nocy, a ja chcę ci pokazać, że masz wybór. Interesy, Liz. Porozmawiajmy o interesach.

- Nie jestem Jerry'ym ani Eriką. Nic nie wiem o tych szemranych interesach, ale za to policja już sporo wie. Owszem, postraszyliście mnie nożem i zepsutym sprzętem, ale to nie powstrzyma mnie przed posłaniem was wszystkich do diabła! A teraz wynoś się z mojego sklepu i zostaw mnie w spokoju!

- Źle mnie zrozumiałaś, Liz. Naprawdę chcę porozmawiać o interesach. Od kiedy zabrakło Jerry'ego, przydałby się nam doświadczony nurek, który zna okoliczne wody. Jestem upoważniony do zaproponowania ci pięciu tysięcy dolarów. Pięć kawałków za to, co robisz najlepiej. Za nurkowanie. Płyniesz do

jaskini, zostawiasz paczkę i bierzesz inną. Żadnych nazwisk, żadnych twarzy. Przynosisz ją do mnie nienaruszoną i bierzesz swoje pieniądze. Raz, czy dwa razy w tygodniu i za chwilę będziesz mogła uwić sobie urocze gniazdko. Pieniądze z pewnością przydadzą się kobiecie, która samotnie wychowuje dziecko.

Liz poczuła, że jej strach zamienia się we wściekłość. Zaciśnęła dłonie w pięści.

- Powiedziałam, żebyś się wynosił - powtórzyła. - Nie chcę twoich brudnych pieniędzy.

- Przemyśl to jeszcze - poradził z uśmiechem i pogładził ją po policzku. - Będę w pobliżu.

Liz starała się uspokoić. Zebrała się w sobie i podeszła do policjanta.

- Idę do domu - powiedziała. - Proszę zawiadomić kapitana Moralasa, żeby przyjechał do mnie za pół godziny - dodała i odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Piętnaście minut później Liz wpadła do domu. Jazda wcale jej nie uspokoiła. Uświadomiła sobie, że na każdym kroku spotyka ją przemoc. Więcej nie zniosę, pomyślała. Może poradziłaby sobie z następną groźbą czy żądaniem. Ale zaproponowali jej pracę! Chcieli płacić jej za szmuglowanie kokainy i zajęcie miejsca poprzedniego nurka, który został zamordowany. A to przecież było zajęcie brata Jonasa! Tym

zajmował się Jerry!

To jakiś koszmar, pomyślała, chodząc od okna do drzwi. Szkoda, że nie można się z niego obudzić. Liz była gotowa zrobić wszystko, aby jej córka mogła bezpiecznie przyjechać na wyspę.

Usłyszała zbliżający się samochód i podeszła do okna. To Jonas, pomyślała. Czy powinna powiedzieć mu o spotkaniu z mężczyzną, który mógł być zabójcą jego brata? Jeśli pozna jego nazwisko, będzie się mścił? A jeśli już to zrobi, po co przyjechał, czy koszmar wreszcie się skończy? Zemsta i przemoc mogą zatruć duszę Jonasa na zawsze. Co powinna zrobić, żeby ocalić jego i siebie?

Nie знаła jeszcze odpowiedzi na te pytania. Otworzyła Jonasowi drzwi. Od razu domyślił się, że coś nie jest w porządku.

- Co robisz w domu? Sklep był zamknięty.

- Jonas - szepnęła i przytuliła się do niego. - Moralas już tu jedzie.

- Co się stało? - spytał przestraszony.

- Wejdz i usiądź.

- Liz, chcę wiedzieć, czy nic ci się nie stało.

- Przyjechał Moralas - mruknęła, gdy usłyszała, że pod domem zatrzymał się samochód. - Jonas, wejdz do środka. Wolę opowiedzieć to wszystko tylko jeden raz.

Podjęła decyzję. Poda im nazwisko mężczyzny, który zaproponował jej przemyt narkotyków. Powtórzy jego słowa.

Dzięki temu odsunie się od śledztwa. Będą mieli przestępcę, miejsce spotkania i motyw. Tego potrzebowała i policja, i Jonas. Wiedziała, że gdy Jonas pozna nazwisko zabójcy brata, rozwiąże swoje problemy i nie będzie musiał dłużej zostawać na Cozumel.

Moralas wszedł, przywitał się, zdjął kapelusz i popatrzył wyczekująco na Liz.

- Kapitanie, mam dla pana ważne informacje. Pewien człowiek, Amerykanin, Scott Trydent, godzinę temu w moim sklepie „Czarny Koral” zaproponował mi pięć tysięcy dolarów za przeszmugłowanie narkotyków na rafę w pobliżu Isla Mujeres.

Moralas nawet nie zmienił wyrazu twarzy.

- Czy miała pani wcześniej jakieś kontakty z tym człowiekiem?

- Wziął raz udział w lekcji nurkowania. Był nawet dość miły. A dziś przyszedł do sklepu, żeby ze mną porozmawiać. Najwyraźniej sądził, że ja... - urwała i spojrzała na Jonasa, który nie odezwał się nawet słowem. - Sądził, że Jerry opowiedział mi o całym przedsięwzięciu. Wiedział o skrytce bankowej, wiedział o wszystkim, co robiłam w ostatnim czasie - dodała drżącym głosem. - Powiedział, że mogę zająć miejsce Jerry'ego, zrobić parę kursów i szybko się wzbogacić. Wiedział nawet o mojej córce! - dokończyła zdenerwowana.

- Zidentyfikuje go pani?

- Tak. Nie wiem, czy to on zabił Jerry'ego... - zawahała się i znów spojrzała na Jonasa.

- Proszę usiąść, panno Palmer - powiedział Moralas, przyglądając się ich wymianie spojrzeń.

- Aresztuje go pan? To przemytnik. Z pewnością zna też prawdę o śmierci Jerry'ego. Musi go pan natychmiast aresztować!

- Panno Palmer - zaczął Moralas, podprowadził ją do sofy i usiadł obok niej. - Mamy nazwiska, znamy twarze. Szajka przemytników z półwyspu Jukatan jest pod obserwacją tak policji meksykańskiej, jak i amerykańskiej. Nazwiska, które mi podaliście, nie są mi obce. Ale jest coś, czego nie mamy. Nic nie wiemy o organizatorze przemytu, o tym, kto zlecił morderstwo Jeremiaha Sharpe'a. To jego nazwiska potrzebujemy. Bez niego złapiemy same płotki. Potrzebne nam jest jego nazwisko, panno Palmer, nazwisko i dowód rzeczowy.

- Nie rozumiem. Czy to znaczy, że Trydent zostanie na wolności? Przecież znajdzie sobie innego nurka, który przyjmie jego ofertę!

- Nie będzie musiał szukać nikogo innego, jeśli pani się zgodzi.

- Nie! - wtrącił kategorycznym tonem Jonas. - Do diabła z twoją propozycją, Moralas!

- Panna Palmer sama może mi to powiedzieć.

- Nie pozwolę ci jej wykorzystać. Ani narażać na takie niebezpieczeństwo. Jeśli potrzebujesz kogoś, kto zna właściwych ludzi i potrafi nurkować, ja podejmę się tego zadania.

Jonas spokojnie palił papierosa i tylko wyraz jego oczu i zaciśnięte szczęki świadczyły o jego zdenerwowaniu. Gdyby Moralas miał jakiś wybór, bez wahania przyjąłby jego propozycję.

- Niestety, to nie do pana zwrócono się w tej sprawie.

- Liz tego nie robi.

- Chwileczkę - odezwała się dziewczyna, masując skronie. - Czyja dobrze rozumiem? Mam znów spotkać się z Trydentem i przyjąć tę pracę? To szaleństwo! Chyba, że tkwi w tym jakiś podstęp...

- Owszem. Pani będzie naszą przynętą - powiedział Moralas. - Nie chcemy, żeby szajka nagle zmieniła miejsce przemytu. A pani jest kluczem do wszystkiego, tak dla policji, jak i przestępców. Jerry Sharpe pracował i mieszkał u pani. Był znany ze swej słabości do kobiet. Nikt nie jest do końca pewien, jaką gra pani rolę. Teraz zatrzymał się w pani domu brat zmarłego. I, oczywiście, to pani odkryła kluczyk do bankowego depozytu.

- Podejrzenie o współudział, kapitanie? - spytała ironicznie i zamyśliła się na chwilę. - Czy dotąd byłam pod ochroną, czy raczej pod obserwacją policji?

- Jedno i drugie służyłoby temu samemu celowi - odparł Moralas bez mrugnięcia okiem.

- Skoro mnie podejrzewacie, to czy nie przyszło wam do głowy, że wezmę pieniądze i po prostu zniknę?

- Właśnie o to nam chodzi.

- Sprytnie - stwierdził z przekąsem Jonas, z trudem pokonując chęć wyrzucenia policjanta za drzwi. - Liz ich zdradzi i sprowokuje szefa szajki do reakcji. A on spróbuje ją wyeliminować, tak jak mojego brata.

- Tylko że panna Palmer będzie pod stałą ochroną policji. Jeśli akcja się uda, przemytnicy zostaną złapani i ukarani. Jeżeli jednak panna Palmer nam odmówi, sprawa może ciągnąć się miesiącami - dodał, wzruszając ramionami.

- Zgadzam się - powiedziała Liz.

Jonas znalazł się przy niej jednym susem.

- Liz...

- Moja córka ma tu przyjechać za dwa tygodnie. Nie mam innego wyjścia - powiedziała łagodnie, wstała i położyła mu dłoń na ramionach.

- Wyjedź z nią gdzieś... - prosił. - Wyjedźmy gdzieś razem, dopóki wszystko na Cozumel nie wróci do normy.

- Uważasz, że uda ci się zapomnieć o śmierci brata? Nie chcesz już się dowiedzieć, kto zabił Jerry'ego? - spytała i zobaczyła, jak do jego oczu znów wkrada się śmiertelny chłód. - Nie sądzę - pokręciła głową. - Już kiedyś uciekłam i przyrzekłam sobie, że więcej tego nie zrobię. Musimy to zakończyć, Jonas.

- Możesz zginąć.

- Do tej pory nie zrobiłam nic, a już dwa razy próbowano mnie zabić - przypomniała i położyła głowę na jego piersi. -

Pomóż mi, proszę.

Jonas toczył ze sobą walkę. Podziwiał Liz za jej siłę i upór. Mógłby się z nią kłócić, próbować przekonać, ale nie mógłby jej okłamać. Jeśli uciekną, nigdy nie będą wolni. Zmarszczył brwi i podjął decyzję.

- Włączam się do sprawy- oznajmił, patrząc Moralasowi prosto w oczy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Liz jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Każdego dnia otwierając sklep „Czarny Koral” obawiała się wizyty Scotta. Każdego dnia, gdy go zamykała, szła do domu i czekała, aż Trydent zadzwoni. Jonas niewiele z nią rozmawiał. Nie wiedziała, co on robi, kiedy ona pracuje w sklepie, lecz podejrzewała, że planuje coś na własną rękę. Niestety, tego obawiała się najbardziej.

Liz rozglądała się wokół siebie i widziała roześmianych, odpoczywających ludzi i bawiące się radośnie dzieci. A ona była zdenerwowana i przygnębiona. Właśnie zamykała sklep i wyjmowała pieniądze z kasy, gdy nagle usłyszała za sobą męski głos.

- To jak będzie z naszą randką?

Liz myślała, że jest przygotowana na to spotkanie. A jednak natychmiast poczuła nieprzyjemne pulsowanie skroni i pustkę w żołądku. Opanowała się i spokojnie spojrzała na mężczyznę.

- Zastanawiałam się, kiedy wreszcie się zjawisz.

- Mówiłem, że będę w pobliżu. Sądzę, że ludzie często potrzebują czasu do namysłu, żeby podjąć właściwą decyzję.

Niespiesznie dokończyła zamykania sklepu i bez uśmiechu spojrzała na Scotta. Rozmowa o interesach powinna być krótka i sucha.

- Możemy tam pójść - powiedziała i wskazała kawiarnię na świeżym powietrzu. - To miejsce publiczne.

- Zgoda - skinął głową i podał jej ramię, lecz Liz zignorowała jego gest.

- Kiedyś byłaś miłsza.

- Bo kiedyś byłeś klientem mojej wypożyczalni, a nie partnerem w interesach - odparła, patrząc na niego z ukosa.

- A więc... - zaczął i rozejrzał się niespokojnie dookoła - przemyślałaś moją propozycję?

- Potrzebujecie nurka, a ja potrzebuję pieniędzy - powiedziała, wzruszając ramionami i usiadła.

Po chwili przy stoliku obok usiadł starszy mężczyzna. Jeden z ludzi Moralasa, pomyślała Liz i odwróciła szybko wzrok. Wiedziała, że będzie miała obstawę. Wiedziała, co i w jaki sposób ma powiedzieć. Wiedziała też, że kelner, który właśnie podał im zamówione drinki, nosi broń i odznakę.

- Jerry nie powiedział mi zbyt wiele - odezwała się po chwili. - Wiem, że nurkował dla was i dostawał za to pieniądze.

- Był dobrym nurkiem.

- Ja jestem lepsza - oznajmiła dziewczyna.

- Tak słyszałem - odparł z uśmiechem Scott i spojrzał na coś za plecami dziewczyny.

Liz podniosła wzrok i zamarła. Obok niej stał mężczyzna z dziobatą twarzą i srebrną plecioną bransoletką na ręku. Pozdrowił ją po hiszpańsku i z drwiącym uśmiechem sięgnął po dłoń dziewczyny.

- Powiedz swojemu przyjacielowi, żeby trzymał ręce przy

sobie - odezwał się Jonas, który nagle pojawił się przy ich stoliku. - Może przedstawić nas sobie, Liz? - spytał, zajął wolne miejsce i przez chwilę patrzył na oniemiałą dziewczynę. - Nazywam się Jonas Sharpe. Liz i ja wszystko robimy razem - oznajmił i spojrzał na Mancheza. - Chyba znałeś mojego brata - powiedział, patrząc mu prosto w oczy.

- Twój brat był chciwy i głupi - burknął Manchez i puścił rękę Liz.

- Ja też jestem chciwy - powiedział Jonas spokojnie. - Ale nie jestem głupi. Szukałem cię - oznajmił i z uśmiechem pochylił się, wyciągnął papierosy i poczęstował nimi Meksykanina.

Manchez wziął jednego i odłamał filtr. Liz zauważyła, że ręce mężczyzny, w przeciwieństwie do jego twarzy, są niemal piękne.

- No to znalazłeś.

- Potrzebujecie nurka - powiedział Jonas, zamawiając sobie piwo.

- Już mamy jednego - wtrącił się Scott, posyłając Manchezowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Macie zespół - poprawił go Jonas, wciąż się uśmiechając. - Zawsze pracujemy razem, prawda, Liz?

- Tak - skinęła głową, czując, że nie ma innego wyboru.

- Nie potrzebujemy zespołu! - zawołał Manchez i zerwał się z miejsca.

- Potrzebujecie nas - odparł Jonas, upił łyk piwa i zaciągnął

się dymem z papierosa. - Wiemy o was całkiem sporo. Cóż, Jerry nie potrafił zbyt długo dochować tajemnicy - dodał cicho. - Liz i ja potrafimy milczeć. To jak? Pięć tysięcy za każdą akcję?

- Pięć - Scott po chwili kiwnął głową i kazał Manchezowi usiąść. - Nie obchodzi mnie, jak się podzielicie.

- Pół na pół - wtrąciła Liz. - Jedno nurkuje, a drugie czeka na łodzi.

- Dobra, więc jutro o jedenastej. Przyjdiesz do sklepu. Na ladzie znajdziesz wodoodporną skrzynkę. Będzie zamknięta.

- Sklep też - przypomniała Liz. - Jak wobec tego skrzynka się w nim znajdzie?

- To żaden problem - oznajmił Manchez, a Liz poczuła, że po jej plecach przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

- Po prostu weź skrzynkę - zniecierpliwił się Scott. - Instrukcje znajdziesz przy ręczce. Wypływacie, nurkujecie, zostawiacie skrzynkę i wracacie. Po godzinie znów schodzicie pod wodę. Bierzecie drugą skrzynkę i odnosicie ją do sklepu, to wszystko.

- To łatwe - zdecydował Jonas. - A zapłata?

- Po robocie.

- Połowa z góry-oznajmiła nagle Liz i upiła łyk piwa ze szklanki Jonasa. - Zostawicie dwa i pół tysiąca razem z pierwszą skrzynką albo nic z tego.

- Nie jesteś tak ufna, jak Jerry - zauważył z uśmiechem Scott.

- I zamierzam żyć - oznajmiła twardo.

- Po prostu przestrzegaj zasad.

- Kto je ustanawia? - zapytał Jonas i położył dłoń na kolanie Liz.

- Nie twoja sprawa-warknął Manchez. -Ale on wie, kim jesteś.

- Postępujcie według instrukcji i pilnujcie czasu - poradził Scott, rzucił kilka banknotów na stół i wstał.

Jonas czekał, aż obaj mężczyźni oddalą się i spokojnie kończył swoje piwo.

- Nie powinieneś wtrącać się do tego spotkania! - syknęła rozzłoszczona Liz. - Moralas mówił...

- Do diabła z nim - warknął Jonas i zgniótł papierosa.

- Czy to ten człowiek zostawił ci ślady noża na szyi? - spytał i wskazał oddalającego się Mancheza.

- Mówiłam, że nie widziałam jego twarzy - odparła Liz, z trudem powstrzymując się przed dotknięciem blizny na szyi.

- Czy to ten? - Jonas powtórzył pytanie, wpatrując się w nią lodowatym wzrokiem.

- Jonas, chcę, żeby to się wreszcie skończyło - odparła wymijająco. - Nie potrzebuję zemsty. Zgodziłeś się, że powinnam sama spotkać się ze Scottem i omówić szczegóły akcji.

- Zmieniłem zdanie - powiedział, wzruszając ramionami.

- Mogłeś wszystko zepsuć! Wcale nie chcę się w to mieszać,

ale już na to za późno. Ale ty? Skąd pewność, że skoro się wmieszaleś, oni się nie wycofają?

- Bo potrzebują ciebie - powiedział i spojrzał jej prosto w oczy. - Ja też. Zamierzałem cię wykorzystać, aby odnaleźć zabójcę Jerry'ego. Gdybym musiał ryzykować twoje życie, śledzić cię albo wszędzie ze sobą wlec, i tak zamierzałem to zrobić. Chciałem cię wykorzystać do swoich celów, tak jak teraz Moralas i cała reszta. Tak, jak i Jerry - wyrzucił z siebie i zamilkł.

- Czy teraz coś się zmieniło? - spytała Liz drżącym głosem.

Jonas patrzył w rozszerzone strachem i nadzieją oczy dziewczyny i milczał. Nie potrafił jeszcze odpowiedzieć na jej pytanie, więc po prostu ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

- Nikt cię już nie skrzywdzi. A na pewno nie ja - wymruczał, gdy oderwał swoje wargi od jej ust.

To chyba najdłuższy dzień w moim życiu, myślała Liz, zerkając ciągle na zegarek. Ludzie Moralasa wmieszali się w tłum plażowiczów. Liz widziała, jak bardzo różnią się od radosnych, wypoczywających turystów i dziwiła się, że ktoś mógłby dać się nabrać na taki podstęp. Jej łodzie kursowały z wycieczkowiczami. Wypożyczano i płacono za sprzęt do nurkowania, a Liz marzyła, żeby ten dzień wreszcie się skończył. Lecz z drugiej strony liczyła na to, że noc wcale nie nadejdzie.

Tysiące razy myślała o tym, aby się wycofać. Tysiące razy

nazywała siebie tchórzem. W końcu zrozumiała, że wcale nie chodzi o odwagę. Uciekłaby, gdyby mogła. Ale wiedziała, że skoro jej grozi niebezpieczeństwo, Faith także nie jest bezpieczna. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, jak co dzień zamknęła sklep. Zanim jednak zdążyła schować klucze do kieszeni, pojawił się Jonas.

- Jeszcze możesz zmienić zdanie.

- I co dalej? Ucieknę? - spytała i popatrzyła na złocistą plażę, błękit morza i zachodzące słońce. - Sam wiesz, że to nie jest żadne rozwiązanie.

- Liz...

- Nie chcę już o tym mówić. Po prostu muszę to zrobić.

Do domu wracali w zupełnej ciszy. Liz kolejny raz powtarzała w myślach etapy akcji. Miała normalnie zakończyć dzień pracy, dokonać wymiany skrzynek i oddać ostatnią w ręce policji, która będzie czekała w dokach. Potem zostanie już tylko oczekiwanie na reakcję przestępców. Zapewniano ją, że przez cały czas parę metrów od niej będzie jakiś ochroniarz. To jednak jej nie uspokajało.

Przed domem Liz spacerował młody człowiek z psem. Rozpoznała w nim jednego z ludzi Moralasa. Inny naprawiał huśtawkę sąsiadki. Spod jego kurtki wystawał pistolet. Liz starała się nie patrzeć na żadnego z nich.

- Teraz coś zjesz, napijesz się i pójdziesz spać - zarządził Jonas, gdy weszli do domu.

- Chyba tylko się położę.

- W takim razie najpierw drzemka, potem reszta - zdecydował, wszedł za nią do sypialni i opuścił rolety. - Może jednak mógłbym się na coś przydać? - spytał miękko.

- Czy mógłbyś położyć się ze mną na chwilę? - szepnęła Liz, skrepowana swą prośbą.

Jonas bez wahania ułożył się obok Liz.

- Zaśniesz?

- Chyba tak - odparła. - Jonas?

- Hm?

- Gdy to wszystko się skończy, położysz się tak ze mną jeszcze kiedyś?

W tej chwili Jonas niczego bardziej nie pragnął, niż wyznać jej swoją miłość. Wiedział jednak, że Liz nie jest jeszcze na to gotowa. Z czułością ucałował tylko czubek jej głowy.

- Zostanę z tobą, jak długo zechcesz - szepnął. - A teraz śpij.

Uspokojona Liz zamknęła oczy i pozwoliła odpłynąć myślom.

Skrzyneczka była dość mała i kształtem przypominała zwykłą teczkę. Nikt, kto by ją zobaczył, nie mógłby domyślić się jej niebezpiecznej zawartości. Liz zauważyła obok kopertę. Znalazła w niej karteczkę z zapisem długości i szerokości geograficznej oraz dwa i pół tysiąca dolarów zadatku.

- Dotrzymali swojej części umowy - powiedział Jonas.

- Skompletuję swój sprzęt - oznajmiła Liz i wepchnęła kopertę do szuflady.

- Jakie współrzędne? - spytał i zabrał ciężkie butle z rąk dziewczyny.

- Takie same, jak w notesie Jerry'ego - odparła i nie odezwała się więcej, dopóki nie znaleźli się na łodzi.

Przez cały czas mieli wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Wiedzieli o policyjnej ochronie, ale Liz była pewna, że także Manchez jest gdzieś w pobliżu.

Wyprowadziła łódź z portu.

- Jonas, co zrobisz później?

- To, co będę musiał - odparł i zapalił papierosa.

Liz poczuła nieprzyjemny dreszcz, ale wiedziała, że powinna wyjaśnić sprawę do końca.

- Dziś dokonamy zamiany skrzynek i jedną oddamy Moralasowi. Szajka przemytników zostanie ujęta. Także Manchez i ten, kto wydaje rozkazy...

- O co ci chodzi, Liz?

- Manchez zabił twojego brata.

Jonas spojrzał na morze. Było zupełnie czarne. Na niebie nie było widać gwiazd. Ciszę zakłócał jedynie szum silnika.

- Tak, to on pociągnął za spust.

- Zabijesz go?

Jonas obrócił się do Liz. Zadała pytanie szeptem, ale w jej wzroku dostrzegł krzyk i błaganie.

- To nie ma z tobą nic wspólnego.

Jego słowa ją zabolaly. Skinęła głową.

- Może masz rację, ale jeśli pozwolisz, żeby kierowała tobą nienawiść i chęć zemsty, nigdy nie będziesz wolnym człowiekiem. Manchez będzie martwy, ale to i tak nie przywróci życia Jerry'emu.

- Nie po to przyjechałem i spędziłem tu tyle czasu, by pozwolić Manchezowi odejść wolno. On zabija dla pieniędzy i dlatego, że to lubi - dodał łamiącym się głosem. - To widać w jego oczach.

- Pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że każdy ma prawo do adwokata? - spytała cicho. - Jerry nie żyje. Współczuję ci, Jonas. Ale jeśli postąpisz, jak zamierzasz, zabijesz coś w sobie - powiedziała, myśląc, że wtedy umrze też coś w niej samej. - Nie ufasz prawu?

- Już od lat gram w tę grę. To ostatnia rzecz, której mógłbym ufać - wyznał z goryczą i gwałtownie wyrzucił papierosa za burtę.

- Więc powinieneś zaufać sobie samemu. Ja ci zaufałam - wyznała.

Powoli podszedł do Liz i ujął jej twarz w dłonie. Chciał zrozumieć, co ona chce mu powiedzieć.

- Naprawdę?

- Tak.

Jonas pochylił się i pocałował ją w czoło. Pragnął rzucić to

wszystko i odpłynąć stąd jak najprędzej. Wiedział jednak, że to nie rozwiąże ich problemów. Puścił Liz i wyciągnął spod jednej z ławek swój sprzęt do nurkowania. Zauważył, że dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Co robisz? Przecież nie możemy nurkować razem.

- Właśnie. Ty zostaniesz na łodzi.

- Plan był inny - powiedziała, starając się trzymać nerwy na wodzy.

- Zmieniłem go. Nie zgadzam się na tak wielkie ryzyko.

- To ja zgodziłam się je podjąć - odparła. - Jonas, nie znasz tych wód i nigdy nie pływałeś tu nocą.

- Zaraz nadrobię to niedopatrzenie.

- Manchez i Trydent są przekonani, że to ja wyłowię skrzynkę.

- Chyba twoja reputacja na tym nie ucierpi, jeśli okaże się, że skłamałaś mordercom i handlarzom narkotyków.

- Jonas, nie mam nastroju do żarów - burknęła.

- Możliwe, że nie masz też nastroju do wysłuchania tego, co zamierzam ci powiedzieć - zaczął poważnym tonem, przypasał nóż, założył pas balastowy i sięgnął po maskę. - Ale zależy mi na tobie, do diabła! - krzyknął i zmusił ją, aby spojrzała mu w oczy. - Mój brat wciągnął cię w to bagno, bo nigdy nie myślał o nikim innym oprócz siebie. Ja popchnąłem cię jeszcze głębiej, bo myślałem jedynie o zemście. Teraz myślę o tobie, o nas. Nie pozwolę ci zanurkować, nawet gdybym musiał cię związać.

- Nie chcę, żebyś nurkował! - zawołała. - Pod wodą myślałabym tylko o wykonaniu zadania, a na łodzi zamartwię się na śmierć. Nie jestem przyzwyczajona, aby ktoś o mnie dbał i wykonywał moje obowiązki - szepnęła bezradnie.

- Najwyższa pora zacząć to ćwiczyć - odparł z uśmiechem.

- Kieruj się na północny wschód - powiedziała zrezygnowana. - Jaskinia leży na głębokości dwudziestu pięciu metrów. Uważaj na rekiny - przestrzegła, podając mu niewielką kuszę.

Jonas przechylił się przez burtę, wziął z jej rąk skrzyneczkę i zniknął w głębinach.

Nocą te wody nie były bezpieczne. Liz starała się zapomnieć, że rekiny, barakudy i mureny wypłynęły właśnie na żer. Powinnam była sama zejść pod wodę, wyrzucała sobie w duchu. Czy tak właśnie wygląda życie kobiet, które mają swojego mężczyznę? Muszą siedzieć beczynn timer i czekać? Cztery razy spoglądała na zegarek, zanim usłyszała, że Jonas się wynurza. Podbiegła do drabinki, by pomóc mu wejść na pokład.

- Następnym razem ja nurkuję.

- Nie ma mowy- odparł, zdjął butlę i przyciągnął Liz do siebie. - Mamy godzinę. Czy chcesz ją spędzić na kłótniach? - szepnął prosto w jej ucho.

- Nie znoszę, gdy ktoś mną rządzi - westchnęła.

- Następnym razem ty będziesz mogła rozstawiać mnie po kątach - powiedział i pociągnął ją za sobą na ławkę. - Już

zapomniałem, jak cudownie jest nocą pod wodą. Widziałem ogromną kałamarnicę. Chyba wystraszyłem ją na śmierć światłem latarki - zaśmiał się.

Liz odprężała się powoli. Oparła głowę na ramieniu Jonasa i spojrzała w niebo. Chmury znikły i setki gwiazd rozjaśniły mroki nocy. Siedziała ze swoim mężczyzną i rozmawiała z nim o zwykłych rzeczach.

- Opowiedz mi o Faith - poprosił Jonas w pewnej chwili.

- Lepiej mnie nie kuś. Jak zacznę, nie mogę skończyć - zaśmiała się cichutko.

- Proszę, naprawdę chcę o niej posłuchać.

Liz uśmiechnęła się i zaczęła mówić o roześmianej dziewczynce, która uwielbia chodzić do szkoły, bo jest tam wielu ludzi i stale uczy się czegoś nowego. Jonas dowiedział się, że mała dziewczynka ze zdjęcia umie mówić w dwóch językach, uwielbia biegać i nie znosi warzyw. W głosie matki słyhać było czułość i dumę.

- Zawsze była słodka - rozczuliła się Liz. - Ale nie jest aniołkiem. Jest uparta i zdarzają się jej wybuchy złości. Lubi wszystko robić sama. Gdy miała dwa latka, rozzłościła się, bo chciałam jej pomóc zejść ze schodów.

- Niezależność i samodzielność to wasze cechy rodzinne.

- Są nam bardzo potrzebne - Liz spoważniała.

- Nigdy nie myślałaś o dzieleniu z kimś swojej odpowiedzialności?

- Wtedy trzeba ustępować i rezygnować z wielu rzeczy - odparła i lekko zeszywniała. - Ja nie umiem tego robić.

Jonas spodziewał się takiej odpowiedzi. Zamierzał wkrótce zmienić jej poglądy.

- Pora znów zanurkować - powiedział, szybko zmieniając temat.

- Weź kuszę - poprosiła i pomogła mu zapiąć butlę. -Jonas... wracaj szybko - szepnęła. - Chcę już wracać do domu i móc się z tobą kochać.

- Świetna pora na takie wyznania - roześmiał się i zanurzył w chłodnej wodzie.

Po chwili Liz zaczęła nerwowo spacerować po pokładzie. Dlaczego nie pomyślała o zabraniu kawy w termosie? Jonas będzie zmarznięty, gdy się wynurzy, mógłby się rozgrzać. Ale to nic. Już niedługo będą w domu. Może nie miała racji, broniąc się przed miłością? Może piękno związku polega właśnie na troszczeniu się o drugą osobę? Może powinna...

Nagle usłyszała przy burcie plusk wody. Natychmiast podbiegła do drabinki.

- Jonas, co się... - urwała, patrząc wprost w lufę pistoletu.

- *Buenas noches* - Manchez przywitał się ironicznie i wciąż mierząc do niej, wdrapał się na pokład.

- Co tu robisz? - spytała, starając się opanować.

- Jesteś amatorką, tak samo jak Jerry Sharpe - odparł z pogardą Meksykanin. - Myślisz, że możemy zapomnieć o forsie?

- Nic nie wiem o pieniądzach, które wziął Jerry. Już ci to mówiłam.

- Szef kazał się tobą zająć, paniusiu. Ty robisz nam przysługę i dostarczasz skrzynkę. My też zrobimy coś dla ciebie. Szybko zginiesz.

Liz za wszelką cenę musiała przedłużyć tę rozmowę. Starła się nie patrzeć na wycelowaną w nią broń.

- Jeśli będziecie zabijać swoich nurków w tym tempie, szybko wypadniecie z interesu.

- I tak skończyliśmy już na Cozumel. Kiedy twój przyjaciel wydobędzie skrzynkę, zabiorę ją na jakąś miłą wyspę i zacznę rajskie życie. Ale ty tego nie dożyjesz.

- Skoro znikacie z Cozumel, po co urządziliście jeszcze jedną akcję? - wypytywała Liz, za wszelką cenę chcąc zyskać na czasie.

- Clancy lubi załatwiać swoje sprawy do końca.

- Clancy? - Liz pamiętała, że to imię wymienił David Merriworth w czasie spotkania w Acapulco.

- W skrzynce, którą ukryliście na dnie jest kokaina warta kilka tysięcy. W tej, którą zaraz wyłowi twój kochaś, są pieniądze. Szef uznał, że ta drobna inwestycja się opłaci. Będzie wyglądało, że robiłaś z Sharpem interesy, coś poszło nie tak i pozabijaliście się nawzajem. Sprawa zamknięta.

- To ty zabiłaś Erikę, prawda? - spytała Liz i zerknęła w stronę wody.

- Zadawała za dużo pytań - warknął i wycelował broń. - Tak jak ty.

Nagle jasne światło zalało łódź i odwróciło na chwilę uwagę Mancheza. Zanim Liz zdążyła pomyśleć, skoczyła za burtę i zanurkowała. Musiała ostrzec Jonasa. Płynęła coraz głębiej, a światło ślizgało się po powierzchni nad jej głową. Nie miała maski, butli, ani żadnej osłony. Ale Jonas nic nie wiedział o niebezpieczeństwie i zaraz miał się wynurzać. Musi do niego dotrzeć, choć już czuje, że brakuje jej powietrza. Liz zataczała kręgi pod dnem łodzi. Nagle zauważyła błysk latarki Jonasa.

On też dostrzegł Liz. Zanim zdążył pomyśleć, podpłynął do niej i podał jej ustnik. Wyczuł jej strach. Po chwili oboje ostrożnie się wynurzyli.

- Pan Sharpe - wesoło odezwał się Morales. - Wszystko jest pod kontrolą - oznajmił, wskazując dwóch nurków, którzy zakładali Manchezowi kajdanki. - Może zechcielibyście odstawić nas na brzeg?

Liz widziała, że Jonas jest spięty. Jego oczy płonęły. Kusza była wycelowana prosto w serce Meksykanina.

- Jonas, proszę... - zaczęła, lecz on odwrócił się i zaczął sprawnie wspinać się na pokład. - Jonas, nie możesz tego zrobić. Już po wszystkim - szeptała, wspinając się za nim.

Ale on nie słyszał jej próśb. Utkwił zimne spojrzenie w Manchezie. Jerry nie żył, a przed nim stał człowiek odpowiedzialny za jego śmierć. Ale bratu nic już nie pomoże.

Jonas po chwili wahania opuścił kuszę.

- Niedługo wyjdę na wolność - zaśmiał się Meksykanin, odrzucając głowę do tyłu. - Już niedługo.

Jonas poderwał kuszę i strzelił. Strzała utkwiała w pokładzie, między stopami mordercy. Śmiech zamarł na ustach Mancheza.

- Będę na ciebie czekał - odparł Jonas lodowato.

Czy to naprawdę już koniec? Liz myślała tylko o tym, gdy przebudziła się następnego ranka. Była bezpieczna, Jonas też, a szajka przemytników została rozbita. Oczywiście Jonas wściekł się, gdy zrozumiał, że Manchez był śledzony, oni sami też byli śledzeni, a policja wkroczyła do akcji dopiero wtedy, gdy bandyta zagroził Liz.

Ale w końcu dopiął swego, pomyślała. Morderca jego brata trafił za kratki. Miała nadzieję, że to jemu wystarczy. Przekręciła się na drugi bok i przytuliła do Jonasa.

- Zostańmy tu do południa - poprosił, przyciągając ją blisko siebie.

- Wiesz, że mam...

- Pracę - dokończył za nią.

- Właśnie - przytaknęła. - I po raz pierwszy od długiego czasu mogę przestać oglądać się przez ramię. Nareszcie jestem szczęśliwa - odetchnęła z ulgą i objęła go za szyję.

- Taka szczęśliwa, że mogłabyś za mnie wyjść?

- Co? - zaskoczona Liz odsunęła się nieco od Jonasa.

- Poślubić mnie, pojechać ze mną do domu i zacząć nowe życie.

- Nie mogę - szepnęła.

- Dlaczego? - spytał.

- Jonas, jesteśmy zupełnie inni i każde z nas ma własne życie.

- Już od dawna żyjemy razem.

- Ale to się skończy, gdy wrócisz do Filadelfii. Za kilka tygodni nawet nie będziesz pamiętał, jak wyglądam.

- Dlaczego to robisz? - spytał z wyrzutem. - Czemu nie możesz po prostu przyjąć tego, co ci chcę dać? Kocham cię.

- Nie - szepnęła Liz i zacisnęła powieki. - Nie mów mi tego.

- Będę to powtarzał, aż wreszcie uwierzysz. Czy myślisz, że do tej pory tylko bawiłem się tobą? Czy nie czujesz tego, co jest między nami?

- Już kiedyś myślałam, że coś czuję do innego mężczyzny.

- Wtedy byłaś dzieckiem! - zawołał rozgniewany. - Pod pewnymi względami wciąż nim jesteś. Ale wiem, co czujesz, gdy jesteś ze mną. Nie jestem duchem z przeszłości ani wspomnieniem. Jestem mężczyzną z krwi i kości i pragnę cię.

- Boję się, Jonas - szepnęła. - Boję się ciebie, bo sprawiasz, że pragnę rzeczy niemożliwych. Nie poślubię cię, bo nie chcę już ryzykować. Teraz nie chodzi tylko o mnie. Nie jestem sama. Jest jeszcze Faith. Puść mnie, proszę.

- To jeszcze nie koniec - powiedział, pozwolił jej wstać i sam stanął obok niej.

- Pozwól mi cieszyć się tymi ostatnimi dniami, które nam zostały - poprosiła Liz i oparła głowę na jego ramieniu.

Jonas uniósł jej podbródek i zajął dziewczynie w oczy. Wyczytał w nich jej prawdziwe uczucia. Skoro przekonał się, że się nie mylił, mógł jeszcze poczekać.

- Nie miałem do czynienia z kimś równie upartym, jak ty - powiedział i pogładził ją po włosach. - Ubieraj się. Odwiozę cię do pracy.

Liz nieco się odprężyła. Cieszyła się, że Jonas przestał nalegać. Więź, która ich łączyła, była teraz dość silna, bo łączyły ich niezwykle wydarzenia. Wierzyła, że zależy mu na niej, lecz była przekonana, że Jonas myli to uczucie z miłością. Za jakiś czas będzie jej wdzięczny, że nie przyjęła jego propozycji. Kochała go na tyle, aby mieć siłę go odepchnąć. Ale do końca życia będzie o nim pamiętała.

- Co zamierzasz dziś robić? - spytała, gdy znaleźli się pod sklepem.

- Zamierzam siedzieć na słońcu i nie zajmować się niczym.

- Niczym? - Liz gwałtownie się zatrzymała. - Przez cały dzień?

- Wiesz, kiedy człowiek niczym się nie zajmuje, to się nazywa odpoczynek. A kiedy robi to parę dni z rzędu, nazywamy

to urlopem - zażartował.

- Jeśli się znudzisz, zawsze możesz dołączyć do którejś z naszych wycieczek.

- Chyba na jakiś czas mam dość nurkowania-powiedział i usiadł na krzeselku przed sklepem Liz.

- O, Miguel! A gdzie Luis? - spytała Liz, rozglądając się za swoim stałym pracownikiem.

- Szykuje jedną z łodzi, a ja zostałem w sklepie. Aha! Byli jacyś ludzie i pytali o łódź dla wędkarzy. Są teraz na pomoście.

- Dobrze. Idź pomóc Luisowi, a ja się tu wszystkim zajmę - zdecydowała.

- Czy mógłbyś przez chwilę popilnować sklepu, a ja się dowiem, o co chodzi? - zwróciła się do Jonasa, gdy chłopak odszedł.

- A ile płacisz za godzinę? - spytał i poprawił okulary przeciwsłoneczne.

- Mogłabym przygotować dziś kolację - żartobliwie targowała się Liz.

- Zgoda - powiedział, wstając. - Nie musisz się spieszyć - dodał z uśmiechem.

Liz roześmiała się i ruszyła w stronę „Expatriate”, przy której kręcili się dwaj mężczyźni. Chętnie popłynęłyby z wędkarzami.

- *Buenos dis* - przywitała się i rozpoznała jednego z nich. - Pan Ambuckle! - ucieszyła się. - Nie wiedziałam, że jest pan

jeszcze na wyspie.

- Tak i mam chętkę na małą wycieczkę - odparł, poklepując jej dłoń.

- Mała wycieczka to świetny pomysł, prawda, Clancy? - odezwał się drugi mężczyzna i uniósł rondo słomkowego kapelusza.

Liz rozpoznała Scotta Trydenta i uczyniła ruch, jakby chciała uciec, jednak Ambuckle był szybszy i złapał ją za ramię.

- Nie odwracaj się, złotko. Teraz grzecznie wsiądziesz na łódkę i trochę sobie pogadamy - powiedział syczącym szeptem.

- Jak długo używaliście mojego sklepu do przemytu narkotyków? - spytała oburzona, lecz powstrzymała się od zawołania Jonasa, bo Scott odchylił połę koszuli i pokazał jej, że ma broń.

- Już od kilku lat - roześmiał się Ambuckle. - Rewelacyjna lokalizacja!

- To ty jesteś szefem tej mafii narkotykowej. To ciebie szuka policja! - zrozumiała nagle.

- Jestem człowiekiem interesu - odparł z uśmiechem. - Wskakuj na pokład, panienko.

- Policja nas obserwuje - powiedziała Liz.

- Nie sądzę, mają przecież Mancheza - odparł, kręcąc głową. - Gdyby nie spróbował nas wykiwać, cała operacja przebiegłaby sprawnie.

- Wykiwać?

- Właśnie-kiwnął głową Scott i popchnął ją w stronę łodzi. -
Manchez uznał, że lepiej zarobi jako wolny strzelec.

- A skoro pan Trydent odkrył jego zdradę i doniósł mi o tym, od razu otrzymał awans i stanowisko Mancheza. Widzisz? -
zwrócił się do Liz. - W mojej organizacji panuje zdrowa konkurencja.

- To ty kazałeś zabić Jerry'ego! - zawołała Liz, patrząc na człowieka, z którym tak często miło gawędziła, gdy wypożyczał u niej sprzęt do nurkowania.

- Zwinął mi masę szmalu - oznajmił Ambuckle i poczerwieniał ze złości. - Kazałem Manchezowi zająć się nim. Potem zacząłem rozważać twoją kandydaturę, ale łatwiej było używać sklepu bez twojej wiedzy. A tak między nami, moja żona wprost cię uwielbia. Będzie zrozpaczona, gdy się dowie, że zginęłaś w wypadku.

- Czy ona wie, że zabijasz ludzi i szmuglujesz narkotyki? -
spytała Liz.

- Skądże! Nie mieszam pracy i spraw osobistych. Pocziwa kobieta nie odróżniłaby kokainy od cukru pudru. Poza tym jest przekonana, że udało nam się trafić na świetnego maklera giełdowego i stąd mamy pieniądze. A teraz dość gadania. Popłyniemy na wycieczkę i pogadamy sobie o trzystu tysiącach, które ukradł nasz przyjaciel Jerry. Scott, odcumuj łódź!

- Nie! - zawołała Liz i chciała zeskoczyć z łodzi, lecz Ambuckle znów ją pochwycił.

- Chciałem uniknąć kłopotów - powiedział, kręcąc głową.
-Wiesz, kiedy poprzestawiałem twoje wskaźniki, myślałem, że wreszcie dasz spokój i się wycofasz. Miałem do ciebie słabość, złotko, ale cóż, interesy mają pierwszeństwo - westchnął i spojrzał na Scotta. - Skoro zająłeś stanowisko Mancheza, do ciebie należy rozwiązanie naszego kłopotu - powiedział i wskazał na Liz.

- Oczywiście - oznajmił Trydent, sięgnął po broń i wycelował ją w dziewczynę.

Liz westchnęła cicho i zamknęła oczy.

- Jesteś aresztowany - usłyszała. - Masz prawo zachować milczenie...

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Scott wymierzył broń w Ambuckle'a, a w drugiej dłoni trzyma policyjną odznakę. To było zbyt wiele dla Liz. Zasłoniła oczy dłońmi i rozpłakała się.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Chcę wiedzieć, co się tu dzieje, do diabła! - grzmiał Jonas w gabinecie Moralasa.

- Może wyjaśnienie powinien udzielić pański rodak - powiedział Moralas, sadowiając się wygodnie za swoim biurkiem.

- Agent specjalny Donald Scott - przedstawił się człowiek, którego znali jako Scotta Trydenta. - Proszę wybaczyć ten mały podstęp - zaczął, zadowolony z udanej akcji i spojrzał na Jonasa.

Po minie mężczyzny poznał, że wyjaśnienia nie pójdą tak gładko, jak oczekiwał. Zawsze jednak uważał, że cel uświęca środki, więc nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia.

- Ścigam tego skurczybyka już od trzech lat - podjął przerwany wątek i upił łyk kawy. - Dwa lata starałem się wsiąknąć w organizację przemytników. Gdy mi się to w końcu udało, nie miałem dostępu do jej szefa. Był bardzo ostrożny. Przez kilka ostatnich miesięcy pracowałem z Manchemem jako Scott Trydent. Byłem najbliżej Ambuckle'a, jak się dało. To zmieniło się dopiero dwa dni temu.

- Wykorzystałeś ją. Wciągnąłeś w środek tego bagna - warknął Jonas, patrząc na agenta.

- Tak. Chodziło o to, że nikt nie wiedział, jak głęboko Liz jest zamieszana w tę sprawę. Wiedzieliśmy o jej sklepie. Wiedzieliśmy, że jest doskonałym nurkiem. Przez pewien czas panna Palmer była naszą główną podejrzaną.

- Byłam główną podejrzaną? - powtórzyła Liz i poczuła

ukłucie gniewu.

- Opuściłaś Stany dziesięć lat temu i nigdy już tam nie wróciłaś. Mogłaś nawiązać odpowiednie kontakty i miałaś warunki, aby kierować grupą przestępczą. Przez większość roku trzymasz córkę z dala od wyspy - wyliczał agent.

- To moja sprawa.

- Wiemy o tobie niemal wszystko. Liczył się każdy drobiazg. Kiedy przyjechałaś Jerry'ego pod swój dach i dałaś mu pracę, jeszcze bardziej utwierdziliśmy się w swoim przekonaniu. On uważał inaczej, ale nie współpracowaliśmy z nim dla jego opinii.

- Współpracowaliście z nim? - spytał zaszokowany Jonas.

- Skontaktowałem się z Jerrym w Nowym Orleanie. O nim także wiedzieliśmy niemal wszystko. Był drobnym oszustem i kombinatorem, ale miał swój styl - wyjaśnił Donald Scott i przyjrzał się uważnie Jonasowi. - Zawarliśmy z nim pewien układ. Jeśli udałoby mu się przeniknąć do szajki i przekazywać nam informacje, bylibyśmy skłonni zapomnieć o pewnych jego... wybrykach. Lubilem twojego brata - powiedział. - Naprawdę go lubilem. Gdyby ustatkował się choć trochę, mógł być wspaniałym agentem.

- Chcesz powiedzieć, że Jerry dla was pracował? - upewnił się Jonas i poczuł, że jego wspomnienia o bracie przestają być tak bardzo bolesne.

- Tak. - Agent skinął głową i sięgnął po papierosa.

- Ale co się w takim razie naprawdę wydarzyło?

- Jerry umiał sprawić, że nawet najpaskudniejsze rzeczy stawały się znośne. Nie umiał jednak słuchać rozkazów. Chciał błyskawicznie osiągnąć sukces i naciskał zbyt mocno. Kiedyś powiedział mi, że chce udowodnić coś sobie i swojej lepszej połowie...

- Mów dalej - zachęcił go Jonas, choć bolała go ta rozmowa.

- Postanowił zabrać pieniądze z jednej z dostaw. Był pewien, że to zmusi szefa do ujawnienia się. Gdy zadzwonił do mnie z Acapulco i powiedział, co zrobił, kazałem mu się przyczaić na jakiś czas - wyjaśnił. - Ale on mnie nie posłuchał. Wrócił na Cozumel i skontaktował się z Manchemem. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, już było za późno. Ale nie wiem, czy dałbym radę go powstrzymać, nawet gdybym wiedział, co zamierza. Nie lubimy tracić współpracowników, panie Sharpe. A ja nie lubię tracić przyjaciół.

Gniew powoli opuszczał Jonasa. To wszystko rzeczywiście było w stylu Jerry'ego, pomyślał. Impulsywność, przygoda i niebezpieczeństwo.

- Mów dalej.

- Przyszły rozkazy, aby przycisnąć Liz. - Scott uśmiechnął się smutno. - I to rozkazy z obu stron. Dopiero po waszym powrocie z Acapulco zrozumieliśmy, że Liz nie jest zamieszana w przemyt. Wtedy przestała być podejrzana, a stała się przynętą...

- Zgłosiłam się na policję. Przyszłam prosto do pana -

powiedziała oburzona Liz i popatrzyła na Moralasa. - A pan mi nic nie powiedział!

- Do wczoraj nie miałem pojęcia o specjalnej misji agenta Scotta. Wiedziałem tylko, że nasz człowiek wniknął do szajki i że mamy posłużyć się panną Palmer.

- Byłaś chroniona - Donald Scott zwrócił się do Liz. - Każdego dnia byłaś pod obserwacją Moralasa lub moich ludzi. Dopiero przybycie Jonasa skomplikowało sprawę. Narzucił ostre tempo i za mocno naciskał. Sądzę, że ty i Jerry mieliście ze sobą więcej wspólnego, niż ktokolwiek mógł przypuszczać - powiedział, patrząc Jonasowi w oczy.

- Możliwe - zgodził się Jonas, bawiąc się monetą.

- Cóż, doszło do tego, że musieliśmy zadowolić się Manchem albo pójść na całość. Zdecydowaliśmy się na to drugie rozwiązanie.

- Czyli nasze nurkowanie było pułapką?

- Manchez otrzymał rozkaz, aby za wszelką cenę odzyskać pieniądze, które zabrał Jerry. Nie mieli pojęcia o skrytce bankowej. Policja też nie. Dopiero wy nas o tym poinformowaliście. Ambuckle był przekonany, że ukryliście gotówkę i zamierzał ją odzyskać. Chciał sprawić, aby wasza wyprawa wyglądała tak, jakbyście to wy prowadzili przemyt. Znaleziono by was martwych, a on odczekałby chwilę i przeniósł interes gdzieś indziej. Tyle powiedział mi Manchez - wyznał Scott. - A co do waszego pytania, to macie rację. To była

pułapka. Ale dużo bardziej skomplikowana, niż myślicie. Manchez miał odzyskać pieniądze, więc zjawił się na waszej łodzi. Ale ja już wcześniej skontaktowałem się z Merriworthem i narobiłem szumu, że Manchez zamierza zdradzić organizację. Gdy wy nurkowaliście, ja rozmawiałem z Clancym. Dostałem awans, a on zaniepokojony informacjami, sam się ujawnił, aby odzyskać swoje pieniądze.

Liz starała się spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia. Ale nie potrafiła. Dla niej było to igranie ze śmiercią, a nie partia szachów.

- Już wczoraj wiedziałeś, kim jest ten człowiek i mimo to pozwoliłeś mu się do mnie zbliżyć!

- Kilku snajperów czekało w ukryciu. Ja miałem broń, a Ambuckle nie. Chcieliśmy, aby wyraźnie zlecił zamordowanie Liz i by powiedział najwięcej, jak się da. Żeby posadzić go na dłużej, potrzeba było mocnych dowodów - oznajmił agent Scott i spojrzał na Jonasa. - Jesteś prawnikiem, Sharpe. Wiesz, jak jest. Często zdarza się, że znamy prawdę, mamy przestępcę, a sąd uniewinnia go, bo dowody nie są w pełni przekonujące. Ale ten długo nie wyjdzie na wolność.

- Pozostaje jeszcze pytanie, czy będą sądzeni w moim, czy twoim kraju - powiedział spokojnie Moralas.

- Słuchaj... - zaczął Scott.

- Tę kwestię możemy omówić nieco później. Teraz chciałbym podziękować i przeprosić - przerwał mu, patrząc na

Jonasa i Liz. -Przykro mi, ale nie widzieliśmy innego rozwiązania tej sprawy.

- Mnie też jest przykro - mruknęła Liz i spojrzała na Scotta.

- Było warto?

- Ambuckle przeszmułował mnóstwo kokainy do Stanów. Jest odpowiedzialny za co najmniej piętnaście morderstw w Stanach i Meksyku. O, tak. Było warto.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, że nie chcę cię więcej widzieć - powiedziała Liz, kiwając głową i ujęła dłoń Jonasa. - Zresztą i tak byłeś marnym uczniem - dodała z lekkim uśmiechem.

- Wybacz, że w końcu nie umówiliśmy się na tego drinka - powiedział. - Żałuję, że tak wyszło.

- A ja dziękuję ci, że wyznałeś mi prawdę o moim bracie. To dla mnie wiele znaczy - odezwał się Jonas.

- Sądzę, że zostanie odznaczony. Dokumenty prześlemy twoim rodzicom.

- Wiem, że się ucieszą - odparł Jonas i podał mu dłoń. - Rozumiem, że wykonywałeś swoją pracę. Wszyscy robimy to, co musimy.

- Ale to nie znaczy, że nie żałuję.

Jonas kiwnął głową i uśmiechnął się. Nareszcie poczuł się wolny.

- Ale za to, że narażałeś Liz na niebezpieczeństwo... - zawiesił głos, zacisnął dłoń w pięść i płynnym ruchem umieścił

ją na szczęce specjalnego agenta Donalda Scotta.

Mężczyzna potknął się i upadł na krzesło, które stało za jego plecami. Mebel nie wytrzymał i pękł, a Scott wylądował na podłodze, pocierając bolącą szczękę.

- Jonas! - zawołała wstrząśnięta Liz.

Po chwili poczuła, że ma ochotę się roześmiać. Zakryła usta dłonią i odwróciła się do Jonasa. Nieporuszony Morales siedział przy biurku i sączył swoją kawę.

- Wszyscy robimy to, co musimy - mamrotał pod nosem Scott, gramoląc się z podłogi.

- Zegnajcie - powiedział Jonas.

- *Vaya con Dios* - pożegnał się Morales, wstał z krzesła i pocałował dłoń Liz.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył za wychodzącymi, a potem z powagą spojrział na agenta.

- Twój rząd, oczywiście, zapłaci za krzesło.

Jonas odszedł. Sama tego chciała. Liz sądziła, że tak będzie najlepiej. Powtarzała to sobie każdego ranka od dwóch tygodni. Gdyby posłuchała głosu serca, przyjęłaby oświadczyzny Jonasa. Porzuciłaby wszystko, co zbudowała z takim trudem. I pewnie zniszczyłabym nam obojgu życie, pomyślała.

Wrócił do swojego świata, prawniczych książek, rozpraw w sądzie i eleganckich przyjęć. Z pewnością zapomniał o czasie spędzonym na Cozumel. Przecież nie zadzwonił ani nie napisał.

Wyjechał tego samego dnia, gdy Ambuckle został aresztowany. Jonas wygrał walkę z przeszłością, gdy stanął oko w oko z Manchemem.

Odszedł, a Liz znów musiała uporządkować swoje życie. Spodziewałam się, że to w końcu nastąpi, pomyślała. Niczego nie żałowała. To, co dała Jonasowi, zostało darowane bez warunków i oczekiwań. W zamian miała to, co otrzymała od niego. Na zawsze zostały jej piękne wspomnienia.

Poza tym Faith wracała do domu. Liz, nie mogąc się doczekać, wyruszyła na lotnisko. Wiedziała, że dotrze na miejsce godzinę za wcześnie, ale nie mogła już wysiedzieć w domu. To śmieszne, że tak się denerwuję, wyrzucała sobie w myślach.

W budynku lotniska było tłoczno i hałaśliwie. Turyści przyjeżdżali i odjeżdżali. Wiele osób robiło ostatnie zakupy w licznych sklepikach. Liz poddała się impulsowi i po chwili miała dwie siatki różnych drobiazgów i niewielki bukiet kwiatów.

Już za chwilę, już niedługo, powtarzała w duchu. Niektórzy turyści czytali, inni drzemali w plastikowych krzeselkach. Liz nie mogłaby teraz siedzieć, więc nerwowo spacerowała od okna do okna. Samolot się spóźniał. Wiedziała, że pogoda sprzyja podróży samolotem, lecz zaczęła się denerwować. Pobiegła do informacji i usłyszała to, co już sama wiedziała. Samolot ma niewielkie opóźnienie. Liz chciała krzyknąć ze zdenerwowania.

Wreszcie usłyszała, że samolot z Houston właśnie ląduje. Patrzyła w stronę bramki ponad głowami ludzi. W końcu

dostrzegła swoją córkę. Faith miała na sobie spodenki w błękitne paski i białą bluzeczkę. Ależ ona urosła, zdumiała się Liz. Ze zdenerwowania pociły się jej dłonie. Żeby się tylko nie rozplakała, pomyślała, mrugając oczami.

Nagle Faith dostrzegła ją i z szerokim uśmiechem podbiegła do matki. Liz upuściła siatki i chwyciła córkę w ramiona.

- Mamusiu, siedziałam przy oknie, ale nie widziałam naszego domu - poskarżyła się i uściskała Liz. - Kupiłam ci prezent!

- Niech ci się przyjrzę - szepnęła wzruszona Liz.

Jej córka nie była już słodka i rozkoszna. Była po prostu piękna. Już nigdy się z nią nie rozstanę, pomyślała Liz. Nie będę potrafiła.

- Witaj w domu, córeczko - szepnęła i ucałowała oba policzki Faith.

Po chwili wstała, żeby powitać rodziców. Ojciec był szczupły, jak zawsze, lecz miał coraz mniej włosów. Uśmiechał się do niej. Matka stała obok niego i wyglądała tak krucho i delikatnie. Liz jednak wiedziała, że jest twarda jak skała. Dostrzegła łzy w jej oczach. Czy początek wakacji sprawia jej taki ból, jak mnie ich koniec, zastanowiła się przelotnie.

- Mamo - zawołała i objęła ją. - Tak bardzo za wami tęskniłam - powiedziała i pomyślała, że już najwyższa pora wrócić do domu.

- Mamusiu, mamusiu - powtarzała Faith, ciągnąc ją za kieszeń dzinsów. - Musisz przywitać się z Jonasem - dokończyła ze śmiechem, gdy Liz porwała ją w końcu na ręce.

- Co?

- Przyjechał z nami. Musisz się przywitać - powtórzyła Faith.

Liz rozejrzała się i dostrzegła Jonasa opartego o ścianę. Czekał spokojnie, aż Liz na niego spojrzy. Wtedy podszedł i wycisnął mocny pocałunek na jej ustach.

- Miło cię widzieć - wymruczał jej w ucho i sięgnął po torby i kwiaty, które upuściła. - Sądzę, że to dla ciebie - powiedział, podając bukiet matce Liz.

- O, tak. Zupełnie zapomniałam - przytaknęła zarumieniona Liz.

- Dziękuję, są śliczne - odparła jej matka z uśmiechem. - Jonas odwiezie nas teraz do hotelu. Zaprosiłam go na kolację - powiedziała matka. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Zresztą, zawsze szykujesz więcej jedzenia.

- Nie. To znaczy, tak. Oczywiście - Liz na przemian kiwała i kręciła głową.

- No to do zobaczenia wieczorem - powiedziała jej matka i pocałowała córkę na pożegnanie. - Zostawiamy was same. Wiem, że ty i Faith chcecie mieć trochę czasu tylko dla siebie.

- Ale ja...

- Tam są nasze bagaże - zwróciła się matka do Jonasa.

Zanim Liz się obejrzała, została sama z Faith.

- Czy możemy zajrzeć po drodze do pana Pessado? - dopytywała się dziewczynka.

- Tak - zgodziła się Liz, myśląc o czym innym.

- A dostanę cukierka?

- Coś mi się zdaje, że już jadłaś słodycze - zaśmiała się Liz, wskazując na widoczne plamy po czekoladzie na bluzeczce córki.

- Chodźmy do domu - powiedziała Faith, wiedząc, że pan Pessado jej nie zawiedzie.

Liz wstrzymała się z pytaniami do chwili, gdy rozpakowała swój prezent, powiesiła kryształowego ptaszka od Faith w oknie i nakarmiła córkę.

- Faith... - zaczęła, starając się, by jej głos brzmiał normalnie. - Kiedy poznałaś pana Sharpe'a?

- Jonasa? Przyszedł kiedyś do babci - odparła, popijając mleko.

- Do babci? A kiedy to było?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Mogę już dostać lody?

- Faith, a może wiesz, po co on przyszedł do babci? - pytała dalej.

- Chyba chciał z nią o czymś porozmawiać. I z dziadkiem też. Został na obiad. Domyśliłam się, że babcia go lubi, bo zrobiła wiśniowe ciasteczka. Ja też go lubię. Umie grać na pianinie, wiesz? - spytała dziewczynka i wzięła z rąk matki

olbrzymią porcję lodów. - Byliśmy razem w zoo.

- Co? - zachłysnęła się Liz i w ostatniej chwili złapała miskę z lodami, która wymknęła się jej z rąk. - Jonas zabrał cię do zoo?

- Mhm. W sobotę. I karmiliśmy małpki - powiedziała Faith i zachichotała. - On opowiada zabawne historyjki. A ja upadłam i starłam sobie kolano - skrzywiła się na to wspomnienie i podciągnęła nogawkę spodni, aby pokazać ranę.

- Och, kochanie - westchnęła współczująco Liz i pocałowała niewielkie zadrapanie. - Jak to się stało?

- Biegałam w zoo. Wiesz, że w moich nowych tenisówkach mogę biec naprawdę szybko? I wcale nie płakałam, jak upadłam.

- Oczywiście, przecież jesteś bardzo dzielna - przytaknęła Liz i poprawiła spodnie córki.

- A Jonas wcale się nie wściekł, tylko wytarł mi kolano chusteczką. Było mnóstwo krwi - powiedziała z przejęciem i uśmiechnęła się. - Powiedział, że mam takie same śliczne oczy, jak ty.

- Naprawdę? A co jeszcze mówił?

- Och, rozmawialiśmy o Meksyku i Houston. Pytał, gdzie mi się bardziej podoba.

Liz położyła dłonie na kolanach córki i pomyślała, że dla niej zdanie dziecka też jest najważniejsze.

- I co mu odpowiedziałaś?

- Że podoba mi się tam, gdzie ty jesteś- powiedziała Faith i wyjadła resztkę lodów z miseczki. - A on się ze mną zgodził! Czy

Jonas zostanie twoim chłopakiem?

- Moim... - Liz z trudem pohamowała wybuch śmiechu. - Nie.

- Mama Charlene ma chłopaka, ale on nie jest tak wysoki jak Jonas. I na pewno nie zabiera jej do zoo. Jonas powiedział, że może razem wybierzemy się na jakąś wycieczkę. Wybierzemy się, prawda, mamó?

- Zobaczymy - mruknęła Liz i zaczęła zmywać miskę po lodach.

- Ktoś idzie! - zawołała Faith i pobiegła otworzyć drzwi. - To Jonas!

- Faith! - krzyknęła Liz i wybiegła za córką.

Nie zdążyła jej zatrzymać i po chwili zobaczyła, że dziewczynka z rozpędu rzuca się w ramiona Jonasa. Mężczyzna złapał ją i ze śmiechem uniósł do góry. Zrobił to tak naturalnie, jakby od zawsze opiekował się niesfornymi dziećmi. Liz zaczęła nerwowo miętosić ściereczkę, którą trzymała w dłoniach.

- Przyszedłeś - powiedziała zachwycona Faith. - Właśnie o tobie rozmawiałyśmy.

- Tak? - Jonas pogłaskał dziewczynkę po głowie i popatrzył na Liz. - To zabawne, bo ja właśnie o was myślałem.

- Będziemy robić *paellę*, bo to ulubione danie dziadka. Możesz nam pomóc - paplała wesoło dziewczynka.

- Faith! - skarciła ją Liz.

- Chętnie - wtrącił Jonas. - Ale najpierw muszę

porozmawiać na osobności z twoją mamą.

- Czemu? - skrzywiła się Faith.

- Bo muszę ją przekonać, żeby za mnie wyszła. Jonas nie zwrócił uwagi na westchnięcie Liz, tylko uważnie wpatrywał się w oczy dziecka.

- Mama powiedziała, że nie jesteś jej chłopakiem. Pytałam!

- odparła Faith, wydymając usta.

- Trzeba ją tylko namówić - szepnął jej do ucha i radośnie się uśmiechnął.

- Babcia mówi, że mojej mamy nie można do niczego przekonać. Jest okropnie uparta.

- Ja też jestem uparty, a w dodatku moim zawodem jest przekonywanie ludzi. Ale może mogłabyś się później za mną wstawić.

- No dobra - zgodziła się Faith z uśmiechem. - Mamo, mogę zobaczyć się z Roberto? Podobno ich suka ma szczeniaki.

- Idź, ale tylko na chwilkę - powiedziała Liz, prostując i znów gniotąc ścierkę.

- Twoja córka jest naprawdę wspaniała - odezwał się Jonas z zachwytem, gdy Faith pobiegła do domu swojego kolegi. - Porozmawiamy w domu, czy tutaj?

- Jonas, nie wiem, czemu wróciłeś, ale...

- Oczywiście, że wiesz.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- W porządku - Jonas skinął głową. - Skoro nie chcesz

rozmawiać, zaciągnę cię do domu i będę kochał tak długo, aż spojrzysz na wszystko z właściwej perspektywy. Zrozum wreszcie, że cię kocham.

- Jonas, wiesz, że to niemożliwe - szepnęła i odwróciła wzrok.

- Błąd. To jest możliwe. Liz, ty mnie potrzebujesz.

- Sama umiem zadbać o siebie - odparła oburzona.

- Za to właśnie cię kocham - zaśmiał się Jonas.

- Ale...

- Nie powiesz chyba, że za mną nie tęskniłaś? - spytał, a Liz tylko otworzyła i zamknęła usta. - Dobrze. Nie zaprzeczysz też, że spędziłaś wiele bezsennych nocy, rozmyślając o nas? Potrafisz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że mnie nie kochasz?

Liz nigdy nie potrafiła dobrze maskować uczuć. Odsunęła się nieco i z przesadną dokładnością zaczęła rozwieszać ściereczkę na balustradzie ganku.

- Jonas, nie mogę kierować się w życiu emocjami.

- Od teraz już możesz. Podobał ci się prezent od Faith?

- Słucham? - zdziwiła się nagłą zmianą tematu. - Tak, oczywiście, że tak.

- To dobrze, bo ja ci też coś kupiłem - powiedział i sięgnął do kieszeni. Wyjął nieduże pudełeczko i wyciągnął z niego pierścionek z brylantem. Po chwili wsunął go na palec Liz. - Dobrze. Teraz to już oficjalne.

- Jesteś śmieszny - parsknęła, ale nie potrafiła zdjąć z palca

pierścionka z brylantem w kształcie łyżki.

- Poślubisz mnie - oznajmił. - To nie podlega dyskusji. Natomiast możesz zastanawiać się, co robimy dalej. Na przykład, mógłbym rzucić moją praktykę i przenieść się na Cozumel. Oczywiście musiałabyś mnie utrzymywać.

- Dopiero teraz zaczynasz robić się naprawdę śmieszny - uśmiechnęła się Liz.

- Świetnie. Ja też nie byłem za bardzo przywiązany do tego pomysłu. Zatem ty mogłabyś przeprowadzić się do Filadelfii, a ja bym cię utrzymywał.

- Nie potrzebuję tego - powiedziała i wojowniczo wysunęła brodę.

- Wspaniale. Oboje odrzuciliśmy dwa pierwsze pomysły - oznajmił i zrozumiał, że nie jest mu tak łatwo, jak przypuszczał. - Albo możemy wziąć mapę, wybrać jakieś miejsce na chybił trafił i tam zamieszkać.

- Nie możemy przecież w ten sposób decydować o naszym życiu - pokręciła głową i zaczęła spacerować po ganku. - Nie widzisz, że to niemożliwe? - spytała, choć sama zaczynała wierzyć w jego słowa. - Ty masz swoją karierę, ja swój sklep. Nigdy nie będę dobrą żoną dla kogoś takiego jak ty.

- Będiesz dla mnie idealną żoną - powiedział i chwycił ją za ramiona. - Do diabła, Liz, jeśli twoja firma jest dla ciebie tak ważna, zatrzymaj ją. Niech Luis pilnuje wszystkiego, a my będziemy przyjeżdżać kilka razy w roku. Albo otworzysz nowy

sklep. Wyjedziemy gdzieś, gdzie potrzebują zdolnych nurków. Albo... - zawiesił głos i upewnił się, czy Liz go słucha - mogłabyś wrócić na studia.

W jej oczach dostrzegł błysk zaskoczenia i zachwytu, ale po chwili pokręciła głową.

- To już skończone.

- Wcale nie - zaprzeczył z mocą. - Przecież tego pragniesz. Zatrzymaj sklep, otwórz następny albo dziesięć innych, ale zrób też coś dla siebie.

- Miałam dziesięć lat przerwy - odparła, lekko unosząc brew.

- Boisz się?

- Tak - przyznała.

- Kobieto! - zaśmiał się Jonas. - W ciągu kilku ostatnich tygodni przeszłaś przez piekło, a obawiasz się kilku wykładów?

- To mi się może nie udać - pokręciła głową i westchnęła.

- To co z tego? Potkniesz się i znów podniesiesz. Przysięgam, że będę przy tobie. Pora zaryzykować, Liz.

- Och, tak bardzo chcę ci wierzyć - szepnęła i uniosła dłoń do jego twarzy. - Chcę tego. Kocham cię, Jonas.

- Liz, wiesz, że cię potrzebuję. Nie wracam bez ciebie - wymruczał i gorąco ją pocałował.

- Ale wiesz, że nie chodzi tylko o mnie...

- Faith? - domyślił się. - Poznaję ją już od kilku tygodni i nareszcie mogę sobie pogratulować pomysłu. Mogłem się zbliżyć

do ciebie, tylko zdobywając jej serce. Twoja córka jest wspaniała. Chcę, żeby była też moja.

- Jak to? - Liz zamarła, przestraszona.

- Chcę, żebyś się zgodziła, abym ją zaadoptował.

- Co? - Liz mogła się spodziewać wielu rzeczy po Jonasie, ale z pewnością nie oczekiwała takiego obrotu spraw. - Ale ona jest...

- Twoja? - wpadł jej w słowo. - Teraz będzie nasza. Musisz nauczyć się dzielić, Liz. Jeśli chcesz, żeby dalej chodziła do szkoły w Houston, to tam zamieszkamy. A za rok pojawi się jej brat lub siostra, bo ona tak samo potrzebuje rodziny, jak my.

Jonas był gotów ofiarować jej wszystko, o czym marzyła. Miała to przed sobą na wyciągnięcie ręki. Lecz Liz wciąż bała się wykonać ten gest.

- Ona nie jest twoim dzieckiem - przypomniała mu stanowczo. - Potrafisz wychowywać córkę innego mężczyzny?

- Ona jest twoim dzieckiem. Sama mi to powiedziałaś. A teraz będzie też moja - oznajmił, całując dłonie Liz. - Tak jak ty.

- Jonas, czy ty wiesz, co robisz? Bierzesz sobie żonę, która musi zaczynać życie od nowa i dużą dziewczynkę jako córkę. Komplikujesz sobie życie.

- Tak i prawdopodobnie je ratuję.

Liz też się tak czuła, jakby odzyskała na nowo radość życia. Po raz pierwszy żadne chmury nie wisały nad jej przyszłością. Zamknęła oczy i głęboko westchnęła.

- Prawdopodobnie. Proszę, bądź pewien. Bo jeśli się zgodzę i zaryzykuję, a ty się rozmyślisz, znienawidzę cię do końca życia.

- Jeszcze w tym tygodniu odwiedzimy moich rodziców w Lancaster i wypełnimy odpowiednie dokumenty. Papiery adopcyjne leżą gotowe w moim biurze. Już niedługo ty, Faith i ja będziemy nosić to samo nazwisko.

Liz otworzyła oczy i spojrzała na Jonasa. Wiedziała, że jest wspaniały, cierpliwy, silny i pełen pasji. Chciała powierzyć mu swój los. Jej kochanek wrócił, jej córka była przy niej i nic nie wydawało się już niemożliwe.

- Już w chwili, gdy cię ujrzałam, wiedziałam, że zawsze dostajesz to, czego pragniesz.

- Miałaś rację-zaśmiał się cicho i unióś jej dłonie do ust. -
Co powiemy Faith?

- Cóż, będziemy musieli przyznać, że w końcu mnie przekonałeś - szepnęła Liz.

NORA ROBERTS

Niezwykły dar

ROZDZIAŁ 1

Spodziewał się kryształowej kuli, pentagramów i paru listków herbaty. Nie zdziwiłyby go płonące świece i kadzidło. Jako producent filmów dokumentalnych dla telewizji publicznej, Dawid zajmował się tematami trudnymi, które przed realizacją wymagały zebrania gruntownej dokumentacji naukowej. Był fanatykiem rzetelnej informacji, zatrudniał najwybitniejszych fachowców i osobiście nad wszystkim czuwał. Praca, praca i jeszcze raz praca. Dlatego gdy wybierał się tego popołudnia do wróżki, liczył na coś nowego i odświeżającego, a zarazem zabawnego. Ot, taka odskocznia od nawału scenariuszy, rozpisywania kadrów i biedzenia się nad kosztorysami.

Kobieta, która otworzyła drzwi komfortowego podmiejskiego domu w Newport Beach, w jego ocenie bardziej pasowała do stolika brydżowego niż do kryształowej kuli. Nie pachniała piżmem, tylko całkiem zwyczajnie bzem i sypkim pudrem, nie roztaczała wokół siebie tajemniczej aury. Czyżby była gospodynią albo damą do towarzystwa słynnego medium?

Podejrzenia Dawida w mig zostały rozwiane.

- Witam - uśmiechnęła się, wyciągając drobną, ładną dłoń.
- Jestem Clarissa DeBasse. Proszę do środka, panie Brady. Przybywa pan w samą porę.

- Dzień dobry pani. - Dawid ujął jej rękę, przyjmując do wiadomości, że osoba zajmująca się paranormalnymi zjawiskami wygląda i zachowuje się zwyczajnie. - Dziękuję, że

zechciała się pani ze mną spotkać. Tylko skąd pani wiedziała, kim jestem?

Gdy splotły się ich dłonie, odniósł dziwne wrażenie, jakby „coś” - bo tylko tak mógł to określić - spłynęło z niego na nią.

Ona zaś uznała, że może mu zaufać i zdać się na niego. Wystarczyło jej to na razie.

- Och, przeczucie... - Uśmiechnęła się lekko. - Jednak coś do powiedzenia miała również zwykła logika, jako że miał się pan zjawić o wpół do drugiej. - Gdyby nie zadzwoniła jej agentka i nie przypomniała o spotkaniu, Clarissa nadal oddawałaby się relaksującej pracy w ogrodzie. - Oczywiście mógłby pan dźwigać w tej teczce jakieś próbki i foldery reklamowe, a jednak czuję, że są to papiery i kontrakty. Teraz zaś jestem pewna, że po podróży z Los Angeles chętnie napije się pan kawy.

- Znów pani trafiła - Wszedł do przytulnego saloniku z miłymi dla oka niebieskimi zasłonami i rozłożystą, wyraźnie zapadniętą pośrodku sofą.

- Proszę spocząć. Kawa jest gorąca.

Uznając sofę za niepewną, Dawid wybrał fotel i czekał, aż Clarissa usiądzie naprzeciwko niego i naleje kawę. Ocena sytuacji i wyciągnięcie wniosków zajęły mu tylko chwilę. Należał do ludzi, dla których ważne jest pierwsze wrażenie. Kiedy podawała śmietankę i cukier, pomyślał, że przypomina powieściową „ukochaną ciotkę”. Była okrągła, ale nie pulchna, schludna i nad wyraz zadbana, ale nie drętwa. Miała delikatną,

ładną twarz, zadziwiająco gładką jak na kobietę po pięćdziesiątce, do tego dobrze obcięte i modnie uczesane popielatoblond włosy bez śladu siwizny. Clarissa DeBasse ma prawo folgować swojej próżności, pomyślał. Gdy podawała mu filiżankę, odnotował na jej palcach prawdziwą kolekcję pierścionków. Przynajmniej to jedno zgadzało się z obiegowym wizerunkiem wróżki.

- Dziękuję pani. A swoją drogą muszę przyznać, że spodziewałem się spotkać kogoś całkiem innego.

- Jak rozumiem, powinnam była pana przywitać z kryształową kulą w ręku i z krukiem na ramieniu? - Z uśmiechem usiadła w fotelu.

- Coś w tym rodzaju. - Upił łyżeczek. Napój, poza tym, że był gorący, w niczym nie przypominał kawy. - W ostatnim czasie sporo o pani czytałem. Obejrzałem też kasetę z pani udziałem w programie Barrow Show. Jest pani inna przed kamerą.

- To tylko show - biznes, który ma swoje specyficzne wymagania, lecz gdy im się podporządkować, osiąga się zyski zupełnie niewspółmierne do włożonej pracy - powiedziała tak beztrąsko, że gdyby nie przyjazne spojrzenie, mógłby ją posądzić o sarkazm. - Ale może przejdziemy do rzeczy? Wprawdzie z zasady nie rozmawiam o interesach, bo mam od tego agentów, a nawet jeśli, to nigdy nie robię tego w domu, ponieważ jednak odniosłam wrażenie, że naprawdę zależy panu na spotkaniu ze mną, uznałam, że tu będziemy się czuli swobodniej. - Znowu się

uśmiechnęła, ukazując lekkie dołeczki w policzkach. -
Rozczarowałam pana.

- Ależ skąd. Panno DeBasse...

- Clarisso. - Przesiała mu tak promienny uśmiech, że odwzajemnił się takim samym.

- Clarisso, będą z panią szczerzy.

- Tak jest zawsze najlepiej - powiedziała z powagą.

- Oczywiście... - Przez chwilę bijąca z jej oczu dziecięca łatwowierność i ufność zbiły go z tropu. Jeżeli jest ostrą, chciwą na pieniądze cwaniarą, maskuje się idealnie. - Należę do gatunku niepoprawnych realistów. Nie obcuję z parapsychologią, jasnowidztwem, telepatią i temu podobnymi. .. rzeczami. Program o parapsychologii postanowiłem zrobić głównie ze względu na jej widowiskowy walor.

- Nie musi się pan usprawiedliwiać. - Gdy uniosła rękę, na jej kolana wskoczył wielki czarny kot. Pogłaskała go. - Bo widzi pan, Dawidzie, kiedy ktoś przez lata zajmuje się takimi „rzeczami”, to doskonale rozumie nie tylko ludzi, którzy fascynują się nimi, ale również tych, którzy mają wobec nich zasadnicze obiekcje. Jedni popadają w euforię, drudzy nieraz posuwają się do niewybrednych kpin, a ja podchodzę do tego ze spokojem i robię swoje. Nie wdaję się w wielkie spory, nie jestem bowiem naukową wyrocznią w tych sprawach. Ja tylko otrzymałam dar, za który jestem odpowiedzialna.

- Odpowiedzialna?

- Dawidzie, czy nigdy nie doświadczył pan żadnego zjawiska parapsychologicznego?

Sięgnął do kieszeni po papierosa i zapalił.

- Nie.

- Nie? - Niewielu ludzi zaprzeczyłoby aż tak kategorycznie.

- Nigdy? Choćby wrażenia déjà vu?

Zawahał się chwilę, czując, że go to wciąga.

- Sądzę, że nie ma osoby, której choć raz by się nie zdawało, że wcześniej gdzieś była czy coś robiła. Mam na myśli jakies ledwo uchwytnie, niesprecyzowane sygnały.

- Być może. A więc intuicja... - zaczęła.

- Uważa pani intuicję za parapsychologiczny dar? - przerwał jej ze zdumieniem.

- Och, tak. - Pojaśniała na twarzy, a jej oczy zapłonęły młodzieńczym zapalem. - Wszyscy się z nim rodzimy, lecz decydujące znaczenie ma to, jak rozwiniemy ten dar, jak go ukierunkujemy, jednym słowem, jaki zrobimy z niego użytek. Niestety większość ludzi wykorzystuje zaledwie ułamek tego, co ma, a w ich umysłach kłębią się całkiem inne sprawy.

- Zapytam więc wprost: czy właśnie przecucie doprowadziło panią do Matthew van Campa?

Jakby jakaś zasłona przykryła jej oczy.

- Nie.

I znów stała się zagadkowa. A przecież sprawa van Campa uczyniła ją sławną, dlatego był pewien, że chętnie o tym

porozmawia. Stało się jednak inaczej, bo gdy tylko wymienił to nazwisko, Clarissa natychmiast zamknęła się w sobie. Dawid wypuścił dym i zobaczył, że kot, mimo że na pozór znudzony i rozleniwiony, uważnie go obserwuje.

- Clarisso, sprawa van Campów miała miejsce dziesięć lat temu, a mimo to wciąż pozostaje jednym z pani najgłośniejszych i najbardziej kontrowersyjnych sukcesów.

- To prawda. Obecnie Matthew ma dwadzieścia lat. To bardzo przystojny młody człowiek.

- Niektórzy są przekonani, że gdyby pani van Camp nie zmusiła męża i policji, by poprosić panią o pomoc, chłopiec by nie żył.

- Inni zaś są głęboko przekonani, że cała sprawa została zmontowana dla rozgłosu - powiedziała spokojnie między jednym i drugim łykiem kawy. - Kolejny film Alice van Camp odniósł wielki sukces kasowy. Widział go pan? Był wspaniały.

Nie należał do ludzi, którzy dają się łatwo zbić z tropu.

- Clarisso, jeśli zgodzi się pani na udział w tym filmie, chciałbym, żeby opowiedziała pani o sprawie van Campów.

Skrzywiła się lekko.

- Nie wiem, czy będę mogła panu w tym pomóc, Dawidzie. Dla van Campów to było niezwykle traumatyczne przeżycie. Wyciąganie tego wszystkiego po latach może się okazać dla nich zbyt bolesne.

Nie zaszedłby tak daleko i nie osiągnął sukcesu bez

umiejętność negocjacji. Wiedział, jak i kiedy to robić.

- A jeśli van Campowie wyrażą zgodę?

- Och, to całkowicie zmieni postać rzeczy. Musi pan wiedzieć, Dawidzie, że podziwiam pańską pracę. Oglądałam pana dokument o maltretowanych i wykorzystywanych dzieciach. Był bardzo przygnębiający, a jednocześnie nie można się było od niego oderwać.

- O to chodziło.

- Rozumiem... - Wiele mogłaby opowiedzieć o okrucieństwie tego świata, nie sądziła jednak, by jej gość, na obecnym etapie znajomości, był w stanie zrozumieć, skąd o tym wie i jak sobie z tym poradziła. - Czego pan oczekuje po tym filmie?

- Dobrego widowiska, które zapewni dużą oglądalność. - Gdy się uśmiechnęła, wiedział z całą pewnością, iż słusznie zrobił, nie próbując jej oszukać. - A zarazem takiego, które da ludziom do myślenia i podważy pewne stereotypy.

- Uda się panu?

- Czy nam się uda... Jestem odpowiedzialny za to, by scenariusz był na odpowiednim poziomie, by zdjęcia wykonano właściwie, by zrobiono dobry montaż, i tak dalej. Natomiast to, czy widzów zafascynuje oraz zmusi do myślenia końcowy efekt, w ogromnej mierze będzie zależeć od pani.

Odpowiedź nie tylko była stosowna, ale także prawdziwa.

- Polubiłam pana, Dawidzie. Chętnie panu pomogę.

- Miło mi to słyszeć. Zechce pani rzucić okiem na kontrakt i...

- Nie. - Przerwała mu, gdy sięgnął po teczkę. - Takie rzeczy pozostawiam mojemu agentowi, niech on się głowi.

- Świetnie. - Wygodniej będzie negocjować i ustalać warunki z fachowcem, pomyślał. - Więc kto prowadzi pani sprawy?

- Agencja Fields w Los Angeles.

Znów go zaskoczyła. Sprawy sympatycznej damy o wyglądzie ciotki prowadziła jedna z najbardziej wpływowych i prestiżowych agencji na wybrzeżu.

- Jeszcze tego popołudnia prześlę im dokumenty. Praca z panią, Clarisso, będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością.

- Czy mogę obejrzeć pańską dłoń?

Był pewien, że zdołał ją rozgryźć i niejako podporządkować sobie, a oto znów mu się wymykała. Wyciągnął rękę.

- Czy to będzie wyprawa w głąb oceanu?

Nie roześmiała się ani nie obraziła. Jednak nie jego dłoń ją interesowała. Patrzyła na Dawida oczami, które nagle stały się chłodne i uważne. Ujrzała mężczyznę tuż po trzydziestce, atrakcyjnego na swój posępny sposób. Miał wyrazistą, stanowczą twarz, gęste brwi, równie ciemne jak włosy, i zadziwiająco łagodne, spokojne oczy. Albo też ich zimna, blada zieleń tylko sprawiała takie wrażenie. Wysmukły, wysportowany... Z całą pewnością przyciągał uwagę kobiet.

Inteligentny przystojniak, człowiek sukcesu, jeszcze młody, ale już w pełni dojrzały. Do takich wzdychają zarówno nastolatki, jak i ich matki.

Lecz nie to interesowało Clarissę. Ona zobaczyła coś więcej.

- Dawidzie, jest pan bardzo silnym mężczyzną, zarówno pod względem fizycznym, emocjonalnym, jak i intelektualnym.

- Dziękuję.

- Och, to nie pochlebstwo. Jeszcze nie posiadałeś umiejętności, która by ci pozwoliła opanowywać i łagodzić tę siłę w relacjach z ludźmi. Myślę, że właśnie z tego powodu dotąd się nie ożeniłeś.

Choć starał się zachować dystans, wreszcie naprawdę go zaintrygowała. Skąd wiedziała, że jest kawalerem? Prawda, przecież nie nosił obrączki...

- Standardowa odpowiedź jest taka, że jeszcze nie spotkałem odpowiedniej kobiety.

- Zgadza się. Musi pan spotkać kogoś równie silnego. I stanie się to szybciej, niż pan przypuszcza. Trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość, a przede wszystkim, i to dotyczy obojga, w ową łagodność, o której przed chwilą mówiłam.

- A więc wkrótce spotkam odpowiednią kobietę, ożenię się z nią i będziemy żyli długo i szczęśliwie?

- Nigdy nie przepowiadam przyszłości. - Jej twarz znów stała się pogodna. - A z ręki czytam tylko tym ludziom, którzy mnie interesują. Czy mam powiedzieć, co mówi moja intuicja,

Dawidzie?

- Proszę.

- Że nasze stosunki będą interesujące i długotrwałe. -
Zanim puściła jego dłoń, poklepała ją. - Z góry się na to cieszę.

- Ja również. - Wstał. - Zobaczymy się wkrótce, Clarisso.

- Tak. Oczywiście. - Strąciła kota na podłogę i także wstała.

- Zmykaj, Mordred*.

- Mordred? - powtórzył Dawid, podczas kiedy kot skoczył i
umościł się na zapadniętej sofie.

- To taka smutna postać z pięknej legendy — wyjaśniła
Clarissa. - Na pewno zawarł jakiś podejrzany pakt z... losem. W
końcu przed przeznaczeniem nie ma ucieczki, prawda?

Po raz drugi Dawid poczuł na sobie jej trzeźwe, a zarazem
dziwnie bliskie, wręcz intymne spojrzenie.

- Tak sędzę - mruknął i poszedł za nią do drzwi.

- Miło mi się z panem gawędziło, Dawidzie. Proszę jeszcze
kiedyś do mnie zajrzeć.

Wyszedł na ciepłe wiosenne powietrze, zastanawiając się,
skąd bierze się jego pewność, że jeszcze nieraz tu przyjdzie.

- Oczywiście, że jest świetnym producentem, Abe. Tylko
nie jestem pewna, czy będzie odpowiedni dla Clarissy.

A. J. Fields przemierzała swój gabinet długim, płynnym
krokiem, którym zawsze maskowała nadmiar niecierplivej
energii. Zatrzymała się, żeby wyrównać lekko przekrzywiony

*Mordred (też: Modred) - siostrzeniec króla Artura, rycerz Okrągłego Stołu, który okazał się zdrajcą.
(Przyp. tłum.)

obraz, po czym zwróciła się do swojego współpracownika. Abe Ebbitt siedział w fotelu i swoim zwyczajem podtrzymywał rękami okrągły brzuch. Nie zadał sobie trudu, żeby poprawić okulary, które spadały mu na nos. Cierpliwie obserwował A. J., by wreszcie podrapać się w jedną z dwóch kępek włosów sterczących po bokach głowy.

- A. J., to bardzo korzystna propozycja.

- Ona nie potrzebuje pieniędzy.

Na takie dictum krew agenta zawrzała, choć tego nie okazał, i nadal mówił spokojnym głosem:

- A rozgłos?

- Czy o taki rozgłos jej chodzi?

- Jesteś nadmiernie opiekuńcza wobec Clarissy, A. J.

- Taka moja rola - skontrowała. Nagle przystanąła i usiadła na brzegu biurka. Na widok jej ściągniętych brwi Abe zamilkł, bo gdy A. J. była w takim nastroju, jakakolwiek dyskusja nie miała sensu. Szanował ją i podziwiał. Był to jeden z powodów, dla których on, hollywoodzki weteran w tej branży, pracował dla Agencji Fields, zamiast kombinować na własny rachunek. Był na tyle stary, że mógłby być jej ojcem, wiedział również, że dziesięć lat temu ich role byłyby odwrotne. Na szczęście fakt, że pracuje dla niej, nie psuł mu humoru. Mawiał, że to żaden wstyd być podwładnym i służyć najlepszemu, gdy samemu jest się najlepszym. Minęła minuta, później druga.

- Uparła się, że to zrobi - mruknęła A. J., na co Abe również

nic nie powiedział. - A ja... - Mam przeczucie, pomyślała. Nie znosiła wypowiadać tego zdania. - Mam tylko nadzieję, że się nie myli. Nieodpowiedni producent, nieodpowiednia formuła, a pozwoli zrobić z siebie idiotkę. Nie dopuszczę do tego, Abe.

- Nie doceniasz Clarissy. Poza tym chyba nie muszę ci przypominać, że nie należy mieszać emocji z biznesem, prawda A. J.?

- Tak, wiem. - To dlatego była najlepsza. Założyła ręce i powtórzyła w duchu tę żelazną zasadę. Bardzo wcześnie nauczyła się poskramiać emocje. Musiała, bo od tego zależał jej byt. Gdy dorastasz w domu, w którym owdowiała matka często zapomina o tak prozaicznych sprawach jak spłata długu hipotecznego, szybko się uczysz i twardo dbasz o interesy albo idziesz na dno. Została agentką, ponieważ lubiła pertraktować, podobały jej się też te wszystkie machinacje. A przede wszystkim dlatego, że była w tym cholernie dobra. Wspaniały widok na Los Angeles z okien jej biura na terenie ekskluzywnego kompleksu Century City dowodził, jak bardzo jest dobra. Nie trzeba jednak być geniuszem w tym fachu, by wiedzieć, że nie należy zawierać transakcji na ślepo.

- Decyzję podejmę po spotkaniu z Bradym. Abe uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Ile jeszcze od niego zażadasz?

- Myślę, że jakieś dziesięć procent. - Sięgnęła po ołówek i zaczęła nim stukać w dłoń. - Ale najpierw chcę wiedzieć, jak

Brady widzi ten film i co chce w nim wyeksponować.

- Mówią, że to twardy facet.

- To samo mówią o mnie - odparła, uśmiechając się złowieszczo.

- Mamie widzę jego szanse. - Abe wstał. - Mam spotkanie. Daj znać, jak ci poszło.

- Jasne.

Dawid Brady. Fakt, że cenila jego pracę, mógłby oczywiście wpłynąć na jej decyzję. Przecież w odpowiednim czasie i za odpowiednie wynagrodzenie mogłaby namówić klienta do zagrania herbaty w torebce w trzydziestosekundowej lokalnej reklamie.

Ale nie pannę DeBasse. Była moją pierwszą, a przez jakiś czas jedyną klientką, pomyślała A. J. Tak, pierwsze lata miała nad wyraz chude. Nawet jeśli, jak mówi Abe, traktowała Clarisę nadopiekuńczo, to miała do tego prawo. Dawid Brady może być wziętym i cenionym producentem filmów dokumentalnych, ale ona i tak go dokładnie sprawdzi, nim dojdzie do podpisania kontraktu.

Bywało w przeszłości, że A. J. sama była sprawdzana i musiała pokazywać się z najlepszej strony. Nie zaczynała kariery w ekskluzywnym biurówcu, otoczona kilkunastoosobowym zespołem współpracowników. Dziesięć lat temu zabiegała o klientów i walczyła o umowy w biurze, które składało się z telefonicznej budki w najbliższym barze. Skłamała, gdy

zapytano ją o wiek, tylko bowiem szaleniec mógłby powierzyć osiemnastolatce swoją karierę. A jednak panna DeBasse, choć wcale nie była szalona, zaufała jej.

Ale cóż, Clarissa była inna niż inni ludzie z show - biznesu. Żyła po swojemu, wyborów dokonywała w sposób spontaniczny, kierując się intuicją, nie zaś chłodną logiką i kalkulacją. Nie rozdzielała włosa na czworo, nie zastanawiała się ani nad swym powołaniem, ani nad tym, co zdobyła dzięki swej pracy. To A. J. zajmowała się szczegółami i użerała o wszystko.

Przywykła do tego. Matka była ciepłą i wspaniałomyślną kobietą, ale drobiazgi nigdy nie zaprzętały jej głowy. Już jako dziecko A. J. musiała pamiętać o terminach płacenia bieżących rachunków i innych należności. Gdyby nie ona, domowy budżet szybko ległby w gruzach, co dla dziecka było ogromnym obciążeniem, a musiała jeszcze pamiętać o nauce.

Przy tym matka nie była ani osobą głupią, ani też nie zaniedbywała swojej córki. W domu panowała miłość, był czas na rozmowy i rozwijanie zainteresowań. Nastąpiła jednak dziwna zamiana miejsc. To matka domagała się przygarnięcia zwierzątka, które przybłąkało się do domu, a córka martwiła się, jak je wykarmić.

Ale skoro jej matka postępowała inaczej niż inne matki, czy nie było czymś naturalnym, że A. J. tak bardzo różniła się od swoich rówieśnic? To pytanie pojawiało się często. Przeznaczenia nie da się oszukać. Śmiejąc się w duchu, A. J.

podniosła się zza biurka. Pomyślała, że Clarissa byłaby zachwycona takim sformułowaniem.

Zapadła się w rozłożystym fotelu, który dostała od matki. Fotel, w przeciwieństwie do ciężkiego, sterylnego biurka, był zarówno niepraktyczny, jak i nad wyraz ekstrawagancki. Cóż, obity został chabrową skórą, by swą barwą pasował do oczu córki...

A. J. sięgnęła po kontrakt DeBasse. Leżał pośrodku starannie uporządkowanego biurka, na którym nie było fotografii ani kwiatów. Każdy przedmiot służył jednemu celowi, jakim był biznes.

Przed spotkaniem z Dawidem Bradym jak zwykle dokładnie przejrzała kontrakt, analizując każde zdanie, każdy paragraf i każdą alternatywną propozycję. Właśnie robiła ostatnią notatkę, kiedy rozległ się dzwonek.

- Słucham, Diane.

- Przybył pan Brady, A. J.

- Okej. Mamy świeżą kawę?

- Tylko fusy, ale zaraz zaparzę.

- Dobrze. Powiedz Brady'emu, że czekam na niego. Po chwili wszedł do jej gabinetu.

- Witam pana. - Wyciągnęła rękę i uniosła się lekko, ale pozostała za biurkiem, zaznaczając w ten sposób swoją dominującą pozycję. Poza tym dzięki temu łatwiej mogła mu się przyjrzeć i z grubsza ocenić. Wyglądał bardziej na aktora niż

producenta. Surowa męska uroda, koci chód... Bez trudu mogłaby go sprzedać do serialu o cynicznym detektywie, który już nie wierzy w sprawiedliwość, a mimo to przeciwstawia się skorumpowanemu politykom, mógłby też zabłysnąć w pełnometrażowym filmie o samotnym tajemniczym szeryfie walczącym z podłością, kłamstwem i zbrodnią.

On także miał okazję jej się przyjrzeć. Nie spodziewał się, że jest taka młoda. Była atrakcyjna na swój, chciałoby się rzec, zimny i oficjalny sposób. Przyjemnie się na nią patrzyło, ale bez większych emocji. Wydawała się zbyt szczupła, a monotonię eleganckiego kostiumu tylko w niewielkim stopniu burzyła czerwona jak wóz strażacki bluzka. Jasnoblond włosy, uczesane z wyszukaną niedbałością, puszyste i zmierzwione wokół uszu, ścięte z tyłu, dotykały kołnierza. Współgrały z miodową cerą muśniętą przez słońce. Twarz miała owalną, a usta może trochę zbyt szerokie. Intensywnie niebieskie oczy, podkreślone dyskretnymi cieniami, spoglądały zza dużych okularów. Uścisnęli sobie ręce jak ludzie biznesu.

- Proszę, niech pan usiądzie. Może kawy?

- Nie, dziękuję. - Poczekał, aż A. J. zajmie miejsce za biurkiem. Położyła ręce na kontrakcie. Żadnych pierścionków, żadnych bransoletek, zauważył. Tylko wążutki czarny paseczek zegarka. - Zdaje się, że mamy sporo wspólnych znajomych. Aż dziw, że jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy.

- Tak pan uważa? - Poczęstowała go skąpym, niezo-

bowiąującym uśmiechem. - Cóż, jako agent wolę trzymać się na uboczu. Wiem, że spotkał się pan z Clarissa DeBasse.

- Oczywiście. - A więc najpierw trochę grzecznie sobie pogwarzyśmy, skonstatował. - Jest czarująca. Muszę przyznać, że spodziewałem się kogoś bardziej ekscentrycznego.

A. J. nie zdołała powstrzymać spontanicznego, szerokiego uśmiechu... i już nie wydawała się Dawidowi taka zimna i oficjalna. Ale zaraz odpędził tę myśl. Przecież przyszedł tu służbowo.

- Clarissa nigdy nie przystaje do oczekiwań innych ludzi. Pański projekt wydaje się interesujący, panie Brady, ale brzmi zbyt ogólnikowo. Chciałabym usłyszeć, co konkretnie zamierza pan zrealizować.

- To ma być film dokumentalny o zdolnościach paranormalnych, z uwzględnieniem jasnowidztwa, parapsychologii, percepcji pozazmysłowej, chiromancji, telepatii i spirytyzmu.

- Seanse i domy nawiedzane przez duchy, panie Brady? - spytała z ledwo wyczuwalną dezaprobatą.

- Jak na kogoś, kto reprezentuje osobę znaną z mediumicznych zdolności, mówi pani nad wyraz cynicznie.

- Moja klientka nie rozmawia z duchami ani nie wróży z fusów - stanowczo stwierdziła A. J. - Pani DeBasse wielokrotnie udowodniła, że jest osobą o nadzwyczajnej wrażliwości. Nigdy nie utrzymywała, że ma nadprzyrodzone zdolności.

- Nadnaturalne.

- Widzę, że odrobił pan lekcję. Tak, „nadmaturalne” to właściwy termin. Clarissa nie uznaje przesady.

- Dlatego właśnie chcę, żeby wystąpiła w moim programie.

Wyczuła z tonu jego głosu, że niezwykle osobiście traktuje swoją pracę. Tym lepiej, uznała, bo za nic nie będzie chciał wyjść na durnia.

- Słucham pana.

- Rozmawiałem z mediami, chiromantami, ludźmi estrady, naukowcami, parapsychologami i Cyganami. Nawet pani sobie nie wyobraża, jak dziwne postaci spotyka się wśród nich.

- Nie wątpię - odparła nie bez szczypty ironii. Zauważył to, ale puścił mimo uszu.

- Od szarlatanów, którzy żerują na ludzkiej naiwności, do poważnych naukowców pracujących na renomowanych uczelniach lub we wzbudzających zaufanie fundacjach i innych instytucjach. Wszyscy wspominali Clarissę.

- Panna DeBasse jest osobą wielkoduszną i chętnie dzieli się swoją wiedzą i doświadczeniem. - Znowy wyłowił nutkę dezaprobaty. - Zwłaszcza w dziedzinie badań i testów.

- Chcę zaprezentować jej możliwości, zadać pytania. Publiczność będzie mogła zadawać swoje. W pięciu godzinnych odcinkach chciałbym zmieścić wszystko, od chłodnych omówień i komentarzy po karty tarota.

Nerwowym ruchem, który, jak sądziła, już dawno zwalczyła, zabębniła palcami po biurku.

- A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Clarissy DeBasse?

- Clarissa ma nazwisko. Uwiarygodniła siebie, jednoznacznie dowodząc, że jest obdarzona nadzwyczajnym wyczuciem i wrażliwością. Mam na myśli sprawę van Campów.

A. J. złapała ołówek i zaczęła przeplatać go między palcami.

- To zdarzyło się przed dziesięciu laty - stwierdziła sucho.

- Dziecko hollywoodzkiej gwiazdy zostało porwane, zażądano pół miliona dolarów okupu. Matka rozpacza, a policja jest bezradna. Po trzydziestu sześciu godzinach, podczas których rodzina rozpaczliwie próbuje zgromadzić gotówkę, nadal nic nie wiadomo. Pomimo sprzeciwu ojca matka dzwoni do przyjaciółki, która sporządziła jej astrologiczny horoskop i od czasu do czasu czyta jej z ręki. Przyjaciółka przybywa, przez godzinę w milczeniu dotyka rzeczy porwanego dziecka, i wreszcie podaje policji opis porywaczy oraz lokalizację domu, w którym chłopiec jest więziony. Ze szczegółami opisała też pomieszczenie, gdzie go trzymano. Dziecko zostało uratowane. - Dawid zapalił papierosa. - Upływ czasu nic nie ujmuje takiemu wydarzeniu, pani Fields. Widzowie będą tak samo zafascynowani, jak miało to miejsce przed dziesięciu laty.

Dlaczego tak bardzo się zdenerwowała? Głupia, nieprofesjonalna reakcja... A. J. w milczeniu poczekała, aż minie jej złość, aż wreszcie powiedziała:

- Jednak wielu ludzi uważa, że za sprawą van Campów

kryje się oszustwo. Wygrzebywanie tego wzbudzi kolejną falę krytyki.

- Ludzie z pozycją Clarissy stale są narażeni na krytykę.

Ujrzał błysk gniewu w jej oczach.

- Być może, ale nie zamierzam jej tego fundować, namawiając na podpisanie tego kontraktu. Nie chcę też, żeby moja klientka uczestniczyła w oglądanym przez miliony widzów procesie.

- Hola, hola! Chwileczkę! - zareagował z dobrze przemyślaną gwałtownością. Musiał wzmocnić swoją negocjacyjną pozycję, zaznaczyć, że też jest twardy. — Ilekroć Clarissa występuje publicznie, zawsze jest osądzana, a jeśli jej umiejętności i nadzwyczajny dar nie wytrzymują konfrontacji przed kamerami i załamują się pod wpływem dociekliwych pytań, niech przestanie robić to, co robi. Sądzę, że jako jej agentka powinna pani mocniej wierzyć w jej kompetencje.

- Nie pańska rzecz, co powinnam, a czego nie! - Zamierzając wyrzucić go razem z jego kontraktem, A. J. zaczęła się podnosić, kiedy zadzwonił telefon. Klnąc pod nosem, sięgnęła po słuchawkę. - Nie łącz mnie z nikim, Dianę. Nie... och. - A. J. zmieniła wyraz twarzy i zebrała się w sobie. - Tak, daj mi ją.

- Przepraszam, kochanie, że zawracam ci głowę w pracy.

- Nie przejmuj się. Mam teraz spotkanie, więc...

- Och tak, wiem. - Spokojny, przepraszający głos Clarissy działał kojąco. - Z tym miłym panem Bradym.

- To zależy od punktu widzenia.

- Czułam, że za pierwszym razem nie przypadniecie sobie do gustu. - Clarissa westchnęła i pogłaskała kota. - Sporo myślałam o tym kontrakcie. - Nie wspomniała o śnie, bo A. J. i tak chciałaby tego słuchać. - Postanowiłam go bezzwłocznie podpisać. Tak, tak, wiem, co chcesz powiedzieć - ciągnęła, zanim A. J. zdążyła wtrącić słowo. - Jesteś agentem, więc oczywiście, że zajmiesz się tymi wszystkimi paragrafami i zrobisz to, co dla mnie najlepsze, ale wiedz, że zamierzam wziąć udział w tym programie.

A. J. знаła ten ton. Clarissa miała przecucie. A o przecuciach Clarissy nigdy się nie dyskutuje.

- Musimy o tym porozmawiać.

- Oczywiście, kochanie, wszystko, co chcesz. Ty i Dawid uporacie się z detalami. Jesteś w tym taka dobra. Zdaję się na ciebie we wszystkim, ale chcę podpisać ten kontrakt.

Z uwagi na obecność Dawida A. J. nie mogła kopnięciem w biurko zareagować na porażkę.

- W porządku. Pamiętaj jednak, że również ja mam swoje przecucia.

- Oczywiście, że tak. Przyjdź dzisiaj na kolację.

A. J. mimowolnie się uśmiechnęła. Ot i cała Clarissa, gdy tylko uzna, że musi załagodzić sytuację, zaraz zaczyna karmić. Szkoda tylko, że tak strasznie gotuje.

- Nie mogę. Mam służbowe spotkanie.

- To przyjdź jutro.

- Zgoda. Więc do zobaczenia.

Po odłożeniu słuchawki A. J. wzięła głęboki oddech i ponownie zwróciła się do Dawida.

- Przepraszam, ale to była ważna rozmowa.

- Nie ma problemu.

- Ponieważ umowa nic nie mówi o sprawie van Campów, włączenie jej do programu będzie zależeć wyłącznie od panny DeBasse.

- Oczywiście, już z nią o tym rozmawiałem.

A. J. ugryzła się w język. Doprawdy, niezwykła przeklinać podczas negocjacji.

- Rozumiem. Nie została też określona pozycja panny DeBasse w filmie. To wymaga jasnego ustalenia.

- Jestem pewny, że dojdziemy do porozumienia. - A więc zamierza podpisać, pomyślał, wysłuchując następnych uwag A. J. Przed telefonem miała go ochotę wyrzucić. Poznał to po jej oczach. Powstrzymał triumfalny uśmiech, gdy negocjowali kolejny szczegół. Nie był jasnowidzem, ale założyłby się, że po drugiej stronie telefonu była Clarissa DeBasse. A. J. Fields została powstrzymana w samą porę.

- Zlecę przeredagowanie naszej umowy i jutro ją pani otrzyma.

Wszyscy się spieszą, pomyślała i wygodnie rozsiadła się w fotelu.

- Myślę, że zrobimy interes, panie Brady, oczywiście o ile dojdziemy do porozumienia w jeszcze jednej ważnej sprawie.

- Mianowicie?

- Chodzi o wynagrodzenie panny DeBasse. - A. J. odsunęła umowę i poprawiła okulary. - Otóż mówiąc wprost, umowa opiewa na znacznie mniejszą kwotę, niż panna DeBasse z uwagi na zajmowaną pozycję zwykła otrzymywać. Proponuję czterdzieści procent więcej.

Dawid, co oczywiste, sporo zaniżył proponowaną kwotę, ale był pewien, że sprawa honorarium wypłynie wcześniej, co dawałoby mu lepszą pozycję. Agent, który zbyt szybko zaczyna rozmawiać o wynagrodzeniu, a więc i o swoim bonusie, niejako z góry oddaje pole w innych kwestiach. No cóż, A. J. Fields nie zaszła tak wysoko dzięki pięknym oczom, była twarda i absolutnie profesjonalna.

- Jak pani wie, jesteśmy telewizją publiczną i nasz budżet nie może konkurować z telewizją komercyjną. Jako producent mogę jedynie zaproponować dodatkowych pięć procent.

- Pięć to za mało. - A. J. zsunęła okulary, które zawisły na łańcuszku. Bez nich jej oczy wydały się większe i bardziej nasycone w kolorze. - Wiem, jak działa telewizja publiczna, panie Brady, wiem też, jakie macie dotacje. - Uśmiechnęła się czarująco. - Trzydzieści pięć procent.

Chce dostać dwadzieścia, akurat tyle, na ile pozwala jego budżet. A więc pobawią się jeszcze chwilę.

- Stawka, jaką proponujemy pani DeBasse, jest już i tak najwyższa z możliwych.

- Panie Brady, argument, że nie stać pana na pannę DeBasse, to żaden argument, tylko koniec negocjacji - stwierdziła z lekkim zniecierpliwieniem i dyskretnie zerknęła na zegarek.

Ostro pogrywa... ostro i skutecznie, pomyślał. Wiedział, że to bluff, bo A. J. z pewnością otrzymała polecenie, by kontrakt doszedł do skutku, ale gdyby teraz zerwali rozmowy, czekałaby spokojnie, aż powtórnie się do niej zgłosi, bo na pewno zdawała sobie sprawę, jak bardzo zależy mu na tym programie. A podczas następnych negocjacji, na które A. J. łaskawie się zgodzi, stałby się bardziej petentem niż pełnoprawną stroną...

- Siedem procent - powiedział.

- Chce pan zrobić ten program, ponieważ Clarissa DeBasse przyciągnie dumy. Znam się na wskaźnikach oglądalności. Trzydzieści trzy procent.

- Dziesięć.

- Trzydzieści.

- Piętnaście.

- Dwadzieścia pięć.

- Dwadzieścia.

- Załatwione. - A. J. podniosła się zza biurka. Gdyby nie mieszane uczucia co do słuszności udziału Clarissy w programie, czułaby się w pełni usatysfakcjonowana. - Oczekuję więc

poprawionej wersji kontraktu.

- Jutro po południu prześlę go przez gońca. A ten telefon. ..

- Urwał i wstał. - Gdyby nie on, nie doszlibyśmy do porozumienia, prawda?

Cholera, jest za bystry, pomyślała ze złością.

- Owszem. Ma pan rację.

- Proszę podziękować Clarissie w moim imieniu. - Z denerwującym uśmiechem wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Do widzenia, panie... - Kiedy podali sobie dłonie, nagle odebrało jej głos. Poczowała słabość, zabrakło jej tchu, tak silne bowiem były doznania, które wstrząsnęły jej ciałem. Pożądanie i lęk, furia i błogość przetoczyły się przez nią. Wściekła, że dopuściła do siebie te wszystkie emocje, powoli dochodziła do siebie.

- Proszę pani? Źle się pani czuje? Proszę usiąść.

- Co? - Zbierała się z trudem. - Nie, nic mi nie jest, to chwilowe - stwierdziła półprzytomnie. - Za dużo kawy, za mało snu. - I trzymaj się ode mnie z daleka, myślała rozpaczliwie. - Cieszę się, że zawarliśmy tę transakcję. Przekażę wszystko mojej klientce. Wróciły jej kolory i trzeźwy wzrok.

- Proszę usiąść - na wszelki wypadek powiedział Dawid.

- Przepraszam, ale...

- Proszę usiąść, do licha. - Wziął ją za łokieć i posadził siłą.

- Drżą pani ręce. - Przykucnął przy niej. - Radzę odwołać służbową kolację i porządnie się wyspać.

Byle tylko mnie nie dotknął, pomyślała w popłochu.

- Doprawdy, nie ma powodu do niepokoju.

- Zwykle niepokoję się, gdy kobieta mdleje i osuwa się u moich stóp - stwierdził z sarkazmem i dość gwałtownie poruszył jej twarzą, jakby cucił nieprzytomną.

- Dość tego! - rzuciła ostro. - Za daleko pan się posuwa.

Jej skóra była taka delikatna... ale co mu do tego?

- Źle oceniła pani moje intencje. To taki leczniczy zabieg, chodzi o to, by więcej krwi dopłynęło do mózgu. A tak dla pełnej jasności, niewątpliwie jest pani atrakcyjną kobietą, ale proszę wybaczyć szczerłość, kompletnie nie w moim typie.

Spojrzała lodowato.

- Chwała Bogu.

Obraziła się, a to dobre, naprawdę się obraziła! A czego oczekiwała, że wyskoczy z jakimiś niewczesnymi komplementami? Albo, co gorsza, zacznie ją uwodzić?

Chciało mu się śmiać... i poznać smak tej niepokojącej, niezwyklej kobiety.

- A więc i w tej sprawie doszliśmy do porozumienia - mruknął. - To dobrze, nie ma jak uzgodnione stanowiska... Radzę odstawić kawę - dodał jeszcze i wyszedł z gabinetu.

A. J. podciągnęła kolana i przycisnęła do nich twarz. Co teraz będzie? - zapytywała siebie, próbując zwinąć się w kłębek.

ROZDZIAŁ 2

A. J. oparła się pokusie, by zjeść sandwicza. Jeśli będzie dostatecznie głodna, być może zdoła się przemóc i przełknie to, co Clarissa poda na kolację.

Z otwartym oknem w dachu, wbita w fotel, próbowała rozkoszować się trwającą czterdzieści minut jazdą z biura do Newport Beach. Obok niej leżała płaska skórzana teczka, a w niej kontrakt, który dostarczyło biuro Dawida Brady'ego. Nie istniał żaden istotny powód, dla którego nie miałyby zaakceptować umowy, a jej klientka odmówić współpracy z Bradym. Jedynym kontrargumentem były jej dziwne odczucia.

Wmawiała sobie, że wczorajszy incydent wynikł z przepracowania. Zrobiło jej się słabo, ponieważ za szybko wstała, to wszystko. Nie poczuła nic do Dawida Brady'ego, absolutnie nic.

A jednak...

Przez następnych dziesięć kilometrów obrzucała się wyzwiskami, co pomogło jej wrócić do jakiejś takiej równowagi.

Nie wolno jej okazać ani krzty złego humoru, bo przed Clarissa DeBasse nic się nie ukryje. Rozmawiając o warunkach kontraktu i o Dawidzie Bradym, musi być w pełni opanowana i profesjonalna, inaczej Clarissa wychwyci wszystko niczym radar.

Przez następnych dziesięć kilometrów zastanawiała się, czy nie zatrzymać się przy budce telefonicznej i nie odwołać

spotkania.

Rozluźnij się, wyobraź sobie, że jesteś w swoim mieszkaniu i robisz powolne, kojące ćwiczenia jogi. Pomogło, a gdy zelżało napięcie mięśni, włączyła radio. Po jakimś czasie wreszcie zajechała przed uroczy podmiejski dom, który pomogła wybrać Clarissie.

Zawsze przyjeżdżała tu z radością i cudownie się czuła. Otoczona trawnikiem willa z ładnymi białymi okiennicami świetnie pasowała do Clarissy. Wprawdzie dzięki sukcesowi, jakie odniosły jej książki, i wysokim honorariom za publiczne wystąpienia, mogłaby sobie pozwolić na rezydencję w Beverly Hills, ale nic tak nie pasowałoby do niej, jak ta śliczna wiejska posiadłość.

A. J. popchnęła drzwi, które rzadko kiedy były zamknięte.

- Hop, hop! Jestem groźnym bandziorem, który zamierza ukraść twoją biżuterię. Nie zechciałabyś mi pomóc?

- Och, znów zapomniałam przekręcić zamek. - Clarissa wynurzyła się z kuchni. Była niezwykle zaaferowana. Wytarła ręce w poplamiony fartuch. Żar kuchenki zaróżowił jej policzki, powitalny uśmiech gościł na ustach.

Jak zwykle uścisnęły się serdecznie. A. J. próbowała dyskretnie wywęszyć, jaka tortura pichci się w kuchni.

- Pieczeń rzymska - poinformowała Clarissa. - Dostałam nowy przepis.

- Och. - A. J. uśmiechnęła się z trudem, dobrze pamiętała

bowiem smak ostatniej pieczeni. - Wyglądasz fantastycznie. Mogłabym przysiąc, że wpadasz co tydzień do Los Angeles i fundujesz sobie seans kosmetyczny u Elisabeth Arden.

- To zbyt wielki kłopot. Poza tym od samego myślenia o tych wszystkich maseczkach, masażach i innych torturach wiotczeje skóra i robią się zmarszczki. Powinnaś o tym pamiętać.

- Czyżbym wyglądała jak stara wiedźma? - A. J. rzuciła teczkę na stół i zdjęła buty.

- Skądże, choć widzę, że coś cię trapi.

- Nie mogę się doczekać kolacji - obłudnie odparła A. J. - Na lunch zdążyłam zjeść tylko pół sandwicza.

- No właśnie, wiecznie ci powtarzam, że odżywasz się niewłaściwie. Chodź do kuchni. Zaraz wszystko dojdzie.

Zadowolona, że odwróciła uwagę Clarissy, A. J. ruszyła za nią.

- Więc co cię trapi?

- Masz ci los - mruknęła A. J., gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Otwórz, proszę. - Clarissa zerknęła na kuchnię. - Muszę dopilnować brukselki.

Brukselka? - w panice pomyślała A. J. Nic nie będzie jej darowane...

Kiedy otwierała drzwi, twarz nadal miała skrzywioną.

- Czyżby mój widok tak panią przeraził? Zdumiona patrzyła

na Dawida.

- Co pan tu robi?

- Będę jadł kolację. - Nie czekając na zaproszenie, podszedł bliżej i stanął obok niej w otwartych drzwiach. - Jaka pani wysoka. Nawet na bosaka.

Przepuszczając go, A. J. trzasnęła drzwiami.

- Clarissa nie wspomniała, że ma to być służbowa kolacja.

- Sądzę, że traktuje ją towarzysko. - Nadal nie wiedział, dlaczego jeszcze nie wybił sobie z głowy nadzwyczaj zasadniczej i profesjonalnej panny Fields. - Może podejmiemy do tego w ten sposób, A. J.?

- Pewnie masz rację, Dawidzie. Mam nadzieję, że lubisz ryzyko - stwierdziła grobowym głosem.

- Nie rozumiem.

- Będzie rzymska pieczeń. - Wzięła od niego butelkę szampana i sprawdziła etykietkę. - To powinno pomóc. A może zjadłeś duży lunch?

W jej oczach pojawił się uroczy, niezwykle pociągający chochlik.

- Do czego zmierzasz? Poklepała go po ramieniu.

- Szczęśliwi, którzy nie znają dnia ani godziny - rzekła uroczystym tonem. - Ciesz się spokojną chwilą, która poprzedza nieuniknioną zagładę... Usiądź, a ja przygotuję drinka.

- Auroro...

- Tak? - odpowiedziała., zanim ugryzła się w język.

- Aurora? - powtórzył Dawid. - Więc to kryje się za literą A?
Kiedy odwróciła się w jego stronę, miała złe błyski w oczach.

- Jeśli ktokolwiek z moich znajomych czy kontrahentów tak mnie nazwie, będę wiedziała, komu to zawdzięczam. Zapłacisz za to. Z trudem ukrył uśmiech.

- O niczym nie wiem, niczego nie słyszałem.

- Auroro, czy to był... - Clarissa stanęła w drzwiach i rozpromieniła się. - Tak, to Dawid. Cudownie. - Przyjrzała się im w skupieniu. Aura wokół nich była wyraźna i bardzo świetlista. - Tak, naprawdę cudownie - powtórzyła. - Tak się cieszę, że pan przyszedł.

- Dziękuję za zaproszenie. - Dawid podszedł do niej i na powitanie pocałował w rękę. Clarissa spłonęła rumieńcem.

- O, szampan. Otworzymy go po podpisaniu kontraktu. - Dostrzegła kątem oka naburmuszoną minę A. J. - Kochanie, nalej sobie i Dawidowi drinka. Muszę wracać do kuchni.

A. J. pomyślała o kontrakcie i o swoich obiekcjach. Postanowiła jednak machnąć na to ręką. Clarissa i tak zrobi, co zechce.

- Ręczę za wódkę, bo sama ją kupiłam.

- Poproszę z lodem. A. J. podeszła do szafki.

- Pamiętała o łodzie - powiedziała zdumiona, otwierając mosiężne wiaderko.

- Jak widzę, świetnie znasz Clarissę.

- Jest moją klientką, ale zarazem kimś znacznie więcej, Dawidzie. Stąd moja troska o ten program.

Gdy napelniła kieliszki, podszedł do niej, i dopiero wtedy poczuł, jak cudownie pachnie. Zastanawiał się, czy skrapia się tak lekko, żeby przyciągać mężczyzn, czy żeby blokować im drogę?

- Myślałem, że wszystko już uzgodniliśmy. Masz jeszcze jakieś zastrzeżenia?

- Nie do samego kontraktu. Zresztą tego nie uda ująć się w paragrafy.

- Tak?

- Clarissa bywa zbyt szczerą, zbyt otwartą, przez co zdarza się, że niektórzy ludzie nią manipulują - stwierdziła otwarcie.

- Uważasz, że powinnaś ją chronić przede mną? A. J. wysączyła łyżeczek.

- Nie wykluczam tego.

- Lubię ją. - Nagle wyciągnął rękę i owinął lok A. J. wokół palca, po czym natychmiast się wycofał. - Jest wyjątkowo miła.

Zaczął przechadzać się po pokoju. Co się z nim, do cholery, dzieje? Ma współpracować z A. J., a nie uwodzić jej. To był całkiem nieprofesjonalny, a przez to niewybaczalny gest. Najgorsze, że zrodził się spontanicznie, bez udziału jego woli.

Odczekała chwilę, dopóki nie nabrała pewności, że jej głos zabrzmiał spokojnie i rzeczowo.

- Miło mi to słyszeć, ale wiem, że na pierwszym miejscu

stawiasz film. Chcesz mieć dobre widowisko i zrobisz wszystko, by to osiągnąć.

- To prawda. - Problem w tym, że A. J. nie wygląda dzisiaj tak zasadniczo i jak spod igły, pomyślał. Bluzka w kolorze maków wabiła jedwabistą miękkością, do tego bose stopy i zmierzwione przez wiatr włosy. Ale i tak nie była w jego typie. - Nie sądzę jednak, bym zasłużył na reputację szefa, który wykorzystuje ludzi i bezwzględnie zmierza do celu. Robię swoje, A. J., i oczekuję tego samego od innych, to wszystko.

- Całkiem słusznie. - Dopięła drinka. - A moim zadaniem jest chronić Clarissę.

- Nie widzę problemu.

- No, wreszcie wszystko gotowe. - Clarissa ujrzała, że jej gości dzieli cała szerokość pokoju. Wyczuła napięcie, zakłopotanie i nieufność. Między dwojgiem upartych i dominujących ludzi to normalne, pomyślała. Ciekawe tylko, ile zajmie im czasu uznanie i zaakceptowanie faktu, że czują do siebie pociąg. - Mam nadzieję, że jesteście głodni.

- Jak wiesz, niewiele jadam, natomiast Dawid przyznał się, że kona z głodu i marzy o podwójnej porcji - stwierdziła A. J. z niewinnym uśmiechem.

- Szkoda, że taki z ciebie niejadek, kochanie, ale cudownie, że trafił mi się prawdziwy głodomór. - Rozpromieniona spojrzała na Dawida, a potem ruszyła do stołu, gdzie paliły się dwie świece, a na kredensie kolejnych sześć. A. J. uznała, że

romantyczne oświetlenie zdecydowanie poprawia wygląd rzymskiej pieczeni. - Aurora przyniosła wino, więc pewnie będzie wyśmienite. Nalej, Dawidzie, a ja wam nałożę.

- Wygląda wspaniale - powiedział, zastanawiając się, dlaczego A. J. tłumi śmiech.

- Dziękuję. Pochodzisz z Kalifornii, Dawidzie? - zapytała Clarissa, podając półmisek A. J.

- Nie, ze stanu Waszyngton. - Nalał Clarissie kieliszek beaujolais.

- Piękny region. - Nałożyła A. J. porcję kartofli puree. - Ale taki zimny.

Do dziś z nostalgią wspominał długie, wietrzne zimy.

- Bez trudu zaaklimatyzowałem się w Los Angeles.

- A ja pochodzę ze Wschodu. Przyjechałam tu z mężem prawie trzydzieści lat temu. Gdy nadchodzi jesień, nadal ogarnia mnie smutek za Vermontem. Auroro, nie nałożyłaś sobie jarzyn.

Dołożyła na talerz trochę brukselki, mając nadzieję, że jakoś ją przełknie.

- Mogłabyś w tym roku odbyć podróż pełną wspomnień - powiedziała. Jeden kęs pieczeni wystarczył aż nadto. Sięgnęła po wino.

- Mam taki zamiar. Masz jakąś rodzinę, Dawidzie?

Właśnie doświadczył pierwszych wrażeń związanych z kulinarnymi umiejętnościami Clarissy i nie mógł się pozbierać. Czyżby zamiast u kucharza praktykowała u szewca, dlatego

zamiast pieczeni wyszła podeszwa?

- Słucham?

- Masz jakąś rodzinę?

- Tak. - Zerknął na A. J. i zobaczył ten sam kpiący uśmiech.

- Dwóch braci i siostrę.

- Też pochodzę z licznej rodziny. Miło wspominać dzieciństwo. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała dłoń A. J. - A nasza Aurora jest jedynaczką.

- I mimo to równie miło jak wy wspominać dzieciństwo. - Patrząc, jak Dawid rozpaczliwie walczy z górą rozpaćkanych kartofli i potężnym kawałem pieczeni, poczuła lekki wyrzut sumienia... i zachichotała w duchu.

- Co sprawiło, że zająłeś się dokumentem, Dawidzie?

- Zawsze fascynowała mnie mała forma. - Sięgnął po sól i obficie posypał jedzenie. - Ważne jest również to, że w filmie dokumentalnym fabuła jest dana z góry, wynika bowiem z życiowej prawdy, natomiast ode mnie zależy sposób narracji. Moją rolą jest pokazać rzeczywistość w taki sposób, by widz zainteresował się tym, co przedtem zafrapowało mnie.

- Nie mam uprzedzeń wobec telewizji. Inaczej miałbyś trudności z podpisaniem umowy z moją najważniejszą klientką.

- Może jeszcze trochę pieczeni? - zapytała Clarissa.

- Nie przelknę już ani kęsa. - A. J. uśmiechnęła się do Dawida. - Ale Dawid na pewno nie odmówi.

Nie odmówił, bo nim zdążył otworzyć usta, na jego talerzu

wylądowała następna, szczęśliwie dużo mniejsza porcja. Uznał, że im szybciej ją pochłonie, tym tortura trwać będzie krócej. Złorzeczając w duchu A. J., ostro zabrał się do dzieła, natomiast panie w tym czasie miło sobie gawędziły.

Wreszcie skończył.

- Nie ma to jak domowa kuchnia. Clarisso, wspaniale pani gotuje. - Starając się ukryć niewysłowioną ulgę, szybko wstał od stołu.

- Tylko pozmywam i zaraz wracam - stwierdziła Clarissa. - To mnie relaksuje. Auroro, mogłabyś w tym czasie pokazać Dawidowi moją kolekcję?

- Oczywiście. - A. J. dłonią, w której trzymała kieliszek, skinęła na Dawida, by udał się za nią. - Clarissa nie każdemu pokazuje swoją kolekcję. Mieści się w baszcie.

Pomyślał, że pewnie chodziło o dziwaczną wieżę, która przylegała do budynku.

- Czuję się zaszczycony. - Kiedy ruszyli wąskim korytarzem, wziął ją za łokieć. - Jak rozumiem, zależy ci, bym ograniczył kontakt z Clarissa wyłącznie do spraw zawodowych.

Wolałaby, żeby trzymał się sto kilometrów od Clarissy. I dwa razy tyle od niej.

- Sama wybiera sobie przyjaciół.

- A ty dbasz o to, żeby jej nie wykorzystywali.

- Właśnie. - Otworzyła drzwi i zapaliła światło.

W pokoju wisiały grube kotary i z zewnątrz nie sposób było

tu zajrzeć.

Od razu zobaczył wielką kryształową kulę. Podeszedł do wysokiego, zwieńczonego kuliście stojaka, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Szkło było gładkie i bez skazy, a odbijało tylko malutki skrawek leżącej pod nią materii. Karty do tarota - oczywiście stare i mocno sfatygowane - wystawione były w zamkniętej gablocie. Przy bliższym oglądzie stwierdził, że są ręcznie malowane. Na półkach znajdowało się mnóstwo eksponatów, między innymi przedmioty związane z kultem wudu i telekinezą. Stała tam również świeca w kształcie szczupłej kobiety, która wznosiła ramiona ku niebu.

Na stole z wyrzeźbionymi pentagramami leżała ouija*. Wzdłuż jednej ściany zgromadzono przeróżne maski - ceramiczne, drewniane, a nawet z papier mache. Były też różdżki i wahadełka. W przeszklonej szafce stały piramidy różnej wielkości, a obok indiańska grzechotka, niezwykle delikatna i bardzo wysłużona, a także działające uspokajająco sznury koralików z gagatu i ametystu, które ludzie, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, przesuwają w palcach.

- Spodziewałeś się więcej? - zapytała A. J.
- Nie. - Wziął szklaną kulę w dłoń.
- Kolekcjonerstwo to hobby Clarissy.
- Nie używa tych magicznych akcesoriów?
- Jedynie w ramach hobby. To zaczęło się dawno temu.

*Ouija - plansza z alfabetem i różnymi symbolami oraz przesuwaną deseczką, służąca do odczytywania znaków i poleceń duchów podczas seansów spirytystycznych. (Przyp. tłum.)

Jedna z jej przyjaciółek kupiła te karty do tarota w londyńskim antykwariacie i ofiarowała je Clarissie. Taki był początek kolekcji.

- Nie aprobujesz tego? A. J. wzruszyła ramionami.
- Nie aprobowałabym, gdyby traktowała to poważnie.
- Nigdy sama nie próbowałaś? - wskazał na tabliczkę ouija.
- Nie.

Kłamie. Co z tego, że nie miał na to żadnych dowodów? Po prostu był pewien.

- Nie wierzysz w białą i czarną magię?
- Wierzę w Clarissę.
- Nigdy cię nie kusilo, żeby wypatrzyła w kuli twoją przyszłość? Albo przyszłość świata?
- Clarissa nie potrzebuje kuli i nie przepowiada przyszłości. Popatrzył na przezroczyście szkło.
- To dziwne, myślałem, że skoro umie robić jedno, potrafi również i to.
- Nie powiedziałam, że nie potrafi, tylko że tego nie robi.
- Dlaczego?
- Clarissa wierzy w przeznaczenie, uważa też, że można w nie ingerować, ale za żadne skarby nie zgadza się przepowiadać przyszłości.
- Ale mówisz, że mogłaby.
- Tak, ale nie robi tego. To jest jej wybór. Traktuje swój dar odpowiedzialnie. Prędzej wyparłaby go ze swojego życia, niż

nadużyłaby go czy niewłaściwie wykorzystywała.

- Wyparła? - Odłożył kulę. - Chcesz powiedzieć, że ona... że osoba, która została obdarzona zdolnościami parapsychologicznymi, może na własne życzenie je stłumić? Zablokować energię? Wyłączyć ją?

- W dużej mierze tak. Taka osoba funkcjonuje na zasadzie zbiornika, a zrazem przekaźnika. To, ile przyjmie, a potem przekaże, zależy tylko od niej.

- Dużo o tym wiesz.

Jest szybki i ostry, przypomniała sobie.

- Dużo wiem o Clarissie. Gdy będziecie robić ten program, też poznasz sporo z tego, co cię interesuje.

Popatrzył na nią uważnie, po czym wyjął z jej ręki kieliszek i wypił trochę. Wino było ciepłe i zdawało się mocniejsze.

- Odnoszę wrażenie, że nie czujesz się dobrze w tym pokoju. A może nie czujesz się dobrze w moim towarzystwie?

- Zdaje się, że twoja intuicja szwankuje. Jeśli chcesz, Clarissa może zaaplikować ci parę ćwiczeń na jej wyostrenie.

- Masz wilgotne dłonie. - Wziął jej rękę i przesunął palce na nadgarstek. - Masz też przyspieszony puls. Żeby się o tym przekonać, nie potrzeba intuicji.

Za wszelką cenę musiała się opanować. Popatrzyła na niego z rozbawieniem, w jej mniemaniu całkiem naturalnym i niewymuszonym.

- To raczej sprawa pieczeni rzymskiej.

- Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, zareagowałaś na mnie bardzo silnie i bardzo dziwnie.

Nie musi jej tego przypominać. Przez niego miała bardzo niespokojną noc.

- Wytłumaczyłam...

- Nie kupiłem tego - przerwał jej. - I teraz też nie kupuję. Coś jednak musi w tym być.

Nauczyła się bronić swoich pozycji. Musiała. Uczyniła więc ostatnią próbę. Odebrała kieliszek i wysączyła go do dna. To był błąd, ponieważ do smaku wina dołączył smak Dawida.

- Nie zapominaj, że nie jestem w twoim typie - powiedziała.

Również ta taktyka okazała się błędna.

- Nie, nie jesteś. - Objął ją za szyję, a następnie wsunął palce w jej włosy. - Ale jakie to ma znaczenie.

Kiedy pochylił się nad nią, mogła wyrwać się i uciec albo demonstracyjnie okazać absolutny brak zainteresowania. Wybrała to drugie. I to był jeszcze jeden błąd.

Umiał uwodzić kobiety. Gdy zniżył wargi do jej ust i lekko ich dotknął, nie przestając pieścić szyi i włosów, A. J. ścisnęła kieliszek, ale nie ruszyła się z miejsca. On zaś koniuszkiem języka muskał jej wargi.

Gdy przymknęła oczy, gdy ciało zaczęło się poddawać, powędrował ustami po jej podbródku. Żadne z nich nie zwróciło uwagi, że kieliszek wysunął się z jej ręki i wylądował na dywanie.

Gdy ponownie przywarł do jej ust, były rozchylone i

spragnione, lecz on nadal działał powoli, ogarnięty nagłą obawą. Spodziewał się oziębłej modliszki, a okazało się, że ma do czynienia z namiętą kobietą, której uległość mogła być niebezpieczna. Potrzebował czasu, żeby to wszystko ogarnąć myślą.

Kiedy się cofnął, oboje byli podekscytowani.

- Może to nie była aż tak dziwna reakcja, Auroro - szepnęła.
- Ani twoja, ani moja.

Jej ciało zarazem płonęło, było lodowate i bardzo słabe, a w głowie czuła zamęt. Mobilizując resztki energii, wyprostowała się.

- Jeżeli mamy dojść do porozumienia i razem pracować...
- Jak najbardziej.
- Nie przerywaj... Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Nie puszczam się z facetami na lewo i na prawo, a tym bardziej z kontrahentami.
- Masz więc ograniczone pole działania... czyż nie tak?
- Nie twoja sprawa - warknęła. - Bywasz wścibski, ale wiedz jedno: nie mieszam życia prywatnego z zawodowym.
- Karkołomny wyczyn jak na to miasto, ale godny podziwu. Zresztą... - Nie mógł się powstrzymać i musnął kosmyk jej włosów. - Nie prosiłem cię, żebyś ze mną spała.
- Mimo wszystko uprzedzam, gdy najdzie cię taka ochota, nie czuj się zdeprecjonowany, gdy zostaniesz odprawiony z kwitkiem. A z całą pewnością zostaniesz.

- Zdeprecjonowany? - Znów wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

Jaka była? Atrakcyjna? Z całą pewnością. Nie piękna, ale na swój sposób efektowna. Jednak zbyt asertywna i stanowcza, a może raczej uparta. No i ten chłód... Ot, baba chłop.

Więc dlaczego wyobrażają sobie nagą i owiniętą wokół niego?

- Jak nazwać to, co jest między nami?

- Animozją - odparła natychmiast - Potężną animozją
Uśmiechnął się szeroko, oczarowując ją bez reszty. Najchętniej by go za to zamordowała.

- Zapewne... ale skąd wzięło się tak silne, choć jak twierdzisz negatywne uczucie, skoro ledwo się poznaliśmy? Przecież aż iskrzy od tej animozji. Przed chwilą widziałem cię ze mną w łóżku. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie Kocham się z każdą napotkaną kobietą. A z tobą chciałbym.

Znowu spoczęły się jej dłonie.

- Czuję się zaszczycona - sarknęła z jawną ironią. - Wprost nie ogarniam mego szczęścia.

- Daj spokój. Mówię, jak jest, bo uważam, że będzie nam się lepiej pracować, gdy będziemy się wzajemnie rozumieć.

- Masz rację. Zapamiętaj więc dobrze, że reprezentuję interesy Clarissy DeBasse. Gdybyś próbował jej zaszkodzić, czy to prywatnie, czy zawodowo, zrównam cię z ziemią. Stracisz pozycję, wypadniesz z branży, nagle okaże się, że nie masz

żadnych przyjaciół i znajomych. - Oboje wiedzieli, że nie były to czcze pogróżki. A. J. cieszyła się opinią jednej z najbardziej wpływowych osób w środowisku, powszechnie też było wiadomo, że niezwykle ostro, a nawet bezwzględnie reagowała, gdy ktoś próbował ją oszukać lub zachował się wobec niej nie fair.

- Nie zamierzam szkodzić Clarissie - powiedział zgodnie z prawdą.

- To dobrze... W takim razie nic nie powinno zakłócić naszej współpracy.

- Czas pokaże.

ROZDZIAŁ 3

Prace ruszyły pełną parą.

Pomysł Dawida, by wywiad z Clarissa DeBasse odbył się u niej, spotkał się z kategorycznym sprzeciwem A. J. Fields. Pani DeBasse ma prawo do prywatności, orzekła. Koniec, kropka. Chcąc nie chcąc, Dawid musiał odtworzyć w studiu przytulną i swojską atmosferę wiejskiej rezydencji Clarissy.

Wywiad miał prowadzić Alex Marshall, weteran dziennikarstwa. Dawidowi zależało, by program poświęcony parapsychologii wypadł możliwie wiarygodnie, i Marshall dzięki swej reputacji nadawał się do tego idealnie.

Teraz czekali tylko na Clarisę. Spóźniała się, co prawda niewiele, ale Dawid i tak pognał do telefonu, żeby zasięgnąć języka i dać nauczkę agentce. Wypadając ze studia, natknął się na pędzącą korytarzem Clarisę.

- Och, Dawidzie, tak mi przykro.

Zatrzymała się i wyciągnęła do niego rękę. Pomyślał, że dzisiaj w niczym nie przypomina dobrodusznej ciotki. Ściągnięte do tyłu włosy przydawały jej ekstrawagancji i odejmowały lat. Srebrny naszyjnik z ametystem zdobił szyję, zręcznie zrobiony makijaż, a także głęboki, intensywny błękit ubrania podkreślały niebieską barwę jej oczu. To nie była ta sama kobieta, u której jadł pieczeń rzymską.

- Clarisso, wygląda pani cudownie!

- Dziękuję. Ledwo zdążyłam się przygotować. Pomyliłam

dni i właśnie pełam petunie, kiedy przyjechała po mnie Aurora.

- Ona tutaj jest?

- Parkuje samochód. - Clarissa popatrzyła za siebie i westchnęła. - Wiem, że jestem dla niej utrapieniem, i to nie od dziś.

- Chyba ona nie odbiera tego w ten sposób.

- To prawda. Aurora jest tak wspaniałomyślna! Swoją opinię zachował dla siebie.

- Czy jest pani gotowa, czy może najpierw wolałaby pani wypić filiżankę kawy albo herbaty?

- Nie, nie. Kiedy pracuję, unikam wszelkich używek. Zaciemniają umysł. - Dłużej zatrzymała na nim wzrok. - Wydajesz się trochę niespokojny, Dawidzie.

Powiedziała to w chwili, gdy obejrzał się za siebie i zobaczył nadchodzącą A. J.

- Na planie zawsze jestem zdenerwowany. - Jak to się stało, że wcześniej nie zauważył jej chodu? Tak szybkiego, płynnego.

- Nie, to nie dlatego - skomentowała Clarissa, poklepując go po ręku. - O, jest i Aurora. Możemy zaczynać?

- Dzień dobry, Dawidzie. Mam nadzieję, że nie zakłóciłyśmy twojego harmonogramu - powiedziała A. J.

- Ani trochę. Wejdźcie, proszę. - Otworzył drzwi. - Clarisso, proszę pozwolić, że przedstawię pani naszego reżysera, Sama Cauldwella. Sam, oto Clarissa DeBasse.

- Bardzo mi miło, panno DeBasse. Przeczytałem pani

książki, żeby nam się lepiej współpracowało.

- Cieszę się. Mam nadzieję, że się panu podobały.

- Nie wiem, czy „podobały” to właściwe określenie. Ale z pewnością dały mi do myślenia.

Następnie przedstawiono Clarissie Aleksa Marshalla. Weteran dziennikarstwa telewizyjnego i powszechnie szanowany prezenter był wysokim, szczupłym i dystyngowanym mężczyzną. Lekko szpakowate włosy ładnie kontrastowały z mocną opalenizną.

- Dobry wybór - skomentowała na boku A. J.

- Twarz, której ufa Ameryka - dodał Dawid.

- O to chodzi. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł palnąć jakieś głupstwo i ośmieszyć Clarissę.

- Dlatego go zatrudniłem. Dzwoniłem do ciebie w tym tygodniu.

- Tak, wiem. - A. J. dostrzegła, że Clarissa śmieje się z czegoś, co powiedział Alex. - Czyżby moja asystentka nie oddzwoniła do ciebie?

- Nie chciałem rozmawiać z asystentką, ale z tobą.

- Och, byłam bardzo zajęta. Świetnie odtworzyłeś salon Clarissy.

- Nie zmieniaj tematu. Unikasz mnie, A. J.

- Jakiś ty domyślny.

- I tak ci się nie uda. - Przejechał palcem wzdłuż poły jej żakietu i po broszce w kształcie półksiężyca.

Przygotowała się na tę chwilę. Tymczasem wcale nie poszło tak łatwo, jak sądziła.

- Jak widzę, nie należysz do mężczyzn, którzy dobrze przyjmują odmowę.

- A ty nie należysz do kobiet, które potrafią udawać brak zainteresowania.

- Niczego nie udaję. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nie jestem zainteresowana.

Zaczął się pierwsze ujęcie. Clarissa i Alex siedzieli na sofie. Rozmawiali o jasnowidztwie, o przewidywaniu zdarzeń, wreszcie o astronomii, którą interesowała się Clarissa. Miała talent do udzielania prostych, zrozumiałych odpowiedzi na długie, złożone zdania, dlatego tak chętnie zapraszano ją na spotkania autorskie. Była nie tylko wybitną specjalistką, ale i świetną popularyzatorką parapsychologii.

Filmowali, robili powtórki, zmieniali ujęcia. Mijały godziny, ale A. J. była zadowolona. Najważniejsza jest jakość.

Teraz Clarissa mówiła o roli kart w testach na percepcję pozazmysłową i na telepatię, o swoim udziale w pracach badawczych w tej dziedzinie prowadzonych przez czołowe placówki naukowe w Stanach i w Anglii. Wyjaśniała trudne sprawy w sposób klarowny i przystępny. Następnie Alex Marshall poprosił ją o zademonstrowanie umiejętności odgadywania kart i czytania z nich. Gdy sięgnął po nietkniętą, zapieczętowaną talię, Clarissa zażartowała, że nigdy nie była

dobra w pokera ani brydza.

Ze środka talii Alex wyciągnął jedną kartę.

- Czy może pani powiedzieć, jaka to karta?

- Nie. - Uśmiechnęła się, gdy reżyser zaczął dawać znak, by przestano nagrywać. - Najpierw musi pan spojrzeć na nią, pomyśleć o niej i utrwalić w swej świadomości jej wygląd - powiedziała spokojnie.

Po krótkiej chwili Alex kiwnął głową na znak, że wykonał jej polecenie.

- Obawiam się, że nie dość mocno pan się skoncentrował, mogę jedynie powiedzieć, że to czarna karta. O, teraz jest lepiej... - Uśmiechnęła się promiennie do Aleksa. - Dziewiątka trefl.

Zanim Alex odwrócił kartę, którą była dziewiątkę trefl, kamera uchwyciła jego zdumioną twarz. Clarissa bezbłędnie odgadła kolejną kartę, ale przy trzeciej skrzywiła się i zatrzymała.

- Próbuje mnie pan zmylić, myśląc o innej karcie niż ta, którą pan trzyma. To zaciemnia obraz, ale dziesiątka pik wyraźnie się wybija.

- Fascynujące - mruknął z podziwem Alex, pokazując dziesiątkę pik. - Naprawdę fascynujące!

- Obawiam się, że to, co robimy, raczej przypomina grę salonową - sprowadziła go na ziemię Clarissa.

- Chce pani powiedzieć, że to tylko trik?

- Osobiście nie stosuję trików, ale zapewniam pana, że dobry magik może zrobić to samo, oczywiście w inny sposób.

- Zaczęła pani swoją karierę od czytania z ręki. - Alex odłożył karty. Nie był już taki pewny siebie.

- To było dawno temu. Cóż, każdy może czytać z ręki, interpretować linie życia, serca, majątku. Dobry podręcznik powie panu, czego szukać i jak to znaleźć. Natomiast osoba specjalnie wyczulona nie tyle czyta z ręki, co odbiera i wchłania odczucia.

Zachwycony, ale wcale nie przekonany Alex wyciągnął dłoń.

- Nie bardzo wiem, w jaki sposób, patrząc na moją rękę, może pani wchłaniać odczucia.

- Przekazuje pan swoje nadzieje, smutki, radości, wszelkie emocje i uczucia. Patrząc na pana rękę, już na pierwszy rzut oka mogę powiedzieć, że ma pan łatwość komunikowania się, a także solidną bazę finansową, tylko że w pana wypadku takie informacje nikogo nie zaskoczą. Jeśli jednak pan pozwoli... - Ujęła jego dłoń. - Mogę jeszcze powiedzieć, że... - Spojrzała na niego ze zdumieniem. - Och.

- Czy już mam się denerwować? - zapytał półżartem.

- Och, nie. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie, ani trochę. Ma pan bardzo silne wibracje, Aleksie.

- Dziękuję. Nic dziwnego.

- Od mniej więcej piętnastu lat jest pan wdowcem. Był pan

bardzo dobrym mężem. - Całkiem się odprężyła. - Jest pan też dobrym ojcem. Ma pan dwoje dzieci.

- Miło mi to słyszeć, ale to żadna nowina - stwierdził z delikatną ironią.

- Pana dzieci... - Clarissa zdawała się nie słyszeć jego komentarza. - Pana dzieci już się ustabilizowały. Nigdy nie miał pan z nimi poważnych problemów, choć przez jakiś czas trochę ścieraliście się z synem, który dość długo szukał swego miejsca w życiu.

Już się nie uśmiechał, tylko wpatrywał się w nią tak intensywnie, jak ona w niego.

- To prawda.

- Jest pan perfekcjonistą, nie tylko w pracy, ale i w życiu prywatnym, przez co pańskiemu synowi nie zawsze było łatwo. Nie mógł sprostać pańskim oczekiwaniom.

Kiedy jednak sam został ojcem, bardzo zbliżyliście się do siebie. Cieszy się pan na myśl o wnukach. Jednocześnie częściej myśli pan o przyszłości... o nieuchronnym końcu własnego życia. Zastanawiam się, czy dobrze pan robi, myśląc o wycofaniu się z zawodu. Jest pan w kwiecie wieku i u szczytu kariery, żyje pan na wysokich obrotach, ma napięte terminy. Gdyby się pan teraz... - zatrzymała się. - Przepraszam. Gdy coś mnie zainteresuje, lubię tak sobie powędrować. I zawsze się boję, czy nie za bardzo się spoufalam.

- Ani trochę - Zamknął dłoń. - Pani DeBasse, jest pani

niezwykła.

- Cięcie! - zawołał Sam Cauldwell. - Za pół godziny chcę mieć playback. Dzięki, Aleksie. Wspaniały początek, pani DeBasse... - Podałby jej rękę, gdyby nie lekka obawa przed wysłaniem złych wibracji. - Była pani rewelacyjna Nie mogę się doczekać dalszego ciągu.

Jak spod ziemi u jej boku wyrosła A. J. Wiedziała, co teraz nastąpi, bo tak działo się zawsze. Jedni zaczną zamięczać Clarissę „czymś zabawnym, co im się przydarzyło” , inni będą ją prosić, żeby powróżyła im z ręki, niektórzy zaczną podkpiwać, jeszcze inni zaleją ją potokiem pytań.

- Zaraz odwiozę cię do domu - stanowczo stwierdziła A. J.

- No wiesz, przecież już to uzgodniłyśmy. - Clarissa rozglądała się bezradnie za swoją torebką. - Nie będziesz mnie odwozić i zaraz potem wracać. Wezmę taksówkę.

- Mamy dla pani kierowcę - poinformował pośpiesznie Dawid, uprzedzając ewentualny sprzeciw A. J. - Nie ma mowy, żeby pani wracała taksówką.

- To bardzo uprzejmie z waszej strony.

- I zupełnie niepotrzebne - sarknęła A. J.

- A może jednak - odezwał się Alex, który zręcznie przedarł się do nich i wziął Clarissę za rękę. - Mam nadzieję, że pani DeBasse pozwoli, bym odwiózł ją do domu... oczywiście po kolacji, na którą serdecznie panią zapraszam.

- Och, wspaniale - zapaliła się Clarissa, nie dopuszczając A.

J. do głosu. - Mam nadzieję, że nie sprawiam panu kłopotu.

- Ale skąd, będę zachwycony.

- Jest pan bardzo miły. Dziękuję, kochanie, za dotrzymanie mi towarzystwa. - Pocałowała A. J. w policzek. - Jak zawsze dodałaś mi otuchy. Dobranoc, Dawidzie.

- Dobranoc, Clarisso, cześć, Alex. - A gdy się oddalili, dodał, nim zdążył pomyśleć: - Jaka ładna z nich para.

- Idiota - zachnęła się A. J. Zatrzymał ją dopiero blisko drzwi studia.

- Co cię ugryzło?

Gdyby zapytał o to samo z uśmiechem, może by się opanowała.

- Chcę przejrzeć ostatnie piętnaście minut nagrania, Brady, i jeśli mi się nie spodoba, usuniesz to.

- Nie przypominam sobie, żeby w kontrakcie była mowa o twoich prawach autorskich, A. J.

- Nie ma tam też nic o tym, że Clarissa będzie czytać z ręki.

- Zgoda. Alex wymyślił to na poczekaniu i wypadło bardzo dobrze. O co ci chodzi?

- Do diabła, byłeś przy tym i wszystko widziałeś. - Szukając ujścia dla złości, omal nie staranowała drzwi.

- Byłem - zgodził się Dawid, próbując ją zatrzymać. - Ale widocznie nie widziałem tego co ty.

- Coś ukryła. Poczula coś, gdy tylko wzięła jego rękę. Kiedy obejrzyysz taśmę, zobaczysz, że przez jakieś pięć, dziesięć sekund

nic nie mówi, tylko patrzy oniemiała.

- Jeśli tak jest, to tylko się cieszyć. Taka chwila doda tajemniczości, więc efekt będzie lepszy. Większa skuteczność. ..

- Wypchaj się ze swoją skutecznością! - Odwróciła się tak szybko, że omal nie wbiła go w mur. - Nie życzę sobie widzieć jej w takiej roli. Jest człowiekiem, osobowością, a nie jakimś sprzętem!

- W porządku. Przestań. Już wystarczy! - Złapał ją znowu, gdy wypadła wyjściowymi drzwiami. - Kiedy Clarissa stąd wychodziła, czuła się dobrze i była w świetnym humorze.

- Nie podoba mi się to wszystko. - A. J. zbiegła jak burza po schodach na parking. - Te parszywe karty! Rzygać mi się chce, gdy widzę, jak sprawdza się ją w taki sposób.

- A. J., dla renomowanych instytucji w całym kraju Clarissa robiła poważniejsze testy z kartami.

- Wiem. I jestem wściekła, że nieustannie musi coś udowadniać. I jeszcze to czytanie z ręki! Musiała coś dostrzec, co ją zaniepokoiło, a ja nawet nie mogę z nią o tym porozmawiać, bo zginęła z tym wielkim, złotoustym reporterem.

- Z Alekssem? - Nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. - Boże, jesteś niesamowita.

Zwolniła kroku, zmrużyła oczy i pobladła z wściekłości.

- Więc to cię śmieszy, tak? Ufna, naiwna kobieta odjeżdża z obcym facetem, a ty się śmiesz? Jeżeli coś jej się stanie...

Dawid wzniósł oczy do nieba.

- Na Boga, A. J., Alex nie jest zboczeńcem, tylko powszechnie szanowanym przedstawicielem mass mediów. A Clarissa jest dorosła i wie, co robi, kiedy umawia się na randkę.

- To nie jest randka.

- Wyglądało, że jest.

A. J. zmełała w ustach przekleństwo, po czym zakręciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę swojego samochodu.

- Daj spokój, zaczekaj. - Złapał ją za ramiona i uwięził między sobą i zaparkowanym autem. - Nie wyobrażaj sobie, że będę cię gonił po całym Los Angeles!

- Wystarczy, że wrócisz do studia i uważnie przyjrzyj się temu ujęciu.

- Nie słucham niczych rozkazów, a już na pewno nie paranoicznej agentki. Skończmy wreszcie z tym. Nie wiem, co cię ugryzło, A. J., ale nie wierzę, że możesz być zdenerwowana tylko dlatego, że twoja klientka dała się zaprosić na kolację.

- Ona nie jest zwykłą klientką! - wrzasnęła A. J. - Jest moją matką.

Po tym oświadczeniu zapadła cisza.

Dawid najpierw osłupiał, a potem zdumiał się, że wcześniej się tego nie domyślił. Ten sam kształt twarzy, te same oczy...

- Niech to diabli...

- Właśnie, niech to diabli - mruknęła. - Tylko uważaj, to nie jest do publicznej wiadomości. Zrozumiałeś?

- Ale dlaczego?

- Dlatego - warknęła.

- W porządku. - Była to ich prywatna sprawa i nie miał tu nic do gadania. - Nie puszczę pary z ust. Cóż, wreszcie rozumiem, dlaczego tak bardzo się w to angażujesz, choć nadal uważam, że za daleko posuwasz swoją troskę.

- Uważaj sobie, co chcesz. - Zaczęło jej dudnić w głowie. - A teraz muszę już jechać.

- Nie. - Zablokował jej drogę. - Można by pomyśleć, że ingerujesz w życie matki, bo nie masz własnego.

Pociemniały jej oczy, pobladła twarz.

- Nie twój interes, Brady - syknęła.

- Nie, ale...

- Ale za wiele sobie pozwalasz. Łączą nas tylko sprawy zawodowe. Jeśli jeszcze raz spróbujesz przekroczyć granice mojej prywatności, gorzko tego pożałujesz. Nie wybaczam wścibstwa i bezczelności.

Ale jęcza! - pomyślał ze złością. Nienawidził, gdy ktoś mu groził. W takich chwilach rodziła się w nim agresja.

- Co, dasz mi prztyczka w nos, maleńka? - zadrwił, i zaraz tego pożałował. To było głupie, nie w jego stylu.

Ale stało się.

A. J. spojrzała na niego ze spokojną wyższością.

- Zachowujesz się jak smarkacz, Brady.

- Masz rację. Przepraszam. Ale gdy mi ktoś grozi, dostaję małego rozumu. Pewnie znasz to uczucie. Gdybyś była

facetem...

- To już dawno leżałbyś z rozbitym łbem - syknęła, i nagle uśmiechnęła się. - Co za miła rozmowa, nie uważasz?

Też się uśmiechnął. Ale to niczego nie zmieniło. Nadal byli wrogami.

- A. J., zrozum, wcale nie zamierzam wtrącać się w twoje życie prywatne, dopóki jednak realizuję ten projekt, interesuję się Clarissa. Zostaw jej trochę swobody, nie zachowuj się jak kokoszka.

Ponieważ zabrzmiało to rozsądnie, A. J. ostro się zaperzyła.

- Nic nie rozumiesz.

- Więc mi wytłumacz.

- A jeśli podczas kolacji Alex Marshall wymusi na niej wywiad?

- A może po prostu zależy mu na miłym wieczorze z interesującą, atrakcyjną kobietą? Powinnaś bardziej ufać Clarissie.

- Nie chcę, żeby ją skrzywdzono.

Miał mnóstwo mądrych i rozsądnych argumentów na poparcie swojego zdania, ale wiedział, że w takiej atmosferze nic nie wskóra.

- Przejdźmy się.

- Co?

- Przejdźmy się. Ty i ja. - Uśmiechnął się do niej. - Tak się składa, że opierasz się o mój samochód.

- Och, przepraszam... Muszę wracać do biura.

- Praca może poczekać do jutra. - Otworzył auto. -
Moglibyśmy pojechać wzdłuż plaży.

Bez dwóch zdań miała ku temu słuszny powód, ale za bardzo się uniosła. Dobrze jej zrobi niewinna rozrywka, pęd powietrza, poczucie swobody. Oczywiście nie powinna tego robić z Dawidem, ale z braku laku...

- Podniesiesz dach?

- Oczywiście.

Podziałało - jazda, powietrze, zapach morza, głośno nastawione radio. Nie odzywał się do niej, nie próbował wciągnąć w rozmowę. A. J. zrobiła coś, na co rzadko pozwala sobie w towarzystwie innych ludzi. Zrelaksowała się.

Kiedy ostatnio, nie licząc się z czasem i bez żadnego celu, jechała wzdłuż wybrzeża? Och, bardzo dawno... albo nigdy. Zamknęła oczy, zapomniała o wszystkim i cieszyła się chwilą.

Kim ona naprawdę jest? - zastanawiał się Dawid. Twardą negocjatorką, zimną egocentryczką czy też opiekuńczą, oddaną córką?

Znał się na ludziach. Bez tego mógłby co najwyżej kręcić amatorskie filmy na użytek domowy. Kiedy ją pocałował, nie stwierdził, żeby była twardą, pewną siebie kobietą, jak tego oczekiwał. Raczej nerwową i uległą, niezbyt pewną siebie... A przecież kreowała się na kogoś całkiem innego. Ciekawe dlaczego?

Słyszał o niej to i owo. Kanciarze i wydrwigrosze, jakich pełno w tej branży, omijali ją szerokim łukiem, natomiast ludzie z poważną pozycją lub stojący u progu prawdziwej kariery zabiegali, by stać się klientami jej agencji. Twarda, profesjonalna, nadzwyczaj bystra, bezwzględnie uczciwa i absolutnie lojalna. Taki monolit. Bywała niebezpieczna, gdy ktoś złamał zasady, przekroczył dopuszczalne granice. Modelowa postać, jakby wykuta z jednej bryły. Postrzegano ją tylko przez pracę, nic nie mówiono o jej życiu prywatnym. W środowisku, gdzie rozwód gonił rozwód, a zdrada zdradę, i gdzie brak plotek na czyjś temat świadczył o śmierci zawodowej, jawiła się jak ktoś nie z tej planety.

A przecież nie była ufoludkiem czy robotem. Była żywą, czującą kobietą, lecz z jakiegoś powodu ukryła się pod pancerzem profesjonalizmu i nie ukazywała swej prawdziwej twarzy światu.

- Głodna?

Rozmarzona A. J. otworzyła oczy i spojrzała na niego. Że też wcześniej tego nie zauważył. To były oczy Clarissy, taki sam kształt, kolor i niezwykły wyraz... przepastna, tajemnicza głębia. A może po matce odziedziczyła również niezwykły paranormalny dar? Szybko oddalił tę myśl.

- Przepraszam - powiedziała półgłosem. - Co mówiłeś? Zamyśliłam się.

- Pytałem, czy nie jesteś głodna.

- Och, tak. Daleko odjechaliśmy?

- Jakieś trzydzieści kilometrów. - Zjechał na pobocze i wskazał na restaurację oraz stoisko z hamburgerami. - Wybieraj.

- Wezmę burgera.

- Uwielbiam tanie randki. A. J. parsknęła.

- To nie jest żadna randka.

- Jak nie randka, to płacisz za siebie - burknął, niby to obrażony.

Roześmiała się beztrosko, zaraźliwie i bardzo kobieco. Nigdy jej takiej nie widział. Mój Boże, pomyślał, jak niewiele trzeba, by spłynęło z niej to całe napięcie. Niewinna przejażdżka, jakiś żarcik...

Doszli do stoiska.

- Dla mnie wielki burger, duża porcję frytek i koktajl czekoladowy - powiedziała.

- Nie przesadzasz?

- Nie doceniasz mnie.

Mimo rześkiego wczesnowiosennego powietrza na mieliźnie chlapało się kilku odważnych pływaków. Wokół pikowały mewy, skrzecząc i rojąc się wokół w oczekiwaniu na poczęstunek. A. J. rzuciła im suty kasek.

- Dokąd idziemy?

- Popatrzeć na morze. - Zeszła na plażę i usiadła na piasku.

- Rzadko bywam na plaży. - Zrzuciła pantofle i wsunęła stopy w piasek. Spódnica powędrowała do połowy ud.

- Ani ja - odparł Dawid, siadając i zastanawiając się, jak te nogi - i cała reszta - wyglądają w bikini.

- Niepotrzebnie mnie prowokowałaś, ale i tak wiem, że zrobiłam niezłą i całkiem niepotrzebną scenę.

- Uznajmy więc, że wina rozkłada się po połowie. - Wyjął z torby hamburgera i podał jej.

- Nie cierpię tego - powiedziała i ugryzła pierwszy kęs. - Nie mam opinii uszczypliwej i kłótlivej agentki, a jedynie twardej. Tylko gdy idzie o Clarissę, przestaję być obiektywna.

Wkręcił papierowe kubki w piasek.

- Obiektywizm bierze w łeb, gdy kogoś kochamy.

- Ona jest taka dobra. Nie chodzi mi o to, czym się zajmuje, ale jaka jest w środku. - A. J. wyjęła z kartonika frytkę i zaczęła ją chrupać. - Dobrych ludzi łatwiej jest zranić. A ona ma tak wielką potrzebę dawania siebie. Gdyby oddała wszystko, co chce oddać, nic by jej nie zostało.

- Więc jesteś po to, żeby ją chronić.

- Zgadza się. - Spojrzała na niego zaczepnie.

- Masz do tego absolutne prawo - powiedział szybko. - Ale chciałbym zrozumieć. Może opowiedziałabyś, jak wyglądało twoje dzieciństwo?

Nigdy z nikim o tym nie rozmawiała. Ale też nigdy nie siedziała na plaży, zjadając hamburgery z kontrahentem. Może więc dzisiaj wszystko miało być po raz pierwszy?

- Była cudowną matką. I nadal jest. Clarissa jest niezwykle

wspaniałomyślna i przepelniają miłość.

- A twój ojciec?

- Umarł, gdy miałam osiem lat. Był handlowcem, więc dużo podróżował, ale dzięki temu zgromadził całkiem spore oszczędności, dlatego po jego śmierci niczego nam nie brakowało. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Problem w tym, że nie były płacone rachunki. Nie, żeby nie było pieniędzy. Po prostu Clarissa zapominała. Podnosiła słuchawkę, a telefon był głuchy, ponieważ mama gdzieś zapodziała rachunek. Więc zaczęłam się nią opiekować.

- Byłaś przecież dzieckiem!

- Nie zastanawiałam się nad tym. - Tym razem uśmiechnęła się szeroko i promiennie. Okazało się, że podobnie jak matka, także ma dołeczki. - Po prostu byłam od niej w tym lepsza. Odkąd zaczęła czytać z ręki i sporządzać horoskopy, nasze życie się zmieniło. Clarissa po prostu rozkwita. Ma potrzebę pomagania ludziom, dawania im otuchy, nadziei. A jednak to był dziwny okres. Mieszkałyśmy w dobrej dzielnicy, do mamy przychodziło mnóstwo ludzi. Byli zafascynowani, ale poza domem rodził się dziwny dystans. Jakby nie do końca byli jej pewni.

- Musiałaś się z tym źle czuć.

- Czasami. Clarissa robiła to, do czego czuła się powołana. Niektórzy nas unikali, ale ona nie zwracała na to uwagi. Stawała się coraz bardziej znana, jej sława sięgała coraz dalej i dzięki

temu zaprzyjaźniła się z van Campami. Miałam wtedy dwanaście lat. Gdy po raz pierwszy w naszym domu pojawiła się gwiazda filmowa, oniemiałam z wrażenia, ale potem przywykłam, bo poznawałam coraz więcej aktorek i aktorów, którzy radzili się Clarissy, zanim przyjęli jakąś rolę. I zawsze mówiła im to samo: że mają polegać na własnych odczuciach. Nigdy nie podejmowała za kogoś decyzji. Ale oni nadal dzwonili i radzili się. A potem porwano małego van Campa. Wtedy prasa dosłownie zaczęła koczować na trawniku, a telefon urywał się. To wówczas postanowiłam, że Clarissa przeprowadzi się do Newport Beach, by mogła żyć w cieniu, nawet kiedy pojawiały się inne sprawy, w które się angażowała.

- Na przykład morderstwa w Ridehour.

A. J. zamilkła, wstała i podeszła bliżej morza. Podążył za nią.

- Przepraszam. Jeśli nie chcesz o tym...

- Nie masz pojęcia, jak cierpiała z tego powodu! - Objęła się rękami. - Chciałam ją powstrzymać, chociaż wiedziałam, że to nic nie da.

Kiedy zamknęła oczy, Dawid położył rękę na jej przedramieniu.

- Dlaczego chciałaś ją powstrzymać, skoro wiedziałaś, że może pomóc?

- Kiedy normalny człowiek styka się z czystym złem i ostatecznym cierpieniem, ogarnia go przerażenie, a zarazem ma

poczucie obcości, odgradza się od czegoś, czego nie rozumie, co jest całkiem nie z jego świata. Oczywiście nienawidzi zbrodniarzy i współczuje ofiarom oraz ich najbliższym, ale cały czas pozostaje w swojej uporządkowanej, dobrej rzeczywistości. Natomiast empatia Clarissy jest absolutna... Potrafisz to pojąć? Utożsamiała się z tymi nieszczęsnymi dziewczynami, przeżywała to, co one przeżyły, nim ogarnęła je śmierć... Boże, tylko tym żyła, od początku, nim jeszcze została poproszona o pomoc. - A. J. otworzyła oczy, po czym odwróciła się w jego stronę. - To samo do niej przyszło. Zbrodnia i cierpienie zawładnęły nią bez reszty. Rozumiesz?

- Niezupełnie... Niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Oczywiście, nie przeżyłeś tego, więc nie rozumiesz. .. W każdym razie poprosili ją o pomoc, a Clarissa natychmiast się zgodziła. Pięć zamordowanych dziewczyn! - Przymknęła oczy. - Nigdy nie powiedziała mi tego wprost, ale wiem, że widziała każdą z nich. Wiem, wiem, nie jesteś w stanie tego pojąć... więc po prostu przyjmij do wiadomości.

- Tak zrobię - mruknął.

- Clarissa traktuje to jako dar, a nie jako genetyczny wybryk... a to wielka różnica. Problem w tym, że ów dar czasami staje się przekleństwem.

- Chciałabyś, żeby z tym skończyła. Wyłączyła się. Czy to możliwe?

A. J. przeczesła palcami rozwiane przez wiatr włosy.

- Oczywiście, ale powiedz to jej! Według niej to jest dar, a nie genetyczna anomalia. Dar nie z tego świata, mówiąc wprost. Więc jak ma go odrzucić?

- Tak...

- Więc nigdy jej nie powiem, by spróbowała się wyciszyć, „wyłączyć się”, jak to ująłeś. Poza tym uznaję i niezwykle cenię jej potrzebę dawania. Tylko, do diabła, muszę mieć pewność, że nie wykorzystują jej niewłaściwi ludzie.

- Właśnie dlatego zostałeś agentką? By chronić matkę?

- Po części tak. A poza tym lubię to, co robię. I jestem w tym dobra. Jest już późno, Dawidzie.

Musnął jej delikatną i nagrzaną przez słońce szyję.

- Też tak uważam. Ale widzisz, nigdy nie dokończyłem tamtego pocałunku, Auroro.

- Tym lepiej.

- Zgadza się, problem jednak w tym, że z niepojętego powodu bardzo chciałbym to zrobić.

- Poczekaj trochę. To minie. Zimny prysznic, zmiana towarzystwa...

- Dlaczego nie mielibyśmy spróbować? - powiedział prowokacyjnie. - Jesteśmy na publicznej plaży, słońce jeszcze nie zaszło, więc na pewno nie posunę się za daleko, ale może przekonamy się, co nas tak wytrąca z równowagi. - Kiedy przyciągnął ją bliżej, zeszywniała. - Boisz się?

- Nie. - Ponieważ była przygotowana, prawie uwierzyła, że

to prawda. Tym razem nie będzie miał nad nią przewagi, uznała stanowczo. Nie pozwoli na to. Podniosła ręce i objęła go za szyję. Gdy się zawahał, sama pocałowała go w usta.

Przysięgłby, że piasek ugiął się pod jego nogami. Miało to być tylko doświadczenie, lecz dotyk jej warg zmienił wszystko. Były gorące i zimne zarazem, słodkie i cierpkie. Pograżył się w pocałunku i pociągnął ją za sobą.

Za szybko - ta myśl zawirowała w jej głowie. Za daleko. Ale jej ciało zignorowało ostrzeżenie. Chciała tego, jak nigdy dotąd w swym życiu.

Pikująca nad ich głowami mewa wrzasnęła przeraźliwie i odfrunęła.

Odskoczyli od siebie. A. J. wiedziała, że powinna odwrócić się bez słowa, lecz on powiedział:

- Pojedź do mnie.

Musiała więc na niego popatrzeć. Pożądanie sprawiło, że pociemniały mu oczy. A ona poczuła... zbyt wiele.

- Nie - rzekła cicho, lecz stanowczo. - Nie chcę tego, Dawidzie.

- Ani ja. - Też nie chciał, by sprawy posunęły się tak daleko.

- Nie sądzę, żeby to mogło coś zmienić.

- I ty, i ja, każde z nas jest swoim panem. - Wiatr zwał do tyłu jej włosy, odsłaniając twarz. - Wiem, czego chcę, a czego nie chcę w moim życiu.

- Życie żąda zmiany. - Dlaczego z nią dyskutuje? Przecież

nie powiedziała nic, z czym by się nie zgadzał.

- Tylko wtedy, gdy na to pozwolimy.

- A gdybym powiedział, że chcę ciebie? Zawirowało jej w głowie, zadudniło w piersi. A jednak zdołała się opanować.

- Odpowiedziałabym, że popełniasz błąd. Miałaś rację, Dawidzie, mówiąc, że nie jestem w twoim typie. Trzymaj się pierwszego wrażenia. Zwykle jest prawdziwe.

- W tym przypadku będę potrzebować więcej danych.

- Rób, jak uważasz - powiedziała obojętnie. - Muszę wracać. Chcę zadzwonić do Clarissy i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Po raz ostatni ujął jej ramię.

- Nie zawsze będziesz mogła się nią zasłaniać, Auroro. Nie pozwolę na to!

Przystanęła i posłała mu spokojne, życzliwe spojrzenie swojej matki.

- Nie zasłaniam się nią, Dawidzie. A twoje słowa nie są twoje. Są złe, bo była w nich groźba. A ty nie jesteś zły, tylko nie rozumiesz - powiedziała półgłosem, po czym odwróciła się i poszła.

ROZDZIAŁ 4

Świecił księżyc. Pachniały hiacynty. Gdzieś z oddali dochodził dźwięk rwącej, spienionej wody. Dąb za oknem kładł się wdzięcznym cieniem na drewnianej podłodze. Obraz na ścianie przyciągał wzrok i przykuwał uwagę. Artyście udało się kilkoma czerwonymi i fioletowymi kreskami oddać siłę, ruch, napięcie o erotycznym podtekście. Było też lustro większe od innych. A. J. zobaczyła w nim swoje odbicie.

Wyglądała mętnie, eterycznie, jak zagubiona. Zdawało się - także za sprawą wszechobecnych cieni - że wystarczy postąpić krok w kierunku lustra, by znaleźć się po jego drugiej stronie. Przeszył ją dreszcz. Było tu coś, co napawało strachem, coś równie mglistego jak jej odbicie w lustrze. Instynkt podpowiadał, że musi stąd wyjść, zanim się dowie, co to takiego. A kiedy się odwróciła, coś zatarasowało jej drogę.

Między nią a drogą ucieczki stał Dawid i mocno trzymał ją za ramiona. Miał pociemniałe i zniecierpliwione oczy. Pożądanie wisiało w powietrzu, aż trudno było oddychać.

- Nie chcę tego!

Powiedziała to, czy tylko pomyślała? Ale usłyszała wyraźną odpowiedź, zwięzłą i stanowczą:

- Nie możesz ciągle uciekać, Auroro. Ani przede mną, ani przed sobą.

A potem znalazła się w mrocznym tunelu, którego miękka wykładzinę zaczynały właśnie lizać płomienie ognia.

A. J. poderwała się na łóżku bez tchu, dygocząc z przerażenia. Nie świecił księżyc, tylko pierwsze promienie słońca wpadały przez okna jej sypialni. To moja sypialnia, powtarzała sobie w duchu, odgarniając z oczu włosy. Nie ma tu żadnych hiacyntów i cieni, żadnego niepokojącego obrazu.

To tylko sen. Ale dlaczego był aż tak realistyczny? Nadal czuła lekki ucisk na ramionach, gdzie spoczywały jego ręce. Pozostał także niepokój, dręczący, niepojęty, bolesny... i słodki.

Na Boga, dlaczego śnił jej się Dawid Brady? Dlaczego właśnie on?

Cóż, od dwóch tygodni absorbował jej myśli, bo razem pracowali nad filmem, bała się o Clarisnę, co też miało związek z Dawidem, a poza tym harowała ponad miarę i była przemęczona. Jedyne wypoczynek, jakiego zażyła w ostatnich miesiącach, to te chwile spędzone z nim na plaży.

A o tym też wolą nie myśleć - ani o tym, co się stało, a raczej prawie się stało, ani o tym, co zostało powiedziane albo pozostało w sferze domysłu.

Wiedziała, że już nie zaśnie. Choć była dopiero szósta rano, odrzuciła kołdrę i wstała. Dwie filizanki mocnej kawy i zimny prysznic postawiają na nogi.

Kuchnia była przestronna i funkcjonalnie urządzona. A. J. żyła nad wyraz praktycznie, a wokół niej nigdy nie pojawiał się bałagan.

Zeszła po dwóch stopniach do części mieszkalnej i podeszła

do sprzętu, który znała najlepiej. Był to ekspres do kawy.

Nastawiła go i poszła do łazienki. Gdy po kwadransie wyszła spod prysznic, zapach kawy - czyli normalności - unosił się w powietrzu. Pierwszy łyk kofeiny, następny... Wracła codzienna rutyna. Nie ma nic głupszego i nieuchwytnego niż senny majak, który wytrąca z równowagi. Połknęła garść witamin, po czym z drugą filiżanką kawy przeszła do sypialni, żeby się ubrać, przebiegając w myślach plan dnia.

Zdecydowała się na kostium z surowego jedwabiu w kolorze niedojrzałej brzoskwini, do tego broszka w kształcie półksiężyca. Kiedy ją przypinała, pomyślała, że podczas snu nie była tak pewna siebie ani tak wyniosła jak w realnym życiu. Uległa, łagodna, bezbronna... Ale to był tylko sen, w prawdziwym świecie zaś nie może sobie pozwolić na słabość. Zdradzić swój słaby punkt, to w tym mieście pełnym drapieżców zawodowa śmierć dla agenta. A co dopiero, gdy jest nim kobieta! Kobieta, pozwalając mężczyźnie dostrzec tę słabość, naraziłaby się na cholerne ryzyko. A. J. Fields nie zamierzała ryzykować.

Obciągnęła żakiet i po raz ostatni przejrzała się w lustrze. Nie minęło dwadzieścia minut, jak otwierała drzwi swojego biura.

Nie po raz pierwszy A. J. zjawiała się przed wszystkimi. Uśmiechnęła się na wspomnienie swoich jakże skromnych początków. Teraz zatrudniała dwie recepcjonistki, sekretarkę i asystenta oraz zespół agentów. Gdy przekreśliła kontakt, światło

padło na mosiężne sprzęty, doniczki i różowe ściany. Dobrze, że zatrudniła dekoratora. Wnętrze miało dyskretną, nierzucającą się w oczy klasę z subtelnymi aluzjami do wysokich kompetencji i możliwości firmy.

Spojrzała na zegarek. Uwzględniając różnicę czasu, mogła jeszcze wykonać parę telefonów na Wschodnie Wybrzeże. Przez pół godziny załatwiła kilka ważnych spraw, rzuciła także okiem na pilotażowy scenariusz jednego z klientów.

Pożytecznie spędzony poranek, stwierdziła. Rozsiadła się wygodnie w fotelu i zsunęła pantofle z nóg. Odpocznie trochę, zanim przejdzie do papierkowej roboty. W tym momencie zadzwonił jej telefon. Następnie usłyszała kroki.

Zerknęła na zegarek, zastanawiając się, kto mógł się zjawić o tak wczesnej porze. Nie знаła w zespole takiego gorliwca, któremu chciałoby się przychodzić pół godziny przed czasem. Kiedy wstała, żeby sprawdzić, kto to taki, kroki ucichły. Może wystarczy po prostu zawołać, pomyślała i w tej chwili przypomniała sobie wszystkie filmy grozy, które widziała. Bohaterka pełna ufności woła, po czym wpada w pułapkę i znajduje się sam na sam z niebezpiecznym maniakiem. A. J. przełknęła ślinę i chwyciła ciężki metalowy przycisk do papieru.

Znowu rozległy się kroki, były coraz bliżej. A. J. cicho przeszła przez gabinet i stanęła za drzwiami. Kroki zatrzymały się po drugiej stronie. Trzymając przycisk, położyła rękę na klamce, wstrzymała oddech, po czym szarpnęła drzwi. Tylko

nadludzki refleks uratował Dawida przed zmiżdżeniem nosa. Zdumiony, chwycił A. J. za nadgarstek.

- Zawsze w ten sposób witasz gości, A. J.?

- Do jasnej cholery! - Uczucie ulgi sprawiło, że przycisk wypadł jej z ręki. - Przestraszyłeś mnie, Brady. Jakim prawem zakradasz się, i to o tak wczesnej porze?

- O to samo mógłbym zapytać ciebie. Po prostu wcześniej wstałem.

Ponieważ trzęsły jej się kolana, musiała usiąść.

- Różnica polega na tym, że to moje biuro. Mogę się tutaj zakradać, kiedy mi się podoba. Po co przyszedłeś?

- Może nie mogłem się obejść bez twojego błyskotliwego towarzystwa?

- Nie chrzań!

- No dobrze, lecę do Nowego Jorku na plenerowe zdjęcia. Będę tam kilka dni, więc chciałbym, żebyś przekazała Clarissie wiadomość. - Kłamał, ale gdy tylko się obudził, wiedział, że przed wyjazdem koniecznie musi zobaczyć A. J. Oczywiście gdyby się do tego przyznał, wyrzuciłaby go na zbity łeb.

- Świetnie. - Wstała i sięgnęła po notatnik. - Chętnie przekażę wiadomość. Ale na przyszłość pamiętaj, że niektórzy ludzie strzelają do takich, którzy zakradają się do firm poza godzinami pracy, a sądy uznają to za działanie w obronie własnej.

- Drzwi były otwarte, a w recepcji nie było nikogo, więc

chciałem sprawdzić, kto tu jest i zostawić ci kartkę.

- Co to za wiadomość, Brady?

Nic jeszcze nie wymyślił. By zyskać na czasie, zaczął oglądać wymuskany pastelowy gabinet.

- Przyjemne miejsce. - Wszystko było starannie poukładane, jak pod sznurek. - Lubisz porządek, prawda?

- Tak. - Niecierpliwie postukała ołówkiem w notatnik. -
Więc co mam przekazać Clarissie?

- Jak ona się ma, skoro już o niej mówimy?

- W porządku.

Zaczął studiować jedyny wiszący na ścianie obraz. Był to spokojny, kojący pejzaż morski.

- Pamiętam, że niepokoiliś się o nią, gdy wybierała się na kolację z Alekssem.

- Spędziła uroczo czas - mruknęła A. J. - Oznajmiła mi, że Alex Marshall jest dżentelmenem w każdym calu i że ma fascynujący umysł.

- To cię niepokoi?

- Clarissa nie spotyka się z mężczyznami. - Czując się idiotycznie, rzuciła notatnik na biurko i podeszła do okna.

- A gdyby chodziła na randki, czy byłoby w tym coś złego?

- Nie, nie, oczywiście. Tylko że...

- Że co, Auroro?

Nie powinna dyskutować o matce, ale tak niewiele osób wiedziało o ich pokrewieństwie, więc nie mogła się po-

wstrzymać.

- Głos jej się zmienia, wpada w euforyczny nastrój, kiedy o nim mówi. Spędzili razem niedzielę, pływali jachtem. Clarissa nigdy dotąd nie postawiła nogi na pokładzie łodzi.

- A więc próbuje czegoś nowego.

- I właśnie tego się boję... Jesteś w stanie wyobrazić sobie własną matkę, która przeżywa pierwsze zauroczenie, czyli wstęp do zakochania?

- Nie. - Pomyślał o statecznym związku swoich rodziców. Matka gotowała obiady i przyszywała ojcu guziki, on zaś wyrzucał śmieci i naprawiał toster. - Nie mogę sobie wyobrazić.

- Więc dowiedz się, że nie jest to zbyt przyjemne. A poza tym, co ja wiem o tym facecie? Och, jest gładki i układny, prawdziwy przyjemniaczek - zakpiła. - Z tego co wiem, był taki gładki i układny wobec połowy kobiet w południowej Kalifornii.

- Jezu, AJ! - Dawid stanął obok niej przy oknie. - Mówisz jak zatroskana i rozgniewana na nastoletnią córkę matka. A przecież Clarissa wspaniale potrafi rozpoznać ludzkie charaktery.

- Nic nie rozumiesz. Emocje mogą zablokować jej zdolności, zwłaszcza gdy w grę wchodzi coś poważnego.

- Jeśli to prawda, może powinnaś przyjrzeć się swoim emocjom. Może część z nich ulokuj gdzie indziej, daj matce trochę luzu i pomyśl o sobie.

- Moje uczucia i emocje zaczynają się i kończą na Clarissie.

- I nigdy nie zastanawiałaś się nad swoimi potrzebami? Emocjonalnymi, fizycznymi?

- Dlaczego na mnie naciskasz? - zapytała. Płonęły jej oczy. Zbyt wyraźnie pamiętała dzisiejszy sen.

- Bo chcę ciebie. - Stał blisko, na tyle blisko, by dotarł do niego jej delikatny i jakże zniewalający zapach. Na tyle blisko, by wyraźnie widzieć w jej oczach podejrzliwość. - Chcę się z tobą kochać, i to długo, w zacisznym miejscu. Kiedy skończymy, może dowiem się, dlaczego we śnie nie przestaję o tobie marzyć.

Suchość w gardle stała się bolesna, a jej dłonie były jak z lodu.

- Już ci mówiłam, nie puszczam się na lewo i prawo.

- To dobrze... - Usłyszał dźwięk otwieranych frontowych drzwi. - Wygląda na to, że zaczyna się dzień pracy. Jeszcze tylko jedna uwaga, A. J. Jestem gotów negocjować wszystko, co zechcesz, ale przede wszystkim będę zmierzać do tego, by spędzić z tobą więcej niż jedną noc. Przemyśl to sobie.

- Spadaj, Brady - syknęła.

- Jak każesz, pani. - Uśmiechnął się.

- Brady.

Odwrócił się z ręką na klamce.

- Tak, Fields?

- Nie zostawiłeś wiadomości dla Clarissy.

- Naprawdę? - Znów się uśmiechnął. - Więc pozdrów ją ode mnie. Do zobaczenia.

Dawid wrócił do hotelu tak późno, że nawet nie wiedział, która jest godzina. Pobyt w Nowym Jorku przeciągnął się do trzech dni. Był szalenie pracowity i owocny. Wizyta w Danjason Institute of Parapsychology zaskoczyła go. Nie przypuszczał, że z taką powagą można traktować nadnaturalne zjawiska. Aż dziw, że tak wielu naukowców zajmuje się telekinezą, czyli wpływaniem na zjawiska fizyczne za pomocą sił psychicznych. Badania i wnioski opracowywano według ściśle naukowych zasad, a wysokiej klasy specjalistyczny sprzęt i świetnie wykształcony, inteligentny personel dawały gwarancję wysokiej wiarygodności.

Kolejny wywiad przeprowadził na Wall Street z trzydziestoletnim maklerem o parapsychologicznych właściwościach. Mężczyzna nie ukrywał, że grając na giełdzie, nieraz wykorzystywał swoje zdolności i że dzięki temu stał się multimilionerem. Twierdził, że jest to taka sama umiejętność jak czytanie, pisanie czy liczenie. Percepcję pozazmysłową uważał za takie samo narzędzie pracy co komputer czy szybki system zdobywania informacji.

Nauka, biznes, osiągnięcie.

Pomyślał o Clarissie. Ona nie rozwodziła się nad skomplikowaną technologią, nie podierała się rachunkiem prawdopodobieństwa, nie dyskutowała o hossie czy bessie. Ona po prostu mówiła, bezpośrednio i wprost. Nieważne, jaka była jej siła...

Pomyślał, że może za bardzo się w to wszystko angażuje. Przecież pojedynczy laboratoryjny eksperyment to kropla w morzu wobec działalności całej masy wróżbitów, pokątnych szarlatanów, którzy żerują na ludzkiej naiwności, niespełnionych marzeniach i tragediach. W filmie dokumentalnym najważniejszy jest obiektywizm i zachowanie właściwych proporcji. Poszczególne sekwencje i obrazy zaczęły się układać w jego wyobraźni w sensowną i spójną całość. Brakowało mu jeszcze czegoś mocnego, dramatycznego. I znowu powrócił myślami do Clarissy. Musi mieć wywiad z Alice van Camp oraz z kimś, kto był bezpośrednio związany z tragedią w Ridehour. A. J. będzie próbowała to storpedować, więc czekała go z nią ostra przeprawa.

Ile razy myślał o niej w ciągu ostatnich trzech dni? Stanowczo za dużo. Ile razy powracał do tamtych paru chwil na plaży? Zbyt często. A ile razy pragnął ją objąć? Także za często.

Dwie kobiety, Aurora i A. J. Fields.

Aurora jest niebezpieczna. Miękką i przystępną, namiętą i szczodra, a także trochę niepewna siebie, błakająca się myślą w nieznanym krainach. Bał się takich kobiet, bo były niepokojące, nieprzewidywalne i niepojęte.

Natomiast A. J. Fields była twarda i bezkompromisowa, ostra i waleczna, a kiedy trzeba - bezwzględna. Takie kobiety rozumiał, były przejrzyste jak szkło i kompletnie przewidywalne.

A jednak marzył o Aurorze.

Podniósł słuchawkę i szybko wybrał numer, nie dając sobie szansy na zastanowienie. Odezwała się po czwartym sygnale.

- Fields.

- Dzień dobry.

- Dawid? - Złapała ręcznik, nim zdążył zsunąć się z ociekających wodą włosów.

- Tak. Co słychać?

- Jestem mokra. Właśnie wyszłam spod prysznic. Masz jakiś problem?

Miał: tysiące kilometrów, które ich dzieliły, i niespełnione marzenie, by ujrzeć jej lśniąca od wody ciało. Sięgnął po papierosa i stwierdził, że paczka jest pusta.

- Nie, a powinienem?

- Gdy ktoś dzwoni do mnie o tej porze, to znaczy, że ma problem. Kiedy wróciłeś?

- Nie wróciłem.

- Więc nadal jesteś w Nowym Jorku?

Wyciągnął się w fotelu. Zabawne, nawet nie przypuszczał, do jakiego stopnia pragnął usłyszeć jej głos.

- Na to wygląda.

- U ciebie jest dziesiąta, powinieneś szaleć w pracy.

- Już się wyszalałem, nawet się nie kładłem.

Tym razem nie była tak szybka i nie zdążyła złapać ręcznika, który wylądował przy jej bosych stopach.

- Rozumiem. To nocne życie na Manhattanie... Zerknął na

stosy dokumentów, popielniczkę pełną petów i puste filiżanki po kawie.

- Tak, nic tylko taniec do białego rana.

- Nie wątpię. - Schyliła się, krzywiąc, i podniosła ręcznik. - Musisz zatem mieć jakąś bardzo pilną sprawę, żeby odrywać się od zabawy i dzwonić. O co chodzi?

- Chciałem z tobą porozmawiać.

- A więc trafiłam. To o co chodzi?

- O nic.

- Brady, jesteś pijany? Roześmiał się szczerze.

- Nie. AJ, może wiesz, co to takiego przyjacielska rozmowa?

- Oczywiście, ale u mnie jest świt, poza tym jestem agentem, a ty oddalonym o tysiące kilometrów producentem. Nie ten czas, nie te osoby, nie ta odległość.

- Może zaczniemy jeszcze raz? Cześć, A. J., jak się masz?

- Świetnie. A ty?

- No i co, zabolalo? Niezły początek, zgadzasz się? - Ziewnął. - Prawdę mówiąc, jestem trochę zmęczony. Mnóstwo czasu spędziliśmy z parapsychologami, którzy posługują się komputerami i wyższą matematyką. Rozmawiałem też z kobietą, która twierdzi, że parę razy udało się jej opuścić własne ciało. OOB, czyli out - of - body.

- Tak, tak, słyszałam o czymś takim. - A. J. nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Twierdzi, że w ten sposób odbyła podróż po Europie.

- Jaka sprytna, zaoszczędziła na biletach lotniczych.

- No właśnie.

Udało mu się trochę ją rozbawić.

- Czyżbyś miał trudności z odróżnieniem ziarna od plew?

- To trudna sprawa. Ale cóż, jeszcze trochę powęszy - my na Wschodnim Wybrzeżu. Chcemy odwiedzić chiromantę w górach Marylandu, dom w Wirginii, gdzie straszy młoda dziewczyna i kot, hipnotyzera w Pensylwanii, który specjalizuje się w leczeniu regresji... * - Przerwał na chwilę. - A na koniec mamy osiemdziesiątą siódmą reinkarnację Kleopatry, która jest Afroamerykaninem i sprzedaje lody na Brooklynie, marsjańskiego cesarza, który umknął na Ziemię przed politycznymi prześladowcami i tworzy zaciężną armię, by w chwale powrócić na marsjański tron, a także...

- Rany, dość! - zachichotała. - Jak widzę, świetnie się bawisz moim kosztem.

- Tak sobie plotę, byś zwróciła na mnie uwagę.

- A po co?

- Trochę z nudów, a trochę dlatego, żebyś się ze mną spotkała, jak wrócę.

- Dawidzie, mówisz tak romantycznie, że pode mną niebogą uginają się kolana, brak mi tchu, a serduszko łopocze jak ptaszę w klatce.

**Regresja - dezorganizacja funkcji psychicznych występująca w następstwie silnego napięcia emocjonalnego, przejawiająca się w powrocie do bardziej prymitywnych, infantylnych form reagowania. (Przyp. tłum.)

- Dobra, dobra, wiem, co robię. Poznałem już tę niebogę. Gdybym ci wyznał, że wciąż o tobie myślę i co oko zmrużę, zaraz pojawiaasz się w sennych marzeniach, to jak byś zareagowała?

Znów nie mogła powstrzymać chichotu.

- Hm... no tak.

- No właśnie. Usłyszałbym o sobie same przykre rzeczy i skończyłoby się na tym, że zapłaciłbym za kłótnię, a nie za rozmowę.

- A nie możesz przekroczyć budżetu.

- Wiesz co? Poeksperymentujmy trochę. Przez parę dni zobaczyłem to i owo i myślę, że coś załapałem.

A. J. położyła się na łóżku. Nawet nie przyszło jej do głowy, że już o dziesięć minut przekroczyła swój harmonogram.

- Eksperyment? Jakoś ci nie ufam, Brady...

- Zaufaj, błagam. Chodzi o coś całkiem nowego w naszych kontaktach, coś, co wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, a jednak może okazać się możliwe. Nazywa się to figuralną transformacją koegzystencjalno - interpersonalną typu gamma.

- Wolę typ alfa - marudziła.

- Na to przyjdzie jeszcze czas. A więc do dzieła. Otóż eksperyment polega na tym, że powiesz mi coś miłego i przekonamy się, co z tego wyniknie.

- Hm...

- No, zaczynaj, to tylko naukowy eksperyment z psychologii alternatywnej.

- Nie popędzaj. Musisz poczekać jeszcze co najmniej trzy „hm”.

- Nie kombinuj, tylko pójdz na spontan.

- No dobrze. Twój film o kobietach w rządzie jest pouczający, bezstronny i wyprany z wszelkiego szowinizmu.

- Dzięki, ale twoja wypowiedź wyprana jest z wszelkiej osobistej nuty, więc się nie liczy.

- Osobista nuta... - Uśmiechnęła do sufitu. Kiedy ostatnio leżała na łóżku i flirtowała przez telefon? Prawdę mówiąc, nie było żadnego „ostatnio”. Uznała, że z uwagi na bezpieczną odległość może poczuć się... inaczej niż zwykle. - Dobra, będzie osobista nuta. Jeśli staniesz po drugiej stronie kamery, bez trudu zrobię z ciebie gwiazdę. Nadajesz się na serialowego detektywa z czarnego kryminału lub mafijnego *capo di tutti capi*.

- Banalne - uznał Dawid, choć uśmiechnął się szeroko.

- Nie marudź, tylko słuchaj dalej. Gdybyś mocno się postarał, mógłbyś być całkiem niezłym kumplem. A teraz coś specjalnego: od biedy daje się na ciebie patrzeć i wbrew krążącym opiniom, nie masz całkiem otępiełego umysłu.

- Dość letnie, A. J. Brak w tym żaru, kreatywnej percepcji mojej osoby, a także...

- Kupujesz czy nie, bo zamykam sklepik.

- Kupuję, kupuję... A teraz przejdźmy do następnego etapu figuralnej interpersonalnej... - Roześmiał się. - Cholera, jak to

szło?

- Typ gamma, to najważniejsze.

- Dzięki. Następny etap polega na tym, że spędzimy razem wieczór, by sprawdzić, czy twoja hipoteza o moich zadatkach na dobrego kumpla potwierdzi się empirycznie.

- Oczywiście rozumiem, jak ważny dla nauki jest ten eksperyment, niestety nie mogę wszystkiego rzucić i polecieć do Pensylwanii czy gdzie tam cię diabli poniosą.

- Będę z powrotem w połowie tygodnia. Zawahała się, po czym poszła za pierwszym impulsem.

- W piątek wchodzi na ekrany „Podwójny bluff. Hastings Reed jest moim klientem. Twierdzi, że zgarnie Oscara.

- Tak miło się gadało, a ty znów o biznesie.

- Mam dwa bilety na premierę. Ty kupujesz prażoną kukurydzę.

Zdumiała go.

- A więc randka?

- Nie przeciągaj struny, Brady.

- O której przyjechać po ciebie?

- O ósmej. A teraz idź do łóżka. Ja muszę lecieć do pracy.

- Aurora...

- Tak?

- Pomyśl o mnie czasami.

- Śpij dobrze, Brady.

Odłożyła słuchawkę i jeszcze chwilę siedziała z aparatem na

kolanach. Co jej odbiło? Chciała oddać bilety i obejrzeć film, gdy minie cały ten zgiełk. Nie zależało jej na olśniewających premierach. A już spędzenie wieczoru z Dawidem Bradym było ewidentną głupotą. Mogło się też okazać niebezpieczne w skutkach.

ROZDZIAŁ 5

Kupiła sobie sukienkę. Uznała, że agentka aktora, który odtwarza główną rolę, musi dobrze wyglądać na premierze. Wiedziała jednak, że kupiła ją dla Aurory, nie dla A. J.

W piątkowy wieczór, za pięć ósma, stała przed lustrem i oceniała efekt. Tym razem nie był to szykowny, profesjonalny strój. Może nie powinna posuwać się aż tak daleko?

Co tam, to czarna sukienka, a czerń jest praktyczna i zawsze modna. Obejrzała się z prawa i z lewa. Na pewno nie jest efekciarska. A swoją drogą rozsądniej byłoby wybrać coś bardziej konserwatywnego niż ta jedwabna rura bez ramiączek i prawie bez pleców. Krótko mówiąc, jest prowokacyjna. Jakim cudem w przymierzalni nie zauważyła, że materiał tak bardzo przylega do ciała? Może podświadomie dokonała wyboru? Może chciała się poczuć trzpiotowato i idiotycznie, a nie jak renomowana agentka, osoba zamożna i z pozycją? Po prostu poczuć się kobietą. Czyli, mówiąc bez ogródek, na własne życzenie szukać kłopotów.

Ratunkiem okazał się wyszywany koralikami zakieciak. Właśnie zapinała na szyi srebrny medalion, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Nie spodziewała się, że Dawid przyniesie jej kwiaty. Według niej taki romantyczny gest nie pasował do niego. Ponieważ oboje czuli się trochę nieswojo, stali przez chwilę w milczeniu i wpatrywali się w siebie.

Była olśniewająca. Wcześniej nie uważał, że jest piękna, ale dzisiaj jej widok zapierał mu dech w piersi.

- W samą porę - zauważyła, siląc się na uśmiech.

- Żałuję, że nie przyszedłem wcześniej.

Wzięła od niego róże. Musiała bardzo uważać, żeby nie zanurzyć w nich twarzy.

- Dziękuję. Są śliczne. Może się czegoś napijesz?

- Nie. - Wystarczyło mu, że mógł na nią patrzeć.

- Zaraz będę gotowa.

Kiedy się oddaliła, rozejrzał się po pokoju.

Miała inny gust niż Clarissa. Wszystko było chłodne, wyważone i uporządkowane. Wnętrze miało klasę i styl, ale nic z namiętności, jaką odkrył w Aurorze. Wystrój nie zdradzał żadnych tajemnic, należał do przewidywalnej, jednowymiarowej, profesjonalnej A. J. Fields.

Gdy wróciła, była opanowana. Ułożyła róże w długim, wąskim kryształowym wazonie Baccarata.

- Jeśli chcesz, możemy pojechać wcześniej i rzucić okiem na sławy.

- Wyglądasz jak czarownica - powiedział prawie szeptem. - Jasna skóra, czarna suknia... Dlaczego nie pachniesz siarką?

Zadrżały jej ręce.

- Moją w czternastym pokoleniu praprababkę spalono na stosie.

- Od razu wiedziałem. - Potraktował jej słowa jako żart i

odpowiedział w tym tonie.

- To stało się w Salem* - rzekła cicho - gdy ludzi ogarnęło szaleństwo. Oczywiście była w równym stopniu czarownicą co Clarissa, ale była... wyjątkowa. Z zebranych przez mamę dokumentów wynika, że w chwili śmierci miała dwadzieścia pięć lat i była śliczna. Popełniła błąd, ostrzegając sąsiadów przed pożarem stodoły, który wybuchł dwa dni później.

- I dlatego została osądzona i skazana?

- Ludzie często reagują gwałtownie na coś, czego nie rozumieją.

- W Nowym Jorku rozmawialiśmy z człowiekiem, który zarabia krocie na giełdzie papierów wartościowych, „widząc” rzeczy, które dopiero mają nastąpić.

- Czasy się zmieniają. Moja prapra umarła w biedzie i opuszczona przez wszystkich. Miała na imię Aurora. - Uniosła brew, gdy nie odezwał się słowem. - Możemy już iść?

Gdy wyszli, Dawid wziął ją za rękę.

- Czuję, że Aurora z Salem jest dla ciebie kimś naprawdę ważnym.

Miał rację, lecz jak wiele mogła mu powiedzieć? Nie wszystko można ująć w słowa, nie wszystko powierza się nawet najbliższemu. A to był tylko Dawid, jej znajomy, nawet nie przyjaciel. A jednak chciała coś ujawnić z tej niezwykłej tajemnicy. Tyle, ile mogła, czyli niewiele.

**Pod koniec siedemnastego wieku w Salem (obecnie stan Massachusetts), odbyła się seria procesów o czary, w wyniku których stracono ponad dwadzieścia osób, a dużo więcej uwięziono i poddano torturom. Do dzisiaj Salem jest symbolem religijnego fanatyzmu i ciemnoty. (Przyp. red.)

- W jakimś sensie wpłynęła na moje życie.

- To znaczy?

- Nie opowiadam o niej na prawo i lewo, a jednak niektórzy wiedzą, że w prostej linii od niej pochodzę. Zdziwisz się, ale ludzie rzadko odnoszą się do tych spraw w sposób zdystansowany, wyważony. Problem w tym, że tak naprawdę mało kto odróżnia zabobon od badanych przez naukę zjawisk parapsychologicznych. Kiedy okazywało się, że Clarissa w trzynastym, a ja w czternastym pokoleniu jesteśmy praprawnuczkami kobiety, która spłonęła oskarżona o czary, spotykamy się z bardzo różnymi reakcjami. Wielu uważa nas za osoby, które niejako „genetycznie” obcują z mocami nie z tego świata, co wywołuje bądź skrajne potępienie i wysyłanie nas do piekła, bądź ślepe ubóstwienie. Obie postawy są równie fanatyczne i równie niebezpieczne. Do tego dochodzi tak zwany fanatyzm oświecony, reprezentowany przez ortodoksyjnych racjonalistów. Ci potępiają Clarissę, a zdarzało się, że również mnie, za obrazę rozumu, hochsztaplerstwo, sianie ciemnoty.

Weszli do windy.

- A ty starasz się chronić matkę przed tymi skrajnościami.

- Właśnie.

- A co z tobą? Czy dlatego utrzymujesz w tajemnicy swoje pokrewieństwo z Clarissą, by chronić siebie?

- Sprawa jest bardziej banalna. Ukrywając fakt, że jest moją matką, wiele zyskałam w sensie zawodowym. Szczególnie było

to ważne na samym początku, gdy była moją pierwszą i jedyną klientką. To, że autorka bestsellerów, która dla swych nadzwyczajnych zdolności ściąga tłumy na spotkania, korzystała z moich usług, ogromnie przyspieszyło moją karierę. Gdyby jednak stało się powszechnie wiadome, że chodzi o moją matkę, sprawa wyglądałaby inaczej. Córka nieudacznica holowana przez troskliwą mamuszkę, i tyle.

- Jak zawsze jesteś logiczna, A. J.

To chyba nie jest komplement, pomyślała.

- Zostawiłeś samochód na parkingu?

- Nie, stoi przed nami.

- Nie widzę... - Nagle dostrzegła ogromną popielatą limuzynę. - No, no - mruknęła.

Szofer otworzył im drzwi.

Jeździła limuzynami wiele razy, towarzysząc klientom, podwożąc ich albo odbierając z lotniska, ale nigdy nie traktowała takiego rozkosznego komfortu jako czegoś oczywistego. Teraz było jej całkiem przyjemnie, gdy patrzyła, jak Dawid wyjmuje butelkę z lodu.

- Kwiaty, limuzyna, a teraz szampan. To miłe, Brady, ale...

- Zamierzasz to zepsuć - dokończył, wyciągając korek. - Nie zapominaj, że sprawdzamy teorię o moich kumpelskich walorach. - Podał jej kieliszek. - I jak wypadam?

- Na razie nieźle. - Wysączyła odrobinę, doceniając wysoką klasę trunku. - Stwierdzam jednak z ubolewaniem, że

łatwiej mi rozpieszczać innych, niż być rozpieszczaną.

- No i jak się czujesz po drugiej stronie?

- Za dobrze. - Zsunęła pantofle i zatopiła stopy w puszystej wykładzinie. - Mogłabym tak siedzieć i jechać w nieskończoność.

- Nie ma sprawy. - Musnął palcami jej szyję. - Darujemy sobie kino?

Zbyt mocno reagowała na jego dotyk! I tak bardzo brakowało jej doświadczenia, zwłaszcza z takimi mężczyznami jak Brady.

- Raczej nie. - Wysączyła kieliszek, a on zaraz napełnił go powtórnie. - Często bywasz na premierach?

- Nie. To zbyt hollywoodzkie.

- Och. - Z błyskiem w oku rozglądała się po limuzynie. - Rozumiem.

- Za to ty, jako agentka tylu gwiazd, wciąż chodzisz na takie imprezy.

- Rzadko. Nie znoszę tego.

- To po co tam jedziemy?

- W ramach eksperymentu, zapomniałeś?

Gdy samochód zatrzymał się, natychmiast zbiegli się dziennikarze i rozbłysły flesze, rozległy się oklaski. Fakt, że z limuzyny wysiadła para o nieznanym twarzach, nie miał większego znaczenia. To było Hollywood. Premiera. Pełny blichtr. Paparazzi wprost szaleli, by złapać dobre ujęcie. Potem sprawdzą, kto znalazł się na fotkach, i może da się to sprzedać?

Na przykład żonaty milioner z kochanką lub europejska księżniczka z amerykańskim chłoptasiem...

- Niesamowicie, prawda? - mruknął Dawid, kierując ją do wejścia.

- W takich chwilach dziękuję Bogu, że zostałam agentką, a nie aktorką. Znajdźmy jakiś ciemny kąt.

- Zgadza się. Roześmiała się.

- Niesamowite, król uparciuchów, Dawid Brady, na coś się zgadza!

- Ot, monarszy kaprys.

Wciąż witając się z ludźmi z branży, wreszcie dotarli do sali i zajęli miejsca w bocznym rzędzie, blisko wyjścia.

- Nie wiedziałem, że jesteś w tym taka dobra - zauważył z ironią Dawid. - Czujesz się w tym towarzystwie jak ryba w wodzie.

- To należy do mojej pracy - odparła, zatapiając się w fotelu. Niczego tak nie uwielbiała, jak wieczór w kinie. - A teraz bądź cicho. Już się zaczyna, a ja nie daruję sobie, jeśli nie obejrzę czołówki.

Gdy pogasły ostatnie światła, a publiczność zamilkła, A. J. całą uwagę skoncentrowała na filmie. Od dziecka dzięki wielkiemu ekranowi ulatywała w inną rzeczywistość, stało się tak również teraz.

Świetnie znała aktora grającego główną rolę, wspierała go podczas dwóch rozwodów, podnosiła na duchu, gdy wątpił w

swój talent, bo taką miała pracę.

Ale w tej chwili był facetem, który błąkał się po mrocznym domu w Connecticut, a w powietrzu wisiało morderstwo. A. J. chwyciła Dawida za ramię i ze strachu wbiła się w fotel. Natychmiast otoczył ją ramieniem.

Zastanawiał się, kiedy ostatnio siedział w kinie i obejmował dziewczynę, z którą umówił się na randkę? Chyba z dwadzieścia lat temu. A wiele stracił. Próbował skupić się na filmie, ale rozpraszał go jej zapach. Jak zawsze delikatny, ledwo wyczuwalny, ale tak bardzo działający na zmysły. Tymczasem A. J. wstrzymała oddech i przysunęła się bliżej...

Gdy zapłonęły światła, był niepokieszony.

- Dobrze, prawda? - Z jej oczu biło zadowolenie. - To było naprawdę bardzo dobre.

- Bardzo dobre - przyznał, choć niewiele zarejestrował z filmu. - Słyszysz te oklaski? Prawdziwy sukces.

- Dzięki Bogu. Namówiłam go na tę rolę i gdyby nie wypaliło, wszystko spadłoby na mnie. Co byś powiedział, gdybyśmy po cichu stąd zniknęli?

- Świetny pomysł. Ruszyli do wyjścia.

- Dokąd to? Już uciekasz? - Hastings Reed, bohater wieczoru, wyrósł jak spod ziemi. Promieniał sukcesem, a zarazem był zdenerwowany. Dopiero za kilka dni, po pierwszych recenzjach, okaże się, czy może liczyć na Oscara, czy też powinien kupić antydepresyjne leki. - Nie spodobało ci się?

- Skądże, film był cudowny. - A. J. wspięła się na palce i musnęła go w policzek. - I ty byłeś cudowny. Jak nigdy dotąd.

Odwzajemnił komplement, miażdżąc ją w uścisku.

- Trzeba poczekać na jutrzejsze gazety...

- Przyjmij pochwały z pokorą i skromnie. Hastings, to jest Dawid Brady.

- Brady? - Przywitani się kordialnie. - Producent?

- We własnej osobie.

- Boże, uwielbiam pańską pracę, a pański film spowodował, że wstąpiłem do Towarzystwa Obrony Maltretowanych Dzieci. Zostałem nawet honorowym przewodniczącym... Tak przejmująco i mądrze ukazał pan ten straszny problem.

- Dobrze jest coś takiego usłyszeć. Zależało nam, żeby uczulić ludzi na tę sprawę.

- Udało się to panu. Proszę o mnie pamiętać, gdyby zamierzał pan kontynuować ten temat. Sam jestem ojcem i chętnie wystąpię w pańskim filmie. Bez żadnego honorarium. - Uśmiechnął się w stronę A. J. - Ona tego nie słyszała.

- Czego nie słyszałam?

Zaśmiał się i znów złapał ją w objęcia.

- Ona jest nieprawdopodobna. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Nie chciałem przyjąć tej roli, ale tak długo mnie maltretowała, aż uległem.

- Nigdy nikogo nie maltretuję!

- Łajanie, wiercenie dziury w brzuchu i zastraszanie. Dobry

Boże, ile ja przez nią wycierpiałem! - Uśmiechnął się szeroko. - Gdybyś nie była taka śliczna, pewnie w rewanżu spuściłbym ci baty. Ale w tej kreacji wyglądasz, że tylko cię schrupać. Nigdy tak się nie ubierasz, a wielka szkoda.

Chcąc pokryć zakłopotanie, poprawiła mu krawat.

- O ile dobrze pamiętam, kiedy widzieliśmy się ostatnio, byłeś w dzinsach i zalatywałeś końmi.

- Tak było. Przyjdziecie do Chasen'sa?

- Prawdę mówiąc, ja...

- Przyjdźcie. Posłuchaj, muszę udzielić paru wywiadów, ale za pół godziny chcę was tam widzieć. - Zniknął w tłumie.

- Nie można powiedzieć, że nie przytłacza swoją osobowością - zauważył Dawid.

- Łagodnie powiedziane. - A. J. rzuciła okiem na zegarek. Było jeszcze wcześniej. - Powinnam pokazać się tam na moment, skoro on na to liczy. Wezmę taksówkę, jeśli wolałbyś tego uniknąć.

- Czy uważasz, że facet, z którym przysłaś, zostawi cię samą?

- To nie jest wiejska zabawa, tylko oficjalny spęd. Ruszyli przez tłum.

- Reguły pozostają te same. Może jakoś wytrzymam w Chasen'sa.

- Okej, wpadniemy na małą chwilę.

„Mała chwila” przeciągnęła się do trzeciej nad ranem.

Skrzynki szampana, góry kawioru i stosy fantazyjnych kanapek. O dziwo, nawet głośna muzyka nie przeszkadzała. Prawie wszyscy się znali i bawili się znakomicie.

Na zatłoczonym parkiecie A. J. pozwoliła sobie na relaks w ramionach Dawida.

- Ale przyjęcie!

- Nic tak nie smakuje jak sukces, zwłaszcza jeśli podlejesz go szampanem - odparł.

- Zwykle unikam tego rodzaju imprez. Delikatnie przejechał palcem wzdłuż jej karku.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem... - Zmęczenie, szampan i przyjemne uczucie zrobiły swoje. Przytuliła do Dawida policzek.

- Zresztą miejsce agenta jest w drugim szeregu, za to ty świetnie tutaj pasujesz.

- A ty nie?

Potrząsnęła przecząco głową. Jak to jest, zastanawiała się, że mężczyźni tak cudownie pachną - tak cudownie inaczej? I dlaczego tak dobrze jest przytulić się do kogoś i czuć na sobie jego ramiona?

- Jesteś artystą, a moja praca to paragrafy i cyfry.

- Czy tego właśnie chcesz?

- Oczywiście. Bardzo to lubię. - Kiedy znów powędrował ręką wzdłuż jej pleców, poddała się pieszczocie.

- Tak, bardzo to lubię...

- Wolałbym być z tobą sam na sam - szepnął. - Przyćmione światło, cicha muzyka...

- Tak jest bezpieczniej. - Ale nie zaprotestowała, gdy musnął wargami jej skroń.

- Komu potrzebne jest bezpieczeństwo?

- Mnie. Bezpieczeństwo, ład, sensowność.

- Przecież jesteś hollywoodzką agentką. Powinnaś to wszystko wyrzucić na śmietnik albo zmienić zawód.

- Nic o tym nie wiesz. Ja tylko załatwiam interes i daję szansę innym.

- Bierzesz dziesięć procent i uciekasz?

- Tak.

- Jeszcze parę tygodni temu mógłbym w to uwierzyć. Problem w tym, że widziałem cię podczas pracy z Clarissa.

- To co innego.

- Zgadza się. Ale dzisiaj widziałem cię też z Hastingsem. Bardzo dbasz o swoich klientów i wspierasz ich, gdy tego potrzebują. Nie ograniczasz się tylko do paragrafów i cyfr. - Dotknął wargami jej ust, zanim zdążyła się ruszyć.

- Zaczyna do mnie docierać, że podziwiam w tobie całkiem sporo cech.

Powinna się była odsunąć, ale trzymał ją tak blisko i kołysał w rytm muzyki...

- Nie mieszam spraw biznesu z uczuciami.

- Kłamiesz.

- Mogę igrać z prawdą, ale nigdy nie kłamię! - oburzyła się, i zaraz się uśmiechnęła. - Dawidzie, pod pewnymi względami jesteś nawet miłym facetem.

- Z radością odwzajemniłbym ten komplement, zamieniając „nawet” na „bardzo”, „faceta” na „kobietę”, „pod pewnymi względami” na „w całości”. - Zapalał się coraz bardziej. - Mówiąc wprost, jesteś cudowna i...

- Chyba musimy sobie coś wyjaśnić - przerwała mu.

- Po pierwsze pracujemy ze sobą, a to wyklucza wszystko, co choćby odrobinę wykraczało poza koleżeńskie stosunki, nie mówiąc już o jakimkolwiek zaangażowaniu. Po drugie moim głównym zadaniem jest ochrona interesów Clarissy. Po trzecie jestem bardzo zajęta i tę odrobinę czasu, jaki udaje mi się wygospodarować, wykorzystuję na odpoczynek i robię to w samotności. I wreszcie po czwarte... nie nadaję się do prawdziwego związku. Jestem egoistyczna, krytyczna, a przede wszystkim kompletnie niezainteresowana czymś takim.

- Świetnie to ujęłaś. - Pocałował ją po przyjacielsku w czoło.

- Możemy stąd wyjść?

Zaskoczył ją.

- Tak.

Gdy wyszli na zewnątrz, przywitał ich chłód wczesnego poranka. I cudowna cisza.

- Przepych i blichtr są miłe tylko w niedużych dawkach - powiedziała.

Pomógł jej wsiąść do limuzyny.

- Umiar we wszystkim.

- Dzięki temu życie jest bardziej stabilne. - Rozsiadła się wygodnie, ale nie zdążyła westchnąć z zadowolenia, kiedy Dawid usiadł blisko niej i zdecydowanym ruchem ujął ją za podbródek.

- Dawid...

- Teraz ja powiem swoje. Po pierwsze jestem producentem tego filmu, a ty agentem jednej i tylko jednej występującej w nim osoby. To oznacza, że współpracujemy jedynie wycinkowo na partnerskich zasadach i ani nie jesteśmy wspólnikami, ani tym bardziej nie ma między nami zależności służbowej. Zaangażowanie jest więc absolutnie dopuszczalne. A tak się składa, że już jesteśmy zaangażowani.

- Posłuchaj, Dawidzie...

- Już swoje powiedziałaś... Po drugie możesz rozpieszczać Clarissę i tańczyć wokół niej, ile chcesz, ale to nie ma nic wspólnego z nami. Po trzecie oboje jesteśmy zapracowani, co oznacza, że nie chcemy tracić czasu na różne bezsensowne wymówki i wykręty. A po czwarte nie ma znaczenia, czy nadajesz się albo nie do związku, skoro już jesteś na dobrej drodze ku niemu. Byłoby więc lepiej, gdybyś oswoiła się z tą myślą.

- Nie zamierzam się z niczym oswajać - warknęła.

- Akurat. Chcesz się założyć?

Niezaspokojone pragnienie, nieznajdująca ujścia, kipiąca

złość. Czula to wszystko, gdy zgniótł jej usta. Zaczęła się szarpać, wiedząc, że jeśli zaraz się nie uwolni, będzie stracona.

Lecz Dawid wiedział, że A. J. walczy z samą sobą, a nie z nim, dlatego jej nie puszczał... aż wreszcie poddała się.

Tłumiąc jęk, objęła go za szyję, zatopiła palce w jego włosach, a jego usta były coraz bardziej namiętne i niecierpliwe. Sięgał po nią z furią i żądzą, na co jej serce zareagowało mocnym i chaotycznym rytmem.

Kierowana przez własne demony, pozwoliła rękom buszować po jego ciele. Oddychali nierówno, a gdy ich usta spotkały się ponownie, nie było w tym nic kojącego, tylko jedno wielkie podniecenie, dzika żądza, ból niespełnienia.

Wydając nieartykułowany dźwięk, obrócił Aurorę, i po chwili leżeli na długim, szerokim siedzeniu.

Patrząc na niego, rozchyliła wargi. W pozycji, w jakiej się znalazła, widziała migające w równych odstępach światła ulicznych latarni. Światło i cień. Światło i cień. Hipnotyczne. Erotyczne. Wyciągnęła ręce, by dotknąć jego twarzy.

Leżała pod nim taka jedwabista, taka piękna. Miała zmierzwione włosy i zaróżowione policzki. Dotyk jej palców był lekki jak szept, a jednak wzbudzał w nim potężną żądzę.

- To czyste szaleństwo - powiedziała półgłosem.

- Wiem.

- To nie powinno się zdarzyć. - Ale stało się. Wiedziała to. Wiedziała od pierwszego spotkania z Dawidem. - To nie miało

się zdarzyć - poprawiła się.

- Dlaczego?

- Nie pytaj... - Wciąż igrała palcami po jego twarzy.

- Nie potrafię wytłumaczyć. A nawet gdybym umiała, nie zrozumiałbyś.

- Jeśli jest ktoś inny, mam go w nosie.

- Nie, nie ma nikogo...

Więc dlaczego się wahała? Przecież pragnęła tego samego co on! Widział to. Tak łatwo byłoby zignorować niepokój w jej oczach i niemą prośbę, przełamać prawie nieistniejący już opór i zabrać A. J. w szaloną krainę seksu i zaspokojenia.

Tak bardzo tego chciał.

A jednak nie mógł tego zrobić.

- To nie musi stać się teraz ani tutaj, ale stanie się, Auroro.

- Pozwól mi odejść, Dawidzie. - Spojrzała przez szybę. - Jesteśmy już przed moim domem.

Uniósł ją, celowo zniweczył intymną pozycję. Musiał, by nie zwariować, by nieco ochłonąć.

- Co to zagra, A. J. ?

- Gra w przetrwanie.

- Zastanów się, co mówisz! - Była taka piękna, kusząca... a zarazem ponad wszelkie pojęcie delikatna i krucha.

- Proponuję, byśmy spróbowali być ze sobą, byśmy się kochali. Co to ma wspólnego z przetrwaniem? A dokładniej, z twoim przetrwaniem?

- Nic, gdyby to było takie proste i gdyby tylko o to chodziło.
- Uśmiechnęła się w zamyśleniu. - Lecz nie jest proste i chodzi o dużo więcej.

- Boże, po co tak to komplikować? Jesteśmy dorośli, pragniemy siebie... Ludzie zostają kochankami każdego dnia, nie wyrządzając sobie krzywdy.

- Niektórzy ludzie. Ale ja do nich nie należę. Gdyby to było takie proste, już bym się z tobą kochała, tu, w tym aucie. I nie powiem, że tego nie chcę. Ale to nie jest takie proste. Seks, i owszem, jest prosty, ale prawdziwe uczucie, miłość do ciebie... już nie.

Nie zdążył się ruszyć, kiedy otworzyła drzwi i wysiadła.

- Auroro. - Już był przy niej, położył rękę na jej ramieniu, ale go odtrąciła. - Nie oczekuj, że po takim stwierdzeniu pozwolę ci odejść.

- Właśnie to robię. - Znów go odepchnęła.

- Odprowadzę cię na górę.

- Nie.

- Musimy porozmawiać.

- Nie. Jestem zmęczona, nie myślę normalnie. Idź już.

- Więc porozmawiamy później... zgoda?

- Zgoda. A teraz już idź, Dawidzie.

Wiedział, że go spławiała, że wcale nie chciała, by ta rozmowa kiedyś się odbyła. Pragnęła zostać sama i odzyskać nad sobą kontrolę. Odzyskać wolność.

- Dobranoc, Auroro.

Stał i czekał, aż zniknie w budynku, potem oparł się o limuzynę i wyciągnął papierosa.

- Spokojnie, tylko spokojnie - mruknął do siebie. - To jeszcze nie koniec. Obiecałaś mi tę rozmowę, a ty zawsze dotrzymujesz słowa. Dopilnuję, by stało się tak i tym razem...

Jednak wcale nie był pewny swego.

Jakże by mógł? Przecież miał do czynienia z kobietą tajemniczą, nieprzewidywalną i obdarzoną niepojętą, czarodziejską mocą...

ROZDZIAŁ 6

A. J. postanowiła zwierzyć się matce ze swoich problemów. W końcu jak długo mogła się oszukiwać, że nie potrzebuje pomocy!

- Chyba napytałam sobie biedy.

- Zbyt wiele od siebie wymagasz, kochanie.

- Co mam robić? Clarissa uważnie przyjrzała się córce.

Nigdy dotąd nie była tak zagubiona i bezradna, już jako dziecko zawsze ze wszystkim sobie radziła.

- Jesteś wystraszona.

- Przerazona. - A. J. wstała z sofy i zaczęła krążyć po pokoju. - To mnie przerasta. Przestaję panować nad sytuacją.

- Auroro, to nie zawsze jest konieczne.

- Ale tu chodzi o mnie. - Odwróciła się z cierpkim uśmiechem. - Powinnaś to zrozumieć.

- Rozumiem. Oczywiście, że rozumiem. - Ileż razy modliła się w duchu, żeby jej córka odnalazła wewnętrzny spokój. - Ponieważ już raz zostałaś zraniona, boisz się, żeby to się nie powtórzyło. Auroro, czy zakochałaś się w Dawidzie?

Oczywiście Clarissa po prostu wiedziała, w czym rzecz, a A. J. traktowała to jako coś zupełnie naturalnego.

- Mogłabym, gdybym się w porę nie wycofała.

- Czy to tak źle zakochać się?

- W Dawidzie tak. Jest zbyt silny, zbyt dominujący. Poza tym... kiedyś już byłam zakochana.

- Byłaś młoda. Zauroczenie to coś innego. Wymaga więcej, a daje mniej niż miłość.

- Może to rzeczywiście zauroczenie. Albo pożądanie.

- Tylko ty sama możesz odpowiedzieć na to pytanie. Z drugiej strony, gdyby chodziło tylko o pożądanie, nie przyjechałabyś do mnie w środku dnia, odwołując spotkania.

Śmiejąc się, A. J. podeszła i znów opadła na kanapę.

- Och, mamó, nie ma drugiej takiej jak ty. Nie ma.

- Twoje życie nigdy nie układało się normalnie, prawda?

- Nie. - A. J. oparła głowę na ramieniu Clarissy. - Było lepsze niż normalne. Podobnie jak ty.

- Twój ojciec bardzo mnie kochał. Kochał i akceptował, mimo że nie zawsze rozumiał. Nawet sobie nie wyobrażam, jakie byłoby moje życie, gdybym całkiem nie zdała się na niego i nie odwzajemniła jego miłości.

- Był wyjątkowy... Nie tak jak większość mężczyzn. Clarissa zawahała się, a potem odchrząknęła.

- Alex też mnie akceptuje.

- Alex? - A. J. poderwała się z miejsca. - Czy ty i Alex... - Jak sformułować takie pytanie wobec własnej matki? - Czy to coś poważnego?

- Chcę, żebym za niego wyszła.

- Co? - A. J. odskoczyła jak oparzona. - Małżeństwo? Przecież prawie go nie znasz! Mamó, jesteś dorosła i chyba wiesz, że nad tak poważną sprawą trzeba się poważnie

zastanowić.

Clarissa rozpromieniła się.

- Pewnego dnia będziesz wspaniałą matką. Ja nigdy nie umiałam pouczać tak jak ty.

- Nie pouczam. - Mrucząc coś pod nosem, A. J. sięgnęła po herbatę. - Wolałabym tylko, żebyś nie pakowała się w coś, czego dokładnie nie przemyślisz.

- Chwalić Boga, rozsądek masz po ojcu. Natomiast moja rodzina zawsze była trochę lekkomyślna.

- Mamciu...

- Pamiętasz, kiedy Alex i ja rozmawialiśmy o czytaniu z ręki?

- Oczywiście. Miałam wrażenie, że coś poczułaś.

- To było bardzo silne i bardzo wyraźne. Przyznaję, że straciłam głowę, kiedy uświadomiłam sobie, że jakiś mężczyzna może jeszcze coś do mnie czuć. Nie miałam pojęcia, że ja też tak mocno zareaguję.

- Potrzebujesz czasu. Wiesz, jak bardzo ufam twoim odczuciom, ale...

- Kochanie, mam pięćdziesiąt sześć lat... - Clarissa potrząsnęła głową, dziwiąc się, że wszystko stało się tak szybko.

- Odpowiadało mi samotne życie. Myślę, że było mi potrzebne na jakiś czas. Teraz chcę je z kimś dzielić. Ty masz dwadzieścia osiem lat i też zadowolasz się samotnością, ale nie możesz wciąż się bać, że i ty będziesz kiedyś ją z kimś dzielić.

- To nie to samo.

- Mylisz się. - Ujęła dłonie córki. - Miłość, przywiązanie, pragnienia i potrzeby są prawie jednakowe dla wszystkich, a czy Dawid jest właściwym mężczyzną, o tym przekonasz się sama. Tylko że to jeszcze nie wystarczy, musisz również się z tym pogodzić.

- On może mnie nie zaakceptować. Sama mam trudności z zaakceptowaniem siebie.

- I to jest jedyne zmartwienie, jakiego mi przysparzasz, Auroro. Nie mogę ci powiedzieć, co masz robić. Nie mogę zajrzeć w twoją przyszłość, nawet jeżeli po części tego pragnę.

- Nie proszę cię o to. Nigdy cię nie prosiłam.

- To prawda. Wejrzyj w swoje serce, Auroro. Przestań przewidywać i przeliczać ryzyko, po prostu wejrzyj w swoje serce.

- Być może ujrzę to, czego nie chcę.

- Och, myślę, że chyba chcesz. - Clarissa ze śmiechem usiadła na sofie i otoczyła Aurorę ramieniem. - Nie powiem ci, co masz robić, ale mogę ci powiedzieć, co sama czuję. Dawid Brady jest bardzo dobrym człowiekiem. Ma swoje wady, oczywiście, lecz któż ich nie ma! Nawet nie wiesz, jak przyjemnie jest z nim pracować. A propos, było mi bardzo miło, kiedy zadzwonił dziś rano.

- Co takiego? - A. J. poderwała się na równe nogi. - Dzwonił do ciebie? Po co?

- Och, ma parę nowych pomysłów. Jest dzisiaj w Rolling Hills. Pewnie pamiętasz, co mówiono o tej starej rezydencji, z której wszyscy szybko się wyprowadzali? Tej niedaleko plaży?

- Podobno tam straszy, ale co ty masz z tym wspólnego? - zdenerwowała się A. J.

- Och, nic. Po prostu rozmawialiśmy o tym domu.

Chyba sądził, że to mnie zainteresuje. Poruszyliśmy też parę innych spraw. Wybieram się w środę do studia. Będziemy rozmawiać o samoczynnych zjawiskach. Potem zaś, może w następnym tygodniu, mam się udać do van Campów. Będziemy nagrywać w salonie Alice.

- Do van Campów? - A. J. poczuła, że za chwilę krew ją zaleje. - I to wszystko ustalił z tobą?

- Tak. Czy zrobiłam coś złego?

- Ty nie. I na razie skończmy ten temat. Załatwię to z nim. Nie pojedziesz w środę do studia, dopóki się nie przekonam, co on knuje. - Zorientowawszy się, że trochę przesadziła, usiadła z powrotem na sofie i uściskała Clarissę. - Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze.

- Liczę na to.

Clarissa patrzyła, jak jej córka wypada z domu jak burza, po czym uśmiechnęła się z satysfakcją. Zrobiła to, co mogła, czyli wyzwoliła energię. I zdała się na los.

Jeszcze mu pokaże, co potrafi. Jak śmiał załatwiać coś za jej plecami!?

Dzwoniąc z samochodowego telefonu, przełożyła spotkania, zorganizowała zastępstwa i pognąła do Rolling Hills, uważając, że najlepiej będzie rozmówić się z Dawidem w cztery oczy. Najpierw wybrała zły wyjazd na autostradę, potem trzykrotnie pomyliła zakręty, by wreszcie, klnąc jak szewc, znaleźć się podczas wiosennej burzy na rozsypującej się żwirowej drodze. A wszystkie przekleństwa skierowane były pod jednym adresem - sypały się prosto na głowę Dawida Brady'ego.

Wreszcie dojechała na miejsce, zahamowała z furią i wyskoczyła z auta, wpadając po kostki w błoto. Znowu posłała piętrowe przekleństwo.

Widział ją z okna. Najpierw się zdumiał, a potem zezłościł. Jeszcze jedna taka przerwa w pracy, a cały dzień pójdzie na marne. Kiedy otworzył frontowe drzwi, był wrogo nastawiony i gotowy do kłótni.

- Co tu robisz, do licha?

Włosy oblepiały jej twarz, kostium nadawał się do wyżęcia, a włoskie pantofle wyglądały żałośnie.

- Chcę z tobą porozmawiać, Brady.

- Świetnie. Zadzwoń do mojego biura i umów się na spotkanie. Teraz pracuję.

- Ja też pracuję i rozmawiamy teraz! - Mocnym kuksańcem pchnęła go do tyłu. - Odkąd to umawiasz się z moją klientką, nie uzgadniając tego ze mną? Jeśli chcesz, żeby Clarissa zjawiała się w twoim studiu, najpierw załatw to ze mną.

Zrozumiałeś?

Zdjął jej mokrą rękę ze swojej koszuli.

- Clarissa podpisała ze mną kontrakt. Nie muszę niczego z tobą wyjaśniać ani ustalać.

- Owszem, musisz. Naucz się czytać, Brady. Kontrakt mówi wyraźnie, że wszystkie terminy i daty ustala jej pełnomocnik. Czyli, do diabła, ja.

- Świetnie. Przyślę ci aktualny harmonogram. A teraz wybacz...

Popchnął drzwi, ale ona wpadła przed nim. Dwaj obecni w foyer elektrycy zamilkli i zamienili się w słuch.

- Jeszcze nie skończyłam!

- Ale ja tak. Spływaj, Fields, zanim siłą usunę cię z planu.

- Nie igraj ze mną, Brady, bo to źle się dla ciebie skończy.

Na początek moja klientka może zapaść na chroniczne zapalenie krtani, a jak nie spokorniejesz, zaczniesz się prawdziwa zabawa.

- Nie strasz mnie, A. J. - Złapał ją za klapy kostiumu. - Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. A teraz do widzenia. Ale jeśli koniecznie chcesz ze mną rozmawiać, proszę bardzo. Jutro, w twoim albo w moim biurze.

- Panie Brady, czekamy na pana na górze.

Jeszcze przez chwilę trzymał ją za klapy. Mierzyli się wściekłymi spojrzeniami. Chciał przyciągnąć ją bliżej i zmusić, by zmieniła się na twarzy, by gdzieś przepadł ten doprowadzający do szału grymas złości. Chciał zmiażdżyć jej

wargi swoimi, żeby nie mogła mówić, oddychać, walczyć z nim. Chciał zadać jej takie cierpienie, jakie stało się jego udziałem. Puścił ją tak nagle, że zatoczyła się do tyłu.

- Spływaj - rozkazał i odwrócił się, żeby wejść po schodach.

Odzyskała oddech w ciągu jednej chwili. Nie wiedziała, że może być tak wściekła.

- Pożałujesz tego, Brady!

Z furią popędziła za nim schodami.

- Dzień dobry, panno Fields, to miło, że pani do nas zajrzała. - Alex stał na górnym podeście i uśmiechał się do niej.

- Z panem też sobie porozmawiam - warknęła i pomaszerowała w głąb korytarza. Wpadła do pokoju zaledwie parę kroków za Dawidem.

I wtedy jakby dostała obuchem. Odebrało jej mowę. Zdrętwiała. Chłód przeniknął ją do szpiku kości.

Pomieszczenie było oświetlone i gotowe do zdjęć, ale ona nie widziała kamer, statywów i plątaniny kabli. Ujrzała tapetę, różowe róże na kremowym tle oraz wielkie łóżce z czterema postumentami w takim samym różowym odcieniu. Przy łóżku stał mahoniowy stolik z politurą wytartą na środku. Poczowała zapach świeżych i wilgotnych róż, które stały w przepięknym kryształowym wazonie na wypolerowanej woskiem mahoniowej toaletce.

I zobaczyła - znacznie więcej. I usłyszała.

- Zdradziłaś mnie. Zdradziłaś mnie z nim, Jessico.

- Nie! Nie, przysięgam. Nie zdradziłam. Na miłość boską, nie rób tego. Kocham cię. Ko...

- Kłamstwo, wszystko to kłamstwo! Ale więcej mnie nie okłamiesz.

Potem były krzyki, a na koniec zapadła stokroć gorsza cisza. Torebka A. J. z łoskotem upadła na podłogę, kiedy uniosła ręce, by zatkać uszy.

- A. J. - Dawid potrząsał nią za ramiona, obecni zaś w pokoju ludzie przerwali pracę i patrzyli ze zdumieniem. - Co ci jest?

Wyciągnęła ręce, by uchwycić się jego koszuli. Miała lodowate dłonie. Popatrzyła na niego, ale oczy miała zamglone i nieobecne.

- Ta biedna dziewczyna - powiedziała niewyraźnie. - O Boże, ta biedna dziewczyna.

Zbladła i trzęsła się, ale najgorsze były jej oczy, pociemniałe, szkliste i niewidzące, jakby wpadła w trans.

- A. J. - powiedział najspokojniej, jak mógł. - Jaka dziewczyna?

- Tutaj ją zabił. Tutaj, na łóżku. Rękami. Nie mogła już krzyczeć, bo ją dusił. A potem...

- A. J. - Ujął jej podbródek i zmusił, żeby poparzyła na niego. - Tu nie ma żadnego łóżka. Tu nie ma niczego.

- To... - Chwytała powietrze. Podniosła ręce do twarzy. Pojawiły się mdłości. Jak dobrze to znała... - Muszę stąd wyjść.

Wyrwała się i wypadła przez drzwi, zanim Dawid ją złapał.

- Dokąd biegniesz? - zapytał. Błyskawica rozjaśniła niebo i lunął deszcz.

- Muszę się dostać do... - Rozejrzała się wokół niewidzącym wzrokiem. - Wracam do miasta. Muszę się dostać z powrotem.

- Zawiozę cię.

- Nie. - Zaczęła się szarpać i wrywać, ale był silniejszy. - Mam samochód.

- W takim stanie nigdzie nie pojedziesz. - Dowłókł ją do swego auta. - Siedź i nie ruszaj się. - Zatrzasnął drzwiczki.

Zbyt słaba, żeby postąpić inaczej, A. J. zwała się na siedzenie. Drżała. Potrzebowała tylko chwili, żeby się pobierać. Nie wiedziała, ile to trwało, ale gdy wrócił Dawid, nadal drżała. Rzucił jej torebkę na tylne siedzenie, po czym okrył ją pledem.

- Poleciałem, by zajęto się twoim autem. Wieczorem będzie pod twoim domem. - Ruszyli zwirową drogą.

Deszcz bił o szyby, a ona siedziała zgarbiona pod pledem. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Czuję się już lepiej.

- Niby co? - Wyrównała oddech.

- Że jesteś jak twoja matka.

A. J. zwinęła się w kłębek, wtuliła głowę w ramiona i zaszlochała.

Do licha, a niby jakich miał użyć słów? Sklął w duchu ją, potem siebie i pognał przez deszcz. Wciąż szlochała. Przestraszyła go śmiertelnie, kiedy stała blada jak ściana i łapała

powietrze. Nigdy nie spotkał nikogo, kto by miał tak lodowate dłonie. Ale nigdy nie widział tego, co ona musiała zobaczyć.

Niezależnie od wątpliwości i krytycyzmu wobec laboratoryjnych testów, wróżbitów za pięć dolarów czy domorosłych jasnowidzów, wiedział, że A. J. zobaczyła i poczuła coś, czego nikt poza nią nie widział.

Co więc takiego zrobił? Co powiedział?

Plakała. Wyrzucała to z siebie. Nie było potrzeby sobie wymyślać ani złościć się za to, co się stało. Dawno temu pogodziła się z faktem, że czasami, wbrew jej woli, ta dziwna, pochodząca z zewnątrz moc opanowuje ją, a ona jest bezradna wobec niej.

Deszcz ustał, wyjrzało mdłe słońce. A. J. wyprostowała się w fotelu.

- Przepraszam.

- Nie czekam na przeprosiny, Auroro. Czekam na wytłumaczenie.

- Nie doczekasz się. - Wytarła mokry policzek. - Zawieź mnie do domu.

- Musimy porozmawiać i zrobimy to tam, skąd nie będziesz mogła mnie wykopać.

Była zbyt słaba, żeby się sprzeczać. Z głowę opartą o szybę nie protestowała, gdy minął zakręt do jej domu. Wjechali na wzgórze, wysoko nad miastem. Deszcz odświeżył i ożywił przyrodę i tylko kłębiąca się mgiełka nadal opasywała ziemię.

Skreślił na podjazd obok budynku z cedrowym gontem i długimi, wąskimi oknami. Wokół rozciągał się zadbane trawnik obramowany rzędami wiosennych kwiatów.

- Sądziłam, że mieszkasz w mieście.

- Tak było, ale uznałem, że muszę czymś oddychać. - Z tylnego siedzenia wziął jej torebkę i teczkę. A. J. wysupłała się z koca i wysiadła z auta. Nie zamieniając słowa, podeszli do frontowych drzwi.

Na ścianach wisiały obrazy, a na podłogach leżały puszyste tureckie dywany. Przeciągnęła ręką po wypolerowanej poręczy i pokonując kilka stopni, weszła do salonu. Dawid podszedł do kominka i podpalił szczapy.

- Powinnaś się przebrać w coś suchego - powiedział rzeczowo. - Łazienka jest na górze, na końcu korytarza. Na drzwiach wisi szlafrok.

- Dziękuję. - Poczowała się bardzo niepewnie. - Dawid, wcale nie musisz...

- Zaparzę kawę - powiedział i zostawił ją samą.

Zapatrzyła się w płomienie skaczące po dębowych polanach. Nigdy dotąd nie czuła się tak żalosna. Właśnie takiego odrzucenia spodziewała się po Dawidzie. Odrzucenia, z którym spotkała się już wcześniej i z którym musiała się uporać.

Walczyła ze łzami. Jesteś silna, możesz polegać na sobie, powtarzała w duchu. Nie będziesz rozpaczać z powodu Dawida Brady'ego czy innego mężczyzny. Unosząc dumnie głowę, A. J.

podeszła do schodów i weszła na górę. Weźmie prysznic, wysuszy ubranie, potem ubierze się i wróci do domu. A. J. Fields potrafi zatroszczyć się o siebie.

Gorący prysznic bardzo jej pomógł. Podręcznymi kosmetykami z torebki udało się poprawić makijaż. Starła się ignorować fakt, że szlafrok, który włożyła, pachnie Dawidem. Najważniejsze, że jest ciepły i okrywa jak należy.

Gdy zeszła na dół, salon nadal był pusty. Pomimo pewnych oporów, postanowiła obejrzeć wnętrze.

Korytarz wił się i zakręcał w najmniej oczekiwanych momentach. Gdyby nie wyjątkowa sytuacja, A. J. doceniłaby niepowtarzalny charakter domu. Zwróciłaby uwagę na ciekawą boazerię i na drewniane podłogi przykryte dywanami o skomplikowanych wzorach. Wreszcie dotarła do kuchni. Kawa pachniała niezwykle kusząco. A. J. wzięła się w garść i weszła do środka.

Dawid stał przy oknie. W rękę trzymał filiżankę kawy, ale jej nie pił. Coś kipiało na kuchni. Może o tym zapomniał. A. J. założyła ramiona na piersi i roztarta dłonie o rękawy szlafroka. Znowu poczuła zimno.

- Dawid?

Odwrócił się ku niej. Nie wiedział, jak się zachować, co powiedzieć. Wyglądała tak delikatnie i krucho...

- Kawa jest gorąca - powiedział. - Usiądź, proszę.

- Dziękuję. - Użyła maksimum woli, by zachowywać się

równie normalnie jak on, i usiadła na stołku przy śniadaniowym barku.

- Powinnaś coś zjeść. - Podeszedł do kuchni, żeby nalać kawy. - Zagrzałem zupę.

Czuła się coraz bardziej nieswojo.

- Nie musiałeś się dla mnie trudzić.

Napełnił zupą talerz i postawił go przed nią razem z kawą.

- To stary rodzinny przepis. Moja matka zawsze powtarza, że talerz zupy jest dobry na wszystkie dolegliwości.

- Wygląda wspaniale - wydusiła z siebie, zastanawiając się, dlaczego znów tak bardzo chce jej się płakać. - Dawid...

- Najpierw zjedz. - Zapalił papierosa i usiadł naprzeciwko niej. - Powinnaś to zjeść, a nie tylko przekładać kluski.

- Dlaczego mnie nie pytasz? - nie wytrzymała. - Na twoim miejscu zapytałabym, żeby mieć to z głowy.

Jest głęboko zraniona, uświadomił sobie. Cierpi, bardzo cierpi. Tylko dlaczego?

- Nie zamierzam cię przesłuchiwać, A. J.

- Nie? - Spojrzała na niego twardo i wyzywająco. - Przecież koniecznie chcesz wiedzieć, co mi się stało w tamtym pokoju.

Wypuścił dym i zgniótł papierosa.

- Oczywiście, że chcę. Ale myślę, że nie jesteś jeszcze gotowa, by o tym mówić.

- Ja nie jestem gotowa? - syknęła z ironią. - To ty nie jesteś gotowy, natomiast ja bez trudu mogę opowiedzieć, jak

wyglądała. Czarne włosy, niebieskie oczy, ubrana w bawełnianą suknię zapinaną na guziczki od szyi do dołu, a nazywała się Jessica. Miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy jej mąż udusił ją w ataku zazdrości, a następnie z rozpaczy zastrzelił się z rewolweru, który leżał na stoliku. Czy to właśnie chcesz mieć w swoim dokumentalnym filmie?

Szczegóły, zimny i opanowany sposób, w jaki mu je przedstawiła, wstrząsnęły nim. Kim właściwie jest ta kobieta, której tak bardzo pożądał?

- To, co ci się przydarzyło, nie ma nic wspólnego z filmem. Uważam natomiast, że powinniśmy zająć się tym, jak teraz na to reagujesz.

- Zwykle nad tym panuję. - Gwałtownie odsunęła talerz z zupą. - Jeden Bóg wie, od ilu lat nad tym pracuję. Gdybym nie była taka wściekła, kiedy tam wpadłam, najpewniej do niczego by nie doszło. Niestety, przez tę złość straciłam kontrolę nad sobą.

- Potrafisz to blokować.

- Na ogół tak. Przynajmniej w znacznym stopniu.

- Dlaczego tak robisz?

- Naprawdę uważasz to za dar, za jakieś błogosławione posłannictwo? - Gwałtownie odsunęła się od stołu. - Och, może tak jest w przypadku Clarissy. Nie ma w niej egoizmu, jest dobra z natury i żyje w zgodzie ze sobą.

- A ty?

- Nienawidzę tego! Nawet nie masz pojęcia, jak to jest, gdy ludzie gapią się na ciebie i coś szepczą. Jeśli jesteś inny, to znaczy że jesteś rąbnięty, a ja... - Urwała, pocierając skroń, i zaraz się uspokoiła. - A ja chciałam być normalna. Gdy byłam mała, miewałam takie sny... - Zaplotła palce i przycisnęła je do ust. - Były nieprawdopodobnie realne. Myślałam, że wszyscy śnią podobnie. Powiedziałam jednej z koleżanek, że ich kotka wkrótce się okoci i zapytałam, czy nie mogłabym dostać tego białutkiego. Po paru tygodniach kotka miała małe, a jedno z nich było całe białe. Niby drobiazg. Ktoś zgubił lalkę albo zabawkę, a ja mówiłam, że leży na górnej półce w szafie... Moi rówieśnicy przyjmowali to naturalnie, ale ich rodzice często reagowali gwałtownie i nerwowo. Dochodzili do wniosku, że lepiej trzymać swoje dzieci z dala ode mnie.

- A to boli...

- Bardzo boli. Clarissa pocieszała mnie i była naprawdę cudowna, ale strasznie bolało. Nadal miewałam sny, ale przestałam o nich myśleć. A potem umarł mój ojciec. - Wstała i mocno przycisnęła palce do oczu, jakby w ten sposób chciała powstrzymać emocje. Po chwili opuściła ręce. - Wiedziałam, że umarł. Był w podróży, obudziłam się w środku nocy i już wiedziałam. Wstałam i poszłam do Clarissy. Siedziała na łóżku, też nie spała i oplakiwała go. Nie musiałyśmy nic do siebie mówić. Położyłam się przy niej, i leżałyśmy tak, aż zadzwonił telefon.

- Miałaś wtedy osiem lat...

- Tak, osiem. Potem zaczęłam to w sobie blokować. Ilekroć coś czułam, starałam się to zahamować. Doszłam do takiej wprawy, że miałam coraz dłuższe okresy spokoju, raz nawet dwa lata. Ale kiedy wpadam w złość, w ogóle z jakichś powodów przestaję nad sobą panować, znowu wszystko wraca.

- A teraz ja cię zdenerwowałam. Odwróciła się i wreszcie spojrzała na niego.

- Na to wygląda.

To była jego wina. Nie wiedział, co z tym począć.

- Powinienem cię przeprosić.

- Jesteś, jaki jesteś, i nie zmienisz się, tak jak ja nie przestanę być sobą.

- Auroro, rozumiem, że pragniesz nad tym zapanować, kontrolować swój dar, bo przeszkadza ci w codziennym życiu, dlaczego jednak uważasz, że musisz to z siebie wykorzenić jak jakąś chorobę?

Uznała, że skoro powiedziała już tyle, mogła wyznać wszystko.

- Kiedy miałam dwadzieścia lat i rozpaczliwie się miotalam, próbując rozkręcić biznes, spotkałam faceta. Miał kiosk na plaży, wypożyczał deski surfingowe, sprzedawał płyny i balsamy kosmetyczne. W każdej chwili mógł to rzucić i pofrunąć w świat, zresztą z zasady nie przemęczał się, tylko czerpał z życia, ile się da. Dla odmiany ja pracowałam po dziesięć, dwanaście godzin

na dobę, z trudem radziłam sobie z życiem i z sobą... I oto poznałam kogoś, kto żył po luzacku, miał niewielkie potrzeby, cieszył się swobodą, po prostu był wolnym duchem. Zafascynował mnie. Nigdy dotąd nie zainteresowałam się na poważnie żadnym mężczyzną, nie miałam na to czasu. A on powalił mnie z nóg. Był zabawny, niezbyt wymagający, lubił się wygłupiać. Zanim się zorientowałam, byliśmy już prawie zaręczeni. Kupił mi nawet małe pierścienie, obiecując diamenty i szmaragdy, gdy nam się powiedzie. Sądzę że mówił to poważnie. - Zaśmiała się cicho. - W każdym razie poczułam, że jeżeli się pobierzemy, nie będziemy mogli mieć przed sobą tajemnic.

- Nie powiedziałaś mu?

- Nie od razu. Ale kiedy przedstawiłam go Clarissie, uznałam, że nadszedł czas, by wyznać prawdę - powiedziała bezbarwnym tonem. - Był przekonany, że to żart, taki swoisty sprawdzian. A potem popatrzył na mnie tak jakoś... - Zamilkła, jakby nie chciała rozdrapywać z trudem zabliźnionej rany.

- To przykre.

- Powinnałam się była tego spodziewać. Nie pokazywał się przez parę dni. Poszłam do niego, by wykonać pompatyczny gest, czyli zwrócić mu pierścienie. Teraz, gdy wspominam, jak unikał mojego wzroku, jak trzymał się na odległość, nawet mnie to śmieszy. - Popatrzyła na Dawida z niepewnym uśmiechem. - Cóż, byłam dla niego zbyt pokręcona.

I nadal jest zraniona. Ale nie wyciągnął do niej ręki. W ogóle nie wiedział, jak się zachować.

- Niewłaściwy mężczyzna w niewłaściwym czasie. Potrząsnęła energicznie głową.

- To ja byłam niewłaściwą kobietą. Od tamtego czasu przekonałam się, że uczciwość i szczerść nie zawsze popłacają. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby dowiedzieli się o tym moi klienci? Jedni by uciekli z krzykiem, a inni błagaliby mnie, bym kierowała ich karierą, korzystając ze swych wieszczych mocy... albo bym leciała nimi do Vegas i podpowiadała, jakie numerki mają obstawić na ruletce.

- Dlatego nie afiszujecie się z Clarissa waszym pokrewieństwem, a ty maskujesz resztę.

- Zgadza się. - Sięgnęła po zimną kawę i wypila do dna. - I do dzisiaj wszystko szło jak z płatka.

- Powiedziałem Samowi, a ten przekazał to dalej, że rozmawiałem z tobą o morderstwie, które wydarzyło się w tamtym pokoju, i kiedy tam weszłaś, doznałaś szoku. - Dolał jej kawy. - Uznano, że masz wybujałą wyobraźnię i jesteś nadwrażliwa, ale to wszystko.

Zamknęła oczy. Nie spodziewała się po nim takiej wrażliwości.

- Dziękuję.

- To jest twoja tajemnica, chyba że sama zdecydujesz ją ujawnić.

- Dawid... jak się poczułeś, kiedy zrozumiałeś, w czym rzecz? Nieswojo? Niewygodnie? Cały czas obchodzisz mnie na palcach...

- Być może. - Sięgnął po papierosa i zaraz wsunął go z powrotem do paczki. - Tak, czuję się nieswojo. To dla mnie coś kompletnie nowego i niepokojącego. Zadawać się z kobietą, która może w każdej chwili zajrzeć w głąb twojej duszy. .. a przecież wszyscy mamy swoje tajemnice.

- Masz rację, Dawidzie, to bardzo niepokojące. - Wstała. - Człowiek ma prawo chronić siebie. Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. Moje ubranie na pewno już wyschło. Przebiorę się, a ty wezwij taksówkę.

- Nie. - Również wstał i zatarasował jej drogę.

- Nie utrudniaj sprawy ani mnie, ani sobie.

- A jeśli, do licha, mam ochotę? Nic na to nie poradzę. Czuję się przy tobie nieswojo. - powtórzył. - Od początku. I nadal cię chcę, Auroro. I tylko to się liczy.

- Później zmienisz zdanie. Przyciągnął ją do siebie.

- Czytasz w moich myślach?

- Nie żartuj.

- Może najwyższy czas, żeby ktoś zaczął żartować. Gdybyś chciała zajrzeć w moje myśli, przekonałabyś się, że dotyczą wyłącznie jednego: chcę cię wziąć na górę, do mojego łóżka.

Serce zaczęło jej bić jak szalone.

- A jutro?

- Do diabła z jutrem. - Wpił się w jej usta. - Do diabła ze wszystkim, poza tym, czego oboje chcemy. Nie wrócisz na noc do domu, Auroro.

Postanowiła zaryzykować.

- Nie, nie wrócę.

ROZDZIAŁ 7

Świecił księżyc, delikatnie i słodko pachniały hiacynty, szum wody w strumieniu, torującym sobie drogę w lesie koło domu, był cichy i kojący. Gdy wchodziła do sypialni Dawida, miała napięte mięśnie.

Na ścianie wisiał obraz. Wiedziała, jaki będzie - jaskrawe, zmysłowe pociągnięcia pędzla na białym płótnie. Po raz pierwszy zadrzała, gdy odwróciła głowę i zobaczyła swoje zamazane odbicie, nie w lustrze, ale w wysokich przeszklonych drzwiach.

- Śniło mi się to - powiedziała niemal bezgłośnie, cofając się. Czy próbowała wrócić w sen, czy był to krok ku rzeczywistości? A może nie było między nimi różnicy? Spłoszona, stała w miejscu. Czyżby nie miała już wyboru? - Nie tego szukam...

Odwróciła się, by uciec, by zachować wolność. Ale zagroził jej drogę, przyciągnął do siebie, a ona wiedziała, że tak zrobi.

Popatrzyła na niego tak, jak to zrobiła w tamtym śnie. Jego twarz znajdowała się w cieniu i była równie nieostra jak jej twarz w lustrze. Ale oczy były wyraźne, jaśniejące w świetle księżyca. Także jego słowa były wyraźne i pełne pożądania:

- Nie możesz ciągle uciekać, Auroro, ani ode mnie, ani od siebie.

Niecierpliwie zamknął jej usta pocałunkiem. Jej niepewność i niezdecydowanie poruszyły najciemniejszą,

najbardziej pierwotną stronę jego natury. Żądać, brać, osiąść. Zabrakło miłego uwodzenia i wyczekiwania, jak działo się to z innymi kobietami, pozostała tylko pałaca, niemal wściekła żądza.

Jego usta były złaknione, ręce mocne. Napierał na nią całym ciałem. Trzymał ją tak, jakby zamierzał ją wziąć bez przyzwolenia. A przecież wiedziała, zawsze to wiedziała, że ostateczny wybór należy do niej. Może zgodzić się albo odmówić, a ta decyzja, podobnie jak kamyk rzucony na spokojną wodę, zmąci jej życie. Z każdą upływającą sekundą przyjemność wzbierała, aż w końcu jęknęła z rozkoszy, podniosła ręce do jego twarzy i ustąpiła.

To tylko namiętność, powiedziała sobie. Tej nocy, i tylko tej nocy, pozwoli się jej prowadzić. Narastające pożądanie nie ma nic wspólnego z marzeniami, nadziejami i pragnieniami.

Poczuł, że należy do niego. Wprawdzie oczekiwał uległości, lecz Aurora okazała się równie nienasycona jak on. Nie było miejsca na powolną grę miłosną, spełnienie miało być równie bolesne, co dające ostateczną rozkosz. Oboje o tym wiedzieli i akceptowali.

Zerwał z niej szlafrok i wargami powędrował wzdłuż szyi, wzniecając ogień. Kłujące policzki drapały, a ona przyjęła to z aprobatą. Chciał zadawać katusze, chciał dominować, ale ona mu dorównywała, witając każdy ruch z równą siłą. Nie zamierzała ulec, zamierzała go osiąść.

Rozerwała guziki koszuli, odkryła tors Dawida, brutalnie obnażyła go do końca.. Miał prężne ciało i napięte mięśnie. Był męski i silny, lecz ona była silniejsza. Gdy on był tylko ślepą mocą dążącą do spełnienia, ona przejęła jego pożądanie, wzmocniła się tą siłą - i stała się równie bezwzględna jak on. Świadomie robiła wszystko, żeby zatracił się w bezrozumnym pędzie, natomiast ona kierowała jego ruchami, dla swojej rozkoszy ujarzmiła drapieżną samczą potęgę.

Łóżko przypominało pole bitewne, pełne ognia, namiętności i nienawiści. Wreszcie Aurora uznała, że może porzucić wszelką myśl i z szaleńczym wyuzdaniem oddała się tym pragnieniom, które w niej tkwiły uśpione od lat.

Gdy jednak przydusił ją całym swym ciężarem, gdy unieruchomił jej dłonie i parł ku zawłaszczającemu spełnieniu, krzyknęła jakieś okropne, obelżywe słowa. Zawahał się na moment, zdumiał, i wtedy z nadludzką mocą wyrwała się spod niego, przewaliła go na plecy i dosiadła niczym dzika, szalejąca furią seksu bachantka.

Uległ jej, porażony ogromem pierwotnej namiętności i siłą kruchego ciała. A potem znów wziął nad nią górę, i znów spotkał się z nieokiełznanym, pełnym agresji protestem.

Ta wojna mogłaby trwać aż do kompletnego wyczerpania, gdyby wreszcie nie przedarli się przez swoje egoizmy. Nie rezygnując z siebie, odnaleźli wspólną drogę ku spełnieniu. Nie było tu miejsca na delikatność, na czułe słówka, przysięgi i

zakłęcia. Dwie moce gnały ku najwyższej rozkoszy - i tylko to się liczyło.

Kim jesteś? - myślał jak przez mgłę.

Doprowadzała go do szaleństwa przez swą namiętność, ale nie uległość, przez kruchość ciała, które miało w sobie tak wielką zdobywczą siłę. Gdy Aurora zrzuciła z siebie maskę opanowania, stała się samą dzikością, której nie sposób sobie podporządkować, z którą tylko wybrani mogą współistnieć. Bo dla innych to zguba, to ztrata.

Czy był tym wybranym?

Nie wiedział. Po raz pierwszy w swym życiu czuł się tak niepewnie.

Lecz pożądanie znów wzięło górę. Porzucił wszelką myśl i oddał się szaleństwu, o istnieniu którego nie miał dotąd pojęcia. Nie mógł zmarnować tego daru. Spieszył się, bo nie wiedział, co przyniesie ranek.

A ona jak przez mgłę pomyślała, że to nie sen, tylko prawda. Ta walka, która jest tyleż bolesna, co słodka, ciało, które aż tyle pragnie i tak wiele może...

Dusza, która ulatuje w świetliste mroki...

I nie będzie gorzkiego przebudzenia, bo to jawa!

Wreszcie padli wyzbyci z sił, nasyceni i pokonani.

A. J. znów zobaczyła światło księżyca. Zobaczyła też twarz Dawida zanurzoną w jej włosach. Oddychał równo jak ona, powracał do siebie jak ona. Nadal ją obejmował, lecz wiedziała,

że trzeba przywrócić dystans. Zabrakło jej jednak na to woli.

To była tylko namiętność, powtórzyła sobie, potrzeba, która została zaspokojona. Pora się odsunąć, oddalić. Ale tak bardzo tego nie chciała. Teraz, już wyciszona i spokojna, pragnęła powiedzieć coś czułego i zostać przy Dawidzie aż do wschodu słońca.

Wiedział już z całą pewnością, że nie znał dotąd kobiety, która tak potężnie by na niego działała. Pragnął obudzić w niej namiętność, ale to, co się stało, wykroczyło poza wszelkie wyobrażenie. Dopiero Aurora nauczyła go, czym jest prawdziwa miłość. Był od niej stokroć bardziej doświadczony, lecz jakie to miało znaczenie? Była mocą dzięki której wyzwoliła się jego prawdziwa moc. Była cudowna i niezwykła, a zarazem przerażająca Mimo że zaspokoił swe pożądanie, nadal boleśnie jej pragnął. W głębi swego jestestwa był nienasycony, i wiedział już, że tak będzie zawsze.

Kiedy zadrżała, przyciągnął ją bliżej.

- Zimno?

- Zrobiło się chłodno. - To brzmiało sensownie, prawdziwie. Nie powie mu przecież, że cała wciąż pulsuje i pragnie.

- Zamknę okna.

- Nie. - Znów mogła słuchać szumu wody, wdychać zapach hiacyntów. Nie chciała tracić tych doznań.

Gdy z troską przykrywał ją kołdrą, w przyćmionym świetle dostrzegł smugi na jej ramieniu. Przyjrzał się im dokładnie.

- Nie byłem zbyt delikatny... A. J. zerknęła w dół.

- Wet za wet, też musisz lizać rany... Uśmiechnęli się do siebie tak jakoś zupełnie wyjątkowo.

- Oboje działaliśmy ostro. Mocno Skubnęła go zębami w ramię.

- Chcesz się poskarżyć szeryfowi? - Ponownie go ugryzła. - Mniam, mniam...

Znowu go zaskoczyła. Może właśnie przyszedł czas na parę niespodzianek w jego życiu? I w jej?

- Nie, jeśli i ty się nie poskarżysz. - Gwałtownie opadł na nią i jedną ręką unieruchomił jej dłonie nad głową.

- Zaczekaj, Brady...

- Podobają mi się takie zawody, A. J.

- Pod warunkiem, że masz przewagę - mruknęła, a gdy zaczął skubać płatek jej ucha, znów zadrżała.

Trzymając jej ręce, czuł, jak coraz szybciej bije jej puls. Pożądanie znów brało nad nim władzę.

- Milady, pragnąłbym wykorzystać panią w bardziej cywilizowany sposób. Mamy przed sobą całą noc.

- Nie mogę tutaj zostać do rana - syknęła ze złością.

- Już tutaj jesteś. - Przesunął po niej wolną ręką od biodra do piersi.

- Nie mogę zostać.

- Dlaczego?

Ponieważ pozwolić, by tłumiona namiętność znalazła swe

ujście, to jedno, a cała noc spędzona z Dawidem, to całkiem inna sprawa.

- Bo tak się składa, że muszę jutro pracować - zaczęła bez przekonania. - 1...

- Podrzucę cię rano do twojego mieszkania, żebyś się mogła przebrać.

- Muszę być w biurze o wpół do dziewiątej.

- Wstaniemy wcześniej, o ile w ogóle będziemy spać. - Pochylił głowę i delikatnie pocałował A. J.

- Nie spędzam nocy z facetami.

- Raz zrób wyjątek. - Powędrował ręką wyżej, aż dotarł do jej szyi.

- Dlaczego?

Miał w zanadrzu szybkie, przekonujące odpowiedzi. I wszystkie równie prawdziwe. Może dlatego wybrał inną drogę.

- Nie skończyliśmy jeszcze ze sobą, Auroro. Jeszcze nie. Miał rację. A pragnienie wielkim głosem domagało się zaspokojenia. To mogła jeszcze zaakceptować. Ale nie będzie akceptować presji ani uwodzenia. Tylko na moich warunkach, zarzekła się w duchu. To by jeszcze jakoś usprawiedliwiło jej pierwsze ustępstwo.

- Puść moje ręce, Brady - powiedziała szorstko, patrząc mu prosto w oczy.

Zrobił, jak kazała, i czekał. Tylko to mu pozostało. Aurora była kompletnie nieprzewidywalna. Mogła zerwać się z łóżka,

wrzucić na siebie ubranie i wybiec w ciemną noc. Mogła kazać mu iść do salonu i samotnie wyspać się do rana w jego łóżku. Mogła też...

Wyśliznęła się spod niego, usiadła. Patrzyła na niego z góry, uważnie, z powagą.

- Nawet nie wiesz, co cię czeka - powiedziała chrapliwie. - Nie zamierzam spać tej nocy. I ty też nie zmrużysz oka.

Gdy A. J. obudziła się z płytkiej drzemki, w pokoju nadal panowała ciemność. Bolały ją mięśnie. Wyciągnęła się, a następnie obróciła się, by spojrzeć na świecącą tarczę swojego budzika. Nie było go tam. Zaspana, przetarła oczy i popatrzyła jeszcze raz.

No tak, przecież nie jest u siebie. Jej zegarek, mieszkanie i łóżko są daleko stąd. Znów się odwróciła i zobaczyła, że miejsce obok niej jest puste. Dokąd poszedł Dawid? - zastanawiała się, spuszczać nogi na podłogę. I która może być godzina?

Straciła poczucie czasu, lecz już pora, by wrócić do rzeczywistości.

Ta noc nie należała do tego świata, bo nie ma w nim miejsca na coś równie ekscytującego i szalonego. A zarazem należała do niego, bo przecież się wydarzyła. Jej obolałe ciało mówiło o tym wyraźnie, czuła też na sobie zapach Dawida...

Działo się więc naprawdę, ale poza rzeczywistością. Bo ona jest teraz, gdy trzeba stawić czoło porankowi.

Och, pragnęła tej nocy i wszystko stało się zgodnie z jej

wolą. Nie powinna więc niczego żałować ani czynić sobie wyrzutów. Jeśli złamała jedną ze swoich zasad, zrobiła to świadomie.

Ale noc się skończyła.

Włożyła szlafrok. Najważniejsze, to nie robić z siebie idiotki, tylko zachowywać się jak na dojrzałą kobietę przystało. Nie będzie przymilać się, przytulać i udawać, że między nimi było coś więcej niż seks. Jedna namiętna noc, i wszystko.

Przytknęła policzek do kołnierza szlafroka i trwała tak przez chwilę, wdychając zapach. Po czym, ściągając pasek, opuściła sypialnię i zaczęła schodzić na dół.

W salonie panował mrok, ale przez szyby przebijały już pierwsze promyki światła. Dawid stał przy oknie i patrzył gdzieś w dal, w kominku trzaskały świeżo zapalone drewnienka. A. J. doznała wrażenia, że dzielący ich dystans jest jak krater - głęboki, przepastny, chropowaty.

- Dzięki temu oknu mogę oglądać wschody słońca. - Zapalił papierosa i zaciągnął się nim mocno. - Za każdym razem widok jest inny.

Nigdy by nie przypuszczała, że tak bardzo przeżywa wciąż powtarzający się cud narodzin dnia. Tak jak nigdy by nie przypuszczała, że może się zaszyć w samotnym domu na wzgórzach. Co tak naprawdę wie o mężczyźnie, z którym spędziła noc?

- Gdy czeka mnie szczególnie trudny dzień, wstaję przed

świttem, by patrzeć na narodziny słońca. Wtedy łatwiej znoszę to, co mnie później spotyka.

- Dzisiaj ma być ten szczególnie trudny dzień? Odwrócił się i spojrzał na nią. Była bosa i miała trochę podkrążone oczy. Mimo nieco za dużego szlafroka wydała mu się bardziej kobieca, bardziej... przystępna niż zwykle. Nie na tyle jednak, by mógł jej powiedzieć, że znalazł się w samym środku kryzysu.

- Nie za wiele rozmawialiśmy tej nocy.

- Nie. Ale przecież nie chodziło nam o konwersację - mruknęła, by uciąć dyskusję, do której nie była przygotowana - Idę się przebrać. Muszę być wcześniej w biurze.

- Auroro... Co poczułaś, kiedy po raz pierwszy przyszedłem do twojego biura?

- Posłuchaj... - Patrzyła mu prosto w oczy. - Jestem osobą skrytą, a jednak opowiedziałam ci o sobie więcej niż komukolwiek innemu. Nie zmuszaj mnie, bym zaczęła tego żałować. A teraz liczy się tylko to, że spieszę się do pracy - mruknęła i zaczęła iść po schodach.

- Masz zwyczaj uciekać, Auroro.

- Nie uciekam. - Odwróciła się gwałtownie. - Po prostu nie widzę powodu, żeby to wałkować. To sprawa osobista. Moja sprawa.

- Ale dotyczy również mnie - stwierdził spokojnie. - Weszłaś wczoraj do mojej sypialni i powiedziałaś, że ci się to śniło. Czy tak?

- Tak... - przyznała niechętnie. - Nie kontrolujemy naszych słów, co innego świadoma myśl.

- Opowiedz, co ci się śniło.

- Ta rozmowa mnie męczy... Naprawdę musisz to wiedzieć?

- Muszę.

- A więc dobrze... Śnił mi się ten pokój. Mogłabym go opisać, zanim tu się znalazłam. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Wystarczy? Czy zamierzasz przeświecić mnie na wylot? Teraz czy trochę później?

Zignorował jej drwiący ton.

- Wiedziałaś, że zostaniemy kochankami.

- Tak - przyznała obojętnie.

- Wiedziałaś - powtórzył. - I to cię przeraziło. Dlaczego?

- Nie przeraziło, tylko zdenerwowało. Nie chciałam iść do łóżka z facetem, który od razu wydał mi się wścibski i dominujący, czyli, innymi słowy, nieznośny. Czy to ci wystarczy?
- warknęła.

- To może wywołać niechęć, ale ty się mnie boisz. Nie kłam, że tak nie jest. Bałaś się tamtego wieczoru w limuzynie, bałaś się wczoraj, gdy weszłaś do sypialni.

- Nie przesadzaj, aż taki demoniczny nie jesteś - zadrwiła.

- A jednak się bałaś. - Podszedł bliżej i dotknął jej policzka.

- Teraz też się boisz.

- Nie bądź śmieszny - prychnęła. - Po prostu usiłujesz przycisnąć mnie do muru, a ja tego bardzo nie lubię. Spę-

dziliśmy razem noc, i co z tego? Jesteśmy dorośli, nasz wybór, nasza wola. Ale to cię nie upoważnia do wtykania nosa w cudze sprawy.

Miała rację. Właśnie złamał jedną z najważniejszych zasad, jakimi kierował się w życiu, czyli święte prawo do prywatności.

- Niby masz rację...

- Niby? - zadrwiła. - Czekam więc na „ale”.

- Ale widziałem, w jakim wczoraj byłaś stanie.

- Było, minęło, a ty nie jesteś moją niańką - syknęła. - I nie patrz tak na mnie, to nie była cyrkowa sztuczka!

- Nie imputuj mi czegoś, czego nawet nie pomyślałem! - Tym razem, gdy chwycił ją za ramiona, nie zaprotestowała. - Nic nie poradzę, że są ludzie, którzy tak na ciebie reagują, ale ja do nich nie należę. Auroro, spędziliśmy razem noc, a ja nawet nie wiem, kim jesteś. Boję się ciebie dotknąć, żeby czegoś nie rozpętać, a jednocześnie nie mogę utrzymać przy sobie rąk. Zszedłem na dół, bo gdybym poleżał przy tobie jeszcze sekundę, wziąłbym cię znów, nawet we śnie.

Gwałtownie złapała go za rękę.

- Czego ty ode mnie chcesz?! - zawołała. - Do diabła, mów szczerze, czego ode mnie chcesz?

- Nie wiem... - powiedział cicho. - Nie rozumiem siebie, nie rozumiem ciebie - dodał bezradnie. - Potrzebuję czasu.

- Masz rację. Czas, dystans, tego nam potrzeba. - Nagle poczuła, jakby coś traciła. Ale nie mogła poddać się

niekontrolowanym emocjom. - Dawidzie, ja...

- Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego. Ta noc była niezwykła. - Przyciągnął ją i posadził na stopniu obok siebie. - Byłem zbyt oszołomiony, by się nad tym zastanowić, dopiero przez ostatnią godzinę co nieco przemyślałem. - Nie rozluźniła się, gdy ją objął ramieniem, ale i nie odsunęła. - I wiem jedno. Pragnę lepiej poznać kobietę, z którą zamierzam spędzić dużo czasu, z którą chcę się kochać.

Zwróciła się w jego stronę.

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele - stwierdziła chłodno, oficjalnie. - Nie masz ku temu żadnych podstaw.

- Wiem, A. J. Wiem też, że stąpamy po cienkim lodzie...

- Zgadzam się. To równanie ma zbyt wiele niewiadomych, by dało się rozwiązać.

- Jest jednak coś, czego niewiadomą z całą pewnością nazwać nie możemy.

- To znaczy?

- Pragniemy siebie, Auroro.

- To niewiele.

Dotąd uważał inaczej, ale musiał się z tym zgodzić, bo taka była prawda Aurory.

- Tak, niewiele - stwierdził szczerze. - Proponuję więc, byśmy na początek tym się zadowolili.

Może ma rację.

- Tylko żadnych obietnic - stwierdziła stanowczo.

- Żadnych obietnic.
- I żadnego mieszania biznesu z życiem prywatnym.
- Absolutnie.
- I jeśli ktoś z nas uzna, że ten układ mu nie pasuje, rozchodzimy się bez scen i pretensji.
- Zgoda. Chcesz to na piśmie? Uśmiechnęła się nieznacznie.
- Nie zaszkodziłoby. Producenci są znani z tego, że nie dotrzymują słowa.
- Agenci słyną z cynizmu.
- Raczej z przezorności. W końcu płacą nam za to, żebyśmy byli cwanymi draniami. A propos, nie dokończyliśmy naszej rozmowy o interesach Clarissy.
- To nie są godziny pracy. - Ujął jej rękę i podniósł ją do ust.
- Nie zmieniaj tematu. Musimy dopracować szczegóły. I to dzisiaj.
- Między dziewiątą a piątą.
- Dobra, zadzwoń do biura i... O Boże.
- Co?
- Moje wiadomości. Ani razu ich nie przesłuchałam.
- A myślałem, że stało się coś strasznego.
- Nie żartuj. Byłam w pracy tylko przez dwie godziny. Na pewno będę musiała poprzestawiać spotkania. Gdzie jest telefon?

- Poświęć mi jeszcze chwilę.

- Dawid, ja nie żartuję...

- Ja też nie. - Uśmiechając się, wsunął rękę pod szlafrok i rozsunął go. Poczowała, jak miękną jej kolana.

- Dawid. - Odwróciła głowę, chcąc uniknąć jego pocałunku, ale nie pomyślała, że jej szyja także jest nad wyraz wrażliwa. - To potrwa tylko chwilę.

- Mylisz się. - Poluzował pasek u szlafroka. - Zamierzam zająć ci więcej czasu.

- Wiem tylko, że mam służbowe śniadanie.

- Wiem, że do południa nie masz żadnego spotkania. Oboje natomiast wiemy, że chcemy się kochać.

- Muszę najpierw... - zaczęła, zanim ją pocałował.

- A. J., potem...

Szlafrok zsunął się na podłogę.

ROZDZIAŁ 8

Powinna czuć się usatysfakcjonowana i odprężona. Jej stosunki z Dawidem - a minęło dziesięć dni od ich pierwszej nocy - układały się gładko. Gdy czas na to pozwalał, razem spędzali wieczory. Przechadzali się po plaży, wpadali do restauracji lub szykowali kolację w domowym zaciszu. Namiętność, która ich połączyła, nie zmaląła ani trochę. Przeciwnie, Dawid pożywał jej tak desperacko, jak tylko mężczyzna może pożywać kobiety. Tego była absolutnie pewna, w przeciwieństwie do wielu spraw, co do których miała coraz więcej wątpliwości.

Powinna czuć się odprężona, a była nieludzko spięta.

Codziennie musiała odbudowywać warstwę ochronną, która była jej drugą skórą. Powtarzała sobie, że niezobowiązująca miłosna przygoda nie powinna wzbudzać aż takich emocji, a jednak z dnia na dzień czuła się coraz bardziej zaangażowana i bezbronna. Żadnych zobowiązań, żadnych wyznań. To były jej warunki. Chciała być gotowa, gdy Dawid się od niej odsunie.

A nie była, choć wiedziała zarazem, że prędzej czy później do tego dojdzie. Zbyt gorąca namiętność musi się kiedyś wypalić, a poza łóżkiem niewiele ich łączyło. A. J. była przekonana, że im dłużej się znali, tym dystans się powiększał. Czytali inne książki, woleli inne filmy. Dla własnego bezpieczeństwa wolała być przygotowana na najgorsze.

Na płaszczyźnie zawodowej czuła się pewniej. Wynegocjowała korzystniejsze warunki umowy. Wprawdzie za większy udział Clarissy w dokumencie nie zażądała dodatkowych pieniędzy, lecz w zamian za to na Dawida spadł obowiązek wypromowania jej nowej książki, która miała się ukazać w połowie lata.

Clarissa, jak miała to w zwyczaju, prawie się tym nie interesowała. Zajęta była swoimi roślinami, przepisami kulinarnymi i, ku konsternacji A. J., planowaniem wesela.

- Co myślisz, Auroro, o przyjęciu w ogrodzie? - zapytała, gdy dojeżdżały do studia. - Boję się tylko, żeby azalie nie zwiędły. I żeby nie padało. Czerwcową pogodą lubi płać figle.

- Musimy nacisnąć wydawnictwo - A. J. zmarszczyła brwi - o kilka egzemplarzy twojej książki. Zanim zacznie się dystrybucja, trzeba je wysłać do Book Talk, a także w kilka innych miejsc, by w odpowiednim czasie ukazały się recenzje. Co powiedziałaś? Czerwiec? Ależ to już za miesiąc!

- No właśnie. Sama rozumiesz, że mam tysiące spraw nagłowie!

- Jeszcze niedawno planowałaś ślub na jesień! - A. J. zaparkowała energicznie.

- Tak chciałam, bo w październiku moje chryzantemy są najpiękniejsze, ale Alex... - Spłonęła rumieńcem. - Alex jest trochę niecierpliwy. Nie znam się na samochodach, Auroro, ale o ile wiem, nie zostawia się kluczyka w stacyjce.

- Jak zwykle masz rację, mamusiu - mruknęła zgryźliwie. - Nie zapominaj, że szykujesz się do ślubu z facetem, którego prawie nie znasz. Spotykacie się zaledwie dwa miesiące!

- Uważasz, że czas jest aż tak ważny? - Clarissa uśmiechnęła się słodko. - Liczą się uczucia.

- Uczucia się zmieniają - Pomyślała o Dawidzie, o sobie.

- W życiu nic nie jest pewne, kochanie. Nawet dla takich ludzi jak ty i ja.

- I to mnie niepokoi. - Postanowiła porozmawiać z Alekssem Marshalllem. Matka zachowuje się jak nastolatka, więc ktoś musi okazać trochę rozsądku.

- Naprawdę nie masz powodu do niepokoju - powiedziała Clarissa, wysiadając z samochodu. - Wiem, co robię, ale jeśli koniecznie chcesz, oczywiście możesz porozmawiać z Alekssem.

- Mamo - jęknęła A. J. - Po pierwsze mam się czym niepokoić, a po drugie, jak się umówiliśmy, czytanie w myślach jest niedozwolone.

- Och, Auroro, nawet nie muszę tego robić, wystarczy spojrzeć na twoją twarz. Jak ja wyglądam? A włosy? Są w porządku?

A. J. odwróciła się i pocałowała matkę w policzek.

- Wyglądasz pięknie.

- Och, mam nadzieję - zaśmiała się nerwowo Clarissa.

Zbliżały się do drzwi studia. - Obawiam się, że stałam się ostatnio zbyt próżna. Ale Alex jest taki przystojny, prawda?

- Tak - przyznała A. J. bez entuzjazmu. Jest przystojny i nadzwyczaj sympatyczny. Wolałaby znaleźć w nim trochę wad.

- Clarissa. - Ledwo weszły do środka, gdy w holu pojawił się Alex. Zachowywał się, jakby podchodził do drogiego skarbu. - Pięknie wyglądasz.

Ujął dłonie narzeczonej i popatrzył na A. J., jakby się bał, że zaraz uprowadzi matkę i ukryje ją na antypodach.

- Zamierzałem przywieźć Clarissę do studia - powiedział.

- Och, A. J. rozpieszcza mnie jak mało kto - wtrąciła Clarissa.

- Zaczekaj chwilę, a ja sprawdzę, czy wszystko gotowe. - W drzwiach studia A. J. omal nie zderzyła się z Dawidem.

- Dzień dobry, panno Fields. - Oficjalnemu powitaniu towarzyszyło muśnięcie palcami jej nadgarstka. - Znowu będziesz siedzieć?

- Nie siedzę, tylko dbam o moją klientkę, Brady. Ona jest...

- Kiedy zerknęła przez ramię, słowa uwięzły jej w gardle. Pośrodku holu jej matka oddawała się namiętnemu pocałunkowi.

- Twoja klientka jest otoczona ludźmi, którzy w nadzwyczajny sposób troszczą się o nią - zaśmiał się Dawid. Kiedy A. J. nie odpowiedziała, wypchnął ją z holu do małego pokoju przy sali nagrań. - Może usiądziesz?

- Nie. Muszę...

- Pomyśleć o własnych sprawach.

- Tak się składa, że ona jest moją matką - powiedziała poirytowanym głosem.

- No właśnie. - Podszedł do maszynki i nalał dwa kubki kawy. - A nie twoją podopieczną.

- Nie będę tak tutaj stać, podczas gdy ona...

- Miło spędza czas? - Podał jej kawę.

- Ona nie myśli. - Jednym łykiem wypła pół kubka. - Jedzie na emocjach, jest zauroczona. I jest...

- Zakochana.

A. J. dopiła resztę kawy, po czym cisnęła kubek w stronę kosza na śmieci.

- Nie cierpię, kiedy mi przerywasz.

- Wiem. - Uśmiechnął się szeroko. - Może byśmy spędzili dzisiaj miły, spokojny wieczór u ciebie w domu?

- Dawidzie, Clarissa jest moją matką i bardzo się o nią niepokoję. Powinnam...

- Bardziej skoncentrować się na sobie. - Położył ręce na jej biodrach. - I na mnie. - Mocnym, zdecydowanym ruchem przejechał nimi wzdłuż jej pleców. - Powinnaś także bardziej zatroszczyć się o mnie.

- Chcę, żebyś...

- Staję się ekspertem od twoich zachcianek. - Wargami musnął jej usta.

Dużo słabsza, niżby tego chciała, podniosła ręce do jego piersi.

- Dawidzie, chyba się umawialiśmy. Jesteśmy w pracy.

- Zaskarż mnie. - Ponownie ją pocałował, kusząc i pieszcząc, kiedy wsunął ręce pod jej zakiet. - Co pod tym nosisz, A. J.?

- Cholera! - Złapała się na tym, że kołysze się kusząco.

- Dawid, mówię poważnie. Umówiliśmy się przecież. - Znów ją delikatnie pocałował. - Nie mieszajmy biznesu z... och, do licha. - Zapomniała o biznesie, o umowie i obowiązkach. Namiętnie przywarła do jego warg i oboje zatracili się w pocałunku.

- Och, przepraszam. - W drzwiach stanęła Clarissa, spuściła oczy, chrząknęła. Wiedziała, że nie powinna okazywać radości, a już nie wolno jej było powiedzieć, że wibracje w tym pokoju mogłyby stopić stal. - Chciałam tylko poinformować, że wszystko już gotowe.

A. J. nerwowo obciągnęła zakiet.

- Dobrze, zaraz tam będę. - Poczekała, aż zamkną się drzwi, po czym zaklęła jak szewc.

- Idziecie łeb w łeb - rzucił beztrosko Dawid. - Najpierw tyją przyłapałaś, teraz ona ciebie.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - warknęła A. J.

- A ja uważam, że traktujesz siebie zbyt poważnie.

- Być może, ale taka już jestem. A ty oczywiście nie pomyślałeś, co by się stało, gdyby tu wszedł ktoś z ekipy?

- Ujrzałby producenta, który całuje się ze wspaniałą

kobietą.

- Ujrzałby agentkę, która podczas pracy całuje się z producentem. I zaraz wszyscy zaczęliby o tym plotkować!

- I co z tego?

- I co z tego? - powtórzyła z groźną nutą w głosie.

- Dawidzie, jak widzę, świetnie się bawisz, jednak przypominam ci o umowie. To, co nas łączy, ma pozostać naszą tajemnicą, mieliśmy nie dopuścić do żadnych plotek i spekulacji.

- Nie przypominam sobie aż tak szczegółowego paragrafu - stwierdził z komiczną powagą.

- Dość tych drwin! - syknęła.

- Wcale nie drwię. Mieliśmy jedynie nie mieszać spraw zawodowych z prywatnymi.

- No właśnie! W tym mieści się wszystko.

- Ale nie to, byśmy mieli ukrywać, że coś nas łączy.

- Owszem, i musimy to ukrywać!

- A niby dlaczego? - spytał ze złością.

- Bo jedna ze stron umowy sobie tego życzy - warknęła.

- To dziecinada... Cholera, przecież jesteśmy dorośli!

- Dla mnie to nie dziecinada. Nie zamierzam trafić do kroniki towarzyskiej Variety.

Był naprawdę zły. Nie odpowiadała mu już rola konspiracyjnego kochanka.

- A. J., trudno się z tobą dogadać.

- Tylko wtedy, gdy ktoś próbuje mną manipulować.

- Wcale tego nie robię!

- Owszem, robisz. Twierdząc, że postępuję infantylnie, usiłujesz zdeprecjonować mój sposób myślenia i w ten sposób nakłonić do zachowań, na które nie mam ochoty.

- Popatrz tylko, a ja nawet nie wiedziałem, że ze mnie taki geniusz intrygi. - Nie mógł powstrzymać się od drwiny i kpiącego uśmiešku, choć wiedział, że to błąd.

- Koniec rozmowy! - rzuciła wściekle. - Skoro tak ci wesoło, poszukaj sobie innego towarzystwa. - Ruszyła do drzwi.

- Auroro, przepraszam! - Złapał ją za rękę. - Wcale nie jest mi wesoło, po prostu nie rozumiem, po co ta cała konspiracja.

- Już ci mówiłam, bo jedna ze stron umowy sobie tego życzy.

- Ależ to absurd! Jesteśmy dorośli i możemy robić...

- Tak, masz rację - przerwała mu. - Możemy robić to, na co mamy ochotę. A ja mam ochotę spotykać się z tobą w konspiracji.

Na takie dictum nie było dobrej odpowiedzi.

- Tak, rozumiem... a właściwie nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego tak właśnie chcesz.

Spojrzała na niego uważnie.

- Na pewno rozumiesz, ale skoro nalegasz, powiem ci. Otóż zarówno chcę uniknąć niepotrzebnych spekulacji, jak i współczujących spojrzeń, gdy będzie po wszystkim.

Wreszcie pojawił, ale wcale nie poczuł się lepiej. A. J. od samego początku czekała na koniec ich romansu i właśnie temu podporządkowała swoje postępowanie.

- Zgoda, niech będzie, jak chcesz - mruknął i podszedł do drzwi. - Czeka na nas praca.

Dlaczego aż dudniło w nim od złości? Przecież A. J. miała rację, z ich umowy jasno wynikało, że zachowają ten związek w tajemnicy. A on przystał na to ochoczo. Niezobowiązujący romans z intrygującą i wspaniałą kobietą, czy może być coś lepszego?

Teraz jednak odbierał to inaczej. Dusił się w tej całej konspiracji, miał jej szczerze dość. Ale cóż, zgodził się na nią, więc musi dotrzymać słowa... a zarazem szukać sposobu, by zmienić reguły.

Wiedział, co ryzykuje: piekielną awanturę, a może nawet zerwanie. Wiedział jednak również, że dłużej nie może to tak trwać. Zabrnęli z Aurorą w ślepy zaułek i trzeba było się z niego wydostać. Razem, a jeśli coś pójdzie nie tak, osobno.

Cóż, nie wszystkie zerwania są ostateczne...

W czasie przerwy A. J. podeszła do Aleksa. Dawid obserwował jej chód - szybki i energiczny - i chłodny wzrok. W klasycznym kostiumie wyglądała na kogoś, kim w istocie była: na odnoszącą sukcesy bizneswoman, która wie, czego chce i potrafi to zdobyć. Bystra, zdecydowana i niezwykle groźna dla oponentów, szczególnie takich, którzy łamią umowy i zasady.

Pomyślał, jak inaczej wygląda, kiedy się kochają - rozluźniona, promienna... i tak samo niebezpieczna.

Wyjął papierosa i niecierpliwie potarł zapalnik. Jaką strategię miał wybrać, jaką drogą pójść, by osiągnąć swój cel? By nie tracąc tego, co już zdobył, zyskać wszystko? Zadumał się głęboko.

- Panie Marshall? - A. J. z grzecznym, ale stanowczym uśmiechem przerwała dyskusję, którą Alex prowadził z jednym z pracowników. - Czy możemy porozmawiać?

- Oczywiście, panno Fields. - Staroświeckim zwyczajem ujął ją pod rękę. - Wygląda na to, że zdążymy wypić kawę.

Udali się do pokoju, w którym przed paroma godzinami była z Dawidem. Nalała kawę i podała kubek Aleksowi. Nie zdążyła otworzyć usta, jak ją ubiegł.

- Jak rozumiem, chce pani porozmawiać o Clarissie. - Wyjął cygaro. - Mogę zapalić?

- Tak, może pan zapalić, I tak, chcę porozmawiać o mojej mamie. - Podkreśliła ostatnie słowo.

- Wiem od niej, że niepokoją panią nasze plany matrymonialne. - Zapalił cygaro. - Przyznam, że zdziwiło mnie to, dopóki mi nie powiedziała, że pani jest nie tylko jej agentką, ale przede wszystkim córką. Nie usiadziemy?

Popatrzyła krzywo na sofę, a potem na niego. Nie tak to sobie zaplanowała. Usiadła na jednym brzegu sofy, on zaś na drugim.

- Cieszę się, że Clarissa wyjaśniła tę sprawę. To nam ułatwi rozmowę. Bardzo się niepokoję. Mama jest dla mnie bardzo ważna.

- I dla mnie. Ze wszystkich ludzi tylko pani może pojąć, jak bardzo można kochać Clarissę.

- Tak. - A. J. wypła łyżeczek kawy. - Clarissa jest niezwykle ciepłą, a przy tym bardzo szczególną osobą. Problem w tym, że znacie się tak krótko.

- Wystarczyło tylko pięć minut. - Powiedział to tak zwyczajnie, że A. J. zabrakło słów. - Panno Fields... - Uśmiechnął się. - A raczej A. J., bo „panna Fields” dziwnie brzmi w ustach przyszłego ojczyma, prawda?

Ojczym? O tym nie pomyślała!

- Hm... tak... - wydukała.

- Mam syna i córkę, są mniej więcej w twoim wieku, więc dobrze rozumiem, co czujesz.

- To nie dotyczy moich odczuć.

- Oczywiście, że dotyczy. Dla swojej mamy jesteś najważniejszą i najdroższą osobą na świecie, podobnie jak moje dzieci dla mnie, i nic tego nie zmieni. Pobierzemy się z Clarissa, ale jej szczęście byłoby pełniejsze, gdybyś szczerze zaakceptowała nasz związek. A. J. zrobiła marsową minę.

- Nie wiem, co powiedzieć. A myślałam, że wiem. Proszę pana... Aleksie, ponad ćwierć wieku byłeś dziennikarzem. Zjechałeś cały świat, widziałeś nieprawdopodobne rzeczy.

Clarissa, mimo swych niezwykłych umiejętności wnikania w różne sprawy, jest bardzo zwyczajną kobietą.

- Kobieta niezwykle spolegliwą i wspaniale wpływającą na innych, a zwłaszcza na mężczyznę, który zbyt długo żył w ciągłym napięciu. Myślę o przejściu na emeryturę. - Zaśmiał się, wspominając swoje bezgraniczne zdumienie, kiedy Clarissa wzięła jego rękę i skomentowała to odpowiednio. - Nigdy o tym nie rozmawiałem, nawet z moimi dziećmi. Szukałem czegoś więcej niż sztywne, napięte terminy i nadzwyczajne wydania informacji. I w ciągu paru godzin spędzonych z Clarissą okazało się, że to właśnie jej szukam. Resztę życia chcę spędzić z twoją matką.

A. J. milczała. Zastanawiała się, czego więcej może pragnąć kobieta ponad miłość mężczyzny i bezgraniczne oddanie.

Poczuła się nieco swobodniej.

- Alex... czy moja mama częstowała cię kolacją?

- Oczywiście, że tak. - Mimo chochlików w oczach A. J., zdołał zachować powagę. - Wiele razy. A właśnie, powiedziała mi, że specjalnie na dzisiejszy wieczór zostawiła na małym ogniu ronderek z sosem do spaghetti. Uważam sztukę kulinarną Clarissy za... za równie unikalną jak ona.

Śmiejąc się, A. J. wyciągnęła rękę.

- Uważam, że mama trafiła w dziesiątkę.

Wziął rękę Aurory, po czym, ku jej zaskoczeniu, pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Dziękuję.

- Nie wolno ci jej skrzywdzić - powiedziała cicho A. J.

- Wiem, że tego nie chcesz, ale pamiętaj, nie wolno ci.

- Przez chwilę trzymała jego dłoń, po czym zebrała się w sobie i wstała. - Powinniśmy wracać. Clarissa na pewno już się zastanawia, gdzie jesteśmy.

- Znając ją, myślę, że doskonale wie.

- Czy to ci nie przeszkadza? - Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego? To jedna z jej cech. Dzięki niej jest taka, jaka jest.

- Masz rację...

Ledwo weszli do studia, Clarissa natychmiast się odwróciła i uśmiechnęła do nich. Starym zwyczajem A. J. pocałowała ją w oba policzki.

- Na jedno musisz się zgodzić, odmowy nie przyjmuję - zaczęła bez wstępu.

- Co takiego?

- Urządzę wam wesele.

Policzki Clarissy pokryły się rumieńcem.

- Och, kochanie, ależ to straszny kłopot. - Niby protestowała, ale widać było, że jest szczęśliwa.

- Z pewnością byłby to kłopot dla panny młodej. Wystarczy, że zajmiesz się ślubną suknią i wyprawą, a ja dopilnuję reszty. - Szybko ucisnęła Clarissę i pospieszyła, by zająć swoje miejsce.

Jak zawsze usiadła z tyłu.

- Lepiej się czujesz? - zapytał szeptem Dawid, siadając obok niej.

- Trochę. - Nie powie przecież, że czuje się odsunięta na bok i że chce jej się płakać. - Gdy tylko skończą się zdjęcia, zacznę planować wesele.

- Możesz poczekać z tym do jutra? - zapytał żartobliwie. - Na dzisiejszy wieczór mam dla ciebie inne zajęcie.

Dotrzymał słowa. Ledwo A. J. wróciła do domu, zdjęła żakiet i otworzyła notes z numerami, żeby załatwić ważny telefon, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Z notesem w ręku poszła otworzyć.

- Dawid... Mówiłeś, że masz jakieś sprawy do załatwienia.

- Już je załatwiłem. Która godzina?

- Za kwadrans siódma. Nie spodziewałam się ciebie przed ósmą.

- Najważniejsze, że oboje jesteśmy już po pracy. - Rozpiął guzik jej bluzki. - A jeśli nie odpowiesz na telefon, sekretarka nagra to po czterech dzwonekach, tak?

- Po sześciu. Ale nie spodziewam się telefonów. Głodny?

- Tak. - Sprawdzał, jak długo potrafi ją trzymać na wyciągnięcie ręki. Okazało się, że prawie trzydzieści sekund.

- Mam tylko jakąś rybną mrożonkę. - Gdy zaczął muskać wargami jej policzek i szyję, zamknęła oczy.

- Musimy więc inaczej zaspokoić nasze apetyty. - Rozpiął

jej spódnicę, która opadła na podłogę.

Zdarła mu sweter przez głowę i rzuciła obok.

- Na pewno nam się uda.

Przywarła do niego, wpiła palce w jego plecy, a jego ręce brały w posiadanie ją całą.

Przez długie godziny obserwował, jak sztywno siedziała w studio i wciąż coś notowała. Teraz była jego, spragniona, i po raz pierwszy, odkąd byli ze sobą, dziwnie uległa.

Osunął się z nią na podłogę.

Zaskoczona tempem, poczuła się bezradna wobec burzy doznań. Brał ją z zawrotną szybkością, oszołomił, zburzył wszelkie ochronne mury.

A ona garnęła się do niego, szeptała jego imię, słaba kobieta w rękach mocarnego mężczyzny.

Był bliski szaleństwa. Wreszcie miał pewność, że jej myśli są tylko przy nim. Zapomniał o wszystkim, sycił się swym szczęściem, swym zwycięstwem. Swą pierwszą wygraną bitwą.

Zmieniał miejsca, zmieniał pozycje, ogarnęła go furia zdobywczego, depreczającego wszelki opór seksualizmu, a ona, niczym bez reszty oddana swemu panu niewolnica, godziła się na wszystko, spełniała każde jego życzenie. Wychwytywała je w lot z pełną erotycznego żaru uległością, dawała wszystko, co miała, swe ciało, swą rozkosz, swój dziki krzyk spełnienia.

Niczego jednak nie żądała, niczego nie oczekiwała.

Bo była pozbawiona woli.

Dochodzili do siebie długo, w milczeniu.

Przed chwilą byli tak blisko siebie, i to w całkiem odmiennych rolach niż dotychczas. Nie erotyczne partnerstwo czy też walka o prymat w łóżku, lecz ostateczna więź oparta na sile i słabości, zdobywczej mocy i poddaniu, dominacji i uległości. A każde z nich czuło się spełnione w swej roli. Nie, nie w swej roli. Czuło się spełnione w sposób ostateczny, spełnione w ogóle.

Powinni o tym porozmawiać długo i wnikliwie, dotrzeć do sedna swych pragnień i oczekiwań, tych świadomych i tych podświadomych, by zrozumieć fenomen swego jestestwa. .. i równie głęboko pojąć drugą stronę.

Bez tego byli jak zagubieni w bezkresnym pustkowiu wędrowcy, zdani jedynie na domysły i równie zwodniczy instynkt.

Czyżby o tym nie wiedzieli? Milcząc, marnowali czas, bo z każdą minutą oddalali się od siebie coraz bardziej. I oto znów stali się jedynie kochankami, którzy wprowadzie siebie pragną nawzajem, lecz tak mało wiedzą...

Kochankami, dla których istnieje tylko chwila obecna, bo przyszłość jest jedną wielką niewiadomą.

Kochankami, którzy są ze sobą szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi.

Więc może taka rozmowa nie była im potrzebna?

Dawid przeciągnął się i patrząc na Aurorę, powiedział:

- Lubię, kiedy jesteś naga, ale te pończoszki są wprost

fascynujące. - Przejechał palcem po nodze A. J., zatrzymując się na ściągaczu opinającym udo.

- Są bardzo praktyczne.

Tłumiąc śmiech, pocałował ją w szyję.

- Uwielbiam tę twoją praktyczność.

- Nie uwielbiaj, tylko jej się naucz - mruknęła, zwinęła się w kłębek i wtuliła w Dawida, jednoznacznie dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na próżną gadaninę, bo zbyt jest jej dobrze w jego cieple.

Był wzruszony i oczarowany. Chciał jej powiedzieć, że zawsze, kiedy przestają się kochać, jest taka miękka, ciepła, dobra i otwarta na czułość... ale ugryzł się w język. Zaraz by fuknęła na niego i schowała się w swojej skorupie. Dlatego tylko mocniej przytulił ją do siebie.

Wreszcie, gdy prawie zapadł w drzemkę, potrząsnął lekko Aurorą.

- Rusz się, przed kolacją powinniśmy wziąć prysznic.

- Prysznic? A dlaczego nie od razu do łóżka?

- Ależ ty jesteś nienasycona. - Podniósł się, a potem wziął ją na rękę.

- Masz zamiar mnie nieść?

- Oczywiście.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo... bo to wygląda idiotycznie.

- Zawsze czuję się idiotycznie, gdy noszę gołe kobiety. - Z A.
J. na rękach pomknął do łazienki.

- Jak widzę, weszło ci to w nawyk - mruknęła mało przyjaźnie, zeskoczyła na podłogę i energicznie odkręciła krany.

- Próbowałem z tym skończyć, ale z nałogiem trudna walka.
- Wciągnął ją pod prysznic.

- Moje włosy! - Próbowała bezskutecznie zmniejszyć strumień.

- Co im będzie?

- Nic ważnego. - Machnęła ręką i zaczęła się myć. - Jesteś w szampańskim humorze, choć rano myślałam, że masz do mnie jakieś pretensje.

- Tak myślałaś? - Rzeczywiście, najchętniej by ją wtedy udusił. - Ale dlaczego? - Wziął od niej mydło i sam zabrał się do dzieła.

- Kiedy rozmawialiśmy... Zresztą nieważne. Cieszę się, że ci minęło.

Zaskoczyła go.

- Naprawdę?

Uśmiechnęła się, objęła go za szyję i pocałowała pod gorącym, parującym strumieniem.

- Naprawdę. Lubię cię, Dawidzie. Kiedy nie jesteś producentem.

To także przeszło jego najśmielsze oczekiwania.

- Ja też ciebie lubię, Auroro. Kiedy nie jesteś agentem.

Gdy wyszła spod prysznic i sięgnęła po ręcznik, usłyszała dzwonek do drzwi.

- Cholera - mruknęła.

- Pozwól, że ja to załatwię. - Owinął biodra ręcznikiem i wyszedł, zanim A. J. zdążyła zaprotestować. Parsknęła ze złością i złapała szlafrok. Jeśli to ktoś z biura, będzie się musiała nieźle nagimnastykować, żeby wytłumaczyć, dlaczego producent Dawid Brady otwiera drzwi jej mieszkania w samym tylko ręczniku. Ale tak naprawdę, co tu było do tłumaczenia?

Co będzie, to będzie, i tak nic na to nie poradzi.

Ale jeśli ktoś wejdzie do środka... to zobaczy porozrzucone po całym salonie ubrania. Jęknęła, zamknęła oczy, a potem pomknęła na miejsce przestępstwa.

W pokoju na mahoniowym stole, na białym obrusie paliły się świece w srebrnych oprawkach. Ujrzała połyskującą porcelanę i iskrzący się kryształ, a także Dawida, który podpisywał jakiś papier mężczyźnie w czarnym garniturze.

- Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony, panie Brady.

- Z pewnością.

- Życzę państwu miłej kolacji. Do widzenia. - Mężczyzna uklonił się A. J. i Dawidowi i zaraz się ulotnił.

- Co to takiego? - spytała oszołomiona Aurora. Podniósł srebrną pokrywę z półmiska.

- *Coq au vin.*

- Ale kiedy zdążyłeś...

- Zamówiłem dostawę na ósmą. - Spojrzał na zegarek. - Są punktualni. - Pozbył się ręcznika, podniósł z podłogi spodnie i włożył je.

- Uroczo. Naprawdę uroczo. - W wazonie stała piękna róża. Dotknęła jej delikatnie i powąchała. - Dzięki, cudownie. - Była wyraźnie wzruszona.

Wciągnął przez głowę sweter.

- Powiedziałaś kiedyś, że chciałabyś być rozpieszczana.

Dlaczego, zamiast skakać z radości, zbierało się jej na płacz?

- Muszę się ubrać - szepnęła przez ściśnięte gardło.

- Nie. Wyglądasz ślicznie.

Wreszcie zaczęła odzyskiwać grunt pod nogami.

- To potrwa tylko chwilę. Gdy chciała odejść, zawrócił ją.

- A to co takiego? - Koniuszkiem palca dotknął łzy, która zawisła na jej rzęsach.

- To nic. Czuję się... głupio. Daj mi choć chwilkę. Otarł kciukiem kolejną łzę.

- Po co?

Wprost zalewała się łzami. Stała się taka krucha i słodka zarazem... Był głęboko poruszony.

- Dawid, proszę...

- Czy zawsze płaczesz, kiedy mężczyzna proponuje ci miłą, kameralną kolację?

- Nie... ale nie spodziewałam się, że zrobisz coś takiego.

Podniósł jej rękę do ust i z uśmiechem ucałował palce.

- Co z tego, że jestem producentem? Nawet ktoś taki potrafi się odpowiednio zachować, choć wy, agenci, macie o nas całkiem inne zdanie.

Podniosła na niego oczy. Przegrywała. Czuła, jak mięknie jej serce, słabnie jej wola, wzrastają oczekiwania. To, co się wydarzyło przed chwilą, ten dziwny i szalony seks, kiedy to stała się bezbronną kochanką, całkiem zależną od swojego mężczyzny... Czyżby w głębi duszy o tym właśnie marzyła? By bez reszty do kogoś należeć? By należeć do Dawida?

I by on bez reszty należał do niej?

Samotność jest zwodniczym doradcą. Już wiedziała o tym.

- Spraw, żebym zbyt wiele nie chciała - szepnęła.

Rozumiał to. Jeśli pragnie się zbyt wiele, wtedy zbyt mocno się odczuwa. Sam tego unikał... aż do pewnego popołudnia na plaży.

- Czy naprawdę sądzisz, że jesteśmy w stanie to zatrzymać?

ROZDZIAŁ 9

Jak zawsze, także i ten dzień pracy wypełniony był po brzegi. Gdy wreszcie A. J. znalazła się sama w swoim gabinecie, zadumała się. Co się z nią dzieje? Dlaczego tak trudno jest się jej skoncentrować?

Przepracowana? - zastanowiła się, patrząc na trzymany w ręku plik dokumentów. To wybieg; uwielbia przepracowanie. Źle spała. Sama. W zasadzie jedno z drugim nie ma nic wspólnego, utwierdzała siebie w przekonaniu, przekładając z miejsca na miejsce dokumenty. Jest zbyt samodzielną i samowystarczalną osobą, żeby zapadać w dziwne stany tylko dlatego, że Dawid Brady wyjechał na parę dni z miasta.

Ale tęskniła za nim. Złapała ołówek, żeby popracować, a skończyło się na tym, że zaczęła go obracać w palcach. Czy to zbrodnia, że za nim tęskni? Przecież to wcale nie znaczy, że jest od niego uzależniona. Po prostu przyzwyczała się do jego towarzystwa. Zaczęła pracować ze zdwojoną energią. Przez dziesięć minut.

Stopniowo personel zaczął opuszczać biuro. Na koniec zajrzał jeszcze Abe i - jako że szykował się długi weekend - zaprosił ją na wielkie grillowanie u niego w ogrodzie. Odmówiła grzecznie.

Została sama i postanowiła ponownie zająć się pracą.

Od paru chwil stał w drzwiach i obserwował ją. Śmiejąc się, trzaskając drzwiami, wszyscy pośpiesznie opuścili budynek,

tylko ona - skupiona i kompetentna - siedziała za biurkiem. Staranna fryzura, obciągnięty, wygładzony na ramionach żakiet. Pisała szybko, w rytmicznych kadencjach. W niskim wazonie na biurku stały margerytki, które jej posłał przed wyjazdem. Był to jedyny nieprofesjonalny akcent w jej biurze. Patrząc na nie, uśmiechnął się. Patrząc na nią, zapragnął jej, nawet już sobie wyobraził, jak ją bierze w tym wymuskanym, zorganizowanym biurze, jak z niej zdiera nieskazitelny kostium i dociera do delikatnej, koronkowej bielizny.

A. J. kontynuowała pisanie, koncentrując się, ilekroć jej myśli zaczynały się rozbiegać. To nie w porządku, mówiła sobie, żeby jej organizm tak się burzył i buntował bez powodu. Potarła kark. Mogłaby przysiąc, że w powietrzu unosi się jakieś napięcie. Ale przecież to śmieszne.

Po chwili już wiedziała. Nie musiał mówić, nie musiał jej dotykać. Powoli podniosła głowę i popatrzyła do góry.

Jej oczy nie wyrażały zdziwienia. Wyczuła go, choć nie wypowiedział słowa, nie wykonał żadnego ruchu. Każdy na jego miejscu poczułby się nieswojo. Fakt, że tak się nie stało, dawał do myślenia, ale postanowił odłożyć to na później. W tej chwili myślał jedynie o tym, jaka jest chłodna i poprawna za biurkiem, a jaka szalona w jego ramionach.

Chciała się roześmiać, wybiec z za biurka i paść mu w ramiona, z czystej radości zakręcić się z nim dookoła. Oczywiście nie zrobiła tego. To by wyglądało idiotycznie.

Zamiast tego uniosła brwi.

- A więc wróciłeś.

- Tak. Czuję, że cię tutaj zastanę. - Chciał ją podnieść z fotela i potrzymać w ramionach. Wsunął do kieszeni ręce i oparł się o futrynę.

- Czuleś? - Tym razem się uśmiechnęła. - Przeczucie czy telepatia?

- Czysta logika. - Podszedł do biurka. - Nieźle wyglądasz, Fields. Naprawdę nieźle.

Wyciągając się w fotelu, uważnie mu się przyjrzała.

- Pewnie jesteś zmęczony. Miałeś ciężką podróż?

- Długą. Masz jakieś plany na wieczór?

Gdyby nawet miała, cisnęłyby wszystko i szybko o nich zapomniała. Z poważną miną zajrzała do kalendarza.

- Nie.

- A jutro? Przerzuciła stronę.

- Wygląda na to, że też nie.

- Niedziela?

- Nawet agentom należy się wypoczynek.

- Poniedziałek?

Przerzuciła kolejną stronę i wzruszyła ramionami.

- Biuro jest zamknięte. Chciałam przeczytać scenariusze i zrobić sobie paznokcie.

- Aha. Gdybyś przypadkiem nie zauważyła, jest już po godzinach pracy.

- Zauważyłam.

Wyciągnął do niej rękę. Po chwili wahania A. J. podała mu swoją i pozwoliła się wyciągnąć zza biurka.

- Pojedź ze mną do domu.

Prosił ją o to wcześniej, ale odmówiła, teraz jednak wiedziała, że czas odmowy już minął. Sięgnęła po torebkę i teczkę.

- Nie dzisiaj - powiedział Dawid i odłożył teczkę.

- Chcę...

- Nie dzisiaj, Auroro. - Wziął jej rękę i podniósł do ust. -
Proszę.

Skinęła głową i opuściła gabinet.

Szli korytarzem i trzymali się za ręce, aż doszli do windy. To nie było idiotyczne, stwierdziła A. J., ale słodkie. Nie pocałował jej, nie objął, a jednak - tylko od samego dotyku - napięcie erotyczne rosło z każdą chwilą.

Zadowolona, że są razem, poszła z nim do jego samochodu.

- Nie byłeś jeszcze w domu? - zapytała na widok walizki na tylnym siedzeniu.

- Nie.

Świadomość, że najpierw chciał ją zobaczyć, sprawiła jej radość.

- Mam taką samą - powiedziała, wsiadając do samochodu.

- To twoja walizka - odparł Dawid, uruchamiając silnik.

- Moja? Zaraz, nie przypominam sobie, żebym ci ją

pożyczyła.

- Nie pożyczyłaś. Moja jest w bagażniku. - Wyjechał z parkingu i włączył się do ruchu.

- To co ona tu robi?

- Wpadłem do ciebie, a gospodyni spakowała twoje rzeczy. Zamurowała ją, ale tylko na chwilę.

- Cholera, ale ty masz tupet, Brady! Wlazłeś do cudzego mieszkania i grzebałeś w cudzych rzeczach, nie pytając właściciela o zgodę!

- Pomyślałem, że będziesz się czuć swobodniej, mając trochę własnych rzeczy w czasie weekendu. Wprawdzie wolałbym, żebyś była goła, ale pewnie czułabyś się trochę skrępowana podczas spaceru w lesie.

Zakłęła szpetnie.

- Słucham, co mówiłaś? - zapytał przyjaźnie. Wolno i wyraźnie, skandując sylaby, powtórzyła przekleństwo, a potem rzekła:

- Brady, naprawdę tego pożałujesz. Najpierw wtargnąłeś do mojego domu jak złodziej, a potem zachowujesz się, jakbyś był przekonany, że na pierwsze skinienie pojedę z tobą na cały weekend. A gdybym miała inne plany?

- To byłoby źle.

- Dla kogo?

- Dla planów. - Zachichotał. - Po co się złościysz? Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Przecież to takie proste. Otóż nie

mam zamiaru tracić cię z oczu na całe trzy dni.

- Ty nie masz zamiaru! A co z moimi zamiarami? Przestań zgrywać cholernego macho, bo słabo ci to idzie, w każdym razie ze mną - Fuknęła z wściekłością. - Tak się składa, że lubię, gdy wszystko uzgadnia się ze mną. Zatrzymaj samochód.

- Nie ma mowy. - Oczywiście spodziewał się takiej reakcji, przewidział wszystko niemal słowo w słowo. Od paru dni nie bawił się tak dobrze. A konkretnie od ostatniego spotkania z Aurorą.

Jej oddech przeszedł w świst.

- Pożałujesz tego, Brady. To nie tylko porwanie, to samcza, bezmyślna bezczelność. Pewnie uważasz, że zaraz przejdzie mi złość i rzucę ci się w ramiona, cała szczęśliwa i radosna, bo wpadłeś na świetny pomysł, by powlec mnie do swojego domu?

- Czytasz mi w myślach, A. J. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Bawił się coraz lepiej. I oczywiście był przekonany, że Aurorze zaraz minie wściekłość, a potem...

- Naprawdę tego pożałujesz - powiedziała cicho i na pozór spokojnie.

- Żałuję tylko tego, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Bo to naprawdę świetny pomysł. Zaufaj mi, A. J., robię to dla twojego dobra.

- Wiesz lepiej niż ja, co jest dla mnie dobre?

- Tak - stwierdził z mocą.

Gdyby zobaczył w tym momencie jej wzrok...

W milczeniu podjechali pod dom. Gdy auto zatrzymało się, A. J. otworzyła drzwi, chwyciła torebkę i zaczęła iść w kierunku drogi. Kiedy złapał ją za ramię, syknęła ponuro:

- Puść mnie, Brady.

Nie posłuchał, nie dotarła bowiem do niego szczególna nuta w jej głosie, nie widział jej oczu.

- Rozluźnij się, jesteśmy na miejscu - powiedział wesoło. - Drzewa, dzikie ptactwo, strugi i ruczaje, i my, tylko my... Au!

A. J. z całej siły kopnęła go w goleń. Dawid oniemiał. Czegoś takiego kompletnie się nie spodziewał.

- Zawieź mnie do miasta, Brady - usłyszał po chwili.

Wreszcie dotarł do niego ów szczególny ton. Spojrzał jej w oczy i już wiedział, że przegrał. Źle to rozegrał. Nadal uważał, że porwanie nie było złym pomysłem, ale wykonanie okazało się fatalne.

Cóż, bawił się świetnie, zachwycał się sobą, że tak to wszystko cudownie wymyślił i że przeprowadza swój plan z luzacką maestrią, gdy tymczasem ona...

Wszystkie kobiety, z którymi miał do czynienia, z radością przyjmowały jego najbardziej zwariowane pomysły. Wszystkie byłyby zachwycone, gdyby je porwał do leśnej głuszy, i to na całe trzy dni.

Ale nie Aurora. W jej oczach ujrzał nie tylko wściekłość. Tego się spodziewał, z tym by sobie poradził. W jej oczach ujrzał również strach, poniżenie i ból zranienia. A na to kompletnie nie

był przygotowany.

Jak mało o niej wiem, pomyślał z rozpaczą. Jak mogłem okazać się takim durniem? Takim nieczułym prostakiem?

Tak, była przewrażliwiona na własnym punkcie, tak, obsesyjnie strzegła swej dumy i prywatności, przez co zdarzało się, że ocierała się o śmieszność. To wszystko prawda. Ale taka po prostu była i on, do diabła, powinien był o tym wiedzieć! Wiedział, do cholery wiedział, a mimo to...

Nie miało to większego sensu, a jednak zaczął przeproszać, perswadować, wyjaśniać... Trwało to długo, rozpaczliwie długo, żałośnie długo, A. J. zaś stała w milczeniu z profesjonalnie grzeczną miną, zerkając to na drzewo, to na dom, to na chmurki płynące po niebie.

A gdy skończył, powiedziała spokojnie:

- Odwieź mnie do miasta, Brady.

Bez dalszych słów wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę.

Po jakimś czasie A. J. nagle zmarszczyła w wielkim namyśle brwi, a potem roześmiała się. Była naprawdę bardzo rozbawiona i wyraźnie zadowolona.

- Lubisz niespodzianki, prawda, Brady?

- Zależy jakie - mruknął kompletnie zdezorientowany.

- No tak w ogóle. Lubisz, prawda?

- Tak... - przyznał niepewnie.

- To dobrze. Na pewno się ucieszysz, bo czeka cię wielka niespodzianka.

- Hm... a jaka? - spytał nieufnie.

- Niespodzianka to niespodzianka, dowiesz się w swoim czasie. Ale jedno mogę ci zdradzić.

- Tak?

- Już wiem, jak się na tobie odegram. - Uśmiechnęła się słodko.

O A. J. mówiono, że jest profesjonalna, kryształowo uczciwa, bardzo inteligentna... a także że w żadnym wypadku nie należy z nią zadzierać. Jeżeli uznała, że ktoś pogrywa z nią nie fair, reagowała niezwykle ostro i skutecznie. A dla niego z pewnością wymyśliła coś całkiem specjalnego.

Cóż, jakoś to przeżyje, a jeśli rewanz, choćby najbardziej perfidny, zakończy całą tę nieszczęsną aferę z porwaniem, to gotów jest znieść najgorsze katusze.

Postanowił się jednak trochę potargować.

- A. J., a to, że mnie skopałaś jak psa, nie wystarczy? - Zaczął masować nogę, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

- Boli? To dobrze, powinno boleć. Ale to była tylko zaliczka. Czekać na niespodziankę, Brady.

- Sadystka - mruknął.

- Och, mów mi tak jeszcze... - powiedziała rozmarzonym głosem.

Zachichotał, a potem przez chwilę jechali w milczeniu. Nagle A. J. spojrzała na niego, jakby dopiero co go zobaczyła.

- O, Dawid, jak miło, że cię spotkałam.

- Cześć, Auroro - odpowiedział natychmiast. - Co u ciebie słychać?

- Niby w porządku, ale mam pewien kłopot.

- Tak? A jaki?

- Do licha, zapomniałam, że to długi weekend i nic nie zaplanowałam. Teraz czekają mnie trzy dni przed telewizorem. Co za nudy!

- Chyba mógłbym coś na to zaradzić...

- Naprawdę? - zaszcebiotała.

- Wpadnij do mnie, to pokażę ci kolekcję motyli.

- Och, Brady, cudownie! - Zrobiła minę słodkiej idiotki. - Bardzo lubię motylki. Tak cudownie fruują.

- Te nie fruują. Śpią sobie w gablotach.

- Och, to trzeba chodzić na paluszkach. Cicho, sza... Wybuchnęli nieopanowanym śmiechem. Dawid, nie bacząc na ciągłą linię, zawrócił i ruszyli do domu.

Ledwie na podjeździe wysiedli z auta, porwał ją na rękę, pognał do sypialni i zwałił się wraz z A. J. na łóżko.

Nie tak to sobie wyobrażała. Mimo że pogodzili się w żartobliwej konwencji, nadal była wściekła. To powinno rozgrywać się w innym rytmie.

- Poczekaj! Co za diabeł w ciebie wstąpił? - krzyknęła, szarpiąc się, żeby usiąść.

- Ty - powiedział z dziwną mocą. - Przecież wiesz, że ty. Od wyjazdu nie przestaję o tobie myśleć. Wszędzie cię widziałem i

pragnąłem, w Chicago, tysiące metrów nad ziemią, podczas narad, lunchów, oficjalnych wystąpień...

- Zachichotał. - Po zreferowaniu preliminarza wydatków najważniejszym udziałowcom nowego projektu, jeden z nich zapytał mnie na stronie, co to jest "A. J.". Okazało się, że omawiając poszczególne pozycje, ni z gruszki, ni z pietruszki pomrukiwałem sobie: A. J., A. J., A. J.

- To jakieś wariactwo!

- Masz rację. Jeżeli trafię do czubków, to przez ciebie... A ponad wszystko pragnąłem, byś pobyła ze mną w tym domu choć przez ten jeden weekend. Stało się to moją obsesją, dlatego tak to rozegrałem. Może nie najzręczniejszą, ale jak się okazało, skutecznie, za co niosę wdzięczne modły do nieba.

Delikatnie pieścił jej kark.

- Gdybyś powiedział...—zaczęła.

- To natychmiast byś coś wymyśliła. Może nawet spędziłabyś tutaj noc. - Powoli wsunął palce w jej włosy.

- Ale znalazłabyś wymówkę, żeby nie zostać dłużej.

- To nieprawda.

- Czyżby? Więc dlaczego nie spędziłaś ze mną ani jednego weekendu?

- Były powody.

- No właśnie. A główny z nich polega na tym, że boisz się być ze mną więcej niż parę godzin. Boisz się, że mógłbym się za bardzo zbliżyć.

- Nie boję się ciebie. To śmieszne, co mówisz.

- Może nie mnie, ty boisz się nas. - Przyciągnął ją do siebie.

- Zresztą ja także.

- Dawid... - szepnęła drżącym głosem. Rozumiała jego pobudki, wiedziała, że na swój sposób miał rację... ale nie zawsze istnieje tylko jedna racja. Życie bywa bardziej skomplikowane. Tak, czuła się dziwnie, jakby zatrzęsł się cały jej świat, ale to tylko złudzenie, kwestia chwili. Bo tak naprawdę chodziło jedynie o namiętność, i o nic więcej. To dlatego kręci jej się w głowie i wali serce. Pożądanie. Objęła go. To tylko pożądanie. - Nie myślmy o tym teraz.

- Wcześniej czy później będziemy musieli.

- Nie. - Pocałowała go znowu. - Nie ma żadnego wcześniej ani później. Jest tylko teraz. Kochaj mnie, teraz, już...

Pocałowała go z otchłanną namiętnością, wiodąc ku krawędzi. Zaklął - i poddał się szaleństwu.

- To ci wyjdzie na zdrowie.

- Jak cielęca wątróbka - odpowiedziała zdyszana Aurora i przystanąła, żeby oprzeć się o drzewo. - Jej również unikam.

Przekroczyli strumień i znów ruszyli w górę.

- Spójrz. - Zatoczył ręką szeroki łuk. - Powiedz, czy nie jest wspaniale?

Las był gęsty i zielony. Ptaki szeleściły liśćmi i śpiewały hymn radości. Leśne i polne kwiaty, których nigdy dotąd nie widziała i nie potrafiłaby nazwać, torowały sobie drogę przez

poszycie, spragnione słonecznych promieni. Nawet dla zatwardziałej mieszczy, jaką była A. J., widok był przepiękny.

- Tak, rzeczywiście wspaniale. Przebywając w Los Angeles, nie wie się, że coś takiego w ogóle istnieje.

- Dlatego tu jesteśmy. - Objął ją ramieniem. - Już prawie zapominałem, że jest jakieś inne miejsce poza pasem szybkiego ruchu.

- Praca, przyjęcia, spotkania, brunchy, lunche i koktajle.

- I tak w kółko. Wracając wieczorem do domu po tym całym kołowrocie, odzyskuję właściwą perspektywę. Jeżeli robię klapę i mam fatalną oglądalność, wiem, że słońce i tak wszędzie.

- A ja, jeśli sprzed nosa ucieka mi korzystna umowa, wracam do domu, zamykam się na cztery spusty, nakładam słuchawki i zanurzam się w muzyce Rachmaninowa.

- To to samo.

- Ale ja najpierw w coś kopię. Roześmiał się i pocałował ją w czubek głowy.

- Wszystko dobre, co skuteczne. Zaczekaj, aż zobaczysz widok ze szczytu.

A. J. schyliła się, żeby rozmasować kostkę.

- Dalej nie idę. Spotkamy się w domu. Jak już tam dojdiesz, narysuj mi, jak to wygląda.

- Potrzebujesz powietrza. Nie możemy całego czasu spędzać w łóżku.

Zaczęła rozciągać odporne mięśnie.

- Uważam, że na dzisiaj wystarczy mi powietrza, ruchu i przyrody.

Przyjrzał jej się. W tym wydaniu - w podkoszulku, dzinsach i w starych butach - to nie była A. J. Fields. Ale przynajmniej jedna cecha pozostała niezmienna i zamierzał to wykorzystać.

- Po prostu spuchłaś. Nie masz takiej kondycji jak ja.

- Akurat. - Odepchnęła się od drzewa.

Zawzięcie zaczęła wspinać się krętą ścieżką, a krople potu spływały jej po plecach. Mięśnie nóg błagały o litość, przypominając, że od ponad miesiąca zaniedbała tenis. Wreszcie, obolała i wykończona, opadła na kamień.

- To by było na tyle. Poddaję się.

- Jeszcze trochę, a zaczniesz się łatwiejszy odcinek.

- Nie.

- A. J., krócej jest przejść tędy, niż wracać.

Krócej? Zamknęła oczy. Co ją opętało, że pozwoliła mu się wlec przez ten las?

- Zostaję tutaj na noc. Możesz mi przynieść poduszkę i sandwicza.

- Nie, ale mogę cię ponieść.

- W żadnym wypadku!

- A gdybym cię przekupił? Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Korupcja? A fe! Ale jestem otwarta na negocjacje.

- Mam butelkę cabernet samdgnon, którą odłożyłem na

szczególną okazję.

Wytarła pomazane ziemią kolano.

- Jaki rocznik?

- Siedemdziesiąty dziewiąty.

- Niezły początek. Mogę na to konto przejść kolejne sto metrów.

- Poza tym jest stek, który wyjąłem dziś rano z zamrażalnika i zamierzam go upiec na ruszcie w jałowcu.

- Mniam, mniam. To jest warte połowę powrotnej drogi.

- Twarda jesteś.

- Dzięki za komplement.

- Kwiaty. Cała masa. Zmarszczyła czoło.

- Zanim wrócimy na dół, kwaciarnia będzie zamknięta.

- Ty mieszczko - westchnął. - Tylko się rozejrzyj. Wokół aż mieniło od cudownych kwiatów.

- Cudownie! - Podniosła ręce i objęła go za szyję. - To doprowadzi mnie do frontowych drzwi.

Dziarsko zabrał się do roboty.

- Lubię niebieskie - zawołała i roześmiała się na cały głos, gdy coś odburknął.

Nie przypuszczała, że weekend może być aż tak relaksujący. Nie spodziewała się także, że potrafi tak radośnie spędzić tyle czasu z jedną osobą. Żadnych rozkładów zajęć, żadnych spotkań ani pilnych umów. Wyłącznie poranki, popołudnia i wieczory.

Wydawało się absurdalne, że coś tak prozaicznego, jak

przygotowywanie śniadania, może być tak zabawne. Odkryła też, że poświęcenie czasu na posiłek, zamiast zaczynania dnia w biegu, również może mieć pewien urok... kiedy się tego nie robi samotnie. To, że nie musiała tkwić nad jakimś scenariuszem ani pisać służbowych listów, wcale jej nie zmartwiło. Jedyne, czym obciążała umysł przez te dwa dni, była krzyżówka. I nawet jej nie dokończyłam, pomyślała przewrotnie.

Teraz zrywał dla niej kwiaty. Nieduże, bajecznie kolorowe kwiatki. Wstawi je do wazonu przy oknie, gdzie będzie im przytulnie i widno. Po prostu idealnie.

Na chwilę jej serce się zatrzymało. Ptaki umilkły, a powietrze stało się nieruchome jak tafla szkła. Ujrzała Dawida, jakby patrzyła przez teleobiektyw. W tym czasie niebo i świat wokół poszarzały. Poczowała nagły, ostry ból, gdy obsuwając się z kamienia, przejechała po nim kłykciami.

- Nie! - Myślała, że wykrzyczała to słowo, lecz był to tylko szept. Potykając się, podbiegła do niego. Dwukrotnie próbowała wymówić jego imię, aż w końcu wydobyła je przez zaciśnięte gardło. - Dawid! Nie. Zostaw.

Wyprostował się, a ona rzuciła mu się w ramiona. Tylko jeden raz widział tak bezgraniczne przerażenie w jej oczach, a było to wtedy, gdy stała w pustym pokoju starego domu, widząc coś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć.

- Auroro! - Przyciskał ją, nie mając pojęcia, jak ją ukoić i opanować jej drzenie. - Co się stało?

- Nie zrywaj. Dawid, proszę. - Wbiła palce w jego plecy.

- W porządku, już nie zrywam. - Odsunął ją lekko i spojrzał jej w oczy. - Dlaczego?

- Coś jest w nich złego. - Strach minął. - Coś jest w nich złego - powtórzyła.

- Przecież to tylko kwiaty. - Pokazał jej te, które trzymał w ręku.

- Nie w tych. W tamtych. Zamierzałeś zrywać tamte, o tam.

Idąc wzrokiem za jej spojrzeniem, popatrzył na duży nasłoneczniony kamień, obrośnięty wokół dzwonkami. Właśnie chciał je zerwać, kiedy zatrzymał go jej krzyk.

- Tak, zamierzałem. Chodź, A. J., przyjrzymy się im z bliska.

- Nie. - Chwyliła go z całej siły. - Nie dotykaj ich.

- Uspokój się - powiedział opanowanym głosem, choć był podenerwowany. Podniósł mały kijek i przejechał nim po kamieniu. Nagle rozległ się złowieszczy syk, w mgnieniu oka pojawiła się i zmija ukąsiła patyk.

Odkoczyli na ścieżkę.

Grube i solidne buty, które miał na nogach, osłoniłyby go przed wszystkimi zmijami na wzgórzach. Ale on zrywał kwiaty i nic nie chroniło jego gołych rąk i nadgarstków.

- Wracajmy - powiedziała bezbarwnym głosem. Była mu wdzięczna, że o nic nie pyta. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. W ciągu trwającej wieczność chwili odkryła dużo

więcej, niż ukrytą pod kamieniem zmiję. Odkryła, że zakochała się w Dawidzie. Teraz może ją zranić, a ona nie ma jak się przed tym bronić.

Więc się nie odzywała Ponieważ on także milczał, odebrała to jako pierwszą oznakę odrzucenia. Weszli kuchennymi drzwiami. Dawid wyjął z kredensu butelkę brandy i dwie szklanki. Nalał, podał jedną A. J., a z drugiej pociągnął solidny łyk.

Popijała małymi łyчками, aż poczuła się odrobinę lepiej.

- Mógłbyś mnie teraz odwieźć do domu? Spojrzał na nią zdumiony.

- O czym ty mówisz?

- Z reguły ludzie - mówiła najspokojniej jak mogła - po podobnym incydencie czują się nieswojo. Albo próbują się od tego kompletnie odciąć, albo obsesyjnie starają się dociec, na czym to polega. - Ponieważ milczał, dodała:

- Pakowanie nie zajmie mi dużo czasu.

- Ujawniłaś przede mną swoją nadzwyczajną moc - powiedział z powagą - i nie wiesz, jak zareaguję. Siadaj, Auroro.

- Dawid, nie życzę sobie przesłuchania. Z furią cisnął szklankę do zlewu.

- Czy nie poznaliśmy się już wystarczająco dobrze?!

- krzyczał. Nie wiedziała, że krzyczy nie na nią, ale na siebie. - Czy nie stać nas na nic poza seksem i negocjacjami?

- Ustaliliśmy...

- Pieprzę ustalenia! Rozumiesz, pieprzę j e! Mam tego dość!
- ryknął, a po chwili, wciąż niezwykle poruszony, dodał: -
Uratowałaś mi życie. I co powinienem ci powiedzieć? Dziękuję?

Nie widziała go jeszcze w takim stanie. Zawsze imponował
opanowaniem i spokojem, a teraz...

- Lepiej nic już nie mów. Podszedł do niej.

- Posłuchaj, oczywiście jestem wstrząśnięty, ale to wcale
nie znaczy, że nagle uznałem cię za nawiedzoną wariatkę. -
Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. - Jestem ci wdzięczny.
Tylko nie wiem, naprawdę nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

- Już dobrze. - Traciła grunt. Czowała to. - Nie oczekuję...

- Oczekuj. - Ujął jej twarz. - Naprawdę. Powiedz mi, czego
chcesz. Powiedz mi, czego w tej chwili potrzebujesz.

Nie próbowała. Gdyby to zrobiła, straciłaby ostatni punkt
oparcia. Ale jego ręce były takie delikatne, a jego oczy budziły
zaufanie...

- Obejmij mnie. - Zamknęła oczy. - Potrzymaj mnie przez
chwilę.

Otoczył ją ramionami, przytulił mocno. Trzymał ją długo,
aż oboje się odprężyli.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- To był tylko przebłysk. Siedziałam, było mi błogo od
nicnierobienia. Myślałam o kwiatach, już je widziałam na
stoliku przy oknie, kiedy nagle stały się czarne i brzydkie, a ich
płatki ostre jak brzytwa. Zobaczyłam, jak się pochylasz nad kępą

dzwonek, a wtedy wszystko poszarzało.

- Nie pochyliłem się.

- Miałeś taki zamiar.

- Tak, miałem. Wygląda na to, że nie dotrzymałem ostatniej części umowy. Nie mam dla ciebie kwiatów.

- Nie szkodzi. - Przyłgnęła wargami do jego szyi.

- Będę ci to musiał jakoś wynagrodzić. - Wziął ją za rękę. - Auroro... - Zobaczył zaschniętą krew na kłykciach. - Coś ty sobie, do licha, zrobiła?

- Nie wiem, ale trochę boli - powiedziała obojętnie.

- Chodź. - Zaprowadził ją do zlewu i zimną wodą zaczął obmywać zasuszoną krew.

- Au! - Bezskutecznie próbowała wyrwać rękę.

- Nigdy nie byłem zbyt delikatny - mruknął.

- Zauważyłam. Osuszył ręcznikiem ranę.

- Chodźmy na górę. Mam tam jodynę.

- To szczypie.

- Nie bądź dzieckiem.

- Nie jestem. - A jednak musiał ją ciągnąć siłą. - To tylko zadrapanie.

- Infekcja uwielbia takie zadrapania.

- Daj spokój, wszystko dokładnie wytarłeś, nie ma żadnych bakterii.

- Być może. - Wepchnął ją do łazienki. - Zrobimy to dla pewności.

Wyjął z szafki buteleczkę i polał jodyną jej rękę. Tępe klucie zamieniło się w ogień.

- Do diabła!

- Daj. - Znów złapał jej rękę i zaczął dmuchać na ranę. - Wytrzymaj jeszcze chwilę.

- Akurat to pomoże - burknęła, ale ból zelżał.

- Przygotujemy kolację.

- Zdaje się, że to ty miałeś ją przygotować.

- Słusznie. - Pocałował ją w czoło. - Muszę na chwilę wyskoczyć. Weźmiemy się do roboty, jak wrócę.

- Nie myśl, że zacznę kroić jarzyny, kiedy ciebie nie będzie. Zrobię sobie kąpiel.

- Świetnie. Dołączę do ciebie, jak będę z powrotem. Nie zapytała, dokąd jedzie. Chciała, ale takie były jej zasady. Udała się natomiast do sypialni i przez okno patrzyła, jak rusza z podjazdu. Zmęczona, usiadła na łóżku i ściągnęła buty. Popołudnie dało się jej we znaki fizycznie i emocjonalnie. Chciała o wszystkim zapomnieć.

Wyciągnęła się na łóżku. Odpocznie chwilę. Tylko chwilę.

Dawid wrócił do domu z naręczem astrów, które uprosił w sąsiednim ogrodzie. Pomyślał, że jeśli obsypie nimi namydloną w wannie A. J., przywróci jej oczom radosny błysk. Nigdy dotąd nie słyszał, by śmiała się tak dużo i tak ochoczo jak podczas tego weekendu. To było coś, czego nie chciał stracić. Podobnie jak nie chciał jej utracić.

Wszedł cicho po schodach, zatrzymał się przy drzwiach sypialni i wtedy ją zobaczył. Zdjęła tylko buty. Leżała w poprzek łóżka z poduszką pod ręką.

Jej twarz była taka delikatna i krucha. Jasne włosy przykleiły się do policzka, a usta miała lekko rozchylone. Wyglądała bezbrinnie, umie i słodko.

W łóżku była jak ogień, poza nim ostra i szorstka. Obdarzona została dziwnym darem, wyjątkowym i przeklętym zarazem, którego nienawidziła i walczyła z nim. Zaczynał pojmować, że właśnie to czyni z niej osobę tak defensywną zamkniętą w sobie i bezbronną zarazem. Schowała się więc w twardym pancerzu, by nikt tej bezbronności nie odkrył.

Ale teraz, we śnie, wyglądała jak ktoś, kogo mężczyzna pragnąłby chronić przed wszelkim złem, rozpieszczać, obdarzać miłością i dobrem.

Delikatnym ruchem zdjął z jej policzka włosy, czując pod nimi ciepłą i gładką skórę.

Poruszyła się, otworzyła zaspane oczy.

- Dawid? - Nawet jej głos był łagodny, miękki.

- Przyniosłem ci prezent. - Usiadł na łóżku i obsypał ją kwiatami.

- Och! Jakie piękne!... - I zaraz dodała: - Dawid, nie musiałeś.

Już to widział: na każdy jego zwariowany lub romantyczny gest najpierw reagowała radosnym zdumieniem, a potem,

zmieszana, wycofywała się.

- Chciałem... i musiałem - mruknął jakby do siebie i wciąż przepojony dziwnie rzewną czułością, delikatnie pocałował jej usta.

- Dawid? - Spojrzała na niego pociemniałymi, oszołomionymi oczyma.

- Pst... - Leciutko gładził jej włosy, rozkoszował się ich jedwabną miękkością. - Czy już ci mówiłem, że jesteś śliczna?

Przytuliła się do niego.

- To nie jest konieczne - mruknęła.

Ich usta znów się spotkały, ale bez dotychczasowej zachłanności i pożądliwości, tylko tak jakoś inaczej, czulej. To było coś tak nieznanego, że serce zaczęło jej walić.

- Kochaj się ze mną - wyszeptała.

- Kocham się. Może po raz pierwszy.

- Nie rozumiem... - zaczęła, ale on już ją tulił w ramionach.

- Ani ja.

Musiał podjąć tę próbę. Zupełnie inaczej niż dotąd, Nie spieszył się, był delikatny, i choć jej usta obiecywały więcej, zwlekał, łagodnie, bez słów, nakłaniał A. J., by przyłączyła się do jego rytmu... do jego przeżywania. Nie dotykał jej, tylko delikatnie całował. Wyczuł, jak jej ciało rozluźnia się, wychwycił coś, czego nigdy dotąd nie było: ufność, radosne oddanie, prawdziwe ciepło.

Przenikała ją rozkosz, która była jak miły zawrót głowy po

winie. Była lekka, swobodna, prawie nieważka.

Popatrzył na nią w najwyższym zachwycie. Była krucha, ufna... i tak bardzo kusząca. Wreszcie ją objął i z czułością delikatnie zaczął sięgać coraz głębiej.

Pamiętała tamtą dziką noc, gdy oddała mu się jak niewolnica. To było szalone, wręcz perwersyjne doznanie dla osoby takiej jak ona: silnej, twardej i z determinacją chroniącej swą niezależność.

Teraz było podobnie, a jednak zupełnie inaczej. Jej ciało znów całkowicie należało do niego, podobnie jak emocje, ale była w tym jakaś rzewna słodkość, czuła wspólnota. Z radością oddawała się w jego ręce. Czuła, że mogłaby poszybować. W obłoki rozkoszy, w miękkie, kłębiaste mgły czystej przyjemności. Gdy ją zaczął rozbierać, otworzyła oczy, by go widzieć.

Zachód słońca pogrążał świat w mroku. Na jego tle zajaśniała jej skóra, gdy ściągnął z niej podkoszulek. Nie mógł oderwać oczu od Aurory. Obcałował jej palce, dłonie, nadgarstki, aż poczuł, że zadrżała.

Powoli zdejmował z niej dzinsy, zatrzymując się od czasu do czasu, by posmakować świeżo odsłoniętej skóry. Poczul puls bijący z tyłu jej kolan. Zatrzymał się tam, a potem poszedł niżej. Kostki jej nóg były równie szczupłe i delikatne jak nadgarstki. Powędrował po nich językiem, aż jęknęła. I nagi zbliżył się do jej nagiego ciała.

To było niepodobne do niczego. Seks jest po to, by ciało

doznawało rozkoszy, a oto Dawid uczynił z niego obiekt czci i uwielbienia, i zachęcał ją do tego samego.

Poznała już jego siłę, ale w inny sposób. Jego palce nie wpijały się, ręce nie napierały. Prześlizgiwały się, wędrowały, przyprawiały o słabość.

Usłyszała, jak wypowiada jej imię. To było jak słodki, cudowny sen. Szeptał jej do ucha obietnice, a ona w nie wierzyła. Cokolwiek przyniesie jutro, wierzyła w nie teraz. Czowała zapach rozrzuconych na łóżku kwiatów.

Wszedł w nią, jakby ich ciała nigdy nie były rozdzielone. Poruszał się w spokojnym, cierpliwym i współbrzmiającym z nią rytmie.

I patrzył na nią zachłannie, radośnie upojoną, pełną erotycznego głodu i dziwnie przy tym spokojną. Właśnie tego pragnął - dać jej wszystko, co jest do dania. Odnalazł jej usta i zachłysnął się słodyczą. Skąd mógł wiedzieć, że słodycz może być aż tak podniecająca?

Krew dudniła mu w głowie, grzmiała w uszach, ale ciało nadal poruszało się wolno. Balansując na krawędzi, po raz ostatni wymówił jej imię.

- Auroro, patrz na mnie. - Otworzyła pociemniałe oczy. - Proszę, patrz na mnie, tak samo jak ja patrzę na ciebie.

A kiedy już wszystko wymknęło się spod kontroli, czułość pozostała.

ROZDZIAŁ 10

Alice Robbins zabłysnęła na ekranie w latach sześćdziesiątych. Była młoda i utalentowana. Jak wiele dziewcząt przed nią i po niej, uciekła do Hollywood, nie mogąc znieść ograniczeń, jakie niosło życie w małym miasteczku. Zabrała ze sobą marzenia, nadzieje i ambicję. Jeżeli mierzyć, to wysoko.

Jej pierwsze, wczesne i bardzo burzliwe małżeństwo zakończyło się szybkim i także burzliwym rozwodem. Sceny w sądzie i poza nim były równie spektakularne, jak wszystko, co odtwarzała na ekranie. Po rozwodzie, dzięki zawrotnej wprost karierze, korzystała ze wszystkich przywilejów należnych pięknej kobiecie w mieście, które domaga się, a potem hołubi i wielbi piękno. Pikantne sprawozdania z jej przygód miłosnych wypełniały stronice błyszczących magazynów. Każdej nowej roli towarzyszyły płomienne artykuły i świetne recenzje, które ją wynosiły pod niebiosa. Kiedy miała blisko trzydzieści lat, u szczytu powodzenia, spełniło się w jej życiu coś, czego nie dały jej najwspanialsze recenzje i uwielbienie tłumów. Oto bowiem poznała Petera van Campa.

Bezprecedensowym posunięciem było przyjęcie nazwiska męża, zarówno na użytek prywatny, jak i zawodowy.

Po roku urodziła syna i bez cienia żalu porzuciła film. Przez dziesięć lat oddawała się rodzinie z takim samym poświęceniem i samozaparciem, jakie wkładała w swoje aktorstwo.

Kiedy pojawił się przeciek, że Alice van Camp otrzymała

wspaniałą propozycję powrotu na ekran, zrobił się ogromny szum. Krążyły pogłoski o kontrakcie na wiele milionów dolarów. Chodziło o główną rolę w filmie stulecia.

Na cztery tygodnie przed uroczystą premierą został porwany Matthew, syn van Campów.

Dawid dobrze znał tło sprawy. Alice van Camp, mimo że skryła się w zaciszu domowym na długie lata, nadal była osobą niezwykle popularną i uwielbianą, i wszystko, co jej dotyczyło, stanowiło żer dla prasy zarówno brukowej, jak i tej bardziej ambitnej. Oczywiście więc, że porwanie jej syna stało się kaskiem wartym każde pieniądze, a jednak najbardziej nawet sprytnym i bezwzględnym hienom dziennikarskim nie udało się dotrzeć do najważniejszych szczegółów. Policja nigdy nie udostępniła dossier sprawy, ograniczając się do suchych komunikatów, nie było też, o dziwo, żadnych poważniejszych przecieków, natomiast Clarissa DeBasse udzielała enigmatycznych i wymijających odpowiedzi. Dawid wiedział, że nawet mając zgodę van Campów i obietnicę współpracy, będzie musiał postępować z niezwykle ostrożnością.

Ograniczył skład ekipy do minimum, dobierając samych doświadczonych ludzi. Może słowo „gwiazda” obecnie trochę się zdeprecjonowało, ale Dawid wiedział, że będą pracować z kobietą, która w pełni zasłużyła na ten tytuł, otoczony aurą tajemniczości i wyjątkowości.

Jej rezydencji w Beverly Hills strzegły elektroniczne bramy,

strażnicy i czterometrowy mur. Kiedy przeszli kontrolę, musieli jeszcze pokonać ponad pół kilometra do domu.

Był biały, z dużą liczbą balkonów i z doryckimi kolumnami, stonowany wysokimi, bardzo wysokimi treliazami, po których pięły się róże w pełnym rozkwicie. Jak wieść niesie, dom zbudował Peter van Camp, by uczcić ostatnią rolę żony przed urodzeniem ich syna. Była to opowieść sprzed wojny secesyjnej. Dawid widział ten film wiele razy i zapamiętał Alice jako niesamowitą zalotnicę, przy której Scarlett O'Hara wyglądała jak zakonnica.

Były też japońskie drzewa wiśni, których gałęzie, ciężkie od ociekających sokiem owoców, niemal kładły się na trawniku. Ich zapach, a także woń pomarańczy i cytryn, wprost odurzały. Gdy zahamował samochód za furgonetką ze sprzętem, dostrzegł pawia przechadzającego się dostojnym krokiem po trawniku.

- Szkoda, że A. J. tego nie widzi - mruknął do siebie.

Tak było cały czas. Wciąż o niej myślał, ze wszystkim mu się kojarzyła. Ponieważ nie wiedział, co z tym fantem począć, uznał, że tak po prostu musi być i kropka.

Lecz co do niej czuł? Tak naprawdę nie wiedział. Pożądanie, na pewno pożądanie. Ale jeszcze przyjaźń. Prawie w równym stopniu są i przyjaciółmi, i kochankami. Wzajemne zrozumienie. Z tym było trudniej. A. J. obdarzona była niezwykłym darem wnikania w jego myśli, sama jednak była niezmiernie skryta. Wiedział jednak przynajmniej tyle, że ma do

czynienia z ciepłą, bezbronną kobietą.

Była namiętna, a zarazem pełna rezerwy. Była kompetentna i stanowcza, a jednocześnie niezmiernie krucha. Mógłby długo wyliczać paradoksy jej umysłu, duszy i charakteru. Cóż, była jedną wielką tajemnicą. Kusilo go, by odkrywać ją warstwa po warstwie przez długie lata.

Może dlatego tak nim zawładnęła. Kobiety, które dotąd znał, w ogromnej większości dawały się łatwo określić, rozpoznać. Wyrafinowane i obyte. Ambitne. Trzymające klasę i dobrze wychowane. Ciągnęło go do takich, z takimi romansował. A. J. świetnie pasowała do tego wzorca, Aurora absolutnie nie. O ile dobrze rozumiał, oba te, tak kontrastowo różne wcielenia, były równie prawdziwe, wynikały z najgłębszego jestestwa, co oczywiście musiało prowadzić do wewnętrznych konfliktów lub paradoksalnych zachowań.

I prowadziło. Przeżył to na własnej skórze, został przecież skopany jak pies, by zaraz potem zaznać niewysłowionych rozkoszy.

A choćby teraz. Jako agentka A. J. cieszyła się z umowy, którą podpisała dla swojej klientki, włącznie z częścią dotyczącą van Campów, bo to był świetny i prestiżowy interes, zarazem jednak jako Aurora i córka Clarissy poważnie obawiała się ewentualnych następstw tego przedsięwzięcia.

Ale umowa została zawarta, powtórzył sobie w duchu, wchodząc kolistymi schodami do posiadłości van Campów. Jako

producent był zadowolony z postępów prac nad dokumentem, ale jako mężczyzna czuł się kompletnie zagubiony. Z A. J. współpracowało się świetnie, była stanowcza, świetnie zorganizowana i nad wyraz kompetentna, natomiast z Aurorą wszystko szło tak dziwnie. Podniecała go, fascynowała, a on troszczył się o nią i niepokoił jak o żadną dotąd kobietę, a zarazem nie wiedział, czego tak naprawdę może od niej oczekiwać. Czy któregoś dnia nie powie mu po prostu do widzenia? Wszystko jest możliwe. Nie potrafił zgłębić jej umysłu i duszy, wiedział tylko, że jest nieprzewidywalna.

To oczywiście niezwykle intrygujące, lecz zarazem jakże bolesne.

Bolesne? - powtórzył w myślach. Tak, słodkie, cudowne i bolesne.

Brady, czyżbyś się zakochał? - zapytał w duchu. Jeśli tak, to co z tym, do licha, zrobisz?

- Widzę, że się zastanawiasz. Chcesz coś zmienić? - zapytał Alex, gdy Dawid z nieprzytomnym wyrazem twarzy zatrzymał się w drzwiach.

Zły na siebie, wzruszył ramionami, po czym nacisnął dzwonek.

- A powinienem?

- Clarissa jest zadowolona z tego pomysłu.

- A ty?

- Tak - odparł Alex. - Clarissa wie, na co ją stać.

- Alex... - Nie bardzo wiedział, jedynie przeczuwał, co chce powiedzieć, ale było to coś bardzo ważnego. Niestety drzwi otworzyły się i okazja została stracona.

Pokojówka, po akcencie sądząc, z pochodzenia Francuzka, zaprowadziła ich do oddalonego od głównego holu pokoju. Ekipa, na której rzadko co robiło wrażenie, rozmawiała półgłosem.

To było właśnie Hollywood! Wielkie i rzucające się w oczy meble, efekciarskie kolory. Na buduarowym fortepianie pośrodku pokoju stał srebrny kandelabr z całą masą kryształowych wisiorów. Dawid rozpoznał w nim rekwizyt z „Musie at Midnight”.

- Nic dodać, nic ująć - skomentował Alex.

- Rzeczywiście. - Dawid ogarnął wzrokiem resztę pokoju: brokaty i jedwabie w jaskrawych kolorach i meble błyszczące jak lustro. - Ale Alice van Camp może się okazać jedynym naprawdę interesującym eksponatem w tym całym interesie.

- Dziękuję.

Królewska, szczerze rozbawiona i równie olśniewająca, jak w czasach swojego debiutu, Alice van Camp przystanęła w drzwiach. Była kobietą, która wie, jak pozować, i która to robi wręcz instynktownie. Podobnie jak innych, którzy ją znali wyłącznie z filmów, również Dawida uderzyło, że jest niska. Ale zaraz zapominało się o tym, była bowiem niezwykła i fascynująca.

- Witam pana. - Z wyciągniętą ręką podeszła do Aleksa. Włosy miała ciemnobrązowe, przylegające do twarzy tak porcelanowej i gładkiej jak twarz dziecka. Można jej było dać nie więcej niż trzydzieści lat. - Tak się cieszę. Jestem wielbicielką dziennikarzy, oczywiście o ile nie przekręcają moich wypowiedzi.

- Pani van Camp. - Ujął jej drobną rękę w obie dłonie. - Czy powinienem wygłosić oczywistą prawdę?

- To zależy.

- Z bliska jest pani równie piękna jak na ekranie. Zaśmiała się, a raczej zamruczała zmysłowo... i już było wiadomo, dlaczego przez ponad dwadzieścia lat spędzała mężczyznom sen z powiek.

- Och, taką prawdę bardzo sobie cenię. - Przeniosła wzrok na Dawida, taksując go bez żenady jak kobieta mężczyznę. - Pan Brady, jak rozumiem? Widziałam kilka filmów pańskiej produkcji. Mój mąż przedkłada dokument i filmy biograficzne nad fabułę. Nie rozumiem, dlaczego się ze mną ożenił.

- A ja rozumiem. - Dawid szarmancko uściskał jej dłoń. - Jestem pani zagorzałym fanem.

- Tylko proszę nie mówić, że podobały się panu moje filmy już wówczas, gdy był pan dzieckiem. A teraz, jeśli mi pan przedstawi swoją ekipę, będziemy mogli zacząć.

Dawid podziwiał ją i uwielbiał od lat. Po dziesięciu minutach w jej towarzystwie jego podziw wzrósł jeszcze

bardziej. Rozmawiała z każdym członkiem ekipy, od reżysera po oświetleniowca, a na koniec zwróciła się do Sama po instrukcje.

Zasugerowała, żeby przeszli na taras. Cierpliwie czekała, aż technicy ustawią kamery i parasole, by uzyskać jak najlepsze efekty świetlne. Pokojówka postawiła na stole zimne napoje i przekąski. Alice siedziała spokojnie podczas prób dźwięku i zabezpieczania kabli. A kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik, dała Aleksowi znak, że może zaczynać.

- Pani van Camp znana jest od dwudziestu lat jako najbardziej utalentowana i najbardziej uwielbiana amerykańska aktorka.

- Dziękuję, Aleksie. Zawsze traktowałam moją pracę jako coś niesłychanie ważnego w moim życiu.

- Jesteśmy tu jednak nie po to, by rozmawiać o pani sukcesach na ekranie. Zgodziła się pani ujawnić pewne rodzinne tajemnice, zwłaszcza związane z pani synem. Dziesięć lat temu otarła się pani o tragedię.

- Tak, to prawda.

- To pierwszy wywiad, którego udziela pani na ten temat. Czy mogę zapytać, dlaczego zgodziła się pani na to właśnie teraz?

Uśmiechnęła się nieznacznie i wyciągnęła w ratanowym fotelu.

- Tak w życiu, jak i w zawodzie wybór chwili ma zasadnicze znaczenie. Jeszcze wiele lat po porwaniu syna nie byłam w

stanie o tym mówić, a po jakimś czasie wyciąganie tej sprawy na światło dzienne nie wydawało mi się konieczne. Do dzisiaj, i tak będzie zawsze, gdy oglądam wiadomości albo widzę afisze z zaginionymi dziećmi, cierpię z ich rodzicami.

- Czy według pani ten wywiad może pomóc tym rodzicom?

- Na pewno nie pomoże im w odnalezieniu zaginionych lub porwanych dzieci. - Przez jej twarz przebiegł ledwie dostrzegalny skurcz. - Ale może ulży im choć trochę w nieszczęściu. Nigdy nie brałam pod uwagę, by publicznie wyjawić, co wówczas przeżywałam, jakie uczucia mną miotały, co myślałam, i z pewnością nie doszłoby do tej rozmowy, gdyby nie Clarissa DeBasse.

- Clarissa DeBasse poprosiła panią o udzielenie tego wywiadu?

Alice z ciepłym uśmiechem potrząsnęła przecząco głową.

- Ona nigdy o nic nie prosi, ale podczas rozmowy z nią przekonałam się, że ma zaufanie do tego programu, i dlatego zgodziłam się.

- Darzy ją pani dużym zaufaniem.

- Zwróciła mi syna.

Powiedziała to z taką prostotą, z taką bezgraniczną szczerością, że Alex milczał przez chwilę, by słowa zawisły w powietrzu.

- Właśnie o tym chcielibyśmy porozmawiać. W jakich okolicznościach poznała pani Clarissę DeBasse?

Dawid stał z tyłu. Pamiętał, jak kiedyś A. J. opowiedziała mu, w jaki sposób, będąc dzieckiem, poznała różne sławne osoby. Alice van Camp przyszła do Clarissy z przyjaciółką ot tak, z czystego kaprysu. Kiedy wyszła po godzinie, była zafascynowana delikatnością, klasą i prostolinijnym sposobem bycia Clarissy. Nawet zamówiła u niej astrologiczny horoskop męża w prezencie na rocznicę ślubu, a pragmatyczny i pochłonięty interesami Peter van Camp był zaintrygowany.

- Powiedziała mi wiele rzeczy o mnie - ciągnęła Alice. - Nie o przyszłości, nie o tym, że spotkam tajemniczego bruneta i że powinnam się strzec rudej przyjaciółki... Chodziło o coś naprawdę ważnego. O moje uczucia, o wydarzenia z dzieciństwa, które wpłynęły na moje życie, jedne pozytywnie, inne negatywnie, a które w różny sposób decydują o moich wyborach. Nie powiem, że zawsze podobało mi się to, co mówiła. Są sprawy, do których wolimy się nie przyznawać. Ale wracałam do niej, bo była niezwykle intrygująca, a przy tym zwyczajnie, po ludzku, nad wyraz urocza i ciepła. Po pewnym czasie zaprzyjaźniłyśmy się.

- Wierzy pani w jasnowidztwo? Alice zadumała się na chwilę.

- Mówiąc całkiem szczerze, najpierw widywałam się z Clarissą, ponieważ było to zabawne, inne. Po urodzeniu syna celowo odizolowałam się od świata, lecz nadal potrzebowałam odrobiny poklasku. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście od

wyjatkowych osób. A Clarissa jest wyjątkowa - zakończyła ciepło.

- Więc chodziła pani do niej dla rozrywki.

- Na początku tak. Po pierwsze uważałam, że Clarissa jest niezwykle zdolna i bystra. Potem, kiedy ją lepiej poznałam, przekonałam się, że jest również bardzo szczegółna, niepowtarzalna. Co wcale nie oznacza, że apróbuję każdego chiromantę na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Nie twierdzę też wcale, że rozumiem cokolwiek z testów i badań prowadzonych w tej dziedzinie. Ale widzi pan, naprawdę wierzę, że niektórzy z nas są bardziej wrażliwi, że ich zmysły są subtelniejsze i bardziej wyczułone niż u innych.

- Czy może nam pani opowiedzieć, co się działo, gdy pani syn został uprowadzony?

- Dwudziestego drugiego czerwca. Prawie dziesięć lat temu.

- Alice na chwilę zamknęła oczy. - Dla mnie nadal działo się to wczoraj... Czy ma pan dzieci, panie Aleksie?

- Tak, mam.

- I kocha je pan.

- Bardzo.

- Więc ma pan mgliste wyobrażenie o tym, czym byłaby ich strata, nawet na krótki czas. To przerażenie i poczucie winy. Wina jest prawie tak samo bolesna jak strach.

Widzi pan, nie byłam z nim, kiedy go porwano. Jenny, niania Matthew, pracowała u nas od pięciu lat i bardzo

przywiązała się do mojego syna. Była młoda, ale odpowiedzialna i nad wyraz opiekuńcza. Kiedy podjęłam decyzję o powrocie do filmu, Jenny stała się dla nas wielkim oparciem. Oboje z mężem nie chcieliśmy, żeby Matthew ucierpiał z powodu mojej pracy.

- Syn miał zaledwie dziesięć lat, kiedy zgodziła się pani nakręcić film.

- Tak, był już bardzo niezależny i samodzielny. Tak go wychowywaliśmy. Często podczas kręcenia Jenny przywoziła go do studia, a gdy już zdjęcia zostały zakończone, kontynuowała zwyczaj zabierania go po południu do parku. Gdybym wówczas wiedziała, jak bardzo niebezpieczne mogą się okazać utrwalone nawyki, nie dopuściłabym do tego. Zależało nam, żeby nie znalazł się w centrum zainteresowania, ponieważ czuliśmy, że tak będzie lepiej dla jego rozwoju. Oczywiście poznawano go, a od czasu do czasu jakiemuś fotografowi udawało się go sfotografować.

- Czy to panią niepokoiło?

- Nie. Cóż, jako aktorka byłam do tego przyzwyczajona. Peter i ja nie chroniliśmy fanatycznie naszej prywatności. Być może, gdybyśmy byli bardziej stanowczy w tym względzie, nie doszłoby do porwania? Wciąż się nad tym zastanawiam... - Lekko westchnęła. - Dowiedzieliśmy się później, że Matthew był śledzony w parku.

- Przez pewien czas policja podejrzewała Jennifer Waite, niankę pani syna, o współpracę z porywaczami.

- Oczywiście było to absurdalne podejrzenie. Ani przez chwilę nie wątpiłam w lojalność Jenny i w jej przywiązanie do Matthew. Kiedy już było po wszystkim, została całkowicie oczyszczona. - W głosie Alice pojawił się ślad nieustępliwości. - Nadal ją zatrudniam.

- Detektywi uznali jej opowieść za chaotyczną i nieskładną.

- Kiedy w dniu porwania Jenny wróciła do domu, była w stanie histerycznego szoku. Oskarżała siebie. Matthew grał w piłkę z dziećmi, a ona go pilnowała. W pewnej chwili podeszła do niej młoda kobieta i zapytała o drogę. Opowiedziała jakąś historię, że nie zdążyła na autobus, że jest pierwszy raz w mieście. Kiedy Jenny się odwróciła, zobaczyła, że Matthew jest wciągany na siłę do samochodu na obrzeżach parku. Pobiegła za nim, ale było za późno. Po dziesięciu minutach wróciła sama do domu, a wkrótce potem zadzwonił telefon z żądaniem okupu. - Podniosła do ust lekko drżące ręce. - Przepraszam. Czy możemy zrobić przerwę?

- Cięcie. Pięć minut - wydał polecenie Sam. Dawid znalazł się przy niej, zanim Sam skończył mówić.

- Może podać pani coś do picia?

- Nie. - Potrząsnęła głową, nie patrząc na niego. - To nie takie proste, jak sądziłam. Dziesięć lat, a nadal tkwi we mnie...

- Mógłbym posłać po pani męża.

- Powiedziałam Peterowi, żeby się trzymał dzisiaj z daleka.

- Może resztę nakręcimy jutro.

- Och, nie. - Zaczerpnęła tchu, zebrała się w sobie.

- Staram się kończyć to, co zaczynam. Matthew jest na drugim roku w college'u. - Uśmiechnęła się do Dawida.

- Lubi pan happy endy?

Wziął jej rękę. Przez chwilę była tylko kobietą.

- Uwielbiam.

- Jest błyskotliwy, przystojny i zakochany. A mogło być... -
Znów splotła dłonie, a rubin na jej palcu zaświecił jak krew. -
Mogło być zupełnie inaczej. Zna pan córkę Clarissy, prawda?

Nagłą zmianą tematu zbiła go z tropu.

- Tak.

Doceniła jego powściągliwość.

- Jak powiedziałam, przyjaźnimy się z Clarissa, a matki niepokoją się o swoje dzieci. Czy mogę poprosić o papierosa?

- Oczywiście, proszę. Dawid również zapalił.

- Jest cholernie trudnym agentem. Czy pan wie, że chciałam z nią podpisać kontrakt, a ona mi odmówiła?

- Co proszę?

Alice wyraźnie się odprężyła. Potrzebowała chwili, by wrócić do dawnych wspomnień.

- To było kilka miesięcy po porwaniu. A. J. ubrdała sobie, że przychodzę do niej z wdzięczności do Clarissy. I może tak było. W każdym razie odprawiła mnie z kwitkiem, chociaż w tym czasie pracowała jak szalona, żeby móc wynająć jakiś przyzwoity lokal na biuro. Podziwiałam jej prawość. Proszę sobie

wyobrazić, że po latach zjawiłam się u niej ponownie. Była już ustawiona, szanowana. I znów odprawiła mnie z kwitkiem.

Jaki agent przy zdrowych zmysłach splawiłby supergwiazdę?

- A. J. nie zawsze robi to, czego można by się spodziewać - powiedział półgłosem.

- Córka Clarissy jest kobietą, która domaga się, by ją akceptowano dla niej samej, tylko nie zawsze potrafi określić, w jakim znajduje się punkcie. - Wypuściła dym i zgasiła papierosa.

- Dziękuję, możemy kontynuować.

W ciągu paru sekund Alice zagłębiła się w swoją historię. Siedząc w słońcu, wśród mocnego i słodkiego zapachu róż, opowiadała o przeżytych horrorze.

- Zapłacilibyśmy każde pieniądze. Szamotaliśmy się, nie wiedzieliśmy, czy wzywać policję, czy nie. Nie mieliśmy się kogo poradzić, ale Peter czuł, i słusznie, że potrzebujemy pomocy, że sami sobie z tym nie poradzimy. Wezwania o okup powtarzały się co parę godzin. Zgodziliśmy się zapłacić, ale oni wciąż zmieniali warunki. Sprawdzali nas. To był najgorszy rodzaj okrucieństwa, balansowaliśmy od nadziei do rozpacz. W końcu zawiadomiliśmy policję. Zaczęli szukać samochodu, który widziała Jenny, i kobiety, która z nią rozmawiała w parku, lecz nic to nie dało. Po dwóch dobach nie posunęliśmy się ani o krok.

- I wtedy zwróciliście się o pomoc do Clarissy DeBasse?

- Nie pamiętam, kiedy przyszedł mi do głowy ten pomysł.

Przypominam sobie, że nie jadłam i nie spałam, tylko czekałam, aż zadzwoni telefon. Straszne jest to uczucie bezradności. Zapamiętałam, Bóg wie jakim cudem, że Clarissa podpowiedziała mi kiedyś, gdzie mam szukać broszki, którą położyłam nie na swoim miejscu. Dostałam ją od Petera po urodzeniu Matthew. Dziecko to nie broszka, ale zaczęłam kombinować, że może... tylko może. Potrzebowałam jakiejś nadziei. Oczywiście pomysł nie spodobał się policji, tak jak i Peterowi, ale on wiedział, że tego potrzebuję. Zadzwoniłam do Clarissy i powiedziałam, że uprowadzili Matthew. - Nic sobie nie robiła z łez, które jej napłynęły do oczu. - Zapytałam, czy może mi pomóc, a ona powiedziała, że spróbuje. - Przez moment milczała. - Rozkleiłam się, kiedy przyszła. Siedziała ze mną przez jakiś czas, jak dobra przyjaciółka, jak matka z drugą matką. Porozmawiała z Jenny, chociaż biedaczka prawie nie była w stanie mówić. Policja próbowała zbyć Clarissę, ale ona przyjmowała to ze spokojem. Powiedziała im, że przeszukują niewłaściwe miejsce. - Starła łzy z policzka. - Najdelikatniej mówiąc, byli niezadowoleni, że się wtrąca. Powiedziała im, że Matthew nie został wywieziony z miasta, że nie pojechał na północ, jak przypuszczali. Poprosiła o coś, co należy do mojego syna. Przyniosłam piżamę, w której spał ostatniej nocy przed porwaniem. Była niebieska, a na górze miała wzorek w małe samochodziki. Usiadła z nią i przesuwiała ją w rękach. Pamiętam, że miałam ochotę wrzeszczeć na Clarissę, błagać, żeby

cokolwiek mi powiedziała. Po jakimś czasie zaczęła mówić spokojnym głosem: „Matthew znajduje się zaledwie parę mil stąd, w Los Angeles. Nie został wywieziony do San Francisco, chociaż jeden telefon z żądaniem okupu, namierzony przez policję, pochodził stamtąd”. Opisała ulicę i dom. Biały, narożny, z niebieskimi okiennicami. Nigdy nie zapomnę, co czułam, kiedy opisała pomieszczenie, w którym był przetrzymywany. Było ciemne, a Matthew, choć zawsze starał się być dzielny, nadal bał się ciemności. Powiedziała, że w domu jest tylko dwoje ludzi, mężczyzna oraz kobieta, która zaczepiła Jenny w parku. Zdawało się jej, że na podjeździe stoi samochód, szary albo zielony. Powiedziała mi, że nie zrobiono mu krzywdy. - Głos zadrżał jej lekko. - Jest wystraszony, ale nie ma obrażeń.

- I policja poszła tym tropem?

- Byli bardzo sceptyczni, ale wysłali samochód, żeby przyjrzeć się temu domowi. Nie wiem, kto był bardziej zdumiony, kiedy go znaleźli, Peter i ja czy policja. Wydostali Matthew bez walki, ponieważ porywacze ich się nie spodziewali. Trzeci współnik był w San Francisco i to on telefonował. Clarissa czekała aż do powrotu Matthew. Później opisał mi pomieszczenie, w którym był przetrzymywany. Było takie, jak mówiła Clarissa, zgadzał się dosłownie każdy szczegół.

- Pani van Camp, wiele osób utrzymywało, że porwanie i spektakularne uratowanie syna były swoistym chwytem, który miał zrobić reklamę pani pierwszemu po powrocie na ekran

filmowi.

- Było mi to obojętne. - Samym tylko głosem i wyrazem oczu wyraziła swoją absolutną pogardę. - Mogli sobie mówić i wierzyć, w co im się żywnie podobało. Najważniejsze, że odzyskałam mojego syna.

- I wierzy pani, że zawdzięcza to Clarissie DeBasse?

- Jestem o tym przekonana.

- Cięcie - zakomenderował Sam.

Teraz Dawid mógł już odejść, bo nie był potrzebny przy dokrętkach. Sesja była skończona i miał wszystko, czego tylko mógł sobie życzyć. Alice van Camp była znakomitą aktorką, ale nikt z widzów nie pomyśli, że grała. Była matką dzielącą się doświadczeniem, którego boi się każda matka, i zrobiła to w absolutnie wiarygodny sposób. Z punktu widzenia Dawida jej największą zasługą jest to, że wniosła do filmu ducha.

A zarazem nieco lepiej zrozumiał mieszane uczucia A. J. związane z tym wywiadem. Alice van Camp cierpiała, opowiadając o tragicznych chwilach, i to samo dotyczy Clarissy, osoby tak bardzo empatycznej. Ta właściwość stanowiła najpewniej najintymniejszą część jej daru.

A jednak nadal tkwił przy kamerze i ogarnięty dziwnym niepokojem czekał aż do zakończenia zdjęć. Pomimo śladu znużenia, jakiego dopatrzył się w jej oczach, Alice osobiście odprowadziła ekipę do frontowych drzwi.

- Nadzwyczajna kobieta - skomentował Alex, gdy schodzili

kolistymi schodami w kierunku podjazdu.

- Jeszcze jak. Ale sam masz taką.

- Święta prawda. - Alex wyjął cygaro, które cierpliwie czekało od ponad trzech godzin. - Może pomyślisz, że jestem odrobinę stronniczy, ale uważam, że i ty masz taką.

Marszcząc czoło, Dawid przystanął przy samochodzie.

- Nie zdobyłem A. J. - Po raz pierwszy mu się zdarzyło, że pomyślał o tym w tych kategoriach.

- Zdaje się, że Clarissa jest innego zdania.

- I aprobeuje to?

- A nie powinna?

Dawid wyjął papierosa. Niepokój narastał.

- Nie wiem.

- Chciałeś mnie wcześniej o coś zapytać, zanim weszliśmy do środka. Czy chcesz to zrobić teraz?

- Clarissa - powiedział po dłuższej chwili - nie jest zwyczajną kobietą. Czy to cię niepokoi?

Alex z zadowoleniem roztoczył wokół siebie kłęby dymu.

- Z pewnością mnie intryguje, skłamałbym też, gdybym się nie przyznał, że miałem kilka trudnych momentów. Pogodziłem się jednak z faktem, że ja mam pięć zmysłów, a ona sześć. Cóż, witaj w klubie. Jak widzę, właśnie przeżywasz swoje trudne chwile. - Uśmiechnął się lekko, gdy Dawid nie odpowiedział. - Clarissa nie uznaje tajemnic. Rozmawialiśmy o jej córce.

- Nie sądzę, żeby to spodobało się A. J.

- Wiem, ale matki już takie są że rozmawiają o swoich dzieciach... Jednak widzisz, w tym wszystkim bardziej chodzi o ciebie.

- Nie rozumiem...

- Mówiąc wprost, prawdziwy kłopot jest z tobą. Jesteś w paskudnym wieku, Dawidzie, najgorszym dla mężczyzny. Chwalić Bogu, że już od dawna nie mam trzydziestu lat.

- Możesz mówić jaśniej?

- Oczywiście. Otóż taki trzydziestolatek uważa, że jest za stary, by podejmować szalone wyzwania, bo może stracić to, co już zdobył, i zbyt młody, by zdać się na impuls... z tego samego powodu. Niech więc młodzi zdobywają góry bądź z nich spadają, a starzy poddają się impulsom czy też zwykłym zachciankom, bo dobiegają kresu, więc co mają sobie żałować, natomiast trzydziestolatek powinien kierować się rozumem, ekonomicznym rachunkiem i tym podobne. Naprawdę jesteś w paskudnym wieku, Brady. - Z uśmiechem podszedł do vana, żeby wrócić z ekipą do miasta.

To prawda, jestem już za stary na szalone wyzwania, bo mam zbyt wiele do stracenia, pomyślał Dawid, otwierając drzwi samochodu. To prawda, nie mogę pozwolić, by kierował mną bezrozumny impuls, bo wyląduję pyskiem w błocie.

Ale muszę się z nią zobaczyć. Teraz. Już.

A. J. wyjęła z tylnego siedzenia auta ciężką teczkę. Gdyby lepiej wykorzystała czas w biurze, nie musiałaby wieczorem

ślęczyć nad papierami. Może wykorzystałaby lepiej czas, gdyby wciąż natrętnie nie myślała o wywiadzie Alice van Camp.

Ale jest już po wszystkim, powtarzała sobie, zamykając samochód. Także praca nad filmem dobiega końca. Ma innych klientów, inne scenariusze i projekty, inne kontrakty. Trzeba się do nich przyłożyć. Przekładając teczkę do drugiej ręki, odwróciła się i zderzyła z Dawidem.

- Lubię na ciebie wpadać - powiedział półgłosem, obejmując jej biodra i przesuwał po nich rękami.

Zatkał ją silny powiew wiatru. Tak sobie wytłumaczyła fakt, że nie może złapać tchu. Ale przecież mężczyzna i kobieta, którzy ze sobą regularnie sypiają, nie tracą tchu i nie kręci im się w głowie, kiedy się spotykają. A ona miała ochotę rzucić się Dawidowi się na szyję, owinać się wokół niego i śmiać się.

Jednak zdołała się opamiętać, co bardzo ją ucieszyło.

- Nie połam mi żeber - powiedziała z uśmiechem. - Naprawdę nie oczekiwałam cię dzisiaj wieczorem.

- Jakiś problem?

- Nie. - Lekko pogłaskała go po głowie, na tyle mogła sobie pozwolić. - Jak poszło nagrywanie?

Wychwycił zdenerwowanie w jej głosie.

- Poszło. Nawet nie wiesz, jak bardzo lubię twój zapach. - Pochylił się i musnął wargami jej szyję. - Och, jak bardzo.

- Dawid, jesteśmy na parkingu.

- Wielkie mi odkrycie. - Zamienił jej szyję na ucho, a ją

przeszyła rozkosz.

- Dawid. - Odwróciła głowę, żeby go powstrzymać, i wpadła w pułapkę, bo zamknął jej usta w długim, tęsknym pocałunku.

- Nie przestaję o tobie myśleć - wyszeptał i znów ją całował, mocno, do utraty tchu. - Nie mogę sobie wybić ciebie z głowy. Dochodzę do wniosku, że rzuciłaś na mnie czary. Ot, następne zwycięstwo ducha nad materią.

- Nie gadaj. Wejź do środka.

- Mało ze sobą rozmawiamy. Wcześniej czy później będziemy musieli.

Tego najbardziej się bała. Prawdziwa rozmowa dotyczy może tylko jednego: rozstania.

- A więc później. Proszę. - Przytknęła policzek do jego policzka. - A na razie po prostu cieszymy się sobą.

- To wszystko, czego chcesz?

Nie, nie, chciała więcej, chciała wszystkiego. Gdyby wypowiedziała choć jedno ze swych pragnień, natychmiast posypałyby się następne i następne.

- To mi wystarczy - powiedziała desperacko. - Dlaczego właśnie dzisiaj tu przyszedłeś?

- Bo chcę ciebie. Bo, a niech to diabli, nie wytrzymuję bez ciebie.

- I to jest właśnie to, czego potrzebuję. - Czy usiłowała przekonać siebie, czy jego? - Wejź do środka, a przekonasz się.

Ponieważ pragnął i ponieważ sam tak naprawdę nie

wiedział, czego pragnie, wziął ją za rękę i ruszył do domu.

ROZDZIAŁ 11

Czy na pewno chcesz to robić? - Uznała, że musi dać mu szansę na honorową rejteradę.

- Na pewno.

- To zajmie dużo czasu.

- Chcesz się mnie pozbyć?

- Nie. - Uśmiechnęła się, choć jeszcze się wahała. - Nigdy niczego takiego nie robiłeś?

Ujął kołnierzyk jej bluzki w dwa palce i potarł go. Praktyczna, raczej oszczędna A. J. miała słabość do jedwabiu.

- To będzie mój pierwszy raz.

- Więc bądź grzecznym chłopczykiem i rób, co ci pani każe.

- Jezu, jeszcze jedna taka aluzja i po robocie... - Poglądził ją po szyi.

- To nie była żadna aluzja! - Zaczerwieniła się lekko. - Cholera, była, ale całkiem nieświadoma. - Roześmiała się. - Dobra, bierzmy się do pracy. Tylko nie wiem, czy naprawdę powinieneś...

- Nie ufasz mi? Zadarła głowę i przesłała mu przeciągłe spojrzenie.

- Jeszcze nie wiem. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, muszę zaryzykować. Weź sobie krzesło. - Pokazała na stół. Leżała na nim cała masa równiutko poukładanego papieru. A. J. sięgnęła po równiutko zatemperowany ołówek i wręczyła go Dawidowi. - Będziesz odhaczał nazwiska, które ci powiem. To

ludzie, od których otrzymaliśmy pozytywną odpowiedź. Do końca tygodnia muszę podać przybliżoną liczbę gości firmie cateringowej.

- Na razie wszystko wydaje się proste.

- Widać, że nigdy nie miałeś do czynienia z tymi od cateringu - mruknęła A. J. i wzięła sobie krzesło.

- Co to takiego? - Gdy sięgnął po kolejny plik papierów, zatrzymała jego rękę.

- Ludzie, którzy już przysłali prezenty, tylko nie dotykaj, bo narobisz bałaganu. Kiedy to skończymy, zajmiemy się gośćmi z miasta i przyjezdnymi. Mam nadzieję, że uda mi się jutro zarezerwować pokoje.

Zaczęła studiować nieduży, ale starannie ułożony plik papierów, który leżał między nimi.

- Zdawało mi się, że to miało być kameralne i skromne wesele.

Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Nie istnieje nic takiego, jak kameralne i skromne wesele. Spędziłam dwa bite poranki na targowaniu się ze specjalistami od kompozycji roślinnych i tydzień na użeraniu się z firmami cateringowymi.

- Wyciągnęłaś z tego jakieś wnioski?

- Najmądrzejszym wyjściem jest porwanie panny młodej i potajemny ślub. A teraz...

- Chciałabyś?

- Co?

- Zostać porwaną i wziąć potajemnie ślub? Śmiejąc się, A. J. sięgnęła po pierwszą partię papierów.

- Gdybym kiedykolwiek straciła poczucie rzeczywistości i postanowiła wyjść za mąż, myślę, że poleciałabym do Vegas, podjechała do jednej z tych kaplic dla zmotoryzowanych i miała to z głowy.

- Niezbyt romantyczne - zauważył.

- Podobnie jak ja.

- Nie jesteś romantyczna?

- Nie. W biznesie nie ma miejsca na te rzeczy.

- A tak w ogóle?

- A tak w ogóle to romantyzm prowadzi na manowce. Lubię iluzję na scenie, ale nie we własnym życiu.

- A czego szukasz w życiu, Auroro? Nigdy mi nie mówiłaś.

Tak, nie mówiła i nie powie. Dlaczego jednak o to pyta? Dlaczego przekracza ustalone granice? Dlaczego jest tak przejęty? A ona tak zdenerwowana?

- Sukcesu - powiedziała. Czy zawsze do niego nie dążyła?

Pokiwał głową, jednocześnie przesuwając kciukiem wzdłuż jej szyi.

- Odniosłaś już sukces, stworzyłaś świetną agencję. Co jeszcze? - Czekał na jedno słowo, na jeden znak. Czy potrzebuje jego? Po raz pierwszy w życiu chciał być potrzebny.

- Ja... - Zająknęła się. Chyba tylko on mógł to sprawić.

Czego on chce? Jaka odpowiedź by go zadowoliła? - Chcę być całkowicie niezależna, nikomu nic nie zawdzięczać.

- Czy dlatego spławiłaś Alice van Camp?

- Powiedziała ci? - Jeszcze nie rozmawiali o wywiadzie. A. J. od paru dni celowo omijała ten temat.

- Tylko napomknęła.

- To było bardzo miłe z jej strony, że przyszła do mnie akurat wtedy, kiedy stawiałam pierwsze kroki i wszystko szło jak po grudzie. - Wzruszyła ramionami i zaczęła przesuwać ołówek między palcami. - Ale zrobiła to z wdzięczności dla mojej matki. Dlatego nie mogłam podpisać tej umowy, choć całkowicie odmieniłaby moją zawodową sytuację.

- Później zwróciła się do ciebie ponownie.

- To była zbyt osobista sprawa.

- A ty nie mieszasz biznesu z osobistymi sprawami.

- No właśnie. Napijesz się kawy?

- Ze mną połączyłaś biznes i sprawy osobiste. Jej palce zacisnęły się na ołówku.

- Tak. Połączyłam.

- Dlaczego?

Choć ją to dużo kosztowało, starała się wytrzymać jego spojrzenie. Wiedziała, że może z niej wszystko wydobyć. Jeśli mu powie, że zakochała się w nim, straci ostatnią szansę obrony. Jeśli natomiast nie chce powiedzieć prawdy, musi znaleźć odpowiedź, którą Dawid zrozumie. Taką która będzie

zwierciadlanym odbiciem jego uczuć do niej.

- Bo chciałam ciebie - powiedziała spokojnie. - Pociągałeś mnie i mądrze czy głupio, poddałam się temu.

- I to ci wystarcza?

Czy nie mówiła, że może ją zranić? Już ją ranił, każdym słowem.

- A dlaczego nie? - Uśmiechnęła się, czekając, aż ból minie.

- A dlaczego nie? - powtórzył półgłosem. Wyjął papierosa, po czym zaczął ostrożnie: - Nie wiem, czy już się orientujesz, że zabieramy się do morderstw w Ridehour. - Dostrzegł napięcie w jej oczach. - Clarissa zgodziła się wziąć udział w dyskusji.

- Mówiła mi. To będzie ostatnie nagranie?

- Na to wygląda. - Wycofywała się. Dzielący ich stół przybrał rozmiar kanionu. - Domyślam się, że jesteś temu przeciwna.

- Tak, ale stopniowo uczę się i godzę z myślą, że Clarissa może podejmować własne decyzje.

- A. J., mam wrażenie, że jej to łatwo idzie.

- Nie rozumiesz.

- Więc oświeć mnie.

- Zanim namówiłam ją na przeprowadzkę i na ścisłe zastrzeżenie nowego adresu, miała pełne szafy listów. - Zdjęła okulary, żeby rozetrzeć ból w skroni. - Ludzie zwracali się do niej o pomoc. Niektórzy chcieli, żeby pomogła odnaleźć pierścioneł, ale inni błagali o ratunek w tak dramatycznych

sprawach...

- Nie mogła wszystkim pomóc.

- Wciąż jej to powtarzałam. Kiedy przeniosła się do Newport Beach, uspokoiło się trochę. Do czasu telefonu z San Francisco. W tej sprawie nie chciała mnie słuchać. Po prostu się spakowała. Kiedy się przekonałam, że nic jej nie powstrzyma, pojechałam z nią. - Mówiła z coraz większym trudem. - To było jedno z najboleśniejszych doświadczeń w jej życiu. Zobaczyła to, jeszcze zanim ją wezwano. - A. J. zamknęła oczy i powiedziała coś, czego nigdy nikomu nie mówiła. - Ja też to zobaczyłam.

Gdy dotknął jej ręk, stwierdził, że są lodowate, oczy miała przerażone. Pocieszenie, zrozumienie. Czy jakoś jej to okazywał?

- Dlaczego wcześniej o tym nie powiedziałaś? Zadrzała i otworzyła oczy. Panowała nad sobą z najwyższym trudem.

- To nie jest coś, o czym chciałabym pamiętać. Nigdy nie zobaczyłam niczego równie wyraźnie, tak potwornie wyraźnie.

- Nie nakręcimy tego.

Spojrzała niewidzącym, nierozumiejącym wzrokiem.

- Co?

- Nie nakręcimy tej sekwencji.

- Dlaczego?

Otulił swymi dłońmi jej dłoń.

- Bo to cię niepokoi i gnębi. Czy to nie dostateczny powód?

Popatrzyła na ich ręce. Jego były silne i niezawodne, a jej takie drobne i słabe. Z wyjątkiem jej matki, nikt nigdy nie

proponował jej niczego bezinteresownie. Ale chyba był szczery.

- Nie wiem, co ci na to odpowiedzieć.

- Najlepiej nic nie mów.

- Nie. - Nagle się odprężyła, nie do końca, ale jednak. - Skoro Clarissa się zgodziła, musi mieć jakiś szczególny powód.

- Nie rozmawiamy teraz o Clarissie, ale o tobie, Auroro. Powiedziałem kiedyś, że nie narażę cię na nic przykrego. Nie rzucam słów na wiatr.

- Wiem. - To zmieniało postać rzeczy. - Już sam fakt, że ze względu na mnie chcesz usunąć ten fragment, sprawia, że czuję się wyróżniona.

- Bo tak jest... i powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej.

Tęsknota narastała. Poddała się jej na krótką chwilę.

- Nie musisz nic mówić. Zdaję sobie natomiast sprawę, że gdybyś usunął ten fragment ze względu na mnie, czułabym do siebie niesmak. To było dawno temu, Dawidzie. Może już czas nauczyć się radzić sobie odrobinę lepiej z rzeczywistością.

- A może za dobrze sobie z nią radzisz?

- Być może. - Znów się uśmiechnęła. - W każdym razie uważam, że powinieneś nakręcić ten fragment. I wykorzystać go jak najlepiej.

- A więc tak zrobię. Nie chciałabyś przyjść na plan?

- Nie. - Rzuciła okiem na stertę papierów. - Wystarczy, że Alex będzie przy niej.

Usłyszał to w jej głosie - nie obawę, ale pogodzenie się.

- Szaleje na jej punkcie.

- Wiem. - Już w innym nastroju sięgnęła ponownie po ołówki. - Urządzą im takie wesele, jakiego świat nie widział!

Posłał jej uśmiech od ucha do ucha. Niezwykle cenił i podziwiał jej umiejętność godzenia się z rzeczywistością.

- Bierzmy się więc do roboty.

Pracowali ramię w ramię przez blisko dwie godziny.

Odczytywali listy i układali nowe. Analizowali i obliczali, ile kupić skrzynek szampana, sprzeczekali się, czy lepiej będzie podać łososiowy mus, czy krewetki na lodzie. Nie spodziewała się po nim takiego zaangażowania w plany weselne swojej matki.

- Praca z tobą jest dla mnie bardzo ważnym doświadczeniem, A. J.

- Hm? - Po raz ostatni przeliczała gości spoza miasta.

- Gdybym potrzebował agenta, będziesz pierwsza na liście.

- Czy to taki sobie komplement?

- Nie, skąd.

- No to prawdziwe dzięki. Zobaczysz, kiedy już będzie po wszystkim, goście będą mi dziękować, że nie musieli jeść szwedzkich klopsików Clarissy. Włącznie z tobą - Odłożyła na bok listę. - Jestem wdzięczna za wszelką pomoc.

- Uwielbiam Clarissę.

- Za to również jestem wdzięczna. Sądę, że zasłużyłeś na nagrodę. - Przynęła się bliżej. - Masz na coś ochotę?

Miał ochotę na wiele.

- Możemy zacząć od kawy, którą proponowałaś przed paroma godzinami.

- Już się robi. - Wstała i z przyzwyczajenia zerknęła na zegarek. - O Boże, leci „Empire”. Muszę to obejrzeć.

Gdy pomknęła w stronę telewizora, pokręcił głową.

- A ja dotąd nie wiedziałem, że mam do czynienia z osobą uzależnioną. Ale na szczęście są miejsca, gdzie ci w razie czego pomogą.

- Pst. - Usadowiła się na sofie, zadowolona, że opuściła tylko czołówkę. - Mam klientkę... Ona ma wielkie możliwości. A to jest pierwsza prawdziwa szansa, jaką otrzymałyśmy. Podpisała umowę tylko na cztery epizody, ale jeśli będzie dobra, może zwrócić się do niej w następnym sezonie.

Zrezygnowany, dołączył do niej.

A. J. przeżywała ze swoją klientką każdą linijkę tekstu, każdy ruch, wyraz twarzy. Zmyłaby mu głowę, gdyby jej wytknął zbyt osobiste zaangażowanie. Tylko biznes? Gdzie tam. Postawiła na nieopierzoną smarkulę, a nie na dziesięć procent udziału. Po prostu pragnie tej dziewczynie pomóc, a sprawa ewentualnych zysków jest na dalekim planie.

- Och, jest dobra - odetchnęła A. J. w przerwie na reklamę.
- Jest naprawdę dobra. Jeszcze sezon lub dwa, a będziemy przebierać w ofertach.

- Ma świetne wyczucie czasu. - Uważał program za

beznadziejny, ale doceniał talent. - Gdzie się uczyła?

- Nigdzie. - Zadowolona z siebie A. J. rozsiadła się wygodnie. - Wsiadła do autobusu w Kansas City i wyładowała w mojej recepcji z portfolio domowej roboty i garstką szkolnych przedstawień, w których wystąpiła.

- Czy zawsze w ten sposób podpisujesz umowy z klientami?

- Zwykle Abe lub inny agent robi kandydatowi wykład, poklepuje po plecach i grzecznie spławia.

- Słusznie. Agencja to nie przedszkole. Ale?

- Ona była inna. Kiedy przez dwa kolejne dni nie chciała się ruszyć z biura, postanowiłam osobiście się z nią zobaczyć. Wystarczyło, że na nią spojrzałam. Miała świetny wygląd i cudowny głos. Co więcej, miała zapał i nerw!

- Trzeba mieć tupet, żeby koczować w jednej z czołowych agencji Hollywood.

- Kto nie ma w tym mieście tupetu, z miejsca zostaje wdeptany w ziemię.

- Czy dzięki temu jesteś na topie, A. J.?

- Częściowo. Chyba nie powiesz, że to co teraz robisz i kim jesteś, zawdzięczasz tylko i wyłącznie własnemu szczęściu?

- Nie. Człowiek zaczyna od tego, że myśli intensywnie, potem uświadamia sobie, że nie obejdzie się bez ryzyka i paru ran. A gdy już to wszystko zgra i połączy, skończy projekt i nawet odniesie sukces, musi zaczynać od nowa i kolejny raz udowadniać, że jest coś wart.

- Parszywy biznes. - A. J. wtuliła się w niego.
- Tak, parszywy.
- Dlaczego to robisz? - Zapominając o serialu i klientce, odwróciła głowę, żeby popatrzeć na niego.
- Z masochizmu.
- Nie, tak naprawdę.
- Ilekroć oglądam coś, co zrobiłem dla małego ekranu, to czuję się, jakby to było Boże Narodzenie. I otrzymuję taki prezent, jakiego pragnę.
- Wiem. - Nie mógł tego trafniej ująć. - Przez parę lat czekałam na Oscara, aż w końcu dwoje moich klientów wygrało. Dwoje! - Zamknęła oczy i oparła się o niego. - Siedziałam na widowni i drżałam z emocji jak nigdy w życiu. Ktoś może powiedzieć, że to nie moja zasługa, ale ja wiem, że jednak mam jakiś udział w tym sukcesie. Nawet jeżeli moje nazwisko nie jest powszechnie znane, wiem, że spełniłam rolę katalizatora.
- Nie każdy chce, żeby jego nazwisko było powszechnie znane.
- Ale twoje powinno. - Przekręciła się, żeby go lepiej widzieć. - Nie mówię tego, bo... - Bo cię kocham. Niewiele brakowało, żeby to zdanie wymknęło się z jej ust. Kiedy uniósł brew i zapadła cisza, rzuciła szybko: - Bo coś nas łączy. Mając dobry materiał i przy dobrej ekipie mógłbyś się znaleźć na liście dziesięciu czołowych producentów w branży.
- To cenna uwaga. - Jej oczy były takie szczerze, takie

zapalczywe. Chętnie by się dowiedział dlaczego. - Wiem, że nie rzucasz komplementów na prawo i lewo bez zastanowienia.

- Nie. Wiem, jak pracujesz, wiem, jakie przynosi to efekty.

- Nie pragnę, a już na pewno nie za wszelką cenę, wiązać się z jakimś wiodącym studiem. Duży ekran jest dobry dla fikcji i iluzji. - Dotknął jej policzka. - Wolę mieć do czynienia z rzeczywistością.

- Więc wyprodukuj coś rzeczywistego. - To było wyzwanie.

- Na przykład?

- Mam pewien scenariusz.

- A. J...

- Nie, posłuchaj mnie, Dawidzie. Posłuchaj mnie choć minutkę.

- Wolę cię ugryźć w ucho.

- Ugryź w co chcesz. Ale najpierw posłuchaj.

- Znowu negocjujesz? - Podniósł się na łokciu i spojrzał na nią z góry. Z jej oczu bił entuzjizm, miała zaróżowione policzki.

- Jaki scenariusz?

Nagle spochmurniała.

- Muszę wyznać ci wszystko.

- Co? Nie rozumiem. - Był zdezorientowany.

- Bo najpierw to miała być zemsta.

- Na Boga, jaka zemsta?!

- Kiedy mnie porwałeś, obiecałam ci, że tego pożałujesz.

- Tak, pamiętam... A ty nie rzucasz słów na wiatr.

- Właśnie. Kiedy kazałam ci się odwieźć do miasta, cała buzowałam od złości, i nagle się uspokoiłam.

- I obiecałaś mi rewanż w formie niespodzianki.

- Właśnie. Przestałam się złościć, gdy obmyśliłam zemstę. Postanowiłam zmusić cię do czegoś, przed czym się bronisz, ale ja wiem, że jest to dla ciebie dobre.

- Tak jak ja porwałam cię dla twojego dobra...

- Zrozumiałam to już w samochodzie i dlatego zmieniłam front. Ale choć weekend okazał się cudowny, jak się tego w głębi duszy spodziewałam, gdy wróciłam do domu, przystąpiłam do działania.

- Zaraz, zaraz - rzucił nerwowo. - Jaka zemsta? Po prostu składasz mi propozycję, którą mogę przyjąć albo odrzucić... - Wyraźnie stracił pewność siebie. Spojrzał na A. J. - Jezu, tak namieszałaś, że nie mogę jej odrzucić!

- Nie do końca, ale prawda, namieszałam, i radzę ci, nie odrzucaj tego, i to z kilku powodów.

Nie wiedział, co o tym sądzić. Jedno było pewne, czuł się zdegustowany.

- A z jakich?

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Między innymi dlatego, że cię o to proszę.

- A. J., nigdy nie wtrącałem się w twoje sprawy zawodowe...

- Ale to nie są sprawy zawodowe.

- Co?

- Chodzi o ciebie. Głęboko wierzę, że jest to dla ciebie dobre. Mówiłam już, moja zemsta polegała na tym, by zmusić cię do pewnych działań, ale na Boga, nie chciałam twojej krzywdy, tak jak ty nie chciałeś mojej. Teraz wiem, że ten cały rewanż to czysta głupota, ale intencja pozostała ta sama. I jako agent, i jako bliska ci osoba jestem przekonana, że powinieneś się zgodzić.

- I agent, i bliska osoba... Jezu, ale mnie przycisnęłaś. Toż to czysta manipulacja.

- Być może. - A. J. czuła się fatalnie. Idiotycznie się zaplątała i teraz ma za swoje. - A nawet na pewno - przyznała. - Ale wysłuchaj mnie do końca.

- Niech będzie... - mruknął.

- Znasz George'a Steigera?

- Tak, znam, i to całkiem nieźle. Doskonały pisarz i świetny gawędziarz.

- Odniósł spektakularny sukces wydawniczy, a teraz napisał scenariusz. Tak się dobrze złożyło, że wylądował na moim biurku.

- To się dobrze złożyło... znaczy się, dobrze dla ciebie - mruknął.

- I dla ciebie, uwierz. Scenariusz jest cudowny, naprawdę cudowny. Zamówiłam poufne recenzje u wybitnych specjalistów, twierdzą to samo. Jest to opowieść o Czirokezach i Szlaku Łez, jak nazwali swój przymusowy marsz z Georgii do

rezerwatu w Oklahomie. Narracja prowadzona jest z pozycji dziecka. Czujesz zamęt, grozę i zdradę, a jednocześnie przez to wszystko przebija nadzieja. To nie jest western z happy endem ani żadna lukrowana historyjka, tylko pełna dramatyzmu i mądrości prawda. Możesz z tego uczynić coś naprawdę ważnego.

- A. J., skąd ci przyszło do głowy, że Steiger zainteresowałby się akurat mną?

- Tak się złożyło, że wspomniałam mu o tobie.

- Znów tak się złożyło? A niby jak wspomniałaś?

- Że... że jesteś poważnie zainteresowany. A on się zapalił do tego pomysłu. Ceni twoją twórczość i w ogóle... - zakończyła smętnie.

- I w ogóle... - Zacisnął nerwowo zęby. - A. J., wiesz, co zrobiłaś?

- Wiem...

- No to powiedz.

- Musiałbyś znaleźć jakiś wyjątkowo mocny powód, by się teraz wycofać.

- Bo inaczej?

- Bo inaczej będziesz miał wroga w jednym z najbardziej wpływowych pisarzy i scenarzystów, jako że Steiger, choć przyzwoity facet i wybitny pisarz, ma jedną wadę...

- Tak, ma jedną paskudną wadę. Jest cholernie drażliwym impetykiem i gdy wpada w furję, wali na odlew bez opamiętania.

A od kiedy porósł w piórka... - Złapał się za głowę. - Cóż, poradzę sobie z nim.

- A Więc odrzucasz tę propozycję?

- Propozycję? - powtórzył z gryzącą ironią... i nagle zaczął się strasznie śmiać. - Jezu, co ja wyrabiam?!

Patrzyła na niego zdezorientowana.

- Dawid...

- Oczywiście że ją przyjmuję.

- Tak w ciemno, przed przeczytaniem scenariusza?

- Tak. A wiesz dlaczego? Bo ci ufam, bo wiem, że choć niby miała to być zemsta, zrobiłaś to dla mnie, dla mojego dobra. Przyznaj, zrobiłaś to z...

- Z przyjaźni - wpadła mu w słowo. Cóż, refleks miała niebywały.

Popatrzył na nią w wielkim skupieniu.

- Jak to się dzieje, że ilekroć wydaje mi się, iż dochodzę do ciebie, nagle zmieniasz pas?

- Zaraz przyniosę ci scenariusz. Musisz go przeczytać przed spotkaniem ze Steigerem. Umówiłam was wstępnie na przyszły tydzień.

- Dobrze, daj scenariusz, dobrze, spotkam się ze Steigerem, dobrze, zrobię ten film, o ile zdobędę pieniądze.

- Pomogę ci w tym. Mam już kilka pomysłów, do kogo się zwrócić.

- Świetnie. A teraz odpowiedz mi na pytanie. Dlaczego, gdy

tylko zbliżę się do ciebie, z miejsca zmieniasz pas?

- Widocznie lepiej prowadzę.

- To zwolnij, daj się dogonić, choć raz! - krzyknął z rozpaczą.

Przytuliła się do niego.

- Dawid, nie niszczy tego, co trwa... póki trwa.

- Porozmawiamy później... obiecuję. A. J., nie będziesz bez końca mi się wymykać.

- Pst... - Pocałowała go.

Znów poczuł się kompletnie bezradny wobec wszechmocy pożądania.

I znów powróciła między nimi czułość, którą tak niedawno odkryli i którą wciąż nie mogli się nasycić.

Aurora z radością poddała się niespiesznym pocałunkom, świadomemu kontemplowaniu siebie nawzajem. Pomrukując rozkosznie, ściągnęła z Dawida koszulę, po czym przejechała rękami po jego plecach. Czowała jego siłę i respektowała ją, zwłaszcza od czasu, gdy jego dłonie stały się takie subtelne.

Odkąd to zaczęła cenić subtelność? Jednak teraz, gdy ją odkryła, za nic nie chciała jej stracić. Ani jego.

- Chcę cię, Dawidzie - wyszeptała.

Serce zabiło mu mocniej. Słyszał wcześniej te słowa, ale tak rzadko od niej i nigdy z taką akceptacją. Podniósł głowę, by na nią spojrzeć.

- Powiedz to jeszcze raz, Auroro. Powiedz to, kiedy na

ciebie patrzę.

- Chcę ciebie.

Zgniółł jej wargi. Tak wiele dostawał, ale chciał dużo więcej. Mimo że był z kobietą, której pragnął ponad wszystko, nie czuł się szczęśliwy.

Desperacko porzucił te myśli. To szczęście, które teraz posiada, musi mu wystarczyć... na razie.

- Powiedz, co chcesz - zapytał, gdy przywarła do niego.

- Ciebie. Chcę ciebie.

Jej ciało należało do niego. I serce, którego tak zawzięcie broniła, także zatraciło się dla niego.

- Dawid. - W tym jednym słowie zawarła całą miłość i wszystko, co do niego czuła. - Nie pozwól mi odejść - szepnęła z rozpaczą.

Drzemali objęci. Choć przygniatał ją niemal całym ciałem, czuła się lekka i wolna. Ilekroć się kochali, rosło w niej poczucie siły. Była przywiązana do Dawida, ale bardziej wyzwolona niż kiedykolwiek w swym życiu.

- Telewizor ciągle chodzi - mruknął.

- Um... hm... - Leciał nocny film, wyły syreny, wybuchały pociski. Nie zwracała na to uwagi.

- Nie szkodzi.

- Jeszcze chwila, a zaśniemy w tej pozycji.

- Też nie szkodzi.

Zaśmiał się i pocałował ją w szyję.

- Przy niewielkim wysiłku mogłoby nam być znacznie wygodniej.

- W łóżku - mruknęła z aprobatą, ale nie wykonała żadnego ruchu poza tym, że mocniej przywarła do niego.

- Na początek. Ale ja myślę o czymś na dłuższą metę. Ledwie mogła myśleć od tego ciepłego, rozkosznego nicnierobienia.

- Na jak długą metę?

- Wciąż się kręcimy, pakujemy się i przepakowujemy, zamiast spędzać razem wieczory.

- Mmm. Mnie to nie przeszkadza.

Ale jemu tak, i to bardzo. Im większe zadowolenie znajdował w tym związku, tym mniej był zadowolony z pierwotnej umowy. „Kocham cię”. Jakież to proste słowa. Ale dotąd nie powiedział ich żadnej kobiecie. Jeśli je powie Aurorze, jak szybko się zwinie i zniknie z jego życia? Wolał nie ryzykować.

- Mimo wszystko moglibyśmy zawrzeć bardziej sensowny układ.

Otworzyła oczy i lekko zeszywniała.

- Na przykład?

Nie tak zaplanował sobie początek. Ale przecież z A. J. wszystkie jego skrupulatnie przemyślane pomysły brały na ogół w łeb.

- Twoje mieszkanie zdaje egzamin, kiedy oboje pracujemy w mieście.

- Tak.

Jej oczy straciły marzycielską miękkość. Miał ochotę skłąć siebie.

- Pracujemy przez pięć dni w tygodniu. Z drugiej strony mój dom to świetne miejsce na weekendy. Ucieka się od świata, wypoczywa do woli. Byłoby więc logiczne, gdybyśmy mieszkali tutaj w ciągu tygodnia, a na weekendy przenosili się do mnie.

Nie odzywała się przez długie sekundy, a przez jej głowę przelatywały różne myśli, i to niezbyt przyjazne tej propozycji. Przede wszystkim nie spodobało się jej takie rzeczowe i praktyczne postawienie sprawy. Mówił o układzie, nie o wspólnym życiu.

- Chcesz, byśmy zamieszkali razem - powiedziała wreszcie.

Spodziewał się po niej czegoś więcej. Odrobiny radości, przebłysku uczucia. A wypowiedziała to tak chłodno i ostrożnie.

- W zasadzie robimy to już teraz, nieprawda?

- Nie. - Chciała nabrać dystansu, ale trzymał ją jak w potrzasku. - Tylko śpimy razem.

I to było wszystko, czego chciała. Świerzbiły go ręce, żeby nią potrząsnąć, aż spojrzy na niego i dostrzeże, co on czuje i czego pragnie. Zamiast tego usiadł i zaczął się ubierać. Goła i bezbronna sięgnęła po bluzkę.

- Jesteś zły.

- Umówmy się, że nie będziemy zasiadać do stołu i prowadzić negocjacji na ten temat.

- Dawid, nie dałeś mi nawet pięciu minut na zastanowienie.

Wtedy odwrócił się ku niej, a jego dziki wzrok niemal ją przeraził.

- Jeśli wolisz - powiedział z pozornym spokojem - możemy o tym w ogóle zapomnieć.

- To nie jest w porządku.

- Nie, nie jest. - Wstał. Wiedział, że musi stąd wyjść, jak najdalej od niej, zanim powie o jedno słowo za dużo. - Może czuję się zmęczony ciągłym uważaniem na każde słowo i każdy gest, byle tylko ciebie nie urazić.

Wyrwała mu się i odsunęła. Wiedziała, że to się skończy. Powiedziała sobie, że będzie przygotowana, gdy to się stanie. A tymczasem miała ochotę krzyczeć i wyć. Resztką dumy, jaka jej pozostała, wystarczyła, żeby stać prosto i nieruchomo.

- Nie wiem, czego chcesz.

Tak na nią spojrział, iż niewiele brakowało, a przegrałaby walkę ze łzami.

- No właśnie - wyrzucił z siebie. - I to jest największy problem, prawda?

Opuścił ją, ponieważ jeszcze chwila, a zacząłby ją błagać. Pozwoliła mu wyjść, ponieważ od dawna była na to przygotowana.

ROZDZIAŁ 12

A. J. sprawdziła, czy składane krzeselka w ogrodzie Clarissy są dobrze rozstawione, a potem udała się na boczny dziedziniec, by rzucić okiem na stojące pod parasolami stoły. Cateringowcy kręcili się w kuchni, a specjalistka od kompozycji roślinnych z dwiema pomocnicami dokonywała ostatnich poprawek. Rozłożyste czary z liliami i wąskie wazony z różami zdobiły taras, a ich zapach niósł się w powietrzu i stapiał z zapachem kwiatów z ogrodu Clarissy. Pachniało bajecznie.

Wszystko szło jak z płatka. Było południe, świeciło słońce, a ona stała z rękami w kieszeniach i czekała na najgorsze.

Wkrótce matka poślubi mężczyznę, którego kocha, pogoda jest wymarzona i wszystko, co A. J. zaplanowała, udało się na medal. Chyba nigdy nie czuła się taka nieszczęśliwa. Chciała znaleźć się w domu, w swoim mieszkaniu, za zamkniętymi drzwiami i zaciągniętymi zasłonami, z głową pod kołdrą. Czy to nie Dawid powiedział kiedyś, że uzalanie się nad sobą jest mało atrakcyjne?

No cóż, Dawid zniknął z jej życia. Blisko dwa tygodnie temu. Na dobre. Bez niego, w spokoju, mogła się zająć swoimi zawodowymi sprawami. W agencji panował tak wielki ruch, że rozważała możliwość zwiększenia personelu. Z powodu przeciążenia pracą gotowa była zrezygnować z dwutygodniowych wakacji w Saint Croix. Osobiście prowadziła negocjacje w sprawie dwóch wielomilionowych kontraktów, a

przez jedno fałszywe posunięcie wszystko mogło spalić na panewce.

Zastanawiała się, czy przyjdzie.

Że też w ogóle o nim myśli, złorzeczyła sobie. Wyszedł z jej domu, odszedł z jej życia. Opuścił ją w stanie maksymalnego rozbicia i niemożności zebrania myśli, gdy za wszelką cenę usiłowała dotrzymać warunków ich umowy. Był zły i niedorzeczny. Nie zadał sobie trudu, żeby zadzwonić, a już ona na pewno nie wykręci jego numeru.

Raz wykręciła, przyznała z westchnieniem. Ale nie było go w domu. Za to jej się śnił. W środku nocy wybijała się ze snu, bo on w nim był. Wiedziała, i to lepiej niż ktokolwiek, jak bardzo sny mogą ranić.

Ten etap jej życia był zakończony. To był tylko... epizod, przekonywała siebie. Epizody nie zawsze dobrze się kończą.

Kiedy ponownie weszła do domu, cateringowcy krzatali się przy quiche'u, a Clarissa siedziała pośrodku kuchni w szlafroku i notowała przepis.

- Mamo, czy nie powinnaś się już szykować? Clarissa uśmiechnęła się i pogłaskała kota, który zwinął się na jej kolanach.

- Och, mamy jeszcze masę czasu, prawda?

- Kobieta nigdy nie ma dość czasu, by przygotować się do swojego ślubu.

- Piękny dzień, nieprawda? Wiem, że wariactwem byłoby

uznać to za znak, ale aż mnie korci.

- Możesz uznać wszystko jako dobry znak. - A. J. chciała nalać sobie kawy, ale się rozmyśliła. Z rozpędu otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę szampana. Puściła mimo uszu pomruk niezadowolenia catenngowców. Nie co dzień zdarza się, by córka organizowała ślub matki.

- Chodź, pomogę ci. - A. J. przemknęła przez jadalnię, zabierając po drodze dwa kieliszki.

- Nie wiem, czy powinnam teraz pić. Jeszcze mnie odurzy.

- Powinnaś być odurzona - stwierdziła autorytatywnie A. J.

Po wejściu do pokoju matki klapnęła na jej łóżko, jak to robiła, gdy była dzieckiem. - Obie powinnyśmy być odurzone. To lepsze od zdenerwowania.

Clarissa uśmiechnęła się.

- Nie jestem zdenerwowana. Korek wystrzelił aż pod sufit.

- Panny młode muszą być zdenerwowane. Ja jestem zdenerwowana, a przecież nie mam nic do roboty poza patrzeniem.

- Auroro. - Clarissa wzięła kieliszek i usiadła na łóżku obok córki. - Powinnaś się przestać o mnie martwić.

- Kiedy nie mogę. - Pocałowała matkę w policzek. - Kocham cię.

- Zawsze byłaś moją radością - powiedziała Clarissa, ściskając jej rękę. - Dałaś mi w życiu tyle szczęścia.

- A ja tylko tego pragnę dla ciebie.

- Wiem. Podobnie jak ja dla ciebie. - Zwolniła uścisk, ale nie wypuściła ręki A. J. - Porozmawiaj ze mną.

Wiedziała, że matce chodzi o Dawida. Odstawiła nietknięty kieliszek i podniosła się.

- Nie mamy czasu. Musisz się...

- Posprzeczaliście się. Cierpisz. Wzdychając, A. J. usiadła z powrotem na łóżku.

- Wiedziałam od samego początku, że tak będzie.

- Na pewno? - Potrząsając głową, Clarissa pozbyła się kieliszka i objęła obie dłonie A. J. - Dlaczego tak ci trudno zaakceptować czyjeś uczucie poza moim? Czy to moja wina?

- Nie, nie twoja. Po prostu tak się złożyło. W każdym razie Dawid i ja... mieliśmy bardzo intensywną przygodę, która szybko się wypaliła.

- Przecież go kochasz.

Gdyby Aurora miała do czynienia z kimś innym, wyparłaby się.

- To mój problem, mamo. I radzę sobie z nim - dodała szybko, byle tylko znów nie litować się nad sobą - Poza tym dzisiaj powinniśmy rozmawiać tylko o miłych sprawach.

- Szczególnie dzisiaj chciałabym widzieć szczęście na buzi mojej córki. Jak, według ciebie, on czuje się z tym wszystkim? - nie dawała za wygraną Clarissa.

- Pociągałam go. Myślę, że był odrobinę zaintrygowany, gdy nie od razu mu uległam, a w sprawach biznesu nie

ustępowaliśmy sobie ani na krok.

Clarissa nie zapomniała, jak łatwo jej córka potrafi się wykręcić.

- Zapytałam, jak, według ciebie, on się czuje?

- Nie wiem. - A. J. przeczesła palcami włosy i wstała.

- Chce mnie, albo raczej chciał. Dobraliśmy się. Dobrze nam było razem w łóżku. Ale nawet i tego nie jestem pewna. On zdaje się chce więcej. Chce zawładnąć moimi myślami.

- A tobie na tym nie zależy.

- Nie lubię być na cenzurowanym. Ale to już i tak nie ma znaczenia. Oboje zrozumieliśmy, że o poważnym zaangażowaniu nie może być mowy.

- Dlaczego?

- Bo to nie było to, czego on... czego my - poprawiła się szybko - szukaliśmy. Od początku ustaliliśmy ścisłe reguły.

- O co się posprzeczaście?

- Zaproponował, byśmy razem zamieszkali.

- O! - Clarissa zamilkła na moment. Była na tyle staroświecka, by się zaniepokoić, i na tyle mądra, żeby zaakceptować takie rozwiązanie. - Dla niego taka propozycja to bardzo dużo, może świadczyć o poważnym zaangażowaniu.

- Nie, raczej chodziło o wygodę. - Czy właśnie to ją zraniło? Nie chciała tego analizować. - Cóż, zamierzałam to przemyśleć, a on z miejsca wpadł w gniew. Naprawdę był zły.

- Czuje się zraniony. - A. J. nie zdążyła wyrazić zdumienia

ani zaprotestować, kiedy Clarissa ciągnęła dalej:

- Już wiem. Powodowani dumą, próbowaliście się wzajemnie zranić, i to boleśnie.

To zmieniało postać rzeczy. A. J. jeszcze w pełni nie przyjęła tego do wiadomości, ale poczuła, że słabnie.

- Nie chciałam zranić Dawida. Chciałam tylko...

- Chronić siebie - dokończyła Clarissa. - Czasami konsekwencje bywają nie do przewidzenia. Kiedy kogoś kochasz, naprawdę kochasz, musisz być gotowa na ryzyko.

- Muszę pójść do niego.

- Musisz pójść za głosem swojego serca.

Jej serce. Jej serce było złamane. Dlaczego nikt tego nie widzi?

- Łatwo ci to powiedzieć.

- I to jest najbardziej przerażająca rzecz na świecie. Można badać, analizować i testować zjawiska parapsychologiczne. Można zakładać laboratoria na największych uniwersytetach świata, ale tylko poeta zrozumie ciężar miłości.

- Ty zawsze byłaś poetką, mamó. - A. J. ponownie usiadła przy niej i położyła głowę na jej ramieniu. - O Boże, a jeśli on mnie nie chce?

- Wtedy będziesz zraniona i będziesz płakać. A potem się pozbierasz i życie potoczy się dalej. Mam silną córkę.

- A ja mam piękną i mądrą matkę. - A. J. sięgnęła po kieliszki. Podała jeden Clarissie i wzniosła toast. - Za co

najpierw wypijemy?

- Za nadzieję.

A. J. przebrała się w sypialni, która zawsze na nią czekała. Nieważne, że podczas ostatnich lat spędziła w niej tak niewiele nocy. Może zostanie tu dzisiaj, po weselu, gdy odjadą goście, a nowożeńcy wyruszą w podróż poślubną? Może przemyśli to i owo, i rano znajdzie w sobie odwagę, by pójść za głosem serca?

A jeśli jej nie zechce? A jeśli już o niej zapomniał? A. J. stanęła przed lustrem, ale zamknęła oczy. Za dużo było tych "jeśli". Tylko jedno było pewne - że go kocha.

Wyprostowała ramiona, otworzyła oczy i przyjrzała się sobie. Suknia była bardzo romantyczna, bo taką wolą jej matka. Od lat nie miała na sobie niczego tak rażąco kobiecego i zwiewnego. Koronkowa góra dotykała szyi, a delikatny błękitny jedwab przezierał przez haft. Spódnica w kształcie dzwonu spływała do kostek.

To nie mój styl, pomyślała A. J., choć trzeba przyznać, że w staroświeckim kroju i wdzięku koronki jest coś pociągającego. Sięgnęła po bukietik białych róż udekorowany wstążką i poczuła się głupio, jakby sama była panną młodą. Na myśl o tym, że mogłaby brać ślub z ukochanym mężczyzną...

Przecucie? Otrząsając się, cofnęła się parę kroków od lustra. To przecież jej matka wypowie już za chwilę formułę o dozgonnej miłości. Zerknęła na zegarek i wstrzymała oddech. Lada moment pojawią się goście! Musi się spieszyć.

Pierwsze przybyły dzieci Aleksa. Widziała się z nimi tylko raz, poprzedniego wieczoru na kolacji, było więc jeszcze trochę skrępowania i sztywności. Ale kiedy jej przyszła siostra zaproponowała pomoc, A. J. postanowiła trzymać ją za słowo. A gdy zaraz potem przed dom zaczęły zajeżdzać samochody, każda pomoc była na wagę złota.

- A. J. - Alex zastał ją w ogrodzie, gdzie pomagała gościom zajmować miejsca - Ślicznie wyglądasz.

Pomimo opalenizny był trochę blady. Widoczne oznaki zdenerwowania jeszcze bardziej złagodziły jej stosunek do niego.

- Wstrzymaj się z komplementami, dopóki nie zobaczysz panny młodej.

- Nie mogę się doczekać. - Poprawił węzeł krawata.

- Przyznam, że czułbym się lepiej, gdyby już tutaj była i podtrzymała mnie jakoś. Co wieczór prowadzę rozmowy z milionami ludzi, ale to... - Powiódł wzrokiem po ogrodzie. - To jest całkiem inna historia.

Pogłaskała go po policzku.

- Dlaczego nie wejdiesz cichaczem do środka i nie strzelisz sobie małego bourbona?

- Chyba tak zrobię.

Przyglądała mu się, gdy okrężną drogą wchodził do domu tylnym wejściem. Napotkała wzrokiem Dawida. Stał na skraju ogrodu, gdzie bryza rozwiewała końce jego włosów. Zdziwiła się - a jej serce od razu zaczęło walić - że go nie wyczuła.

Zastanawiała się - a zalewała ją fala radości - czy chce go tutaj widzieć.

Nie podszedł do niej. Wiedziała, że pierwszy krok należy do niej.

Jest taka śliczna, pomyślał. Wygląda jak marzenie. Bryza, która niosła w powietrzu zapachy ogrodu, igrała z koronką przy jej szyi. Gdy podchodziła do niego, przywołał na pamięć wszystkie jałowe, spędzone bez niej godziny.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

Jadąc tutaj, zastanawiał się, po co to robi. Przyciągała go myślami, pędził tutaj za swym sercem?

- Zdaje się, że panujesz nad wszystkim.

Nad niczym nie panowała. Chciała wyciągnąć do niego rękę, powiedzieć mu coś bardzo osobistego, gdyby tylko nie wydawał się taki chłodny i zdystansowany.

- No cóż, możemy już zaczynać. Jeszcze tylko posadzę parę osób i będę mogła pójść po Clarissę.

- Zajmę się nimi.

- Nie musisz. Ja...

- Powiedziałem, że to zrobię.

Jego odpowiedź ucięła dalszą dyskusję. A. J. stłumiła swoje tęsknoty i skinęła głową.

- Dziękuję. - Odeszła do domu, do swojego pokoju, aby się pozbierać przed pokazaniem się matce.

Do licha! Odwrócił się, przeklinając ją, przeklinając siebie,

przeklinając wszystko, na czym świat stoi. Wystarczyło, że na nią spojrzeł, a już chciał się do niej czołgać. A przecież nie należał do mężczyzn, którzy potrafią żyć na kolanach. Była taka opanowana i chłodna, taka świeża i śliczna, i przez chwilę, ale tylko przez chwilę, zdawało mu się, że dostrzega przebłysk uczucia, którego tak wypatrywał w jej oczach. Ale zaraz potem uśmiechnęła się do niego jak do jednego z wielu weselnych gości.

Orkiestra, którą A. J. wybrała spośród mnóstwa orkiestr, grała coś spokojnego na drewnianym podeście na trawniku. Na kratkach przed fotelami pięły się pachnące groszki. Skupiona i mająca na wszystko oko A. J. szła przez ogród, żeby zająć swoje miejsce. Zerknęła na Aleksa i posłała mu szybki, zachęcający uśmiech. Potem, na progu domu, ubrana w ciemnoróżowe jedwabie, pojawiła się Clarissa.

Wygląda jak królowa, pomyślała A. J., i aż jej serce urosło. Goście stali, gdy szła między nimi, ale ona patrzyła tylko na Aleksa. On zaś, pomyślała A. J., wygląda tak, jakby na całym świecie istniała tylko Clarissa.

Ceremonia była krótka i tradycyjna. Słowa proste, a przecież tak skomplikowane. Ślubowanie powtarzane od wieków, a przecież całkiem nowe.

Z zamglonym wzrokiem i ze ściśniętym gardłem A. J. wzięła matkę w ramiona.

- Och, życzę ci szczęścia, mamo.

- Już je mam. I zachowam. - Leciutko ją od siebie odsunęła.
- Tobie życzę tego samego.

Nim A. J. zdążyła cokolwiek powiedzieć, Clarissa odwróciła się i wpadła w objęcia pasierba i pasierbicy.

Podczas przyjęcia A. J. cały czas była zajęta. Śmiała się, muskała w przelocie liczne policzki, wznosiła toasty i czuła się potwornie nie na miejscu.

- Clarisso. - Dawid podszedł do niej z uśmiechem. - Jesteś piękna.

- Dziękuję, Dawidzie. Tak się cieszę, że cię widzę. Ona cię potrzebuje.

- Czyżby?

Westchnąwszy, Clarissa ujęła jego dłonie. Omal ich nie cofnął, tak silne odczuł oddziaływanie.

- Najważniejsze jest uczucie - powiedziała spokojnie. Dawid próbował się odprężyć.

- Prowadzisz nieczystą grę.

- Jest moją córką. Nie tylko dosłownie.

- Rozumiem i wiem, co masz na myśli. Uśmiechnęła się.

- Tak, wiesz. Możesz jej to powiedzieć. Aurora jest specjalistką w blokowaniu uczuć, ale dobrze sobie radzi ze słowami. Porozmawiasz z nią?

- Och, mam taki zamiar.

- To dobrze. - Zadowolona, poklepała go po ręku. - Myślę, że teraz powinieneś spróbować quiche'a. Jest fantastyczny.

Oczywiście wyłudziłam przepis od szefa firmy cateringowej.

- Ty też jesteś fantastyczna. - Dawid pochylił się i pocałował ją w policzek.

A. J. dawała z siebie wszystko. Przechodziła od grupy do grupy, sączyła szampana, nie tykając prawie niczego z efektownie wyeksponowanego jedzenia. Tort z lukrowanymi łąbiedziami i serduszkami został pokrojony i zjedzony. Szampan lał się strumieniami, grała muzyka. Pary tańczyły na trawniku.

- Chciałem ci powiedzieć, że przeczytałem scenariusz Steigera. Jest wyjątkowy.

Biznes, pomyślała. Lepiej nie wychodzić poza sprawy biznesu.

- Myślisz, że mógłbyś się podjąć produkcji?

- Z radością, ale to daleka droga. Umówiłem się ze Steigerem na poniedziałek.

- Cudownie. - Nie mogła nie wyrazić swojej radości. - To będzie wielki sukces.

- Nie tańczyłem walca od trzynastego roku życia. - Dawid wziął ją pod rękę. - Moja matka kazała mi tańczyć z kuzynką, a w tamtym okresie uważałem dziewczynki za zapóźnioną formę ewolucji. Od tego czasu zmieniłem zdanie. - Objął ją w pasie. - Jesteś spięta.

Skoncentrowała się na krokach, na dostosowaniu się do niego, na wszystkim, tylko nie na tym, jak czuje się w jego ramionach.

- Chcę, żeby wszystko ułożyło się dla niej jak najlepiej.
 - Nie myślę, żebyśmy się musieli dłużej o to martwić. Jej matka tańczyła z Alekssem, jakby byli sami w ogrodzie.
 - To prawda. - Nie powstrzymała westchnienia.
 - Masz wszelkie prawo być trochę smutna. - Jej zapach był taki, jaki zapamiętał, stonowany i kuszący.
 - Nie, to jest egoizm.
 - To normalne. Jesteś dla siebie zbyt surowa.
 - Czuję się, jakbym ją straciła. - Z trudem powstrzymywała łzy.
 - Nie straciłaś jej. - Musnął wargami jej skroń. - A smutek minie.
- Gdy był miły, czuła się zagubiona, stracona. Gdy był delikatny, czuła się bezbronna.
- Dawid. - Wpiła palce w jego ramię. - Tęskniłam za tobą.
- A jednak zdobyła się na te słowa. Poczowała mocny uścisk jego dłoni.
- Aurora.
 - Proszę, nic nie mów.
 - Musimy porozmawiać.
- Już nawet chciała się zgodzić, gdy obwieszczono przez mikrofon:
- Wszystkie niezamężne panie ustawiają się do złapania bukietu.
 - Chodź, A. J. - Jej świeżo upieczony ojczym chwycił ją za

ramię i pociągnął za sobą. - Musisz zobaczyć, kto będzie następny.

Nie interesowały jej bukiety ani rozchichotane panienki. Ważył się jej los, jej całe życie. Rozkojarzona, rozejrzała się za Dawidem. Odwróciła się z powrotem w samą porę, żeby się zasłonić, gdy bukiet matki lądował na jej twarzy. Zakłopotana, przyjęła gratulacje i wypowiedane w najlepszej intencji żarty.

- Jeszcze jeden znak? - skomentowała Clarissa, cmokając córkę w policzek.

- Znak, że moja mama ma oczy dookoła głowy i świetnie celuje. - A. J. zanurzyła nos w kwiatkach. Pachniały słodko i obiecująco.

- Och, nie. To by dopiero był zły znak!

- Będę za tobą tęsknić, mamo.

- Wrócę za dwa tygodnie.

Ledwie zdążyły się uścisnąć, a na matkę i Aleksa spadł grad ryżu i życzeń.

Część gości odjechała, inni zwlekali. Słońce zeszło niżej. Powoli muzycy zaczęli pakować instrumenty.

- Długi dzień.

Odwróciła się do Dawida i bezwiednie wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć.

- Myślałam, że też odjechałeś.

- Zniknąłem tylko na chwilę. Wykonałaś świetną robotę.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że jest już po wszystkim.

- Chętnie napiłbym się kawy. Uśmiechnęła się.
- Myślisz, że jeszcze coś zostało?
- Nastawiłem świeżą. Dokąd wybrali się na miodowy miesiąc?
- Będą pływać po morzu. - Zaśmiała się, ale już po chwili bezradnie rozejrzała się po kuchni. - Nie wyobrażam sobie Clarissy, jak podnosi żagle.
- Proszę. - Wyciągnął chustkę z kieszeni. - Usiądź i porządnie się wypłacz. Masz do tego prawo.
- Cieszę się, że ona jest szczęśliwa. - Ale łzy polały się strumieniem. - Alex jest cudownym człowiekiem i wiem, że ją kocha.
- Ale ona już nie potrzebuje ciebie i nie musisz się nią więcej zajmować. - Podał jej kubek kawy. - Pij.
- Kiwnęła głową i popiła.
- Zawsze mnie potrzebowała.
- I nadal potrzebuje. Tylko w inny sposób. - Wziął chustkę i osuszył jej policzki.
- Czuję się jak idiotka.
- Wiesz, jaki jest twój problem? Nie dopuszczasz do siebie myśli, że od czasu do czasu masz prawo czuć się jak idiotka.
- Kiedy ja tego nie lubię.
- Nikt nie lubi. Skończyłaś płakać? Jeszcze przez chwilę siedziała nachmurzona.
- Tak, skończyłam.

- Więc powiedz mi jeszcze raz, że tęskniłaś za mną.

- To była chwila słabości.

- Tylko bez wykrętów, Auroro. Powiedz mi, czego chcesz i co czujesz.

- Chcę, żebyś wrócił. - Przełknęła ślinę, czekając, aż coś powie, zamiast wpatrywać się w nią.

- Co jeszcze?

- Dawid, w ten sposób tylko utrudniasz sprawę.

- Tak, wiem. - Nie dotknął jej, jeszcze nie. Czekał, że powie coś więcej. Potrzebował tego.

- No dobrze. - Wzięła parę głębokich oddechów. - Kiedy zasugerowałeś, że moglibyśmy razem zamieszkać, zaskoczyłeś mnie. Chciałam to przemyśleć, ale się wściekłeś. Kiedy odszedłeś, miałam czas na przemyślenia i stwierdziłam, że nie widzę przeszkód, dlaczego nie mielibyśmy zamieszkać na takich warunkach.

Jak zawsze negocjacje, pomyślał, trąc ręką brodę. Wciąż nie potrafiła zrobić tego ostatniego kroku.

- I ja przemyślałem to ponownie. I zmieniłem zamiar. Gdyby ją spoliczkował, mniej by zabolalo. Odrzucenie jest zawsze bolesne, ale nigdy aż tak.

- Rozumiem. - Odwróciła się, by wziąć kawę, ale jej ręce nie były dostatecznie pewne.

- Wspaniale urządziłaś ten ślub, A. J. Zamknąwszy oczy, zastanawiała się, dlaczego ma wrażenie, jakby się śmiał.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Wygląda na to, że mogłabyś się podjąć jeszcze jednego zlecenia.

- Och, z pewnością. - Przycisnęła palce do oczu. - Mogłabym to potraktować jako biznes.

- Nie, miałem na myśli jeszcze tylko jedno. Nasze.

- Nasze co? - zapytała nieprzytomnie, obiecując sobie, że na pewno się nie rozplacze.

- Wesele. Czy ty mnie słuchasz?

Odwracała się powoli w jego stronę. Patrzył na nią z pewnym rozbawieniem.

- O czym ty mówisz?

- Zauważyłem, że złapałaś bukiet. Jestem przesądny.

- To wcale nie jest śmieszne. - Wstała, ale nie zdążyła wyjść z kuchni, kiedy ją złapał i przyciągnął do siebie.

- Ani trochę! Nie widzę nic śmiesznego w tym, że przez jedenaście dni i dwanaście nocy prawie wyłącznie myślałem o tobie. Nie widzę nic śmiesznego w tym, że ilekroć robię krok naprzód, ty robisz krok w tył. Wystarczy, że pobędę z tobą pięć minut, a wszystkie moje plany biorą w łeb!

- Krzykiem nic nie załatwisz.

- Nie zamierzam niczego załatwić, dopóki nie zaczniesz mnie słuchać, zamiast fałszywie interpretować moje zamiary. Posłuchaj, nie chcę, żeby to się powtórzyło. Lubię moje życie takie, jakie jest.

- A zatem świetnie. Ja też lubię moje życie.

- Więc oboje mamy problem, ponieważ nic już nie będzie takie, jak było.

Dlaczego nie może złapać oddechu? Złość nigdy nie przeszkadzała jej w oddychaniu.

- Niby dlaczego?

- Zgadnij. - Pocałował ją mocno, ze złością, jakby chciał dołożyć im obojgu. Ale to trwało tylko chwilę. Wargi mu zmiękły, uchwyt zelżał, a ona wtopiła się w niego. - Dlaczego nie czytasz w moich myślach? Choć raz, Auroro, otwórz się na mnie.

Zaczęła potrząsać głową, ale on nie odrywał od niej ust. W domu panowała cisza. Na zewnątrz ptaki śpiewały serenadę zachodzącemu słońcu. Światło było przyćmione i nie istniało nic poza tą jedną chwilą.

- Dawid. - Obejmowała go z całych sił. - Musisz mi coś powiedzieć. Nie znoszę nie mieć racji.

Czy potrzebował słów? Czy nie próbował ich z niej wydusić? A może przyszedł czas, żeby jej wszystko powiedzieć?

- Kiedy pierwszy raz spotkałem się z twoją matką, mówiła mi coś o docieraniu do drugiej osoby samą tylko łagodnością. Kiedy spędzałaś u mnie pierwszy weekend, wróciłem do domu i zastałem cię śpiącą na łóżku. Popatrzyłem na ciebie, na kobietę, która była moją kochanką, i zakochałem się. Problem w tym, że nie wiedziałem, co zrobić, żebyś i ty zakochała się we mnie.

- Już cię wtedy kochałam. Nie myślałam, że ty...

- Problem w tym, że za dużo myślisz. - Odsunął ją trochę, by móc na nią patrzeć. - Podobnie jest ze mną. Być kulturalnym. Być uważnym. Czy nie tym się kierowaliśmy?

- Wydawało się, że tak jest najlepiej. - Przysunęła się bliżej. - W moim przypadku to nie zdało egzaminu. Kiedy się w tobie zakochałam, ciągle tylko myślałam, że wszystko zniszczę, jeśli zapragnę czegoś więcej.

- A ja myślałem, że jeśli cię o coś poproszę, odejdziesz, nim zdążę otworzyć usta. - Musnął wargami jej czoło. - Traciliśmy czas na myślenie, zamiast kierować się uczuciem.

- Bałam się, że nigdy mnie nie zaakceptujesz taką, jaka jestem.

- To samo było ze mną. - Pocałował ją w jeden, a potem w drugi policzek. - Oboje byliśmy w błędzie.

- Ale ja nadal chcę mieć pewność. Muszę wiedzieć, że to, jaka jestem, nie ma znaczenia.

- Auroro, przecież kocham cię za to, jaka jesteś. Nie wiem, jak mógłbym to inaczej wyrazić.

Zamknęła oczy. Clarissa i ona miały rację, że piły za nadzieję.

- Właśnie znalazłeś najlepszy sposób.

- To nie wszystko. - Czekał, aż otworzy oczy i spojrzy na niego. A kiedy to zrobiła, zobaczył w nich to, na co czekał: jej serce. - Chcę spędzić z tobą życie. Chcę mieć z tobą dzieci. Nie chciałem tego nigdy z żadną inną kobietą.

Ujęła jego twarz w dłonie i dotknęła wargami jego ust.

- Już ja dopilnuję, żeby nigdy żadnej nie było.

- Powiedz, co czujesz.

- Kocham cię.

- Powiedz, czego chcesz.

- Wiecznego życia, albo dwóch, jeśli damy radę.